

**RAND MILLER  
DAVID WINGROVE**

**M Y S T.®**

**Księga Ti'any**

**Tłumaczenie:  
Paweł Lipszyc**

**Prószyński i s-ka  
Warszawa 1997**

Dla Deb i dziewczynek

## PODZIĘKOWANIA

To zdumiewające, że po tylu latach tak mało wiemy o historii krainy D'ni i o tajemnicach spowijających wyspę Myst. Nasza opowieść rozwija się przez lata niczym rozsypana duża układanka. Odkrycie jej fragmentów i zestawienie ich w formę książki stało się możliwe tylko dzięki wysiłkowi i wytrwałości grupy ludzi.

Z przyjemnością zgłębiałem wydarzenia z przeszłości D'ni, podczas gdy Robyn wypełnił ostatnie białe plamy historii wyspy Myst. Ponieważ Robyn nie mógł mi służyć pomocą w tym przekładzie, ciężar pracy badawczej spadł na Chrisa Brandkampa, Richarda Watsona i Ryana Millera, którzy blisko współpracowali z Davidem Wingrove'em. Podjęliśmy się wielkiego zadania, a rezultaty są oszałamiające; szerokie rzesze czytelników mogły poznać bogatą, złożoną cywilizację D'ni.

Pragnę serdecznie podziękować i wyrazić uznanie dla tej czwórki moich bliskich przyjaciół (w szczególności dla Davida i Chrisa za ich wielogodzinną pracę). Ta opowieść dociera do was dzięki ich oddaniu i błyskotliwości.

**Rand Miller**

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **Echa w skale**

Kapsuła sondy zagłębiła się w skałę niczym olbrzymi kryształ; pasażerowie tkwili zamknięci w przezroczystym, dźwiękoszczelnym stożku.

Cechmistrz siedział naprzeciwko wierzchołka stożka. Prawą dłoń delikatnie oparł na długiej dźwigni sondy i nasłuchiwał z oczami utkwionymi w litej skałę.

Dwaj młodzi asystenci, którzy siedzieli za nim, wychylili się z wąskich metalowych ławek; skupieni, z zamkniętymi oczami, usiłowali wychwycić drobne zmiany sygnału zwrotnego.

- *Na'grenis* – powiedział, a raczej warknął starzec w języku D'ni. Przesunął lewą dłoń po wierzchnim arkuszu wielowarstwowej mapy rozłożonej na stoliku między jego kolanami. Łamliwa.

Po raz dziesiąty wyemitowali sygnał tym kanałem. Za każdym razem był nieco mocniejszy, a echa w skałę subtelnie zmieniały się, w miarę jak przenikały w głąb.

- *Kenen voohee shuhteejoo* – rzekł ostrożnie młodszy asystent. To może być halit.

- Albo kreda – dodał niepewnie drugi asystent.

- Nie na takiej głębokości – zawyrokował starzec. Przerzucił przezroczyste arkusze mapy i wybrał jeden ze spodu stosu. Rozłożył go i sięgnął za siebie do metalowej półki po czerwony mazak.

- Aha – powiedzieli chórem asystenci. Karminowy znaczek był tak czytelnym wyjaśnieniem, jak gdyby mistrz przemówił.

- Zapuścimy sondę po obu stronach – zdecydował po chwili starzec. – To może być tylko gniazdo...

Odłożył mazak na półkę, po czym ujął misternie zdobioną dźwignię sondy i delikatnie przesunął ją w prawo. Jego ruchy świadczyły o wieloletnim doświadczeniu.

- Z tą samą siłą – polecił. – Jeden puls, pięćdziesiąt uderzeń, a potem drugi puls.

Pierwszy asystent niezwłocznie pochylił się do przodu i ustawił wskaźnik.

Po chwili ciszy wzdłuż dźwigni pojawiły się drgania przesuwające się w stronę wierzchołka stożka.

W małej komnacie rozbrzmiał pojedynczy, czysty dźwięk, jak gdyby niewidzialne ostrze zagłębiło się w skałę.

Co on robi?

Cechmistrz Telanis odwrócił się od okna obserwacyjnego, żeby przyrzeć się gościowi. Mistrz Kedri był potężnie zbudowanym, niezgrabnym mężczyzną. Przybył tu jako członek Cechu Prawodawców, by przyglądać się pracom wydobywczym.

- Cechmistrz Geran przeprowadza badanie skały. Zanim zaczniemy wiercenie, chcemy wiedzieć, czego należy się spodziewać.

- Rozumiem – odparł niecierpliwie Kedri. – Ale na czym polega problem?

Telanis stłumił irytację, w jaką wprawiło go grubiaństwo gościa. Ostatecznie Kedri był tylko przełożonym, chociaż w kwestiach dotyczących rzemiosła słowo Telanisa był święte.

- Nie mam pewności, ale sądząc po oznaczeniu, jakie zrobił, mogę przypuszczać, że zlokalizował pewną substancję wulkaniczną. Mogą to być skały bazaltowe przesunięte w wyniku uskoku albo niewielka intruzja.

- Ale czy to jest problem?

- Niewykluczone – odparł z uprzejmym uśmiechem Telanis. – Jeżeli intruzja jest niewielka, możemy się przez nią przewiercić i podeprzeć tunel. Trzeba jednak pamiętać, że pracujemy na sporej głębokości, a nad nami piętrzy się potężna masa skał. Panuje tu ogromne ciśnienie, które co prawda nie musi nas zmiążdżyć, ale może opóźnić roboty o wiele tygodni, jeśli nie miesięcy. Dlatego wolelibyśmy mieć pewność, co się znajduje przed nami.

- To wszystko wydaje mi się stratą czasu – parsknął Kedri. – Podkład skalny jest wytrzymały, prawda?

- Och, nawet bardzo wytrzymały, ale nie w tym rzecz. Gdyby naszym celem było po prostu przebicie się na powierzchnię, moglibyśmy tego dokonać w ciągu kilku tygodni. Jednak nie takie otrzymaliśmy wytyczne. Tunele mają być trwałe w takim stopniu, w jakim pozwolą na to ruchy skalne!

Kedri wciąż sprawiał wrażenie niezadowolonego.

- To ciągle przerywanie i rozpoczynanie prac na nowo! Wieczne oczekiwanie może doprowadzić człowieka do szału!

Niektórzy z kopacz, nie przystosowani do tej pracy, istotnie tracili rozum. Telanis wiedział jednak, że ze wszystkich cechów D'ni właśnie ten najbardziej nadawał się do wykonania zadania.

- Jesteśmy cierpliwą rasą, mistrzu Kedri – powiedział Telanis, ryzykując, że przełożony wybuchnie gniewem. – Cierpliwą i dokładną. Czy chciałby pan, żebyśmy porzucili zwyczaje odziedziczone po tysiącach pokoleń?

Kedri zamierzał dać ostrą odpowiedź, ale na widok wyzywającego spojrzenia Telanisa skinął głową.

- Nie, masz rację, cechmistrzu. Wybacz mi. Być może wybrano niewłaściwego człowieka na przedstawiciela naszego cechu.

Możliwe – pomyślał Telanis, ale na głos powiedział:

- Ależ skąd, mistrzu Kedri. Obiecuję, że przyzwyczaisz się do tej funkcji. My ze swej strony uczynimy wszystko, żebyś podczas pobytu tutaj czuł się jak najlepiej. Przydzielę ci swojego asystenta Aitrusa.

Tym razem to Kedri się uśmiechnął, jak gdyby przez cały czas właśnie do tego zmierzał.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, mistrzu Telanisie, naprawdę bardzo uprzejme.

Pogłębiarka ucichła, światła pogasły. Zazwyczaj wąski korytarz rozbrzmiewał paplaniną młodych pracowników, ale od przybycia obserwatorów w sondzie zapanowała dziwna cisza, jak gdyby została opuszczona.

Młody członek cechu szedł korytarzem, rozglądając się ostrożnie wokół siebie. Zawsze traktował to miejsce jako coś zwyczajnego, ale dzisiaj odnosił wrażenie, że widzi je po raz pierwszy. Tutaj, we frontowej części korytarza, tuż za wielkim wiertłem, mieściła się kabina cechmistrza. Sąsiadowała z nią pracownia kartografów połączona z kabiną włazem, który zamykał się automatycznie w razie wypadku. Dalej po obu stronach korytarza znajdowały się pomieszczenia maszynowni.

Pogłębiarka była samowystarczalna jak okręt; wszystkie przedmioty były pochowane, a szafki i szuflady zabezpieczone przed nagłymi wstrząsami. Nikt nie mógł mieć jednak wątpliwości co do przeznaczenia sondy; na półkach spoczywały potężne wiertła do skał, a marmurowe cylindry, kaski ochronne i próbówki wisiały w równych rzędach jak broń w arsenale.

Młody członek cechu stanął i obejrzał się za siebie. Był wysokim, atletycznie zbudowanym mężczyzną. Miał na sobie swobodny ciemnoczerwony kombinezon, szeroki, czarny skórzany pas z narzędziami i wysokie buty z czarnej skóry. Było to obowiązkowe umundurowanie wszystkich członków wyprawy.

Krótko przystrzyżony, gęste czarne włosy uwydatniały szlachetne rysy twarzy. Zwracały uwagę jego jasne, żywe oczy. Inteligentne i bystre.

Ruszył dalej przez pomieszczenia załogi – w zagłębieniach ściany sondy stały trójkami puste prycze, w sumie osiemnaście. Wreszcie minął kolejny właz i wszedł do refektarza.

Mistrz Jerahl, kucharz wyprawy, podniósł wzrok znad wieczornego posiłku, który właśnie przygotowywał, i uśmiechnął się.

- O, to ty, Aitrusie. Znowu pracujesz do późna?

- Tak, cechmistrzu.

Jerahl uśmiechnął się po ojcowsku.

- Na pewno tak zaabsorbuje cię twój eksperyment, że przegapisz kolację. Czy chcesz, żebym przyniósł ci coś do jedzenia?

- O tak, cechmistrzu. To byłoby bardzo miłe. Dziękuję.

- Drobiazg, Aitrusie. Dobrze jest widzieć taki zapał u młodego cechownika. Niektórzy z twoich kolegów sądzą, że wystarczy tylko wypełniać instrukcje i to wszystko. Jednak ludzie zauważają takie rzeczy.

Aitrus uśmiechnął się.

- Och, wiem Aitrusie, że niektórzy uważają mnie za głupca. Trudno jest nie słyszeć rozmów w tak małej wyprawie. Ale ja nie zawsze byłem kucharzem, a raczej tylko kucharzem. Szkoliłem się nie mniej niż ty, żeby zostać badaczem skał. Wiele z tej nauki tkwi tutaj, w mojej głowie, ale po prostu nie nadawałem się na badacza. Może powinienem raczej powiedzieć, że odkryłem w sobie powołanie do sztuki kulinarnej.

- Szkoliłeś się, mistrzu Jerahl?

- Oczywiście, Aitrusie. Sądzisz, że zabrano mnie na taką wyprawę, gdybym nie był geologiem? – Jerahl uśmiechnął się szeroko. – Spędziłem blisko dwadzieścia lat na studiowaniu mechaniki skał.

Aitrus wpatrywał się przez chwilę w Jerahla, a potem potrząsnął głową.

- Nie wiedziałem.

- Bo też wcale nie musiałeś tego wiedzieć. Dopóki smakują ci moje posiłki, jestem zadowolony.

- Na posiłki się nie uskarżam.

- To dobrze. Za moment coś ci przyniosę.

Aitrus ruszył dalej, minął łazienki i magazyn próbek, wreszcie dotarł na rufę. Korytarz kończył się tutaj metalowymi drzwiami, które zawsze były zamknięte. Aitrus



pchnął klamkę w dół, a drzwi natychmiast otworzyły się z cichym sykiem. Wszedł do środka i usłyszał, jak drzwi zamykają się za nim.

Na przeciwległej ścianie paliła się pojedyncza żarówka. W słabym świetle Aitrus ujrzał blat do pracy w kształcie grotą, biegnący wzdłuż zakrzywionych ścian na wysokości pasa. Zarówno ponad blatem, jak i pod nim umieszczono małe szafki, w których przechowywano sprzęt i odczynniki potrzebne do analiz.

Aitrus położył notes na blacie i szybko wyjął z szafek potrzebne składniki.

To było jego ulubione miejsce w sondzie. Tutaj mógł zapomnieć o wszystkich problemach i zanurzyć się w nieskalanej radości odkrywania.

Aitrus drasnął paznokciem ognistą kulkę lampy, a kiedy błysnęło światło, otworzył notes na stronie, nad którą pracował.

Aitrusie?

Aitrus oderwał oko od soczewki i odwrócił się, zdziwiony, że nie usłyszał dźwięku otwieranych drzwi. W progu stał Jerahl z wyciągniętym przed siebie talerzem. W powietrzu uniósł się zapach świeżo upieczonych *chor bahkh* i *ikhah nijuhets*, który sprawił, że Aitrusowi ślina napłynęła do ust.

- Czy to coś interesującego? – zapytał z uśmiechem Jerahl.

Aitrus wziął od niego talerz i skinał głową.

- Chcesz zobaczyć?

- Mogę? – Jerahl podszedł, zbliżył oko do soczewki i przez chwilę oglądał próbkę. Wreszcie spojrzął pytająco na Aitrusa.

- *Tachyltye*, co? Dlaczego młodzieniec taki jak ty interesuje się szkłem bazaltowym?

- Interesuje mnie wszystko, co ma związek z przepływem lawy – odparł Aitrus z błyszczącymi oczami. – Zamierzam się specjalizować w nauce o wulkanach.

Jerahl uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Wysokie temperatury i ciśnienia, co? Nie wiedziałem, że jesteś taki romantyczny, Aitrusie!

Aitrus, który właśnie zaczął jeść bułkę nadziewaną mięsem, znieruchomiał i ze zdziwieniem spojrzął na kucharza. Koledzy Aitrusa określali jego fascynację na wiele sposobów, ale nigdy nie nazywali jej romantyczną.

- Tak, tak – ciągnął Jerahl. – Kiedy raz zobaczysz, jak powstaje szkło bazaltowe, już nic nie wyrze na tobie nawet w połowie takiego wrażenia! Zetknięcie przegrzanej skały i lodowatej wody jest potężną kombinacją, a w efekcie powstaje ta dziwna, przezroczysta substancja.

My, D'ni, wzięliśmy swój początek z opanowania tej siły – mówił dalej Jerahl, znowu się uśmiechając. – Wtedy po raz pierwszy przebudził się nasz duch dociekliwości. Bądź dobrej myśli, Aitrusie: jesteś nieodrodnym synem D'ni.

Aitrus odwzajemnił uśmiech starszego mężczyzny.

- Żałuję, że nie rozmawialiśmy wcześniej, cechmistrzu. Nie przypuszczałem, że tak dużo wiesz.

- Och, uważam, że wiem bardzo mało, Aitrusie, a w każdym razie w porównaniu z mistrzem Telanidem. A skoro mowa o naszym zacnym cechmistrzu, to niedawno o ciebie pytał. Obiecałem mu, że cię nakarmię, a potem poślę do jego kabiny.

Aitrus, który właśnie podniósł bułkę do ust, zastygł w bezruchu.

- Mistrz Telanis chce się ze mną widzieć?

- Dopiero kiedy zjesz – odparł Jerahl i wskazał na bułkę. – Skończ ją, bo w przeciwnym razie poczuję się urażony.

- Rozkaz, mistrzu! – Z szerokim uśmiechem Aitrus ugryzł duży kęs bułki.

Aitrus zatrzymał się przed kabiną cechmistrza, przez chwilę zbierał się w sobie, aż wreszcie zastukał w drzwi.

- Wejść – dobiegł ze środka spokojny, zdecydowany głos.

Odsunął ciężki sworzeń, wszedł do kabiny i zamknął za sobą drzwi. Wszystkie te czynności były odruchowe. Każde drzwi na sondzie stanowiły barierę, która miała chronić przed ogniem lub niebezpiecznymi gazami. Aitrus odwrócił się i zobaczył przy biurku mistrza Telanisa, wpatzonego w najnowszy wykres pomiarów. Naprzeciwko Telanisa siedział mistrz Geran, a oprócz niego w kabinie znajdowało się jeszcze czterech obserwatorów, którzy przyłączyli się do nich przed trzema dniami. Aitrus zrobił krok w ich stronę i skłonił się.

- Wzywałeś mnie, cechmistrzu?

- Owszem, ale poczekaj chwilę, Aitrusie. Najpierw muszę przyjrzeć się nowinom, które przyniósł nam mistrz Geran.

Aitrus pochylił głowę, czując na sobie bacznego wzroku przewodawcy Kedriego.

- A zatem, Geranie – ciągnął Telanis, wskazując na jasnoczerwoną linię przecinającą wykres – radzisz, żebyśmy ominęli ten obszar?

Niewidomy skinął głową.

- Przyznaję, że sam uskok jest wąski, ale otaczająca go skała ma małą gęstość i jest wielce prawdopodobne, że się zawali. Oczywiście moglibyśmy się przez nią przebić i podeprzeć stemplami z obu stron. Uważam jednak, że ominięcie tego miejsca będzie bardziej opłacalne.

- Czy jesteś tego pewien? – spytał Kedri.

Geran zwrócił niewidzące oczy ku przewodawcy i uśmiechnął się.

- Nie, mistrzu Kedri, ale instynkt podpowiada mi, że mamy do czynienia tylko z podstawą znacznie większej intruzji wulkanicznej. Proszę sobie wyobrazić korzenie drzewa. W pracy wydobywczej za wszelką cenę staramy się unikać podobnych niestabilności. Poszukujemy twardych, nie naruszonych skał, których nie trzeba podpierać.

- Sądziłem, że macie zwyczaj podpierać wszystko – zdziwił się Kedri.

- Istotnie, cechmistrzu – rzekł Telanis. – Jak już mówiłem, jesteśmy bardzo dokładni. Jeżeli jednak okaże się, że mistrz Geran ma rację, a przemawia za tym jego wieloletnie doświadczenie, postąpimy słusznie, odbijając w bok przed dalszym posuwaniem się w górę. Ostatecznie, po co mamy ryzykować?

- Ile czasu zajmie ten... objazd?

- Tydzień, może dwa – odparł Telanis z uprzejmym uśmiechem.

Kedri bynajmniej nie sprawiał wrażenia zadowolonego, ale milczał. Telanis odetchnął z ulgą i ponownie zwrócił się do Gerana.

- W tej sytuacji aprobuję twoją propozycję, mistrzu Geranie. Cofniemy się, a następnie zaczniemy wiercić w bok. Każ natychmiast dokonać niezbędnych pomiarów.

- Zrobię to osobiście, cechmistrzu – uśmiechnął się Geran.

Po wyjściu Gerana Telanis spojrzał na Aitrusa.

- Aitrusie, podejdź bliżej.

Aitrus przeszedł przez wąską kabinę i stanął w miejscu, które przed chwilą opuścił Geran.

- Słucham, cechmistrzu.

- Chcę, żebyś na najbliższe jedenaście dni oddał się do dyspozycji mistrza Kedriego. Chcę, żebyś oprowadził go po sondzie i wyjaśnił, czym się tutaj zajmujemy. Jeżeli zdarzy się, że nie będziesz czegoś pewien, zwrócisz się do kogoś, kto wie. Zrozumiałeś?

- Tak, cechmistrzu – odparł Aitrus, po czym dodał z wahaniem. – A co z moimi doświadczeniami?

Telanis spojrzał na Kedriego.

- To zależy od mistrza Kedriego. Jeżeli wyrazi zgodę, nie widzę powodu, dla którego miałbyś ich nie kontynuować.

- Doświadczenia, cechowniku? – spytał Kedri.

- Aitrus spuścił wzrok i ponieważ zrozumiął, że nie powinien być o nich wspominać.

- To nic ważnego, mistrzu.

- Nie, Aitrusie, to mnie interesuje. Co to za doświadczenia?

Aitrus podniósł wstydliwie wzrok.

- Badam skały wulkaniczne, mistrzu. Pragnę dowiedzieć się wszystkiego o ich budowie i powstawaniu.

- To bardzo chwalebne przedsięwzięcie, młody Aitrusie – pochwalił Kedri. – Może będziesz tak uprzejmy i pokażesz mi te doświadczenia?

Aitrus zerknął na mistrza Telanisa z nadzieją, że ten pomoże mu wybrnąć z opresji, ale Telanis, marszcząc brwi, przeglądał wielowarstwowy wykres, który wręczył mu Geran.

Zdając sobie sprawę z tego, jak bacznie Kedri mu się przygląda, Aitrus spojrzał mu prosto w oczy i powiedział:

- Jak sobie życzysz, cechmistrzu.

Grota, w której się znajdowali, miała kształt idealnej kuli, a raczej miałaby, gdyby nie platforma, na której stały pogłębiarki. Długie, kręte kadłuby przypominały olbrzymie, wielosegmentowe robaki. Kiedy maszyny nie ryły w skałach, twarą obudowę polerowano na wysoki połysk.

Metalowe drabinki biegły od siatkowanej platformy na drugą, mniejszą, na którą tymczasowo przenieśli się młodszy członkowie wyprawy, żeby ustąpić miejsca

gościom. Właśnie na te platformę powrócił Aitrus po długim, wyczerpującym dniu wyjaśnień. Większość jego towarzyszy udała się na spoczynek.

W sumie było ich trzydziestu sześciu, a żaden nie miał więcej niż trzydzieści lat. Wszyscy ukończyli Akademię i zgłosili się na wyprawę na ochotnika. Niektórzy zrezygnowali i zostali zastąpieni przez innych, ale ponad dwie trzecie pierwotnej załogi pozostało.

Dwa lata i cztery miesiące – pomyślał Aitrus. Usiadł na brzegu koi i zaczął ściągać buty. Tyle czasu z dala od domu. Oczywiście mógł wrócić do domu – mistrz Telanis dałby mu urlop, gdyby tylko Aitrus poprosił – ale miał wrażenie, że to byłoby oszustwo. Nie, wyprawa nie byłaby prawdziwą wyprawą, jeżeli w każdej chwili można by było wrócić do domu.

Zrzucając z nogi but, Aitrus poczuł nagle znajome drganie platformy, po którym rozległ się cichy, prawie niesłyszalny rumor. Przybywał Posłaniec!

Wyprawa wyruszyła z niewielkiej zewnętrznej grotty D'ni i wniknęła w skałę na głębokość kilku mil. Oczywiście mogli posuwać się pionowo w górę na kształt szybu górniczego, ale takie bezpośrednie wniknięcie w D'ni uchodziło nie tylko za niepożądane, ale także za niebezpieczne. Plan, na który Rada w końcu wyraziła zgodę, przewidywał trasę okrężną, wykutą pod kontem 3825 toranów, czyli 22,032 stopnia od poziomu. Taka trasa nawała się do chodzenia.

Taką trasę można też było zamknąć bramami i bronić.

Rumor narastał powoli, ale miarowo. Słysząc już było warkot turbin.

Powoli, ale zdecydowanie zagłębiali się w skałę. Przed nawierceniem dokładnie badali każdy liczący sto piędzi fragment i pokrywali powierzchnię półpiędziową wartwą skały D'ni, trwalszej niż marmur. Na koniec, choć nie była to najmniej ważna część pracy, mocowali do sklepienia ciężkie kamienne kroksztyny podtrzymujące rury, którymi biegło powietrze z pomp w D'ni.

Między każdymi dwoma prostymi odcinkami korytarza znajdował się okrągły węzeł, gdzie można było przeprowadzać doświadczenia, podczas gdy mistrz Geran i jego asystenci wykreślali kolejny etap podróży w głąb ziemi. Każdy węzeł zaopatrzone w nieprzepuszczalną bramą, którą można było błyskawicznie zamknąć.

Rumor przeszedł w ryk. Przez chwilę odgłos ten wypełniał węzeł, potem silniki umilkły i dało się słyszeć wycie turbin zwalnającego Posłańca.

Aitrus odwrócił się i obserwował, jak metalowy pysk maszyny wyłania się z tunelu, mijając gruby kołnierz bramy węzłowej; przez przezroczystą szybę wyraźnie było widać pilota.

Posłaniec był dużym pojazdem na gąsienicach. Składał się z trzech długich segmentów, co sprawiało, że w porównaniu z gładkimi pogłębiarkami wyglądał niezgrabnie. Aitrus jak zwykle cieszył się na jego widok, ponieważ przywoził nie tylko niezbędne surowce, ale także listy z domu.

- Aitrusie? Która godzina?

Aitrus odwrócił się. Jego przyjaciel Jenir obudził się i usiadł na koi.

- Dziewiąty dzwonek – odparł, po czym pochylił się, żeby ponownie wciągnąć buty.

Przybycie Posłańca obudziło też pozostałych, którzy siadali lub schodzili z łóżek, wiedząc, że nadeszła pora rozładunku.

Aitrusa tymczasowo zwolniono z tego rodzaju obowiązków, ale mimo to, kiedy jego towarzysze ruszyli do drabinek i zaczęli się wspinać, poszedł razem z nimi, ciekawe, czy wśród korespondencji znajdzie się coś dla niego.

Ostatnio Posłaniec przybył przed trzema dniami i przywiózł tylko Obserwatorów, niespodziewanych gości, których przydzieliła im Rada. Wcześniejszy kontakt z D'ni pochodził sprzed blisko trzech tygodni. Trzy tygodnie bez wiadomości.

Posłaniec zatrzymał się między dwiema pogłębiarkami. Czterech członków załogi uwijało się już, łącząc środkowy segment pojazdu z dwiema pogłębiarkami za pomocą przewodów, którymi miały popłynąć części do maszyn, sprzęt, wiertła, paliwo i płyn chłodniczy.

Aitrus ziewnął i podszedł do pojazdu. Młodzi ludzie z Cechu Posłańców byli z natury przyjaźni i życzliwi; na widok Aitrusa jeden z nich zawołał:

- Hej, Aitrusie! Mamy dla ciebie paczkę!

- Paczkę?

Posłaniec wskazał na swego kolegę, który niósł duży metalowy kosz do kabiny stojącej po lewej stronie pogłębiarki.

Aitrus odwrócił się, spojrzął, puścił biegiem i o mały włos nie wpadł na wychodzącego mistrza Telanisa.

- Skąd ten pośpiech, Aitrusie?

- Wybacz, cechmistrzu. Dowiedziałem się, że jest dla mnie paczka.

- Ach tak. – Telanis już miał ruszyć dalej, ale zatrzymał się i ściszył głos. – A, tak przy okazji, co z naszym gościem?

Zmęczył mnie – cisnęło się na usta Aitrusowi, ale odpowiedział z kurtuazją:

- Wszystko bardzo go ciekawiło. – Po chwili dodał ciszej: - Wykazał też niemałą wyobraźnię.

- Jak to? – Telanis zmarszczył brwi.

- Wydaje mi się, że jesteśmy zbyt ostrożni w stosunku do niego, cechmistrzu. Nasze metody są, cóż... nieskuteczne.

- Musimy porozmawiać – powiedział Telanis po chwili zastanowienia. – Jutro wczesnym rankiem, może zanim mistrz Kedri cię wezwie. Są rzeczy, o których powinienesz wiedzieć.

Aitrus skłonił się.

- Stawię się po trzecim dzwonku, mistrzu.

- Dobrze. Teraz idź i zobacz, co przywieźli posłańcy.

Mistrz Tejara z Cechu Posłańców zajął stół w kreślarni, żeby przesortować korespondencję. Otoczony półkami i oprawionymi wykresami podniósł wzrok, kiedy Aitrus wszedł do środka.

- Ach, to ty, Aitrusie. Jak się dzisiaj miewasz?

- Dziękuję, dobrze, cechmistrzu.

- A więc słyszałeś? – uśmiechnął się Tejara.

- Mistrzu? – spytał Aitrus, ale nie mógł już oderwać wzroku od dużej sześciennej paczki, owiniętej materiałem, która leżała na stole.

- Proszę – powiedział mistrz Tejara i wręczył paczkę młodzieńcowi.

Aitrus zdziwił jej ciężar. Nie mogąc się powstrzymać, przyłożył ją do ucha i potrząsnął.

Rozległo się ciche dzwonienie.

- No więc? Zamierzasz ją otworzyć czy nie? – spytał Tejara z szerokim uśmiechem.

Po chwili wahania Aitrus postawił paczkę na stole, wyjął cienkie dłuto z pasa z narzędziami i rozciął szew. Materiał opadł.

W paczce znajdowała się maleńka drewniana skrzynka z odsuwającym wieczkiem. Aitrus odsunął je i zajrzał do środka.

- Na Stwórcę!

Wyjął ze skrzynki złotą przenośną wagę. Była doskonała, wyposażona w pierwszorzędny mechanizm, a w miękkim metalu wygrawerowano drobnutkie srebrne cyfry D'ni. Przesyłka zawierała jednak nie tylko wagę. Aitrus ostrożnie postawił delikatny instrument na stole, ponownie sięgnął do paczki i wyjął płaskie, kwadratowe pudełko z drewna różanego, wielkości jego dłoni. Otworzywszy je, zapatrzył się z otwartymi ustami na parę kompasów geologicznych D'ni; ostrożnie przesunął palcem po małym kryształowym szkle powiększającym, które umożliwiało odczytywanie maleńkiej skali. Przez chwilę tylko patrzył, badał przezroczyste wskaźniki i precyzyjne ruchome tarcze, aż wreszcie potrząsnął głową.

- Czy dzisiaj są twoje imieniny, Aitrusie? – spytał Tejara.

- Nie – odparł Aitrus roztargnionym tonem i po raz trzeci sięgnął do paczki, by tym razem wyjąć kopertę, zaadresowaną po prostu „Cechownik Aitrus”. Nie rozpoznał pisma.

Aitrus zmarszczył brwi, potem spojrział na Tejarę, który tylko wzruszył ramionami. Młodzieniec rozciął kopertę, wyjął pojedynczą kartkę papieru i rozłożył ją.

Aitrusie,

Możliwe, że przypominasz mnie sobie z czasów szkolnych. Zdaję sobie sprawę, że nie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, ale obaj byliśmy wtedy młodzi, a takie nieporozumienia się zdarzają. Niedawno wśród papierów mego ojca natrafiłem na sprawozdanie twojego autorstwa, które przypomniało mi o tamtych niefortunnych czasach. Przyszło mi na myśl, że mógłbym spróbować odmienić twoją niską opinię na mój temat. Jeżeli podarunki nie spotkają się z twoim uznaniem, proszę, wybac mi. Mam jednak nadzieję, że przyjmiesz je w tym samym duchu, w jakim wręczam je tobie. Życzę ci powodzenia w pracy badawczej!

Z wyrazami przyjaźni

Veovis

Aitrus podniósł wzrok, zdumiony podpisem pod krótkim listem.

- To od Veovisa – powiedział cicho. – Syna pana Rakeriego.

- Veovis jest twoim przyjacielem, Aitrusie? – spytał zdziwiony Tejara.



- Nie, a przynajmniej nie był nim w szkole.  
- A zatem te prezenty cię zdziwiły?  
- Raczej zszokowały, cechmistrzu. Przypuszczam jednak, że ludzie się zmieniają.

Tejara energicznie pokiwał głową.

- Możesz być tego pewien, Aitrusie. Czas uczy wielu rzeczy. Jest skała, na której się oparliśmy.

Aitrus uśmiechnął się, słysząc stare powiedzenie.

- Ach, zanim zapomnę – dodał Tejara, wręczając mu korespondencję. – Oprócz tego są dla ciebie jeszcze trzy listy.

Aitrus długo nie mógł zasnąć. Wpatrzony we wzór cieni na gładkiej, zakrzywionej ścianie węzła, zastanawiał się nad znaczeniem otrzymanych prezentów.

Listy zawierały zwykłe, pogodne wieści z domu. Matka plotkowała o starych przyjaciółach; ojciec donosił o sprawach Rady. Jednak Aitrus stale wracał myślami do krótkiej notatki.

Sam fakt, że Veovis do niego napisał, był zdumiewający, ale to, że przysłał mu prezenty, po prostu... szokowało!

Nie były to zwyczajne podarki, ale rzeczy najbardziej potrzebne Aitrusowi do pracy.

Och, miał do dyspozycji mnóstwo wag i kompasów, należących do cechu, ale te przyrządy nie mogły się równać z cackami, które podarował mu Veovis. Przecież one nie ustępowały jakością tym, które mistrz Telanis nosił przy pasie z narzędziami!

W końcu zasnął i zaczął śnić o czasach szkolnych. Jego umysł z dziwnego, choć przecież oczywistego powodu powrócił do pewnego dnia z tamtego okresu. Miał trzynaście lat, kiedy zmęczony nieustannymi zaczepkami Veovisa stawiał mu czoło i stoczył pojedynek.

Mistrz Telanis potrząsnął Aitrusem.

- Wstawaj, Aitrusie. Już po trzecim dzwonku. Musimy porozmawiać.

Drzwi kabiny zamknęły się. Mistrz Telanis siedział za biurkiem i patrzył na Aitrusa.

- Cóż, Aitrusie, jak sobie radzisz z mistrzem Kedrim?

Młodzieniec zawahał się, nie mając pewności, ile powinien powiedzieć. Prawdę mówiąc, nie podobało mu się zadanie, które mu powierzono. Czuł się niezręcznie.

- Powiedziałeś, że według niego nasze metody są nieskuteczne.

- To prawda, cechmistrzu. Mistrz Kedri stale mówił o tym, jak powolne i przesadnie ostrożne są nasze metody.

- A ty się z nim zgadzasz, Aitrusie? Uważasz, że jesteśmy zbyt pedantyczni?

- Wcale nie, cechmistrzu. Ostatecznie nie ma powodu do pośpiechu. Nie ma znaczenia, czy dotrzemy na powierzchnię w tym roku czy w następnym. Naszym priorytetem powinno być bezpieczeństwo.

Telanus przyglądał się przez chwilę młodzieńcowi, wreszcie skinął głową.

- Dobrze. Pozwól teraz, że powiem ci o kilku sprawach, Aitrusie. Po pierwsze, zdaję sobie sprawę, że zadanie, które ci powierzyłem, nie przypadło ci do gustu.

Aitrus zamierzał zaprzeczyć, ale Telanus powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie zrozum mnie źle, Aitrusie. Wiem, że nie czujesz się swobodnie, zajmując się mistrzem Kedrim, ale nie bez powodu wybrałem właśnie ciebie. Mistrz zamierza nas wy badać, odkryć nasze nastawienie.

- Czy powinienem uważać na to, co mu mówię, mistrzu? – spytał z przerażeniem Aitrus.

- Nic podobnego. Nie mam żadnych obaw co do tego, że mógłbyś powiedzieć coś, co zaniepokoiłoby mistrza Kedriego. Właśnie dlatego cię wybrałem. Jesteś jak bazalt, Aitrusie, solidny na wskroś. Bardzo byś mi jednak pomógł, gdybyś pod koniec każdego dnia notował tematy, które szczególnie interesowały mistrza Kedriego.

- Czy mogę zapytać dlaczego, mistrzu?

- Owszem, ale to, co powiem, musisz zachować dla siebie. – Telanus przerwał i zetknął opuszki palców pod brodą. – Za miesiąc ma się odbyć posiedzenie Rady. Wygląda na to, że niektórzy ze starszych członków zmienili zdanie. Długo zastanawiali się nad tym, czy powinniśmy nawiązywać kontakt z mieszkańcami powierzchni, a kilku członków Rady uważa, że nie jest to wcale taki dobry pomysł, jak się pierwotnie wydawało. Istnieje nawet możliwość, że poproszą nas o zrezygnowanie z ekspedycji.

Aitrus przestał nad sobą panować i trzasnął pięścią w biurko.

- Ależ oni nie mogą tego zrobić!

- Jeżeli taka jest ich ostateczna decyzja, niech i tak będzie – uśmiechnął się tolerancyjnie mistrz Telanis. – Musimy być im posłuszni. Nie możemy sprzeczać się z Radą.

Aitrus spuścił głowę i w duchu przyznał rację mistrzowi Telanisowi. Rada stanowiła władzę wykonawczą D'ni, a jej słowo było święte. Opinia Aitrusa była bez znaczenia; liczyła się tylko decyzja pięciu wielkich panów i osiemnastu mistrzów cechowych.

- Właśnie dlatego niezwykle ważne jest wywarcie wrażenia na naszych gościach, Aitrusie – ciągnął Telanis. – To są przedstawiciele Osieemnastu i Pięciu. Ich sprawozdanie może mieć kluczowy wpływ na decyzję Rady.

- Rozumiem. – I nagle Aitrus faktycznie zrozumiał. Mistrz Kedri nie był zwykłym wścibskim gościem, który wtykał nos w ich sprawy; Kedri był potencjalnym wrogiem – lub sprzymierzeńcem – ekspedycji. Cała ich praca, cierpliwe wgryzanie się w skałę mogły okazać się daremne, gdyby Kedri wystąpił przeciwko nim.

- Nie jestem pewien, czy potrafię to zrobić, mistrzu.

- Rozumiem. Czy chcesz, żebym zwolnił cię z tego obowiązku, Aitrusie?

Młodzieniec spojrzał na mistrza Telanisa. To było aż tak proste, prawda? Nagle Aitrus zrozumiał. W każdej chwili mógł wrócić do domu, ale właśnie od decyzji o niewracaniu do domu zależało powodzenie całej ekspedycji. Mógł zrezygnować, ale...

- Postąpię tak, jak rozkażesz, cechmistrzu – powiedział Aitrus, pochylając z szacunkiem głowę.

- Doskonale. Teraz idź coś zjeść. Masz przed sobą długi dzień.

Nastąpiły cztery długie, wyczerpujące dni. Aitrus był gotowy wrócić do mistrza Kedriego i błagać o zwolnienie go z obowiązku, kiedy dowiedział się o przygotowaniach do wiercenia następnego odcinka.

Kiedy dotarła do niego ta wiadomość, mistrz Kedri znajdował się w refektarzu, a Aitrus, zachwycony tym, że wreszcie może pokazać prawodawcy coś realnego i namacalnego, przerwał mu w posiłku.

- O co chodzi, cechowniku? – spytał Kedri, podnosząc oczy na Aitrusa. Kiedy młodzieniec wszedł do kabiny, rozmowy przy stole ucichły, a wszyscy czterej obserwatorzy odwrócili się i utkwili w nim wzrok.

- Wybaczcie, że przeszkadzam, mistrzowie, ale czułem, że powinniście wiedzieć, iż wkrótce rozpoczniemy kolejny etap prac wydobywczych.

W refektarzu momentalnie rozległ się gwar głosów. Niektórzy obserwatorzy natychmiast wstali i skierowali się do wyjścia. Inni zaczęli pośpiesznie kończyć posiłek. Tylko Kedri wydawał się nieporuszony nowiną.

- Dziękuję, Aitrusie – powiedział po chwili. – Przyłączę się do ciebie, kiedy skończę jeść. Poczekaj na mnie na stanowisku wydobywczym.

W dziesięć minut później mistrz Kedri wysiadł z pogłębiarki i podszedł do miejsca, gdzie ustawiono próbne wiertła. Pozostali obserwatorzy już tam stali, czekając na rozpoczęcie prac.

- Zobaczmy, czy dobrze to rozumiem – zaczął Kedri, zanim Aitrus zdążył cokolwiek powiedzieć. – Pobieżna, a mimo to dosyć dokładna sonda mistrza Gerana ma wykazać, czy znajdująca się przed nami ściana jest mocna czy też nie, zgadza się? Kolejny etap, ten etap, polega na wierceniu szeregu długich otworów, by uzyskać dokładny obraz różnych rodzajów skał, przez które mamy się przebić.

Aitrus przytaknął, po raz pierwszy uśmiechając się do prawodawcy.

- Och, mam pewną zdolność zbierania informacji, cechowniku – powiedział Kedri, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech rozbawienia. – Umiem czytać nie tylko kontrakty. Jest jednak jedna rzecz, którą mógłbyś mi wyjaśnić, Aitrusie, a mianowicie, co się dzieje z wydobytą skałą.

- Ze skałą? – zaśmiał się Aitrus. – Ależ sądziłem, że wiesz, mistrzu. Sądziłem, że wszyscy to wiedzą! Skała podlega utylizacji.

- Utylizacji?

- W tyglu. Maszyna rozbija wiązania atomowe substancji skalnej, redukując jej objętość do jednej dwusetnej. Efektem tego procesu jest nara.

- A więc tym jest nara! – Kedri pokiwał głową w zamyśleniu. – Czy mogę obejrzeć ten tygiel?

- Obejrzeć, mistrzu? – spytał Aitrus, czując nagły przypływ sympatii do tego człowieka. – Jeśli chcesz, możesz go obsłużyć!

Aitrus wyjął kartkę papieru i na użytek mistrza Kedriego narysował przekrój tunelu.

- To jest otwór wykonany przez pogłębiarkę – powiedział, wskazując na małe zacieniowane koło w samym środku tunelu. – Jak widzisz, jest to stosunkowo niewielki otwór, którego obwód wynosi mniej niż jedna trzecia obwodu tunelu. A to jest obszar, który usuwa obrębiarka – dodał, wskazując na dwa bliźniacze koła na zewnętrznej ścianie tunelu.

- Obrębiarka? – Mistrz Kedri wyglądał na zdziwionego.

- Tak ją nazywamy, ponieważ wycina wielki okrąg w skale wokół centralnego nawiertu.

- Ach, więc to jest ta duża maszyna przypominająca pająka, czy tak?

Aitrus skinął głową. Zaledwie dwa dni wcześniej dokonali drobiazgowej inspekcji wszystkich przyrządów wydobywczych.

- Obrębiarka wycina pierścień głębokości jednej i jednej czwartej piędzi. Następnie uszczelniamy tę przestrzeń specjalnym kamieniem D'ni, pozwalamy mu zastygnąć, wreszcie wylupujemy „kołnier”, czyli skałę między wewnętrznym tunelem a uszczelnieniem.

- Dlaczego właśnie jedna i jedna czwarta piędzi?

Aitrus naszkicował coś w notesie i pokazał mistrzowi.

- Jak widzisz, umieszczamy specjalną metalową obręcz szerokości piędzi głęboko w nacięciu, po czym wlewamy kamień uszczelniający. Po wylupaniu kołnierza usuwamy obręcz i przygotowujemy obrębiarkę do pracy na kolejnym odcinku.

- Wybacz, cechowniku, ale znowu odnoszę wrażenie, że to niezwykle pracochłonna metoda – stwierdził Kedri, marszcząc brwi.

- Bardzo możliwe, mistrzu Kedri, ale za to bezpieczna. Kiedy kopimy tunel, robimy to dokładnie.

- Tak... - Kedri pokiwał głową w zamyśleniu. – Mimo to wydaje mi się, że podejmujecie ogromny wysiłek tylko po to, żeby porozmawiać z kilkoma mieszkańcami powierzchni. Co ty na to?

Po raz pierwszy Kedri zadał mu bezpośrednie pytanie tego typu. Przez chwilę Aitrus rozważał możliwość zignorowania go. Kedri jednak najwyraźniej oczekiwał na odpowiedź.

- Cóż, cechowniku, czyżbyś nie miał opinii na ten temat?

Mistrz Telanis pospieszył Aitrusowi z pomocą.

- Wybacz, mistrzu Kedri. Z pewnością cechownik Aitrus ma opinię w tej kwestii, ale jestem pewien, że jako pierwszy przyznałby, że w wieku dwudziestu pięciu lat jest zbyt młody i niedoświadczony, żeby otwarcie ją wyrażać. Może chciałbyś usłyszeć zdanie kogoś znacznie starszego?

- Och, znam twoją opinię, mistrzu Telanisie – zaśmiał się Kedri. – Pomyślałem tylko, że byłoby odświeżające poznać punkt widzenia młodych.

- Daj spokój, Kedri, czy naprawdę sądzisz, że mistrzowie zasiadający w Radzie byliby zainteresowani tym, co ma do powiedzenia młody cechownik, choćby tak błyskotliwy jak obecny tutaj Aitrus. Przecież pan Tulla jest blisko jedenaście razy starszy od Aitrusa! Czy uważasz, że byłby ciekaw jego zdania?

Mistrz Kedri pochylił głowę, przyznając rację Telanisowi.

- Przejdźmy do ważniejszych spraw – podjął pospiesznie Telanis, zanim Kedri zdążył ponownie skierować rozmowę na grząski grunt. – Zazwyczaj na tym etapie pobieramy próbki skał. Skoro jednak tak bardzo zależy ci na zobaczeniu nas w akcji, mistrzu Kedri, tym razem zaniechamy tej części pracy i przejdziemy bezpośrednio do wiercenia.

Ta nowina niezmiernie ucieszyła Kedriego.

- Doskonale! – powiedział, zacierając ręce. – Czy będą nam potrzebne ubrania ochronne?

- Nie. Musisz jednak wsiąść do drugiego pojazdu. Kiedy wiercimy, to wiecimy!

Brama wężła zamknęła się za nimi, a hermetyczne uszczelnienie gwarantowało, że nawet drobinka skalna nie przedostanie się do tunelu. Tymczasowy obóz został zwinięty; kapsułę sondy przymocowano do drugiej pogłębiarki, która teraz opierała się o tylną ścianę wężła. Na sklepieniu umieszczono dwie duże soczewki obserwacyjne, dostatecznie wysoko, by nie zostały trafione przez odłamki skalne.

Wszystko było gotowe; czekano tylko na rozkaz mistrza Telanisa.

Aitrus znajdował się w drugim pojeździe. Stał w głębi kreślarni, za plecami obserwatorów, którzy na dużym ekranie obserwowali manewry pogłębiarki.

Kiedy pracowała, przypominała bardziej coś żywego niż maszynę; jej wijące, ciche ruchy przywodziły na myśl wielkiego węża.

Aitrus chłonał ten widok w milczeniu. Po raz pierwszy widział pracującą pogłębiarkę, gdy miał cztery lata. Ojciec – także cechownik – zabrał go wtedy na miejsce przekopywania tunelu między zewnętrznymi grotami.

Największe wrażenie maszyna wywarła na mistrzu Kedrim, który pochylił się do przodu i zafascynowany wpatrywał się ekran.

- Na miejsca! – zawołał mistrz Telanis, a jego głos został przesłany do kreślarni. Po chwili rozległo się pulsujące wycie syreny.

Oczom widzów ukazał się pysk pogłębiarki, który zdawał się całować oznakowanie na skale, tak delikatnie jej dotykał. Potężne wiertło natomiast wyglądało brutalnie. Zaczęło się powoli obracać i zagłębiać w skałę. Żłobieniami wiertła popłynął płyn chłodniczy. W powietrzu rozległo się mechaniczne brzęczenie. Towarzyszył mu niższy, zgrzytliwy odgłos, który stawał się coraz wyższy, w miarę jak wiertło wirowało szybciej, aż przeszedł w pisk. Wszystko wokół spowiły tumany pyłu.

Hałas stał się ogłuszający, a wibracje wprawiły drugą pogłębiarkę w drgania. Wielka kula węzła powoli wypełniła się pyłem, który częściowo przysłaniał widok patrzącym. Co pewien czas pogłębiarka ukazywała się ich oczom. Za każdym razem tkwiła głębiej w skale, niczym drapieżne zwierzę, wgryzające się w miękkie ciało ofiary.

Od czasu do czasu rozlegał się brzęk lub łoskot, kiedy duży odłamek skalny uderzał w ich pojazd. Nic jednak im nie groziło; pogłębiarki wytrzymywały wysokie ciśnienia. Nawet w razie silnego tąpnięcia maszyna zostałaaby uwięziona, ale nie zmiądzona.

Po chwili Kedri odwrócił się i spojrzał na Aitrusa.

- To przerażający widok – powiedział, przekrzykując hałas.

Aitrus skinął głową. Kiedy po raz pierwszy ujrzał pogłębiarkę przy pracy, głęboko w żołądku odczuwał lęk. Dopiero później, podczas rozmowy z ojcem, uświadomił sobie ze zdziwieniem i dumą, że tym przecież zajmowali się członkowie jego cechu. Możliwe, że właśnie tego dnia postanowił pójść w ślady ojca i wstąpić do Cechu Badaczy.

- Proszę spojrzeć na ogon – zawołał, wskazując na ekran, na którym ponownie ukazała się pogłębiarka. Tkwiła już niemal całkowicie w skale, ale tył pojazdu zaczął chlastać na boki – znowu jak żywe stworzenie – pokrywając gładkie ściany tunelu głębokimi brzdami.

- Dlaczego ona to robi? – krzyknął Kedri.

- Żeby ułatwić naszym ludziom wrycie się w skałę. Bruzdy znajdują się w miejscach, gdzie zaczniemy wycinać kołnierz.

- Sprytne – pochwalił Kedri. – Myślicie o wszystkim!

Tak – pomyślał Aitrus – ale przed nami myślało o wszystkim tysiąc pokoleń.

Nagle zapadła cisza i pogłębiarka wycofała się z otworu. Boki miała pokryte pyłem, a wiertło rozżarzone do czerwoności pomimo nieprzerwanego strumienia płynu chłodzącego. Pył w węźle powoli opadał.

- Czy możemy wyjść i zobaczyć to na własne oczy? – zapytał jeden z obserwatorów. Było to Ja'ir, cechmistrz pisarzy.

- Obawiam się, że nie – odparł Aitrus. – Jest o wiele za gorąco, a poza tym można udusić się pyłem. Nawet nasi ludzie będą musieli przez pewien czas chodzić w kombinezonach i hełmach. Najpierw muszą spryskać węzeł wodą, żeby doprowadzić do opadnięcia pyłu. Potem, kiedy wiertło nieco się ochłodzi, będziemy pompować powietrze do węzła. Dopiero wtedy zaczniemy sprzątać.

- A co z następną fazą wiercenia? – zapytał Kedri. Odwrócił się na krześle, żeby widzieć Aitrusa.

- Rozpocznie się prawie natychmiast, mistrzu. Proszę spojrzeć.

W tym samym momencie otworzyły się drzwiczki pogłębiarki i wyszło z niej dwóch młodych cechowników w kombinezonach i hermetycznych hełmach. Obaj nieśli coś w rodzaju włóczni, tyle że zakrzywione i zakończone ostrymi diamentowymi szpicami.

- Oni zaraz przygotują obrębiarkę do dalszej pracy. Potem rozpoczniemy drugi etap wierceń, a w tym czasie pozostali złączą sprzątać.

Dwa ludzie w kombinezonach zaczęli składać wielką obręcz tnącą obrębiarki. Tymczasem z pogłębiarki wysiedli dwaj następni cechownicy, ciągnąc za sobą długie węże. Ustawili się na środku platformy. Jeden z nich odwrócił się i dał sygnał ręką. Węże wyrzuciły z siebie strumienie wody, które poszybowały łukiem ku sklepieniu wielkiej kuli. Sprzątacze nastavili wyloty węży, a fontanna wody zmieniła się w drobną mgiełkę, która na momenty wypełniła węzeł.

Trwało to zaledwie jedną-dwie minuty, ale kiedy odcięto dopływ wody, w węźle nie było już pyłu, za to wszystkie powierzchnie pokrywała ciemna maź.

Aitrus uśmiechnął się.



- Jeżeli kiedykolwiek zastanawialiście się, czym my, badacze, zajmujemy się przez większą część czasu, to teraz już wiecie. Sprzątaniem!

Odpowiedział mu śmiech.

- Mówisz tak, jakbyś nie lubił swojej pracy, Aitrusie – zauważył z uśmiechem Kedri.

- Wręcz przeciwnie. Dzięki niej mam czas na myślenie.

Kedri przyglądał się przez chwilę młodzieńcowi z zamyślonym wyrazem twarzy. Wreszcie odwrócił się, a Aitrus zaczął się zastanawiać, co też się dzieje w umyśle prawodawcy.

Czterech obserwatorów wysiadło z pogłębiarki, poruszając się nieco niezdarnie w kombinezonach ochronnych, które kazał im założyć mistrz Telanis. Jak zwykle prowadził Kedri, a Aitrus szedł tuż obok. Zbliżyli się do wylotu tunelu.

Obrębiarka zdążyła już kilkakrotnie wykonać pracę, a kadeci wyłupali rowek długości dwudziestu pięci i pokryli go kamieniem D'ni. W głębi tunelu widzieli ciemną jamę centralnego otworu, który biegł prosto w skałę. Wokół niego, jak jakiś dziwny kościsty owad, majaczyła pogłębiarka w przezroczystym pokrowcu.

Z sufitu zwisały dwie ogniste kulki wielkości zaciśniętych pięści. W ich jasnym, biało-niebieskim świetle kilku kadetów ładowało odłamki skalne na wózek.

- To ja rozumiem – pochwalił Kedri. – Właśnie tak to sobie wyobrażałem.

Wolnym krokiem podeszli do lamp w ukończonej części tunelu. Minęli młodych cechowników, zbliżyli się do skały i stanęli przy łapach obrębiarki wrytych głęboko w podłoże.

Powiedli wzrokiem po gładkim silniku obrębiarki i spojrzeli na wielką obręcz opartą o skałę. Przezroczysty pokrowiec zbierał odłamki skalne, które spadały zsysem prosto do centralnego otworu. Stamtąd kadeci zbierali je za pomocą potężnych ssawek i wrzucali do mielarki.

- Czy pamiętasz, co mi obiecałeś, Aitrusie? – spytał Kedri.

- Nie zapomniałem.

- Na co więc czekamy?

Aitrus odwrócił się i dał znak Efanisowi, który pracował w pobliżu. Efanis natychmiast podszedł, stanął przy tablicy rozdzielczej obrębiarki i dwukrotnie zatrąbił.

- Musicie być najgłośniejszym z cechów, młody Aitrusie – skrzywił się Kedri. – Wygląda na to, że niczego nie robicie bez hałasu!

Aitrus uśmiechnął się i w duchu przyznał rację mistrzowi. Jeżeli ktoś jest na powierzchni, z pewnością usłyszy ich dużo wcześniej, zanim się tam przekopią.

- Dopilnujcie, mistrzowi, żebyście mieli opuszczone maski – poradził Aitrus, przesuając wzrokiem po zebranych. – Raczej nic nam nie grozi, ale hełmy powinny was chronić w razie, gdyby przerwał się pokrowiec.

- Ostrożni – mruknął Kedri. – Zawsze tacy ostrożni!

Wielka obręcz tnąca obrębiarki zaczęła wirować, najpierw powoli, potem szybciej; początkowo zaledwie muskała skałę, nie przestając gwizdać. Nagle cały szczyt obrębiarki zagłębił się w skałę. Rozległo się zgrzytliwe bzyczenie, jakby w jednej chwili wypuszczono na wolność tysiąc pszczół.

Odłamki skalne bębniły jak grad o gładki, gruby pokrowiec.

Ramię obrębiarki podniosło się powoli i przesunęło się w bok, podczas gdy wirująca obręcz wgrzyzała się coraz głębiej w skałę, wycinając wielkie koło na kształt tarczy strzelniczej.

Po trzech minutach praca była skończona. Maszyna powoli osiadła, a parująca obręcz zsunęła się ze skały. Obserwatorzy odwrócili się, a czterej młodzi badacze potoczyli tunelem wielką metalową obręcz.

Wszystko to wydawało się takie łatwe, a przecież każdy etap pracy był najeżony niebezpieczeństwami i trudnościami.

Cechownicy zaczęli zdejmować pokrowiec i ponownie mocować obręcz, a Kedri i jego towarzysze odsunęli się, by im nie przeszkadzać. Dopiero po skończonej pracy Aitrus poprowadził gości dalej. Minęli obrębiarkę i weszli do centralnego otworu. Było tu ciemniej, ale w świetle napływającym z zewnątrz rysowały się sterty odłamków skalnych.

Aitrus wskazał na dwie maszyny stojące z boku. W pierwszej goście rozpoznali urządzenie, za pomocą którego zbierano odłamki skalne; potężny wąż ssący zwiisał z metalowej kuli. Druga maszyna była mała i przysadzista, a na jej szczycie widniała głęboka metalowa taca w kształcie klina.

Aitrus ominął zbieraczkę skał, podniósł jeden z większych odłamków i wręczył go Kedriemu.

- Cóż, cechmistrzu, czy chcesz nakarmić tygiel?

Kedri uśmiechnął się szeroko i wrzucił kamień na tacę.

- Co dalej? – spytał Aitrusa.

Aitrus podeszedł do tygla i nacisnął guzik. Metalowe wieko zakryło tacę, rozległ się cichy zgrzyt, po czym wieko się cofnęło. Taca była pusta.

- A co z narą?

Aitrus kucnął i wskazał na pękaty czerwony cylinder, spoczywający w klatce pod tygłem.

- Narę przechowujemy tutaj, w podstawowej, zgęszczonej postaci, i sięgamy po nią w razie potrzeby.

- Ale przecież ona musi... zastygać!

- Owszem. Ten cylinder jest tylko tymczasowy, służy do nadania narze takiego kształtu, w którym łatwo ją przechowywać. Kiedy mamy dosyć nary, ładujemy zawartość cylindrów do innej maszyny, którą można nazwać dużym piecem ciśnieniowym. Cylindry wypalają się w nim pod wysokim ciśnieniem, a nara przechodzi w stan lotny.

- Chcesz powiedzieć, że to jest substancja, którą wypełniacie kołnierze? – spytał zdumiony Kedri.

Aitrus skinął głową.

Kedri kucnął i spojrzał na czerwony cylinder, świadom ogromnej mocy tych pozornie prostych maszyn. Potem, jak uczeń, którego na moment zwolniono z dyscypliny szkolnej, wstał, rozejrzał się wokół siebie i zaczął zbierać kamienie, żeby nakarmić tygiel.

W nocy mistrz Telanis ponownie wziął Aitrusa na rozmowę.

- Słyszałem, że nasi przyjaciele świetnie się dzisiaj bawili. Miałeś dobry pomysł, żeby pozwolić im obsługiwać mniej niebezpieczne maszyny. Obserwatorzy są molami książkowymi i mechaniczne drobiazgi wywierają na nich duże wrażenie. Kto wie, może nawet taka mała przygoda skłoni ich do podjęcia dobrej decyzji.

- Uważasz więc, że to jest dobre?

- Nawiązanie kontaktu z mieszkańcami powierzchni? – uśmiechnął się Telanis.  
– Owszem, pod warunkiem, że zrobimy to dyskretnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć – spytał Aitrus, marszcząc brwi.

- Chcę powiedzieć, że nie uważam, by nasze rasy powinny się mieszać. Nie powinniśmy też planować żadnych długofalowych stosunków z mieszkańcami

powierzchni. Wszystko wskazuje na to, że jest to prymitywna rasa, prymitywne rasy zaś, o czym przekonał się na własnej skórze, najczęściej mają naturę wojowniczą. Nie chcemy, żeby zaczęli przedostawać się naszymi tunelami do D'ni.

- Jakże stosunki zatem moglibyśmy z nimi utrzymywać?

- Moglibyśmy udać się do nich w charakterze obserwatorów, pod warunkiem, że nie okażą się zupełnie innym niż my gatunkiem.

- Ale po co? Czego mielibyśmy się nauczyć?

- Mieszkańcy powierzchni mogli wykształcić pewne cechy kulturowe, z których moglibyśmy skorzystać. Nie jest też wykluczone, że skonstruowali jakieś przyrządy i maszyny, chociaż osobiście bardzo w to wątpię.

- Wygląda więc na to, że mistrz Kedri ma rację, twierdząc, że podjęliśmy się bezużytecznego zadania.

Mistrz Telanis gwałtownie pochylił się do przodu.

- Czy tak właśnie powiedział?

- Mniej więcej. rozmawiał z innym obserwatorem, myślę, że był to Ja'ir, kiedy odchodzili od skały. Ja'ir zastanawiał się na głos, czy na powierzchni w ogóle ktoś mieszka.

- No i?

Aitrus stanął, żeby przypomnieć sobie rozmowę.

- Mistrz Kedri powiedział, że warunki klimatyczne na powierzchni są idealne dla rozwoju lokalnego gatunku.

- Na jakiej podstawie oparł swoje twierdzenie?

- Wygląda na to, że wszyscy czterej obserwatorzy widzieli egzemplarze Księgi.

- Księgi Ziemi – powiedział Telanis i w zamyśleniu skinął głową. – Została napisana przez wielkiego mistrza Ri'nerafa, być może największego z dawnych pisarzy. Mimo to uważa się, że napisał ją jako czeladnik.

- Tak też twierdzi mistrz Kedri. Jednak najbardziej niepokojące jest chyba to, co powiedział potem mistrz Ja'ir.

Telanis przeszywał wzrokiem Aitrusa.

- Mów dalej.

- Ja'ir powiedział, że niezależnie od tego, czy na powierzchni żyje rasa człekokształtna, on ma wątpliwości, czy powinno się poświęcać tyle czasu i wysiłku na takie spekulatywne przedsięwzięcie.

- Spekulatywne... powiedział „spekulatywne”?

Aitrus przytaknął.

Mistrz Telanis oparł się na krześle i zamyślił głęboko. Przez chwilę milczał, wreszcie spojrzał na Aitrusa i zapytał:

- A co ty uważasz, Aitrusie? Czy warto poświęcać tyle czasu i wysiłku?

- Tak, mistrzu Telanisie. Aby upewnić się, że dzielimy świat z innym inteligentnym gatunkiem, warto jest poświęcić dwa razy więcej czasu i wysiłku niż dotychczas!

Pogłębiarki pracowały, młodym cechownikom pozwolono wrócić do łóżek, a obserwatorów przeniesiono do kabiny cechmistrza w drugiej pogłębiarce.

Aitrus wrócił na pryczę. Na wspomnienie komentarza Kedriego uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał. Nie kończący się proces sprzątania był zazwyczaj okazją do przemyśleń na temat doświadczeń, na co Aitrus nie miał wiele czasu w ostatnich dniach. Zastanawiał się, jak można żyć tak jak Kedri.

On sam potrzebował przestrzeni i ciszy.

Tego, a także dostatecznej ilości notesów i odczynników chemicznych – myślał, przypominając sobie, jak matka podśmiewała się z jego obsesji na punkcie skał i procesów geologicznych.

Uważała fascynację syna za dziwaczną, ale mistrz Jerahl miał rację: dla D'ni nie było nic bardziej naturalnego. Kamień był ich żywiołem.

Siadając na brzegu pryczy, usłyszał jazgot wiertel i nagły trzask osuwającej się skały. Niech inni sobie myślą, że śpiew ptaków i szmer rzeki jest czymś naturalnym; dla Aitrusa najbardziej naturalnymi odgłosami były te, które właśnie usłyszał.

- Młody robak – tak nazywał go w dzieciństwie ojciec, jak gdyby przewidując przyszłe powołanie syna. Faktycznie został tym, który ryje, poszukiwaczem przejść, badaczem ciemności.

Aitrus miał właśnie rozebrać się do snu, kiedy na zewnątrz rozległ się harmider. Przebiegł przez korytarz, wystawił głowę i rozejrzał się. W głębi korytarza ktoś jęczał z bólu.

Aitrus usłyszał za plecami jakiś szmer i po chwili u jego boku stanął mistrz Telanis.

- Co się dzieje, Aitrusie?

- Ktoś jest ranny.

Pobiegli. U wylotu tunelu podszedł do nich jeden z młodych inżynierów o zaniepokojonej twarzy.

- Kto ucierpiał, Ta'nerinie? – spytał Telanis, chwytając inżyniera za ramię.

- Efanis. Ostrze rozprysło się na kawałki. Efanis jest ciężko ranny. Próbowaliśmy zatamować krew, ale bez skutku!

- Wezwij mistrza Avonisa. Zobaczę, co mogę zrobić!

Mistrz Telanis puścił Ta'nerina i ruszył w głąb korytarza, a Aitrus podążył za nim. Tunel był już prawie ukończony; do wykopania pozostało tylko pięć ostatnich piędzi. Pod lampami łukowymi dostrzegli grupkę kadetów, którzy zgromadzili się wokół kolegi.

Jęk nasilał się, okropny, żaloszny odgłos.

Podeszli bliżej; na pierwszy rzut oka było widać, że Efanis jest ciężko ranny. Strzaskane ostrze musiało odskoczyć i ugodzić Efanisa prosto w pierś i ramię. Nie miał żadnych szans. Zajęczał głośno, a na jego wargach zapieniła się krew.

Mistrz Telanis przepchnął się przez cechowników, zdarł z siebie koszulę i przycisnął ją do rany. Potem rozejrzał się i przemówił gwałtownie, próbując wyrwać zebranych z odrętwienia.

- Pomóżcie mi, chłopcy! Szybko! – Delikatnie ujął głowę Efanisa w dłonie, a cechownicy wzięli rannego pod ramiona, plecy i uda.

- Dobrze – powiedział cicho Telanis, chcąc dodać otuchy młodzieńcom, którzy delikatnie podnieśli jęczącego Efanisa. – teraz zanieście go do pogłębiarki. Im wcześniej mistrz Avonis go zobaczy, tym lepiej.

Wypadki zdarzały się już wcześniej, ale nigdy nie było to nic poważniejszego niż złamanie, stłuczenia czy rany zadane przez drobne odłamki skalne. Mistrz Telanis szczylił się bezpiecznymi warunkami pracy, które zapewniał podwładnym. Właśnie dlatego wypadek Efanisa wywołał tak silny szok.

Kiedy Aitrus stanął się nazajutrz u Kedriego, zastał prawodawcę pochylonego nad biurkiem w kreślarni. Na odgłos otwieranych drzwi mistrz odłożył pióro i podniósł wzrok.

- Przykro mi, Aitrusie. Wiem, że Efanis był twoim przyjacielem. Paskudna historia, prawda?

Aitrus skinął głową, ale nie zdołał wykrztusić ani słowa. Stan Efanisa był nadal bardzo ciężki.

- Nie jesteś mi dzisiaj potrzebny, Aitrusie, więc weź sobie dzień wolny. Jeśli chcesz, zajmij się doświadczeniami. Jutro wrócimy do pracy.

- Tak, mistrzu.

Po wyjściu z kabiny Kedriego Aitrus udał się natychmiast do mistrza Telanisa. Znalazł go w tunelu, gdzie klęczał przy tymczasowo porzuconej odkrywce, wpatrując się w ciemną plamę na skale. W środku małego, nieregularnego owalu znajdowało się maleńkie, niegospłaszczone kółko szklistej substancji.

Przypominało podbite oko patrzące ze skały.

- Co to takiego? – spytał Aitrus.

- Wygląda na osad piroklastyczny, „bombę wulkaniczną”, pozostawioną w tej warstwie setki milionów lat temu – odparł Telanis, podnosząc wzrok, po czym wskazał na ciemniejszy, zewnętrzny fragment skały. – Wokół osadu mamy zwykły obsydian, szklisty bazalt, ale ten przezroczysty kryształek tkwił tutaj, kiedy wulkan wypłuł skałę. Wyglądem i dotykiem przypomina diament.

Aitrus skinął głową.

- Według mnie ostrze obsunęło się po tej szklistej powierzchni, następnie ugrzęzło w znacznie twardszej substancji i rozprysło się na kawałki – ciągnął Telanis. – Powinienem być pobrać próbki, Aitrusie – westchnął ciężko. – Za bardzo się spieszyłem, żeby popisać się przed gośćmi. Oto rezultat.

- Nie możesz się obwiniać, cechmistrzu – powiedział Aitrus. – To ostrze musiało być wadliwe. Nie sposób tego wszystkiego przewidzieć.

- Nie? – Telanis wstał i omiół wzrokiem porzucone narzędzia. Aitrus po raz pierwszy zobaczył, że mistrz martwi się tym, co widzi. – Jeśli nie ja, to kto, Aitrusie? To ja odpowiadam za bezpieczeństwo mojej ekipy, ja i nikt inny. Ponoszę winę za wypadek Efanisa. Gdybym właściwie wykonał pracę...

Aitrus wyciągnął rękę, żeby dotknąć ramienia mistrza, ale cofnął ją. W pewnym sensie Telanis miał rację. Wszystkie drobiazgowo testy i przeglądy miały na celu uniknięcie podobnych incydentów.

Aitrus odchrząknął.

- Mistrz Kedri powiedział, że nie jestem mu dzisiaj potrzebny, cechmistrzu. Przeszedłem po nowe zlecenie.

Telanis spojrział na młodzieńca i machnął ręką.

- Nie teraz, Aitrusie, dzisiaj nie będziemy pracować.
- Ale, mistrzu...
- Nie teraz.

Aitrus spakował plecak na drogę i wyruszył. Mijał kolejne węzły, aż dotarł do miejsca, gdzie dwa miesiące wcześniej przewiercili się przez mały zespół grot.

Chociaż pracowali wtedy długo i mozolnie, Aitrusowi wystarczyła godzina, żeby dotrzeć do celu. Początkowo droga biegła zygzakiem względnie prosto, w charakterystyczny dla D'ni sposób, ale w pewnym miejscu skręciła w lewo, by ominąć szereg załomów i uskoków.

Droga przed Atrusem była słabo oświetlona. Zielonoczarony osad na skale D'ni jarzył się nikłym luminescencyjnym blaskiem. W plecaku miał dwie lampy i mały kanister świecących alg, z których zamierzał skorzystać po skręceniu z drogi D'ni.

Po dotarciu do celu usiadł na występie skalnym przed okrągłymi drzwiami prowadzącymi do zespołu grot i zjadł mały posiłek.

Kula tego węzła była usiana otworami; niektóre pozwalały zaledwie na wsunięcie dłoni, w innych zmieściłby się dorosły człowiek. Do otworu, przed którym siedział Aitrus, mogła wjechać pogłębiarka. Za zgodą mistrza Telanisa podparli wejście stemplami i wryli się na głębokość blisko pięćdziesięciu piędzi w głąb skały. Poszerzyli chodnik, by dostać się do dużej groty. Ponieważ czas naglił, mieli zaledwie dzień czy dwa na eksplorację zespołu grot, po czym musieli wrócić do pogłębiarek. Zamknęli tunel małą bramą, podobną to tej, która łączyła węzły z tunelem D'ni. Groty pozostawili do przyszłych badań, a resztę węzła spryskali warstwą nary.

Aitrus sporządził wtedy obszerne notatki na temat zespołu grot. Teraz nadarzała się okazja, żeby wrócić i wznowić badania. Na myśl o tym poweselał. Wyjął z plecaka hełm ochronny, umocował go na głowie, zarzucił plecak na ramię i podszedł do zamka.

Był to prosty zamek ciśnieniowy. Przekręciwszy koło, Aitrus usłyszał syk powietrza uchodzącego z przewodu wentylacyjnego nad jego głową. Po chwili u dołu drzwi pojawiła się szczelina i skrzydła wsunęły się w kołnierz.

Wewnątrz panował mrok.



W małym płóciennym woreczku, który nosił w plecaku, Aitrus miał zapas ognistych kulek. Wyjął jedną z nich, otworzył lampę umocowaną na hełmie, wcisnął kulkę w zagłębienie i poczekał, aż się rozjarzy. W niespełną minutę później czyste, silne, białe światło strzeliło z lampy w mrok, ukazując gładkie, surowe ściany skał.

Aitrus z uśmiechem wszedł do środka.

Aitrus zatrzymał się, żeby za pomocą spryskiwacza namalować na skale małą strzałkę zwróconą w kierunku, z którego przyszedł. Potem schował kanister i powoli ruszył dalej. Licząc kroki, rozglądał się po ścianach oraz chodniku przed sobą.

Po chwili stanął znowu, wyjął notes z kieszeni, szybko zapisał liczbę kroków i znowu sprawdził na kompasie, czy tunel nadal powoli opada czy zmienia kierunek.

Był to wąski chodnik, którego dotąd nie zbadano. W górze zbiegał się w szczelinę, która zdawała się niknąć w skale. Chodnik zwężał się powoli, ale w oddali majaczyła szersza przestrzeń. Mogła to być grota, więc Aitrus wytrwale brnął dalej z nadzieją, że się tam precyzyjnie.

W głębi skały panowała cisza. Nie było wodospadów, woda nie kapła miarowo z góry; nie dobiegały żadne dźwięki. Aitrus czuł się tu intruzem; własny oddech rozbrzmiewał mu głośno w uszach. Było ciepło i Aitrus nie odczuwał lęku. W dzieciństwie, kiedy ojciec po raz pierwszy zabrał go w głąb skały, Aitrus także nie czuł strachu, lecz delikatne drżenie oczekiwania.

W skale kryło się piękno. W łonie ziemi były groty o tak subtelnej, migotliwej urodzie, że wkraczanie do nich wywoływało bezgraniczną radość.

Aitrus zdjął plecak, opuścił go na podłogę, potem odwrócił się i spróbował przejść przez wąską szczelinę. Stwierdził, że zdoła się precyzyjnie, gdy wciągnie brzuch.

Odwrócił się i chwycił pobliską skałę. Pod jego stopami otwierała się wąska przepaść. Skała po lewej wznosiła się ku litej ścianie, za to po prawej...

Aitrus uśmiechnął się szeroko. Po prawej stronie, tuż za przepaścią, dostrzegł wylot groty. Miał wrażenie, że połyskujące okruchy kryształu mrugają do niego. Sklepienie zwieszało się nisko, ale sama grota kryła się za potężnym nawisem skalnym w kształcie kolumny.

Aitrus precyzyjnie się z powrotem przez szczelinę i podniósł plecak. Spojrzał na czasomierz, który nosił na ręku. Od wyjścia z węzła upłynęły prawie trzy godziny, ale

miał jeszcze mnóstwo czasu. Owinął pasek plecaka wokół przegubu, ponownie przecisnął się przez szczelinę i stanął na skraju grotu.

Przepaść sprawiała wrażenie głębokiej, ale mógł ją przeskoczyć jednym susem. Dopiero powrót mógł sprawić kłopot, ponieważ podłoga grotu leżała o wiele niżej niż miejsce, na którym stał.

Aitrus wyjął z plecaka linę i zawiązał ją mocno na haku, który wbił w skałę. Dwie – trzy piędzi sznura spuścił do przepaści, po czym zeskoczył.

Przez chwilę rozglądał się wokół siebie, szukając kamienia leżącego luzem, którym mógłby przycisnąć koniec liny. Nic takiego jednak nie znalazł. Otaczające go skały były dziwnie stopione i szkliste. Aitrus zwinął koniec liny i oparł ją o skałę; miał nadzieję, że sznur nie osunie się w przepaść. Potem wyprostował się i stanął twarzą do grotu.

Przez chwilę stał nieruchomo, kierując światło lampy na kolumnę w głębi grotu, potem kucnął, wyjął z kieszeni notes i zaczął szkicować to, co widział.

Wreszcie skończył i ruszył w głąb grotu. Jej powierzchnia była dziwnie gładka i przez chwilę Aitrus zastanawiał się, czy nie jest to komora wulkaniczna. Nagle roześmiał się i uklęknął.

- Agaty! – szepnął. – Agaty w skale!

Wyjął młotek i dłuto z pasa z narzędziami i zaczął łupać. Po chwili wsunął narzędzia z powrotem do skórzanych futerałów i delikatnie wyciągnął zdobycz ze skały.

Był to maleńki kawałek chalcedonu, nie większy niż gołębie jajo. Aitrus przyjrzał mu się dokładnie, po czym wrzucił do plecaka. Zauważył, że w grocie było więcej kryształów, które szybko wylupał ze skały. Niektóre miały barwę turkusową, inne ciemnoniebieską. Jeden był prawie purpurowy i Aitrus domyślił się, że jest to ametyst.

Uśmiechnął się szeroko i wstał z klęczek. Tego rodzaju kamienie były drobnymi intruzyjnymi ciałami w głębi skorupy ziemskiej, które zostały wyrzucone przez lawę i ostudziły się tych płytkich grotach. Właściwie były tylko pęcherzykami w strumieniu lawy, wypełnionymi gorącą wodą podskórną. Musiało upłynąć wiele tysięcy lat, zanim przybrały obecny kształt. Po wypolerowaniu będą wspaniałe.

Aitrus ruszył w kierunku kolumny skalnej, ale zdążył przejść zaledwie dwa kroki, kiedy ziemia pod jego stopami zaczęła dygotać. Początkowo pomyślał, że

znowu zaczęli wiercić, ponieważ źródło wibracji wydawało się dosyć odległe, ale potem przypomniał sobie słowa mistrza Telanisa:

„Dzisiaj nie będziemy pracować”.

Jak gdyby na potwierdzenie tych słów, ziemia zadrżała, a w skale rozległ się głuchy łoskot. Aitrus usłyszał, jak głązy sypią się na chodnik za nim.

Przyspieszył kroku. Gdyby zawałił się chodnik, zostałby tu uwięziony na wiele dni. Nikomu nie powiedział, że wyrusza na samotną wyprawę.

Na szczęście lina była na miejscu. Aitrus chwycił za nią i podciągnął się na występ skalny.

Skąła leciutko zadrżała, a ze szczeliny na górze posypał się pył. Aitrus podniósł wzrok. W razie silnego trzęsienia ziemi ta skąła musiała runąć.

Starając się zachować spokój, Aitrus precisnął się przez otwór i ruszył z powrotem wąskim chodnikiem. Był w połowie drogi, kiedy skąła gwałtownie się zatrzęsała. Gdzieś z przodu rozległ się trzask, Aitrus poczuł w ustach pył, ale chodnik nie zawałił się.

Aitrus szedł dalej, przyspieszając kroku.

Świetliste strzałki, które zostawił na ścianach, wskazywały mu drogę powrotną do węzła. Dotarł do jednej z mniejszych grot w pobliżu węzła, lecz tu po raz pierwszy natknął się na przeszkodę. Duży odłamek skalny zatarasował wylot groty, ale Aitrus przypomniał sobie okrężną drogę przez wywiercony wąski otwór. Wrócił tunelem, wcisnął się do otworu i przeczołgał się, popychając przed sobą plecak. Chodnik kończył się małym uskokiem. Aitrus spuścił nogi i już miał skoczyć, kiedy spojrzał w dół. Mały uskok zamienił się w przepaść o głębokości trzech piędzi, czyli blisko czterdziestu stóp. Mocno trzymając się skały, Aitrus odwrócił głowę, żeby sprawdzić, czy istnieje inna droga. Nic jednak nie znalazł. Musiał się zsunąć po skąle, opierając nogi na metalowych hakach.

Zajęło mu to dużo czasu, ale w końcu znalazł się na dole. Teraz pozostawało tylko wspiąć się z powrotem. Widział wejście do tunelu, ale czekała go ciężka wspinaczka; ostatnie dwie piędzi ściany były niemal pionowe. Nie miał innego wyjścia, jak wyłupywać młotkiem oparcia na ręce.

Wspinał się w ślimaczym tempie. Ziemia zatrzęsała się dwukrotnie, o mały włos nie zrzucając Aitrusa w przepaść, ale przylgnął do ściany i odczekał, aż wstrząsy miną. Wreszcie wdrapał się do tunelu.

Jeżeli nie pomylił się w obliczeniach, do bramy zostało mu najwyżej pięćdziesiąt piędzi.

Aitrus pobiegł w głąb tunelu. Rozpoznał małą grootę, którą nazywali Spizarnią, a potem drugą, noszącą nazwę Stopni. Z ulgą zanurkował pod potężny kamień, który wyznaczał początek zespołu grot, aż wreszcie znalazł się w otworze wywierconym przez D'ni.

Spostrzegł natychmiast, że tunel uległ poważnym uszkodzeniom. Wcześniej jego ściany były gładkie i idealnie symetryczne; teraz pokrywały je ciemne rysy, a wielkie odłamki skalne oderwały się od sufitu i leżały na podłodze tunelu.

Czują ssanie w żołądku, Aitrus powoli ruszył dalej. Spostrzegł, że brama była zamknięta. Musiała się zatrzasnąć, kiedy czujniki zarejestrowały pierwsze wstrząsy. Oznaczało to, że bramy we wszystkich węzłach także będą zamknięte. Jeżeli Aitrusowi nie uda się ich otworzyć, zostanie uwięziony. Jego położenie nie będzie wówczas ani trochę lepsze, niż gdyby został w grocie z ametystami.

Pośrodku bramy widniało rzadko używane koło, ciśnieniowy zawór bezpieczeństwa.

Aitrus oparł się o potężne metalowe drzwi i przekręcił zawór, modląc się, żeby ziemia nie zadrżała ponownie.

Dopiero po dłuższej chwili rozległ się odgłos, który Aitrus powitał z ulgą; drzwi otworzyły się z sykiem i wsunęły w kołnierz skalny.

Aitrus czym prędzej przeskoczył przez nie. Zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili mógł nastąpić kolejny wstrząs i spowodować zatrzaśnięcie drzwi.

Po mroku panującym w tunelu węzeł wydawał się samą jasnością. Aitrus zmrużył oczy oślepiiony światłem i spojrzał z powrotem w głąb otworu. W tym momencie cały sufit na końcu runął w dół. W stronę Aitrusa popłynęły kłęby pyłu. Nagły hałas uruchomił czujniki i drzwi zatrzasnęły się, odgradzając Aitrusa zarówno od hałasu, jak i pyłu.

Aitrus zagwizdał pod nosem, potem odwrócił się i rozejrzał wokół siebie. Ściany wielkiej kuli, w której stał, były nie naruszone – ścianom nośnym mogłoby zagrozić tylko bardzo silne trzęsienie – ale obie bramy węzła były zamknięte.

Musiał poczekać, aż wstrząsy ustaną.

Aitrus usiadł, wyjął notes i zaczął spisywać wszystko, co się wydarzyło.

Musiał zapisać wszystkie spostrzeżenia, ponieważ mogło się wśród nich znaleźć coś ważnego.

Drobne wstrząsy były powszednie, zdarzały się mniej więcej co miesiąc, ale te okazały się silniejsze niż wszystkie, z jakimi Aitrus zetknął się w życiu.

Przypomniał sobie o agatach i wyjął je z plecaka. Przez chwilę, oniemiały z podziwu, przyglądał się kamieniom. Nagle uświadomił sobie, że agaty stanowiły wskazówkę.

Cały ten obszar miał charakter wulkaniczny. Agaty były dowodem trwającej od wielu tysiącleci aktywności wulkanicznej, która trwała nadal. Wyprawa, w której brał udział Aitrus, drążyła tunele w sam środek wielkiego uskoku wulkanicznego.

Aitrus schował agaty do plecaka, zapisał spostrzeżenia, po czym zamknął notes i podniósł wzrok.

Od ostatniego wstrząsu minęła co najmniej godzina.

Jak gdyby na potwierdzenie tego faktu, bramy węzła rozsunęły się z sykiem.

Aitrus wstał i zarzucił plecak na ramię. Trzeba wracać.

Przekroczywszy bramę węzła, Aitrus zmarszczył brwi. W obozie panowała dziwna cisza.

Dwie pogłębiarki stały tam, gdzie widział je po raz ostatni. Nie zauważył jednak żadnych oznak gorączkowej pracy, której należało się spodziewać po trzęsieniu ziemi. Plac sprawiał wrażenie opuszczonego.

Czując przykre ssanie w żołądku, przeszedł kilka kroków do przodu, po czym zatrzymał się. Z głębi tunelu dobiegały dziwne, przytłumione pomruki, przypominające śpiewy rytualne.

Aitrus podszedł do wylotu tunelu. Zobaczył cechowników ustawionych w szeregach, a tuż obok czterech obserwatorów. Wszyscy stali z opuszczonymi głowami w miejscu, gdzie wydarzył się wypadek.

Aitrus natychmiast pojął znaczenie tej sceny. Był świadkiem pogrzebu Efanisa. Usłyszał wyraźny, uroczysty głos mistrza Telanisa.

- Żył w skale i do skały powraca.

Po chwili ciszy mistrz Telanis położył dłoń zmarłego cechownika na otwartej księdze łączącej, cofnął się, a ciało zmarłego zamigotało w powietrzu i zniknęło. Przeniosło się w wielki cmentarny wiek Te'negamiris.

Aitrus pochylił głowę i wraz z pozostałymi wypowiedział rytualne słowa:

- Niech Javo, Stwórca, przyjmie jego duszę.

Zgromadzeni zamilkli, oddając cześć Efanisowi, po czym zaczęli się rozchodzić. Mistrz Telanis podniósł wzrok, a na widok Aitrusa podszedł, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł cicho:

- Przykro mi, Aitrusie. To stało się bardzo szybko. Organizm Efanisa nie przyjął lekarstw. Był bardzo osłabiony.

Aitrus skinął głową, chociaż nie zdawał sobie w pełni sprawy ze śmierci przyjaciela. Podczas wyprawy do tunelu całkowicie o nim zapomniał.

- Czy dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest – odparł Aitrus. – Wróciłem do grot. Zauważyłem tam mnóstwo zniszczeń. Trzęsienia...

Telanis skinął głową.

- Mistrz Geran uważa, że są to tylko ruchy okolicznych skał, ale przed kontynuowaniem prac musimy dokładnie wysondować teren. Możliwe, że dojdzie do dalszych opóźnień.

- Cechmistrz Kedri nie będzie zachwycony.

- To prawda, podobnie jak jego koledzy, ale nic na to nie poradzimy. Musimy się upewnić, że sytuacja nie jest krytyczna. – Po chwili przerwy mistrz Telanis mówił dalej: - Może to oznaczać, że mistrz Kedri będzie potrzebował twoich usług nieco dłużej, niż przewidywaliśmy, Aitrusie. Czy to by cię zmartwiło?

Mistrz Telanis nie wspomniał ani słowem o tym, że Aitrus nie uprzedził nikogo o swojej samotnej wyprawie. Mimo to Aitrus czuł się winny z powodu złamania dyscypliny i może właśnie to poczucie winy kazało mu opuścić głowę i odpowiedzieć:

- Nie, cechmistrzu.

Mistrz Kedri wspiął się na pokład Posłańca, a potem odwrócił się do Aitrusa z uśmiechem.

- Dziękuję, Aitrusie. Nigdy nie zapomnę twojej uprzejmości.

Aitrus odwzajemnił uśmiech.

- Nie zapomnę też doręczyć twojego listu – dodał Kedri i poklepał kieszeń tuniki.

- Dziękuję, cechmistrzu.

Kedri zniknął w kabinie, drzwiczki zamknęły się z sykiem, a po chwili turbiny pojazdu ożyły.

Aitrus cofnął się i dołączył do pozostałych, którzy zebrali się, żeby pożegnać obserwatorów.

- Dobrze się spisałeś, Aitrusie – powiedział cicho mistrz Telanis, stając obok młodzieńca, kiedy Posłaniec skręcił i powoli wjechał do tunelu prowadzącego do D'ni.

- Mimo to obawiam się, że to nie wystarczy – odparł Aitrus.

Telanis skinął głową i drobnym grymasem twarzy dał Aitrusowi do zrozumienia, że on również nie wierzył, by sprawozdanie obserwatorów mogło przynieść korzyść.

Ku zaskoczeniu wszystkich mistrz Kedri i jego koledzy postanowili nie czekać na wznowienie wierceń i niezwłocznie wrócili do D'ni. Członkowie wyprawy uznali to za wyraźny znak, że losy wyprawy zostały przesądzone.

Śmierć Efanisa i trzęsienia ziemi musiały odegrać znaczącą, a może wręcz decydującą rolę.

Członków wyprawy czekał teraz trudny okres oczekiwania.

- Co teraz zrobimy, cechmistrzu? – spytał Aitrus na widok przygnębionej twarzy Telanisa.

- Myślę, że dopóki nam nie zakażą, będziemy dalej ryc w skale – odparł Telanis, wzruszając ramionami.

Posuwali się naprzód w ślimaczym tempie. Przez następnych pięć dni mistrz Geran wytrwale sondował, sporządzał obszerne wykresy okolicznych skał, po czym sprawdzał wyniki za pomocą próbnych wierceń.

Dopiero po dziesięciu dniach mistrz Telanis wydał rozkaz zakończenia prac nad tunelem i polecił wydrążyć nowy węzeł. Wiedząc, że zbliżało się posiedzenie Rady, wszyscy członkowie wyprawy oczekiwali najgorszego.

Lada dzień mogli zostać wezwani do powrotu. Tunele zostałyby zasypane, a cały wysiłek wyprawy poszedłby na marne. Mimo to uparta duma kazała im pracować jeszcze ciężiej i wytrwalej.

Ekipa kopaczy wydrążyła kulę i spryskała ściany w ciągu jednego dnia, podczas gdy druga grupa zamocowała kroksztyny podtrzymujące przewody powietrzne. Wieczorem rozmontowali platformy i przenieśli obóz do przodu.

Śmierć Efanisa wywołała szok. Początkowo żaden z członków wyprawy nie wiedział, jaki wpływ wywrze na nich ten wypadek. Teraz już wiedzieli. Kiedy ekipa Aitrusa usiadła wieczorem w refektarzu, panowało dziwne, ale wymowne milczenie.

Nikt nic nie mówił, a mimo to wszyscy wiedzieli, co pozostali myśleli i czuli. Wreszcie kucharz Jerahl wyraził uczucia wszystkich.

- To niesprawiedliwe, że uzmysłowili nam znaczenie tej wyprawy tylko po to, żeby nam ją odebrać.

Zebrani poprali Jerahla zgodnym pomrukiem. Od czasu śmierci Efanisa wyprawa, którą większość traktowała jako przygodę, nabrała aspektu krucjaty. Chcieli ukończyć tunel, wywiązać się z zadania, które powierzyła im Rada. To, czy na powierzchni ktokolwiek mieszkał, nie miało już żadnego znaczenia. Liczyło się tylko przekopywanie tunelu.

Aitrus, który zazwyczaj nie odzywał się w większym gronie, teraz złamał ten zwyczaj.

- Bardzo źle by się stało, gdyby Efanis miał umrzeć na darmo.

Siedzący wokół Aitrusa pomrukami wyrazili poparcie dla jego słów. Ledwo zapadła cisza, od drzwi przemówił mistrz Telanis.

- Wobec tego należy się cieszyć, że Rada przychyliła się do twojej opinii, Aitrusie.

W refektarzu zapadło milczenie, a zaraz potem rozległy się wiwaty. Uśmiechając się szeroko, Telanis skinął na Aitrusa. Trzymał w ręku list ze złamaną pieczęcią.

- Przed chwilą przybył specjalny kurier. Dostaliśmy pozwolenie na pracę przez kolejny rok!

Zebrani znowu krzyknęli na wiwat. Wszystkie twarze rozjaśniał uśmiech.

- Ale znacznie ważniejszy jest fakt – ciągnął Telanis, kiedy krzyki ucichły – że pozwolono nam zbudować wielki szyb.

- Szyb, mistrzu?

Telanis przytaknął, a na jego twarzy odmalowało się zadowolenie.

- Wygląda na to, że Radzie jest równie spieszno jak nam, żeby zobaczyć, co się znajduje na powierzchni. Mamy poniechać rycia w skałach na boki i przekopać wielki szyb prosto na powierzchnię. Jutro rano rozpoczynamy sondowanie!

Na rozgwieżdżonym niebie nad pustynią widniał blady krąg księżyca. W kotlinie między dwoma długimi grzbietami skał dwaj wędrowcy rozbili na noc obóz, a nieopodal uwiązali wielbłądy.



Po upalnym dniu nastął chłodny wieczór. Usiedli obok siebie na wąskiej skale i narzucili na ramiona grube owcze skóry, które zdjęli ze skórzanych siodeł leżących na ziemi za nimi.

Byli kupcami z Tadjinaru; zmierzali na południe do bazarów Jemaraniru.

Panowała cisza, absolutna cisza, jaką można usłyszeć tylko na pustyni. Nagle rozległ się przytłumiony odgłos. Był tak cichy, że początkowo obaj wędrowcy milczeli, sądząc, że im się tylko wydawało. Jednak po chwili odgłos się nasilił i na dobre zadomowił się w powietrzu.

Ziemia łagodnie wibrowała.

Mężczyźni wstali, rozglądając się wokół siebie w zdumieniu. Hałas narastał, aż przeszedł w swoisty pomruk. Nagle w powietrzu rozległ się czysty dźwięk, jak gdyby w głębi ziemi zagrała wielka trąba.

Wędrowcy podbiegli do skraju nawisu skalnego i spojrzeli przed siebie. Nie wierzyli własnym oczom. Niespełna sto stóp od miejsca, w którym stali, dygotało gwałtownie wielkie koło piasku, jak gdyby potrząsane na olbrzymim sicie. Wielki pierścień z piasku i skał uniósł się powoli, jak gdyby jakaś siła ciągnęła go do nieba. W tym samym momencie dziwny, nieziemski dźwięk nasilił się, wypełnił pustynne powietrze, po czym nagle się urwał.

Piasek natychmiast opadł, tworząc potężnych krąg.

Mężczyźni patrzyli jeszcze przez chwilę, po czym równocześnie padli na kolana, dotykając głowami skały.

- Niech Allah ma nas w swojej opiece! – zawyli. – Niech Allah nas zachowa i pocieszy! – W obozie za ich plecami rozległo się bojaźliwe rzenie wielbłądów.

Mistrz Geran oparł się na krzesło, a jego niewidzące oczy rozjaśnił uśmiech.

- Doskonale – rzekł, zwracając się w stronę stojącego mistrza Telanisa. – Zwiększyłem moc sondy. Tym razem dałem maszynie popalić i udało się! Mamy czystą skałę aż do samej powierzchni!

Telanis, który czekał w napięciu na analizę Gerana, odetchnął z ulgą.

- Czy chcesz powiedzieć, że jesteśmy u celu, mistrzu Geranie?

Geran przytaknął.

- Oczywiście będziemy musieli wywiercić próbne otwory, ale według mnie to jest idealne miejsce na szyb.

- Wspaniale! – uśmiechnął się Telanis. Od trzech miesięcy cierpliwi ryli w skale, szukając takiego miejsca, i wreszcie je znaleźli.

- Czuję się w obowiązku ostrzec cię, że obok proponowanego miejsca na szyb zlokalizowaliśmy dużą grootę. Nie powinna nam jednak przeszkadzać, ponieważ jest nieco odsunięta. Poza tym będziemy kopać szyb obok groty, a nie pod nią.

- Dobrze – powiedział Telanis. – W takim razie natychmiast zawiadomię Radę. Możemy zaczynać kopanie podstawy szybu. Zajmie to nam co najmniej miesiąc.

- Och, co najmniej! – zgodził się Geran i dwaj przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

- Nareszcie. – Telanis położył dłoń na ramieniu Gerana i delikatnie uściśnął. – Zaczynałem już myśleć, że nie doczekam tego dnia.

- Ja również – odparł Geran, zwracając niewidzące oczy ku Telanisowi. – Ja również.

Przygotowania toczyły się pełną parą. Na początek musieli wykopać dużą komorę pod miejscem, w którym miał być wydrążony szyb. Dwie pogłębiarki nie bardzo nadawały się do tego zadania. Zaczęły pracę od wydrążenia dwóch łukowatych tuneli po obwodzie, natomiast z D'ni sprowadzono cięższy sprzęt tnący.

W tym czasie mistrz Geran z zespołem starszych członków Cechu Kartografów projektował główny szyb. Nie było to tak proste zadanie, jak mogło się początkowo wydawać. Wielki szyb miał być osią systemu mniejszych rozgałęziających się tuneli. Większość z nich miała być tunelami pomocniczymi, prowadzącymi z powrotem do D'ni, ale niektóre przesuwały wykopaliska w kierunku północnym.

Mistrz Telanis przestał kierować całą wyprawą i jako jeden z sześciu cechmistrzów przeszedł pod rozkazy wielkiego mistrza Iraduna, głowy Cechu Badaczy. Także inne cechy stopniowo coraz bardziej angażowały się w pracę.

Cała ta gorączkowa działalność ekscytowała Aitrusa. Odnosił wrażenie, że nagle znaleźli się w centrum uwagi i na wyprawie koncentrowało się całe życie D'ni.

Pod koniec trzeciego tygodnia wielka komora została częściowo wykuta, częściowo wytopiona ze skały. Duża stawiarka kamieni – maszyna, o której wszyscy słyszeli, ale tylko nieliczni widzieli ją w akcji – sprawiała, że skała ściekała ze ścian jak lód pod pochodnią.

Komora wymagała wsporników. Sufit podierało dwadzieścia masywnych granitowych filarów, ale tradycyjna metoda spryskiwania nie wystarczyła na umocnienie ścian. Na plac budowy zwieziono wielkie bloki nary, najtwardszego kamienia D'ni o metalicznej, zielono-czarnej barwie i gęstości trzydziestokrotnie większej niż stal. Wielkie maszyny przenosiły wytopione fragmenty nary na ściany, a inne wbijały nity zabezpieczające.

Każdy z nitów był większy niż dorosły człowiek. Do mocowania ścian komory użyto ich ponad osiem tysięcy. W końcu praca została wykonana.

Wieczorem Aitrus spacerował pośród filarów w przestronnej komorze. Kolejny raz poczuł dumę ze swoich rodaków.

Praca toczyła się teraz w dzień i w nocy, chociaż sensu tym określeniom nadawały tylko sen i czuwanie. Z D'ni dowieziono znaczną liczbę cechowników. Wydrążono pierwszy z tuneli pomocniczych, który pozwalał na dowożenie potrzebnych surowców z D'ni. Jednocześnie kopano dalsze tunele. Odgłosy wierceń nie ustawały nawet na chwilę.

Dla młodego cechownika wszystko to była fascynujące. To, co przez długi czas traktowano jako wykopaliska o charakterze badawczym, teraz nabrało życia. Na zachodnim krańcu komory założono tymczasowy obóz, który rozrastał się z każdym dniem. W pracy uczestniczyli nie tylko członkowie Cechu Badaczy, ale także Cechu Górników, Posłańców, Dostawców, Lekarzy, Mechaników, Analityków, Konserwatorów i Kamieniarzy. Przybyło nawet czterech członków Cechu Artystów, żeby wykonać wstępne szkice do wielkiego malowidła przedstawiającego pracę.

Wobec nagłego zgromadzenia się tak dużej liczby ludzi pojawił się problem żywności. Cech Dostawców połączył się jednak z wielkimi spichlerzami światów Er'Duna i Er'Jerah za pomocą dwóch ksiąg i wszyscy zostali nakarmieni.

Nie wszystko, niestety, szło tak gładko. Kiedy komora została wykuta i podparta, zaczęto ściągać potężne maszyny tnące.

Na pięć pełnych dni tunele zamknięto dla innych pojazdów, by sprowadzić z D'ni te wielkie, starodawne maszyny. Rozmontowywano je w niższych grotach, przewożono na wózkach kolejki jednotorowej i montowano w głównej komorze na oczach zdumionych młodych cechowników.

W sumie były cztery takie maszyny, a ich przyjazd wzbudził w pracownikach przekonanie, że oto tworzy się historia. Bardzo rzadko używano potężnych przecinarek monolitów, a zgromadzenie wszystkich czterech maszyn na jednym

placu budowy było wydarzeniem bez precedensu. Po raz ostatni przecinarki pracowały razem osiemnaście wieków temu, podczas przebijania się do dolnych grot i otwarcia kopalń Tijali.

Trzy spośród czterech maszyn liczyły znacznie więcej niż osiemnaście stuleci. Stare Kamienne Zęby miały blisko cztery tysiące lat, Przeżuwacz Skał i Kret zaś powstały przed trzema tysiącami lat, podczas poszerzania Chodnika Rudenna. Najmłodsza z maszyn, czyli Młynek, była największa. Skonstruowano ją specjalnie na otwarcie nowych kopalń. Do Młynka właśnie przydzielono Aitrusa wraz z resztą młodych odkrywców.

Młynek przywożono partiami. Jako pierwszą przetransportowano kabinę operacyjną – „mózg” potwora – czterokrotnie większą niż każda z pogłębiarek. Okazało się jednak, że była to najmniej imponująca z części, w każdym razie pod względem rozmiarów. W następnych dniach dowieziono dwie gigantyczne, zginające się w stawach nogi, a potem konwój, który wjeżdżał do komory przez kilka godzin, dostarczył osiemnaście fragmentów, które składały się na potężny kadłub Młynka.

Aitrus przyglądał się w zdumieniu przyczepom, które wypełniały północną część komory. Wydawało mu się, że już nic więcej nie mogło się w niej zmieścić. Tymczasem na sześciu wagonach wjechały jeszcze ramiona tnące i miażdżące.

Można było rozpocząć montaż.

W ciągu następnych tygodni młodzi cechownicy pełnili rolę posłańców między tysiącami innych cechowników, którzy nieoczekiwanie pojawili się na placu robót; biegali po wielkiej komorze, nosząc niezliczone wykresy i mapy od cechu do cechu. W wolnych chwilach obserwowali powolne powstawanie wielkich maszyn.

Montaż był długotrwałym i mozolnym procesem.

Pod koniec trzeciego tygodnia Młynek był gotowy. Czarna matowa sylwetka piętrzyła się pod sklepieniem komory, a wielkie ramiona tnące zwisały po bokach. Wyglądał jak dziwaczne połączenie ropuchy z krabem. Podobnie jak wszystkie wielkie maszyny Młynek podlegał stałym modyfikacjom i modernizacjom, ale jego zewnętrzny kształt od wieków się nie zmienił.

Stanąwszy przed Młynkiem, Aitrus po raz pierwszy w życiu poczuł się bardzo mały w porównaniu z ambicjami swojej rasy. Chociaż D'ni żyli długo, wiek skały, z której się wywodzili, był trudny do ustalenia. Dzięki maszynom w rodzaju Młynka rzucili wyzwanie wiekowej skale, wydzierając z niej życie.

Młynek był nie tylko maszyną, ale także wyzwaniem, głośnym krzykiem w łonie skały. To było D'ni! Możliwe, że byli drobnymi, przemijającymi istotami, ale stawiali prawdziwie boski opór.

Aitrus odwrócił się od Młynka, przeszedł po posadzce, mijając dwa masywne filary, stanął i rozejrzał się wokół siebie.

Po lewej stronie stały Kret i Przeżuwacz Skał i wyglądały jak dwa wielkie czarne skarabeusze. Przed nim czerwieniły się matowe Stare Kamienne Zęby, które przycupnęły niczym modliszka między filarami a sklepieniem. W dzieciństwie Aitrus miał ilustrowaną książkę o Starych Kamiennych Zębach. Doskonale pamiętał rysunki przedstawiające wielką maszynę, która wgryzała się w skałę, a potężna dmuchawa wyrzucała kamienną miazgę na przyczepy.

Teraz, w wieku dojrzałym, stał przed tą właśnie maszyną. Skinął głową. Tylko z bliska można było w pełni docenić rozmiary i moc tych maszyn. Żadna ilustracja nie mogła oddać im sprawiedliwości. Wzbudzały prawdziwy lęk.

W nocy Aitrus prawie nie spał. Wkrótce miała się rozpocząć praca, a on zobaczy to na własne oczy. Będzie mógł opowiadać dzieciom i dzieciom swoich dzieci, jak w dawnych czasach jego rodacy wykopali wielki szyb, który połączył ciemność ze światłem.

Nazajutrz Aitrus wstał wcześnie, gotowy do pracy, ale mistrzowie jak zwykle się nie spieszyli. Należało wywiercić próbne otwory i zrobić analizę skał. Kierowanie pracami na kilka dni przypadło w udziale Cechowi Analityków. Ich tymczasowe laboratoria wypełniły komorę, a próbники – czyli tuzin małych maszyn wierzących w kształcie nabożów – wgryzały się w sklepienie.

Kolejne tygodnie przyniosły Aitrusowi zawód. Pracowano pełną parą, ale wciąż nic się nie mówiło o rozpoczęciu głównych wierceń. Listy z domu mówiły o podnieceniu panującym w całym D'ni, ale podniecenie Aitrusa opadło. Nie był w tym zresztą odosobniony.

Wracając do pogłębiarki po dniu roznoszenia przesyłek, Aitrus właśnie miał minąć kabinę cechmistrza, kiedy zauważył Telanisa, który siedział przy biurku, z głową opartą o blat i zakrytą rękami. Na biurku leżał pojedynczy arkusz papieru.

- Czy jesteś chory, mistrzu?

Telanis podniósł wzrok. Sprawiał wrażenie zmęczonego; miał szkliste, otępiełe spojrzenie.

- Wejdz i zamknij za sobą drzwi, Aitrusie.

Aitrus wypełnił polecenie.

- A teraz usiądź.

Aitrus usiadł, coraz bardziej martwiąc się zdrowiem mistrza.

- Nie, Aitrusie, nie jestem chory, w każdym razie nie fizycznie. Ogarnęło mnie jednak wewnętrzne zmęczenie, poczucie...

- Zawodu?

- Sądziłem, że to mnie nie dotyczy, Aitrusie – odparł Telanis ze zmęczonym uśmiechem. – Wiedziałem, że na pewnym etapie mogą odebrać nam całą pracę, ostatecznie jesteśmy tylko sługami Rady. Mimo to nie spodziewałem się, że poczuję się taki bezużyteczny, wyrzucony poza nawias zdarzeń. Dzieją się tutaj wielkie rzeczy, Aitrusie. Miałem nadzieję, że może kilku z nas będzie tymi, którzy przebiją się na powierzchnię.

Aitrus wpatrywał się w cechmistrza w najwyższym zdumieniu. Nie spodziewał się, że Telanisa mogą ogarnąć takie uczucia.

- Wygląda na to, że byliśmy tylko zwiadowcami, Aitrusie, ale ja miałem wspanialszą wizję własnej osoby. Dotyczy to również was. Widziałem nas jako odkrywców.

- Byliśmy nimi, mistrzu.

- Tak, ale teraz staliśmy się zbędni. Wykonaliśmy swoją część pracy.

- Dlaczego więc nie odeśła nas z powrotem do D'ni?

W odpowiedzi Telanis wręczył mu kartkę. Aitrus szybko przeczytał wiadomość i podniósł wzrok.

- To znaczy, że wszystko skończone – rzekł zdziwiony.

- Tak – odparł cicho Telanis – ale dopiero po dniu oficjalnego otwarcia szybu. Chcą, żebyśmy przy tym byli. Nie wypadałoby odesłać nas wcześniej.

Gorzki ton w głosie Telanisa ponownie zdziwił Aitrusa. Uważał cechmistrza Telanisa za człowieka całkowicie wolnego od pragnień, lojalnego sługę, który z radością wypełniał wszystkie polecenia. Ten ton uszczypliwości – o ile była to uszczypliwość – był do niego niepodobny. Najwyraźniej Telanis czuł się dotknięty faktem, że odsunięto go na bok.

- Rada z pewnością doceni twój wkład, cechmistrzu.

- Być może – odparł Telanis roztargnionym tonem – ale to nie ty i ja wyjdziemy na powierzchnię. Kto inny dostąpi tego zaszczytu.

Mistrz wpatrywał się przez chwilę w list leżący na biurku między nimi, wreszcie spojrzął na Aitrusa.

- Wybacz, Aitrusie, nie chciałem cię obarczać swoimi troskami. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

- Jak sobie życzysz – odparł Aitrus, pochylając głowę, ale poczuł, że musi powiedzieć coś jeszcze. – To nie twoja wina, cechmistrzu. Dobrze nami kierowałeś. Nikt z nas o tym nie zapomni.

Telanis podniósł zdziwiony wzrok, ale po chwili znowu opuścił oczy, a przez twarz przemknął mu cień. Najwyraźniej myślał o Efanisie.

- Prace wydobywcze zaczynają się jutro, a ceremonia otwarcia szybu ma się odbyć za tydzień. Wykorzystaj ten czas, Aitrusie, obserwuj uważnie wszystko, co zdołasz. Możliwe, że nie wrócisz tu tak prędko.

Nazajutrz rozpoczęto prace wydobywcze na dużą skalę. Jako pierwsze wkroczyły do akcji Stare Kamienne Zęby. Aitrus na własne oczy zobaczył, jak ożywają książkowe ilustracje. Potężne szczęki maszyny oparły się o sklepienie i wgrzyły się łączywie w ciemną powierzchnię. Drobnio zmielona skała sypała się z trzech dmuchaw na odkrytą przyczepę, która przycupnęła pod maszyną. Szaroczarna sterta w koszu ani nie rosła, ani się nie zmniejszała.

Hałas był ogłuszający.

Stare Kamienne Zęby pracowały przez pełne trzy godziny. Długie nogi maszyny prostowały się powoli, ramiona stopniowo zagłębiały się w wielkim otworze, który powstawał w sklepieniu komory. Wreszcie, z ogłuszającym sykiem, potężne nogi hydrauliczne zaczęły się składać. Przyszła kolej na Młynek.

Wspaniała stara maszyna z poczerniałym przodem i pracującymi szczękami powoli wycofała się w cień na północnym krańcu komory. Dopiero wtedy z mroku wyłonił się Młynek.

Maszyna zajęła pozycję pod otworem, a ekipa mechaników błyskawicznie włączyła się do akcji. Małe wagoniki kolejki jednotorowej dowiozły sześć potężnych kamiennych kroksztynów, które miały przymocować Młynek do podłogi komory.

Po godzinie wszystko było gotowe. Mechanicy wycofali się za barierki, a do komory wkroczyło pięciu członków grupy wydobywczej w specjalnych czarnych

kombinezonach ochronnych. Wspięli się po drabince, przymocowanej do zakrzywionego tyłu Młynka.

Minęło pięć minut i wielkie silniki Młynka ożyły z rykiem. Maszyna podniosła się na silnych nogach hydraulicznych, niczym ropucha szykująca się do skoku. Cztery okrągłe kończyny miażdżące uniosły się jak ręce tancerza. Potem, bez ostrzeżenia, Młynek wcisnął się w skałę.

O ile Stare Kamienne Zęby pracowały głośno, o tyle hałas Młynka był prawie nie do zniesienia. Pomimo grubego hełmu i stoperów w uszach Aitrus skrzywił się, kiedy wysoki jazgot zaczął przenikać go na wskroś.

W miarę jak skała ustępowała, ramiona maszyny wyciągały się coraz dalej, aż utworzyły wielki krzyż, który zdawał się podtrzymywać sklepienie komory. W pewnym momencie praca ustała, a ramiona schowały się z głośnym sykiem.

Przerwa w ogłuszającym hałasie była miła, ale krótka. W niespełna minutę później łoskot rozbrzmiał na nowo. Młynek uniósł się nieco, zmienił położenie kończyn, po czym zaczął wykuwać nowy stopień, tuż na tym, który zrobił przed chwilą.

Wielki otwór wykonany przez Stare Kamienne Zęby powiększył się do rozmiarów potężnej niszy. Należało jednak wykuć jeszcze sporo kamieni, zanim szyb zostanie pokryty narą i podparty krzyżowymi zastrzałami. Żeby wprowadzić do pracy Przeżuwacza Skał i Kreta, należało zbudować platformę na dwóch trzecich wysokości częściowo ukończonego szybu. Stare Kamienne Zęby i Młynek trzeba było podnieść na platformę za pomocą potężnych wyciągów.

Później praca miała się zacząć na nowo. Dwie pogłębiarki miały na zmianę wykuwać główny kanał, a pod nimi dwie nieco mniejsze maszyny miały szlifować ściany szybu i wykuwać spiralne stopnie.

Członkowie Cechu Inżynierów zajęli miejsca, by rozpocząć montaż platformy. Młodzi badacze zaś zaczęli powoli opuszczać plac robót, ponieważ ich rola na razie dobiegła końca.

Aitrus odszedł jako ostatni, oglądając się przez ramię. Żeby dotrzeć do obozu, należało minąć wiele węzłów zastawionych namiotami cechowymi i sprzętem, przejść przez tłumy cechowników przybywających z D'ni i oddziały Straży Miejskiej, która miała utrzymywać porządek w tunelach. W pewnym momencie Aitrus poczuł taki sam zawód, do jakiego przyznał się mistrz Telanis. Patrząc na te wszystkie przygotowania, zdał sobie sprawę ze znikomości ich własnych dokonań.



Za sześć dni mieli stąd odejść.

Aitrus westchnął. Jego koledzy badacze szli w pewnej odległości prze nim. Słyszał ich rozmowy i urywany, ale radosny śmiech. Aitrus wiedział, że cieszyli się z powrotu do domu. Nie miało dla nich znaczenia, kto przekopie się na powierzchnię; w każdym razie nie zaprzętały tym sobie głowy w takim stopniu jak on czy mistrz Telanis.

Mimo to mistrz Telanis miał rację. Powinno się dokończyć to, co się zaczęło. Chociaż kultura D'ni polegała na ściśle wyznaczonych granicach pomiędzy poszczególnymi cechami, musiał przecież istnieć obszar, gdzie wciąż ceniono czystą, indywidualną inicjatywę, a czy którykolwiek cech spełniał te warunki lepiej niż Cech Badaczy?

Aitrus minął bramę wężła i wyszedł na platformę, na której znajdował się ich obóz. Spojrzał na pogłębiarki stojące pod północną ścianą i uśmiechnął się ciepło. Był bliski poproszenia o ponowne przydzielenie do ekipy wydobywców, oczywiście pod warunkiem, że planowano jeszcze jakiegokolwiek wyprawy.

Ujrawszy Aitrusa, mistrz Telanis wezwał go do siebie i szybko zaprowadził do swojej kabiny. Sprawiał wrażenie dziwnie podnieconego.

- Aitrusie, mam dla ciebie nowinę, która bardzo cię ucieszy! – oznajmił, zanim jeszcze młodzieniec zdążył usiąść. – Rada zweryfikowała swoją decyzję i wyraziła zgodę, by miały kontyngent wyodrębniony spośród członków wyprawy towarzyszył konserwatorom w przekopaniu się na powierzchnię!

- To znaczy, że zobaczymy zakończenie pracy! – wykrzyknął Aitrus, uśmiechając się szeroko.

- Wybrałem sześciu cechowników, którzy będą mi towarzyszyć. Ty, rzecz jasna, jesteś jednym z nich.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, cechmistrzu – powiedział Aitrus, pochylając głowę.

- Och, nie mnie masz dziękować, Aitrusie, ale swemu przyjacielowi Veowisowi. Wygląda na to, że to jego interwencji zawdzięczamy zmianę stanowiska Rady.

- Veowisowi? – zdumiał się Aitrus. Napisał do Veovisa przed kilkoma tygodniami, dziękując mu za prezenty, ale ani słowem nie wspomniał o decyzji Rady. – Nie rozumiem.

Telanis usiadł, wziął z biurka list i podał Aitrusowi.

- Twój przyjaciel i dobroczyńca Veovis aktywnie udzielał się w Radzie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, czyli od czasu, gdy jego ojciec zachorował. Wszystko

wskazuje na to, że ma posłuch u kilku starszych członków Rady. Propozycja Veovisa, by grupa badaczy była obecna podczas przekopania się na powierzchnię, została przyjęta jednogłośnie. Najwyraźniej sporo mu zawdzięczamy – uśmiechnął się Telanis.

- Napiszę do niego znowu i podziękuję mu.

- Nie ma takiej potrzeby – odparł Telanis, odbierając list. – Za sześć dni Veovis pojawi się tutaj osobiście. Co więcej, cała Rada ma nas zaszczyścić swoją obecnością podczas ceremonii otwarcia szybu. Doniesiono mi, że wszyscy kucharze z D’ni zostali zatrudnieni do przygotowywania uczt. Szykuje się wielka uroczystość, a wszystko zaczęło się od naszej skromnej wyprawy!

Następne dni minęły szybko, a szóstego dnia wieczorem, dokładnie o godzinie przewidzianej przez Cech Badaczy, wielki szyb został ukończony. Ostatni zakrzywiony płat nary przynitowano do ściany i włączono osiemdziesiąt olbrzymich wentylatorów, których śmigła trzykrotnie przekraczały wzrost dorosłego człowieka.

Widok szybu zapierał dech w piersiach. Stojąc w wielkiej komorze, Aitrus poczuł lekki dreszcz. Granitową podłogę wyłożono marmurem, a w centrum umieszczono wielką mozaikę przedstawiającą miasto D’ni. Całość otaczał jasnoniebieski pierścień, który miał symbolizować świat otaczający ich schronienie w skale. Chociaż mozaika przedstawiała wspaniały widok, oczy wszystkich kierowały się ku górze. Piętrzące się w górze ściany i spiralne schody wijące się wzwyż jak czarna nić przyprawiały patrzących o zawrót głowy.

Aitrus wykonał pełny obrót i otworzył szeroko usta. Słyszał, że w ścianach umieszczono około dwudziestu tysięcy ognistych kulek. Umocowano je w lampach, zapalanych przez ruch wentylatorów. Kiedy potężne śmigła zaczęły wirować, ogniste kulki zapłonęły ostrym, czystym światłem, które wypełniło wielki szyb.

Aitrus spuścił wzrok i rozejrzył się wokół siebie. Cech Dostawców zabrał się już do pracy. Oddziały umundurowanych cechowników wносиły do komory wielkie drewniane stoły, mogące pomieścić po dwadzieścia osób. Inni zaś krzżeli się przy piecach na południowej ścianie, przygotowując ucztę, która miała się odbyć nazajutrz.

Dwa dni wcześniej rozmontowano Stare Kamienne Zęby i odesłano do D’ni. Młynek odjechał następnego dnia. Podczas gdy dostawcy ustawiali stoły i zaczęli

montować barierki, członkowie Cechu Górników rozmontowywali Przeżuwacza Skał i Kreta, które nazajutrz miały opuścić plac robót.

Aitrus, zwolniony z oficjalnych obowiązków, spacerował po komorze, przyglądał się pracom i sporządzał notatki. Właśnie spostrzegł kolejkę jednotorową, która dowoziła nakrycia i krzesła, kiedy podeszło do niego dwóch nieznajomych.

- Aitrusie?

Odwrócił się i ujrzał wysokiego człowieka w płaszczu, który uśmiechał się do niego. Tuż za nim stał drugi, niższy, nieco zgarbiony mężczyzna; jego twarz skrywał kaptur płaszcza.

- Przepraszam, ty jesteś Aitrus, prawda? – zapytał wyższy mężczyzna. – Jestem Veovis. Cieszę się, że spotykam cię po tylu latach.

Veovis był barczysty i o głowę wyższy, niż Aitrus pamiętał. Był przystojny, ale jego twarz miała nieprzenikniony kamienny wyraz, w czym był nieodrodnym synem swego ojca. Kiedy Aitrus uściśnął dłoń młodego pana, zdziwił go uśmiech, jaki pojawił się na ustach Veovisa, oraz śmiałe spojrzenie. Mężczyzna stojący przed nim różnił się bardzo od chłopca, którego Aitrus pamiętał ze szkolnych lat.

- Panie Veovisie – powiedział, chowając notes. – Jestem ci winien słowa podziękowań.

- A D'ni musi podziękować tobie – odparł z uśmiechem Veovis. – Tobie i oczywiście twoim kolegom z cechu. – Odwrócił się nieznacznie, by przedstawić towarzysza, który nie zdjął kaptura. – To jest mój przyjaciel i główny doradca Lianis. Właśnie Lianis zwrócił uwagę na twoje prace na temat osadów piroklastycznych.

Aitrus spojrzał na Lianisa i skinął głową, zdziwiony sędziwym wiekiem doradcy Veovisa.

- Lianis był doradcą mego ojca, a przedtem mego dziadka. Kiedy ojciec zachorował, postanowiono, że powinienem zatrzymać Lianisa jako doradcę, by móc korzystać z jego doświadczenia i mądrości – uśmiechnął się Veovis. – Całe szczęście, że tak się stało, ponieważ Lianis ustrzegł mnie przed wieloma błędami młodości.

Aitrus skinął głową, po czym spojrzał na Lianisa.

- Moja praca była tylko jedną z wielu, mistrzu Lianisie. Nie była też oryginalna pod względem przedstawionych w niej idei. Dziwię się, że zwróciła twoją uwagę.

Na twarzy Lianisa nigdy nie gościł uśmiech. Napotkał wzrok Aitrusa, a jego twarz przybrała wyraz kamiennej powagi.

- Dobra praca świeci z dala niczym latarnia morska, cechowniku. Często o wartości pracy młodego człowieka nie decyduje oryginalność, ale jasność umysłu. Ja tylko dostrzegłem poważny ton twojego tekstu i wspomniałem o tym ojcu młodego pana. Na tym polega moja praca i nie przypisuję sobie za to żadnych zasług.

- Mimo to dziękuję ci, mistrzu Lianisie, a także tobie, mistrzu Veovisie – uśmiechnął się Aitrus. – Przyrzędy, które raczyłeś przysłać, bardzo mi się przydały.

- Cieszy mnie to, choć nigdy w to nie wątpiłem.

Dwaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się.

- Niestety muszę cię już pożegnać. Czekają na mnie cechownicy ojca. Cieszę się jednak, że miałem okazję porozmawiać z tobą, Aitrusie. Obawiam się, że jutro nie będziemy mieli na to wiele czasu. Po powrocie do D'ni musisz mnie odwiedzić.

- Panie – odparł Aitrus, kłaniając się.

Veovis pozdrowił go nieznacznym skinieniem głowy, potem zerknął na Lianisa i odeszli w głąb komory.

Aitrus odprowadzał wzrokiem dwóch mężczyzn w płaszczach. Miał dziwne poczucie, że oto coś się zaczęło. Wyjął notes i zapisał po prostu:

„Znowu spotkałem Veovisa. Zmienił się. Nie jest już dzieckiem. Poprosił, żebym odwiedził go w D'ni”. Przerwał na moment, po czym dodał: „Zobaczymy”.

Aitrus schował notes do kieszeni, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę jasnego kręgu tunelu wyjściowego.

Uczta na cześć wykopania szybu dobiegała końca. Młodzi cechownicy z Cechu Artystów śledzili wydarzenia z pewnej odległości, pospiesznie szkicując scenę uczty, kiedy wielkie osobistości żegnały się ze sobą. Za rok w korytarzach Domu Cechowego w D'ni miała zawisnąć cała seria nowych płócien i gobelinów upamiętniających to wydarzenie dla potomności. Teraz jednak wielcy mistrzowie rozmawiali o bardziej przyziemnych sprawach.

Nieczęsto zdarzało się oglądać przedstawicieli wszystkich osiemnastu cechów zgromadzonych w jednym miejscu. Widok ich barwnych strojów – każdy cech miał inny kolor, a płaszcze zdobiły symbole określające rangę i status cechownika – sprawiały Aitrusowi niemal dziecięcą radość. Dotychczas takie sceny widział tylko w książkach.

Płaszcz Aitrusa, podobnie jak wszystkich młodych cechowników bez rangi, miał osiem takich symboli, po cztery pod każdą klapą. Na płaszczach wielkich panów widniał tylko jeden.

Aitrus, który siedział na obrzeżach kręgu biesiadnego, zobaczy, jak Veovis wstaje, by powitać jednego z wielkich panów. Ta oznaka przyjaznego szacunku wywołała uśmiech na twarzy starca. Na ucztę przyjechali czterej spośród pięciu wielkich panów; ojca Veovisa zatrzymała choroba. Przybyło też osiemnastu wielkich mistrzów reprezentujących cechy oraz kilkuset starszych mistrzów w przepysznych strojach.

Dla młodego cechownika goście przedstawiali imponujący widok. Mówiono, że pan Tulla ma dwieście osiemdziesiąt siedem lat, a jego trzech towarzysze – panowie R'hira, Nehir i Eneah – mieli ponad trzysta lat. W porównaniu z nimi Veovis był młokosem, błyskiem słońca na tle mrocznego cienia. Zwłaszcza pan Tulla sprawiał wrażenie wyciosanego ze skały; zamienił się w skałę, w której spędził całe życie.

Także Aitrus mógł pewnego dnia zostać jednym z wielkich panów, a może nawet jednym z Pięciu. Droga wiodąca na szczyt była jednak długa i ciężka. Aitrus zastanawiał się czasem, czy dysponuje odpowiednim temperamentem.

Jeżeli ta wyprawa nauczyła Aitrusa czegokolwiek, to tego, że był z natury samotnikiem. Wcześniej sądził, że stała bliskość kolegów pomoże mu wyjść ze skorupy, wygładzi ostre kany jego osobowości, ale tak się nie stało. Nie znaczyło to, że nie potrafił nawiązać kontaktu z kolegami; lubił ich, a oni zdawali się lubić jego. Aitrus po prostu nie podzielał ich pragnień, ich nieustannej potrzeby rozrywek.

- Urodziłeś się stary, Aitrusie – powtarzała wielokrotnie jego matka. – Zbyt stary i zbyt poważny.

W tamtych czasach Aitrus niepokoił się tym, teraz jednak pojął, że nie zdoła stać się kimś innym. Pozostali, wśród nich mistrz Telanis, zdawali się cenić jego powagę. Nie widzieli w niej żadnej słabości, ale siłę.

Mimo to Aitrus zastanawiał się, jak wejdzie z powrotem w życie Domu Cechowego. Nie troszczył się o pracę – zarówno naukę, jak i działalność praktyczną – ale o życie osobiste. Obserwując wielkich ludzi, którzy ucztowali wokół niego, przypominał sobie o wszystkich drobnych wyrzeczeniach, jakimi była usiana ich droga do wysokich stanowisk.

Gdyby Aitrus miał możliwość wyboru, spędziłby całe życie na wierceniach w skałe i badaniach. Rozumiał jednak, że było to zajęcia dla młodego człowieka, a on

nie mógł pozostać młody przez całe życie. Po pewnym czasie poproszą go o kierowanie grupą. Najpierw przydzielą mu drobne zadania, stopniowo jednak coraz bardziej odpowiedzialne. W późniejszej pracy Aitrus nie będzie miał do czynienia z dynamiką skały – z ciężarem, kształtem i ciśnieniem – ale z kapryсами i sprzecznościami osobowości.

Spojrzał ponad stołem i napotkał wzrok Telanisa. Cechmistrz uśmiechnął się i uniósł srebrny kielich. Aitrus podniósł własny, ale nie upił. Wielu jego kolegów było już pijanych, ale on nie wziął do ust nawet łyka mocnego wina.

Gdyby to zależało od Aitrusa, odszedłby od stołu już przed godziną, zaraz po ostatniej mowie. Nie wypadało jednak, by cechownicy opuszczali biesiadę przed mistrzami. Siedzieli więc nad resztkami wspaniałych potraw i patrzyli, jak starcy krążyli od stołu do stołu.

- Spójrz! – szepnął ktoś po prawej ręce Aitrusa. – Młody pan idzie tutaj!

Aitrus podniósł wzrok i ujrzał nadchodzącego Veovisa. Na widok Aitrusa Veovis uśmiechnął się i zwrócił do Telanisa:

- Mistrzu Telanisie, czy mogę zamienić słowo na osobności z cechownikiem Aitrusem?

- Naturalnie – odparł Telanis i skłonił się z szacunkiem.

Aitrus, zakłopotany nagłym zainteresowaniem wokół jego osoby, wstał, okrążył stół i podszedł do Veovisa.

- Wybacz, Aitrusie – zaczął cicho Veovis. – Znowu wzywają mnie obowiązki, ale pan Tulla pozwolił mi zostać tu jeszcze jeden dzień. Pomyślałem, że moglibyśmy spotkać się, na przykład jutro po wyłomie.

Wyłomem nazywano małą uroczystość na część ukończenia tunelu.

- Z przyjemnością – odparł Aitrus.

- Doskonale. – Veovis uściskał ramię młodzieńca, po czym, jakby zdał sobie sprawę z zakłopotania Aitrusa, cofnął rękę. – A zatem do jutra.

Tego wieczoru wydźwignięto pogłębiarkę na platformę na samym szczycie wielkiego szybu. Aitrusa, który stał obok mistrza Telanisa i patrzył, jak opuszcza maszynę na metalową kratę, przepelniała duma. Rola pogłębiarki w kruszeniu skały stała się marginalna. Na plac robót dowieziono już inne, większe i wydajniejsze,

maszyny. To one miały wykopać ostatni odcinek tunelu. Pogłębiarka jednak miała być ich domem podczas tego ostatniego etapu podróży.

Wcześniej mistrz Telanis wygłosił wzruszającą mowę pożegnalną dla tych kadetów, którzy rankiem mieli wrócić do D'ni. Na miejscu zostawał tylko mistrz Geran i pięciu innych, którzy mieli reprezentować swoje cechy podczas przekopywania się na powierzchnię.

- Ile czasu to zajmie? – zapytał Aitrus, patrząc na Telanisa.

Cechmistrz całą swoją uwagę skupił na pogłębiarce. Obce ręce zdejmowały łańcuchy dźwigu i zaczynały podnosić pojazd, by wysunąć spod niego wielką misę. Nie odrywając oczu od pogłębiarki, Telanis odpowiedział cicho:

- Tydzień, może mniej. Dlaczego pytasz? Czyżbyś się niecierpliwił, Aitrusie?

- Nie, mistrzu.

- To dobrze. Nie chcę, żebyś doznał zawodu.

- Nie rozumiem, mistrzu.

- Tunel zostanie wykopany – powiedział Telanis, patrząc na młodzieńca. – Czy jednak kiedykolwiek wyjdziemy na powierzchnię, to inna sprawa. Decyzja ma zapaść na ostatnim posiedzeniu Rady.

Aitrus poczuł dziwny niepokój. Na myśl o tym, że mógłby się znaleźć tak blisko powierzchni ziemi i nigdy na nią nie wyjść, doznał zawrotu głowy.

- Sądziłem, że decyzja już zapadła.

- Ja również – odparł Telanis. – Jest to jednak ważna sprawa, być może najważniejsza ze wszystkich, które Rada rozpatrywała do wielu stuleci. W razie błędnej decyzji mogłoby ucierpieć całe D'ni. Dlatego Rada będzie debatować aż do ostatniej chwili. Nawet dzisiaj, składając sobie gratulacje podczas uczty, dyskutowali na ten temat!

- A jeżeli podejmą decyzję negatywną?

- Wtedy wrócimy do domu, Aitrusie – odparł Telanis, patrząc mu prosto w oczy.

- A tunel?

- Zostanie zamknięty, przynajmniej jego szczytowy fragment. Jest mało prawdopodobne, by mieszkańcy powierzchni dysponowali technologią umożliwiającą im wwiercenie się do szybu, nawet gdyby go zlokalizowali.

- Rozumiem.

- Nie, Aitrusie. Ani ty, ani ja nie rozumiemy tego w taki sposób, jak wielcy panowie. Kiedy jednak podejmą ostateczną decyzję, podporządkujemy się jej bez względu na to, jaka będzie.

- A jak ty myślisz, mistrzu? Czy sądzisz, że pozwolą nam nawiązać kontakt z mieszkańcami powierzchni?

- Gdybym to wiedział, Aitrusie, sam byłbym wielkim panem – zaśmiał się cicho Telanis.

Aitrus obudził się w środku nocy. Platforma dygotała, jakby w głębi ziemi ktoś uderzył w wielki gong. Ludzie wokół niego spali jak zabici, nieświadomi słabego drżenia. Po chwili wstrząsy ustały i platforma znieruchomiała. Aitrus podejrzewał już, że wszystko to mu się wydawało, kiedy wstrząsy powróciły, tym razem silniejsze i prawie słyszalne.

Aitrus odrzucił koc, wstał i podszedł do krawędzi platformy. Szyb wibrował, a w powietrzu rozlegał się cichy, niski pomruk.

Od prawie trzech miesięcy ziemia milczała. Dopiero teraz, kiedy szykowali się do opuszczenia jej, ponownie się przebudziła.

Aitrus odwrócił się i spojrzał na cechowników rozłożonych wokół pogłębiarki. Wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie po uczcie.

Młodzieniec szybko podszedł do mistrza Gerana, kucnął i delikatnie potrząsnął śpiącym. Po chwili Geran otworzył niewidzące oczy.

- Aitrusie?

Aitrus nie miał pojęcia, jak starzec to robił, ale jego zmysły nigdy nie zawodziły.

- Wyczułem ruch – powiedział cicho. – Szyb wibrował jak wielka pusta rura.

Mistrz Geran usiadł i odwrócił twarz do środka tunelu. Przez chwilę siedział całkowicie nieruchomo, wreszcie zwrócił twarz do Aitrusa.

- Pomóż mi wstać, chłopcze.

Aitrus pochylił się i spełnił prośbę starca.

- Ile razy? – zapytał Geran, podchodząc do krawędzi szybu.

- Trzy. To znaczy, jeżeli ten, który mnie obudził, był pierwszy.

Geran skinął głową, potem kucnął i delikatnie przesunął palcami prawej dłoni po powierzchni platformy.

Czekali przez dwie, może trzy minuty, a wreszcie wstrząs powrócił, tym razem znacznie silniejszy i dłuższy. Kiedy minął, Geran wstał i pokręcił głową.



- Trudno stwierdzić, z której strony pochodzi. Szybkanalizuje energię wstrząsów. Ten ostatni był jednak potężny, Aitrusie. Dziwię się, że wcześniej mnie nie obudziły.

Aitrus spuścił wzrok, uśmiechając się nieznacznie, ale nic nie powiedział. Widział, ile mocnego wina mistrz Geran wypił podczas uczy. Właściwie dziwiło go tylko to, że starzec obudził się, kiedy nim potrząsnął.

- Czy powinniśmy obudzić pozostałych, mistrzu? – spytał Aitrus, ale Geran potrząsnął głową.

- Nie, na razie zostawimy to tak, jak jest. Ostateczne pomiary wykażą, czy istnieje ryzyko, ale osobiście w to wątpię. Dotarliśmy daleko na północ od izopach, które wykryliśmy wcześniej. Wszelka aktywność wulkaniczna musi pochodzić stamtąd. To, co słyszymy, Aitrusie, to tylko echa w skale. Przyznaję, że są imponujące, ale zupełnie niegroźne.

Geran uśmiechnął się i poklepał Aitrusa po ramieniu.

- Wyśpij się, młodzieńcze. Jutro czeka nas długi dzień.

Uspokojony przez mistrza Gerana, Aitrus wsunął się z powrotem pod koc i wkrótce znowu zasnął. Jeżeli ziemia zadrżała, nie zwrócił na to uwagi. Obudził się jako ostatni; mistrz Telanis potrząsał go za ramię, wrywając z głębokiego snu.

- Wstawaj, Aitrusie. Umyj się i ubierz. Ceremonia zaczyna się za pół godziny!

Ustawili się w szeregu przed przecinarką obok ludzi z Cechu Konserwatorów, którzy mieli nadzorować ostatni etap podróży na powierzchnię.

Konserwatorzy byli jednym z najstarszych cechów i z pewnością jednym z najważniejszych. Ich wielcy mistrzowie, oprócz mistrzów z Cechu Pisarzy, Górników, Książek i Wytwórców Atramentu, zostawali z czasem panami D'ni, członkami Pięciu. Obecne zadanie było nietypowe dla konserwatorów; najczęściej utrzymywali w porządku księgi D'ni, pilnowali, by wieki toczyły się we właściwy sposób i by przestrzegano praw ustanowionych wiele pokoleń temu. Nie mieli nic wspólnego z wykopaliskami i drażeniem tuneli. Cechownicy z cechów o bardziej fizycznym charakterze, którzy na co mieli do czynienia z ziemią, skałami i kamieniami – w zaciszu swoich Domów Cechowych pogardliwie nazywali konserwatorów „ludźmi o czystych rękach”. Jednak ci konkretni konserwatorzy zostali specjalnie przeszkoleni na tę okazję, a w ich gronie znajdowali się cechownicy z Cechu Górników i Badaczy.

Teraz mieli wykopać ostatni odcinek szybu, a w razie napotkania mieszkańców powierzchni to właśnie konserwatorzy jako pierwsi mieli nawiązać z nimi kontakt. Panowało powszechne przekonanie, że tylko oni mogą poradzić sobie z tym delikatnym zadaniem.

Tylko nieliczni z cechmistrzów obecnych podczas uczty zostali na tę ostatnią, małą ceremonię. W grupce, która teraz wystąpiła do przodu, było jednak aż dwóch wielkich panów – pan Tulla i pan Eneah. Tuż za nimi, z grupą wielkich mistrzów, stał Veovis.

Pan Tulla powiedział parę słów, potem wystąpił do przodu i pociągnął za dźwignię, która uruchomiła wycinarkę. W tym samym momencie Veovis spojrzął na Aitrusa i nieznacznie skinął głową.

Aitrus zastanawiał się, czy ma przed sobą tych członków Rady, którzy opowiadali się za nawiązaniem kontaktu z mieszkańcami powierzchni. A może mylnie odczytywał znaki? Może pozostali byli po prostu zbyt zajęci, by przybyć na ceremonię?

Pan Tulla cofnął się, a silniki wycinarki ożyły. Koliste ostrze zaczęło się obracać, najpierw powoli, ale w miarę zagłębiania się w skałę coraz szybciej.

Prosta ceremonia dobiegła końca. Wielkie osobistości odwróciły się, gotowe do odejścia. Na znak dany przez mistrza Telanisa badacze się rozeszli.

Aitrus widział, że Veovis rozmawia z wielkim mistrzem z Cechu Poślańców. Czekając, obserwował maszynę i myślał o nocnych hałasach.

Aitrus dowiedział się, że mistrz Geran wstał wcześniej, by dokonać pomiaru skały, przez którą zamierzali przekopać ostatni odcinek szybu. Pomiary nie wykazały niczego niezwykłego, a wstrząsy ziemi ustały. Zarówno Geran, jak i Telanis wyrazili opinię, że wstrząsy nie były niczym poważnym i stanowiły tylko efekt układania się starych uskoków skalnych. Aitrus nie był tego pewien, ale skłonił głowę przed doświadczeniem mistrzów.

- Aitrusie?

Odwrócił się i ujrzał Veovisa.

- Musisz mi wybaczyć, Aitrusie – uśmiechnął się przepraszająco młody pan. – Znowu wzywają mnie obowiązki. Obiecuję jednak, że wrócę dziś wieczorem, kiedy odprowadzę pana Tullę. Sądziłem, że nie zostanie na ceremonii.

- Rozumiem.

- Zatem do zobaczenia – rzekł Veovis, po czym odwrócił się i szybkim krokiem podszedł do pana Tulli.

Aitrus patrzył, jak grupa dostojnych gości wsiadła do specjalnego wagonu, który przetoczono po tymczasowym torze. Potem podszedł do krawędzi szybu i odprowadził wzrokiem znikający wagon.

Im dłużej Veovis odkładał rozmowę, tym większy niepokój ogarniał Aitrusa. Wyglądało na to, że Veovis chce się z nim zaprzyjaźnić. Ale dlaczego? Przecież Veovis musiał mieć wielu przyjaciół. A nawet jeśli tak nie było, to czemu jego wybór padł na Aitrusa, a nie na kogoś bardziej odpowiedniego?

Być może tajemnica miała się wkrótce wyjaśnić, ale Aitrus bardzo w to wątpił. Skąła była przewidywalna. Również ona miewała różne nastroje, lecz można było zgłębić ich sens, przewidzieć zachowanie skały. Któż jednak mógł powiedzieć to samo o człowieku?

Aitrus odwrócił się i spojrzał na platformę. Wycinarka zdążyła zagłębić się w skałę, niczym ryjkowiec wgryzający się w pień drzewa. Aitrus kucnął, wydobył notes, rozłożył go na kolanie i rozejrzał się, chłonąc najdrobniejsze szczegóły sceny.

Dziś wieczorem – pomyślał, ale po chwili odegnał tę myśl i zaczął szkicować.

Aitrus właśnie podnosił rękę, szukając po omacku wagi, kiedy nadeszła fala uderzeniowa. Aitrus poleciał do przodu, uderzył czołem o przepierzenie, a cały pojazd uniósł się w górę i przetoczył na bok.

Pogłębiarka dygotała przez pięć długich sekund, a powietrze wypełnił ogłuszający odgłos rozdzieranego metalu.

Po chwili zapadła cisza.

Aitrus wstał z trudem, dotknął brwi i poczuł krew. Na platformie zawyła syrena. Przez chwilę światła na pogłębiarce migotały słabo, potem włączyło się oświetlenie alarmowe. W jasnym świetle zobaczył, że pogłębiarka leżała przewrócona do tyłu.

Przeczołgał się pochyłym korytarzem i wyjrzał na zewnątrz.

Cechownicy biegali we wszystkich kierunkach, nawołując się niespokojnie. W głębi platformy wielki fragment metalowej siatki zgiął się i zsunął ze wsporników. Teraz zwisał niebezpiecznie nad szybem. Po ścianie szybu biegła węzowo czarna szczelina.

Aitrus otworzył usta ze zdumienia. Szyb pękał! Kamień nary odrywał się płatami!

Wstrząs musiał nastąpić tuż pod nimi.

Aitrus zauważył też, że uszkodzeniu uległ wylot nowego tunelu. Duży odłamek skalny oderwał się od łuku i częściowo zablokował tunel. Wycinarka została uwięziona.

Mistrz Telanis chwycił Aitrusa za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- Aitrusie, natychmiast załóż kombinezon ochronny i zamelduj się u mnie. Musimy jak najszybciej zabezpieczyć to miejsce. W razie kolejnego wstrząsu cała platforma może runąć.

Zbyt zszokowany, by cokolwiek powiedzieć, Aitrus kiwnął głową i czym prędzej wrócił do pogłębiarki. Po minucie wrócił, ciągnął dwa zbiorniki tlenu i hełm. Jeżeli dopływ powietrza do szybu został przerwany, oddychania mogło wkrótce stać się problemem, zwłaszcza jeśli któryś z wielkich wentylatorów został uszkodzony.

Telanis wezwał Aitrusa do siebie, gdzie zebrało się już kilku cechowników. Brakowało jednak mistrza Gerana.

Opanowany głos mistrza Telanisa wystarczył, by uspokoić młodych ludzi. Niektórych posłał po wiertła, innym kazał przygotować stroje ochronne, w końcu spojrzął na Aitrusa.

- Mistrz Geran odszedł, Aitrusie – powiedział cicho. – Stał przy krawędzi szybu, kiedy nastąpił wstrząs. Widziałem, jak spadł w przepaść.

Dla Aitrusa był to prawdziwy cios. Krzyknął z bólu.

- Wiem. – Telanis położył dłoń na ramieniu młodzieńca. – Teraz jednak musimy się zająć żywymi. Nie znamy jeszcze losu załogi wycinarki. Byli w niej także konserwatorzy. Jeżeli tunel się na nich zawalił, może spróbujemy ich odkopać.

Aitrus skinął głową, ale czuł się całkowicie odrętwiały. Nie mógł uwierzyć, że Geran odszedł.

- Co mam robić? – zapytał, próbując zachować przytomność umysłu.

- Mam dla ciebie specjalne zadanie, Aitrusie, które będzie wymagało niezwykłej odwagi. Chcę, żebyś zszedł i nawiązał kontakt z ludźmi w dolnej komorze. Poinformuj ich o naszej sytuacji. Powiedz, że szyb popękał, a załoga wycinarki została uwięziona. Jeżeli mogą przysłać pomoc, to chcę, żeby przysłali ją jak najszybciej. Zapamiętasz to, Aitrusie?

- Mistrzu – odparł, ale przez chwilę stał jak przykuty do ziemi.

- A zatem, Aitrusie? – ponaglił go łagodnie Telanis.

Te słowa pobudziły młodzieńca. Przytroczył zbiorniki do pleców, naciągnął hełm i pospieszył w stronę schodów.

Okazało się, że są zablokowane wielkim płatem nary. Pozostawała tylko jedna droga w dół, a mianowicie tor kolejki.

Aitrus wahał się przez chwilę, ale zaraz wychylił się i chwycił metalową drabinkę, biegnącą między szerokimi szynami. Zatrzymał wzrok na metalowym zacisku przy kołnierzu kombinezonu. W razie kolejnego wstrząsu musiał przyczepić się do drabinki i modlić się, żeby nie oderwała się od ściany.

A gdyby do tego doszło?

Aitrus odegnał tę myśl i skoncentrował się na schodzeniu.

Aitrus pokonał już prawie połowę drogi, kiedy nastąpił drugi wstrząs.

Przyczepił się do metalowego szczebla, objął drabinkę obiema rękami i wbił stopy w przestrzeń między szczeblem a ścianą.

Mijała minuta za minutą, a cały szyb drżał jak ogromne organy. Z górnej platformy sypały się rozmaite przedmioty.

Tor kolejki wydał głuchy jęk. Aitrus obawiał się przez chwilę, że metalowe ćwieki wysuną się ze skały, o ile wcześniej nie zostanie zrzucony z drabinki!

Nie miał pojęcia, jak długo to trwało, ale miał wrażenie, że upłynęła wieczność, zanim, wśród zamierających pogłosów, wstrząsy ustały.

Zapadła niesamowita cisza, a potem coś upadło na marmurową posadzkę daleko w dole.

Aitrus otworzył oczy. Naprzeciwko niego rozwarła się ściana szybu. Szczeliny pojawiły się wszędzie. Wielkie spojone fragmenty szybu pozostały nietknięte, ale między nimi ziały przerwy, jak gdyby znajdująca się w głębi ściana tunelu odsunęła się w tył. Zewnętrzna ściana spiralnych schodów oderwała się w wielu miejscach, a kilka wielkich sworzni zabezpieczających wysunęło się ze skały.

Na widok zniszczenia Aitrusowi zamarło serce. Konstrukcja sprawiała wrażenie tak mocnej i trwałej, a przecież wystarczył jeszcze tylko jeden wstrząs, by cały szyb runął.

Nie zważając na ból łydek i ramion, znów zaczął schodzić po drabinie. Starał się przyspieszyć, wiedząc, że czas działa przeciwko niemu. Po chwili zamarł w bezruchu.

Dokładnie pod nim rozległ się krzyk.

Aitrus wychylił się, próbując zobaczyć, skąd dobiegł odgłos, i natychmiast dostrzegł wagon.

Czterdzieści, może pięćdziesiąt pięci pod nim tor odstawał od ściany szybu, odciągany ciężarem wagonu.

Ponownie rozległo się wołanie o pomoc.

- Trzymajcie się! – odkrzyknął Aitrus. – Schodzę do was!

Dno szybu znajdowało się około pięciuset piędzi w dole. Chcąc pomóc uwięzionym, Aitrus musiał zejść po torze i zeskoczyć na dach wagonu.

Bardzo by mu się przydał kawał liny, ale dysponował tylko zbiornikiem powietrza.

Upewniwszy się, że mocno trzyma drabinę, Aitrus wyciągnął rękę i chwycił za szynę.

Bolce mocujące tor do ściany szybu wysunęły się ze skały. Pytanie brzmiało: Czy ciężar Aitrusa spowoduje oderwanie się dalszego odcinka toru i upadek wagonu na dno wielkiego szybu?

Musiał zaryzykować.

Wzdłuż zewnętrznej krawędzi szyny biegło wyłobienie, dopasowane do ząbków z boku wagonu. Druk prowadnicy przechodzący przez wagon zerwał się, więc wagon utrzymywał się tylko dzięki połączeniu ząbków z wyłobieniem. Gdyby i ono puściło...

W głębi ziemi rozległ się łoskot. Przedmioty sypały się z grzechotem na marmurową posadzkę w dole. Metalowa karoseria wagonu stęknęła.

Teraz – powiedział do siebie Aitrus. – Teraz, zanim dojdzie do kolejnego wstrząsu.

Odliczył do pięciu i przeniósł ciężar ciała na tor. Wsunął palce w zębate wgłębienia i powoli zaczął się zsuwać; nogi dyndały mu nad przepaścią.

Tor zaskrzypiał, jęknął, ale wytrzymał. Aitrus ostrożnie przesuwiał dłonie po szynie, najpierw lewą, potem prawą. Nie spuszczał wzroku ze ściany w górze i modlił się, żeby bolce nie puściły. Wreszcie wyczuł pod stopami dach wagonu.

Przełknął ślinę i odzyskał głos.

- Wszystko w porządku?

Po chwili Aitrus usłyszał szept:

- Jestem ciężko ranny. Zatomowałem krwawienie, ale...

Na dźwięk tego głosu Aitrus drgnął.

- Veovisie?

Odpowiedział mu jęk.

Aitrus nie miał wątpliwości, że to Veovis.

- Trzymaj się – powiedział. – To już nie potrwa długo.

Pod wagonem znajdował się właz. Aitrus pomyślał, że mógłby wślizgnąć się pod spód i dostać się do środka przez właz. Ryzyko ściągnięcia wagonu z toru byłoby wtedy znacznie mniejsze.

Ale jak zdoła tam dotrzeć? A jeżeli nie uda mu się go otworzyć?

Nie, tym razem musiał działać bezpośrednio. Postanowił, że zsunie się na dach wagonu i wejdzie do środka, modląc się, by tor utrzymał dodatkowe obciążenie.

Powoli opuścił się na dach. Był przygotowany na to, że w każdej chwili całą konstrukcja może runąć.

Oddychał szybko, a serce łomotało mu jak szalone. Paski zbiornika boleśnie wpijały się w ramiona. Przez chwilę rozważał możliwość zrzucenia go razem z hełmem. Uznał, że wiązało się to ze zbyt wielkim wysiłkiem. Jeżeli pisane mu był umrzeć, zbiornik nie miał żadnego znaczenia, a zresztą już prawie dostał się do środka. Pozostało tylko przełożyć nogi przez krawędź dachu i opuścić się do środka.

Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Aitrus zdał sobie sprawę, że równie łatwo mógł runąć w głąb szybu, jak zsunąć się do względnie bezpiecznego wnętrza wagonu. Rozluźnił uchwyt i ześlizgnął się w dół. Z głośnym okrzykiem chwycił metalowy drążek nad drzwiczkami wagonu. Ciało Aitrusa skręciło się gwałtownie, po czym uderzyło mocno w bok wagonu.

Z bólu zabrakło mu na moment tchu. Przez sekundę wierzgał nogami nad przepaścią, usiłując się utrzymać. Wreszcie z nadludzkim wysiłkiem zeskoczył do wagonu.

Wagon zakołysał się, zaskrzypiał i jęknął. Rozległ się świdrujący odgłos bolców, które jeden za drugim wysuwały się ze ściany. Nagle nastąpił wstrząs. Wagon runął w dół, zwalając Aitrusa z nóg. Niemal natychmiast rozległ się drugi wstrząs, po którym wagon znieruchomiał.

Aitrus leżał na plecach, a raczej na zbiorniku powietrza. Był bardzo obolały, ale żył. Przekręcił głowę i rozejrzył się po wąskiej podłodze wagonu.

Na wyciągnięcie ręki od Aitrusa leżał Veovis z zamkniętymi oczami i płytko oddychał. Jego ciało, wcześniej blade, miało teraz bardzo popielatą, jak gdyby uszło z niego całe życie.

Powoli, ostrożnie, Aitrus usiadł i podczołgał się do Veovisa.

Młody pan wyglądał na ciężko rannego. Na skroni miał rozległy siniak, a przez prowizoryczny bandaż, którym obwiązał przedramię, przesiąkła krew. Aitrus pochylił się nad piersią rannego i zaczął nasłuchiwać; Veovis nie oddychał.

Aitrus wahał się przez chwilę, ale ponieważ wiedział, że każda sekunda jest droga, zdjął z pleców zbiornik z powietrzem, położył obok Veovisa, a następnie zsunął hełm z głowy.

Kilka cennych sekund musiał zmarnować, by upewnić się, czy przepływ powietrza właściwie funkcjonuje. Wreszcie, zadowolony z testu, Aitrus podniósł głowę Veovisa, nasunął mu hełm i przetoczył rannego na plecy.

Wagon zakołysał się, po czym znieruchomiał.

Nic się nie działo...

Aitrus zamrugał i chwycił rannego za przegub, szukając pulsu. Serce Veovisa przestało pracować.

Aitrus nachylił się nad leżącym i naprał całym ciałem na jego pierś, po chwili cofnął się i nacisnął znowu. Veovis jęknął, a potem wciągnął powietrze.

Aitrus usiadł, przekonany, że zrobił wszystko, co mógł. Veovis nie był w stanie sam sobie pomóc, a Aitrus wiedział, że o własnych siłach nie zdoła wynieść bezwładnego ciała Veovisa z wagonu i znieść go na dno szybu.

Rozległ się głuchy łoskot i wagon zatrzęsł się znowu.

Łoskot narastał, aż Aitrus nabrał pewności, że za chwilę wagon spadnie. Światło powoli zgasło i spowił ich gęsty mrok. Nagle, z odgłosem rozzieranego metalu, wagon oderwał się od toru i przechylił pod ostrym kątem do przodu. Aitrus wstrzymał oddech, oczekując upadku, jednak wagon zatrzymał się w powietrzu. Ściany wokół Aitrusa zaczęły się powoli wyginać do wewnątrz.

- Neeee!

Ściany przestały się wyginać. System hydrauliczny zasyczał, wagon wierzgnął do przodu i zaczął powoli opadać w dziwnym dygocie.

Z uczuciem głębokiej ulgi Aitrus wybuchnął śmiechem.



To była wycinarka. Wycinarka wspięła się w górę szybu i oderwała wagon od toru. Teraz, trzymając go w ramionach tnących, powoli znosiła ich na dół.

Aitrus nachylił się, upewnił, że Veovis oddycha miarowo, wreszcie usiadł, zamknął oczy i oparł głowę o wygiętą ścianę.

Byli bezpieczni.

Rada rozkazała naprawić szyb, ukończyć budowę górnego tunelu, po czym zamknąć go. W ciągu pierwszych dziesięciu minut zebrania postanowiono, że nie będzie żadnego przebicia się na powierzchnię i spotkania z mieszkańcami. Wstrząsy ziemi nie miały żadnego wpływu na decyzję Rady. Najważniejsza była duma i doświadczenie D'ni; stąd naprawy i dążenie do ukończenia budowy.

Nikt nie powie, że ponieśli klęskę. Nie. D'ni nigdy nie przegrywali. Kiedy raz postanowili działać, doprowadzali przedsięwzięcie do końca. Tak postępowali D'ni od tysięcy pokoleń.

Być może w przyszłości, w odmiennych okolicznościach, albo w przypadku zmiany nastrojów w Radzie, tunel zostanie otwarty i nawiąże się kontakt z mieszkańcami powierzchni. Na razie jednak nie wchodziło to w grę.

Przygoda dobiegła końca, ale życie toczyło się dalej.

W dwa tygodnie po decyzji Rady Aitrus siedział w ogrodzie na wyspie K'veer, w posiadłości pana Rakeriego, położonej na południe od wielkich grot D'ni.

Syn Rakeriego, młody pan Veovis, siedział na krześle nieopodal. Wracał do zdrowia, ale wciąż miał zabandażowane ramię i posiniaczoną głowę. Wcześniej młodzieńcy rozmawiali, ale teraz zamilkli i pogrążyli się w zadumie. Wreszcie Aitrus podniósł wzrok i potrząsnął głową.

- Propozycja twojego ojca, Veovisie, jest szczodra i wypływa z jak najlepszych pobudek, ale nie mogę jej przyjąć. Twierdzi, że czuje wobec mnie dług wdzięczności za to, że uratowałem ci życie. Ja zaś zrobiłem tylko to, co każdy zrobiłby na moim miejscu. Poza tym chciałbym odnaleźć własną drogę i zapracować sobie na szacunek własnymi dokonaniem.

- Doskonale cię rozumiem, Aitrusie – uśmiechnął się Veovis. – Takie stanowisko przynosi ci zaszczyt. Może będzie ci lżej na sercu, jeśli przyznam się, że sam odrzuciłbym propozycję mego ojca, ale lepiej mu tego nie powtarzaj.

Aitrus chciał coś powiedzieć, ale Veovis powstrzymał go ruchem ręki.

- Mimo to ja mam dług wobec ciebie, niezależnie od tego, co powiesz o mitycznym „każdym”, który pomógłby mi lub też nie. Ważne jest to, że ty mi pomogłeś, za co pozostanę ci dożgonnie wdzięczny. Och, nie zamierzam cię żenować podarunkami czy propozycjami patronatu, drogi przyjacielu. Pozwól jednak, że jedną sprawę postawię jasno. Jeżeli jest coś, czego pragniesz, a co leży w mojej gestii, zwróć się do mnie, a spełnię twoją prośbę. Dość, powiedziałem już wszystko! Jesteśmy kwita. Wreszcie możemy się rozluźnić i przestać się czuć tak niezręcznie w swoim towarzystwie, prawda?

- A więc i ty to czułeś? – uśmiechnął się Aitrus.

- Owszem, chociaż nie wiem, co jest trudniejsze: zawdzięczać komuś życie czy być człowiekiem, któremu ktoś je zawdzięcza.

- Zróbmy więc tak, jak mówisz. Zostańmy przyjaciółmi bez zobowiązań.

- Tak – powiedział Veovis, nieporadnie wstał z krzesła, by chwycić obie dłonie Aitrusa w geście pozdrowienia D’ni. – Przyjaciele, dobrze?

- Przyjaciele – zgodził się Aitrus, uśmiechając się do młodego pana. – Dopóki ostatni kamień nie obróci się w proch.

**CZEŚĆ DRUGA**

**O  
kamieniach,  
pyłe  
i prochach**

Anna stała pośrodku dziwnego kręgu ze skał i prochu; rozglądała się spod półprzymkniętych powiek.

Była wysoką, szczupłą osiemnastoletnią dziewczyną. Pojaśniałe od słońca kasztanowe włosy zaplatała w warkocz. Podobnie jak ojciec miała na sobie długi czarny płaszcz pustynny z czerwonym rąbkiem i szeroki skórzany pas z narzędziami. Nosila także skórzany plecak i solidne buty.

Ojciec Anny powoli okrążał kamienny krąg. Kapelusz z szerokim rondem, który chronił go przed ostrym słońcem, zsunął do tyłu, a na twarzy malował mu się wyraz zdumienia.

Odkryli ten krąg poprzedniego dnia, w drodze powrotnej z pomiarów pustyni położonej na południowy zachód od wygasłego wulkanu.

- No więc co to jest? – spytała Anna.

- Nie wiem – odparł ojciec ochryplym głosem. – Albo ktoś spędził cały wiek na konstruowaniu tej budowli, sortował kamienie według wielkości, a następnie układał je w idealne kręgi, albo też...

- Albo co?

- Albo ktoś potrząsnął ziemią jak wielkim sitem – zaśmiał się ojciec. – Od spodu.

- A więc co spowodowało powstanie tego kręgu?

- Nie wiem – powtórzył. – Naprawdę nie wiem. Nie widziałem nic podobnego w ciągu pięćdziesięciu lat pomiarów, a zapewniam cię, że widywałem najdziwniejsze rzeczy.

Anna podeszła do ojca, licząc kroki.

- Obwód wynosi osiemdziesiąt kroków, co daje powierzchnię blisko ośmiuset stóp kwadratowych – oświadczyła. – Wydaje się, że to zbyt duża konstrukcja, by mogła być dziełem ludzkich rąk.

- Chyba, że pracowało nad nią całe plemię.

- Tak, ale wygląda normalnie. Wygląda... cóż, wyobrażam sobie, że z lotu ptaka przypomina olbrzymią kroplę, która spadła z nieba.

- Albo moje sito. – Ojciec Anny zmrużył oczy, kucnął i przyjrzał się układowi kamieni. – Wibracje – stwierdził, potrząsając głową. – Wibracje w głębi ziemi.

- Wulkaniczne?

- Nie. – Spojrzał na córkę. – Nie, to nie było trzęsienie. Trzęsienie ziemi rozłupuje kamienia, miażdży je lub nanosi, ale z pewnością nie sortuje.

- Wyglądasz na zmęczonego – rzekła po chwili Anna. – Czy chcesz trochę odpocząć?

Zazwyczaj nie komentowała wyglądu ojca, ale w jej głosie zabrzmiała troska. Ostatnio łatwo się męczył i stracił wiele dawnego wigoru.

Ojciec nie odpowiedział, co zresztą nie zdziwiło Anny. Nigdy nie prowadził banalnych rozmów.

- Jak sądzisz, kiedy powstał ten krąg? – spytała Anna, ponownie rozglądając się wokół.

- Krąg leży w zagłębieniu – powiedział po chwili ojciec, rejestrując wzrokiem wszystkie szczegóły terenu. – Ruch piasku jest tutaj niewielki. Sądzę, że ten krąg może mieć około pięćdziesięciu lat.

Anna skinęła głową. Zazwyczaj pobierała próbki, tym razem jednak niezwykle były nie same skały, ale ich ułożenie.

- Myślę, że powinniśmy wracać – powiedziała, podchodząc do ojca. – Możemy przyjść tu jutro wczesnym rankiem.

- Zgoda. Nie mam nic przeciwko długiej, chłodnej kąpieli.

- I truskawkom ze śmietaną?

- Tak, a na koniec duży kieliszek brandy!

Ojciec i córka wybuchnęli śmiechem.

- Zobaczą, co da się zrobić.

Rezydencja, nazwana tak przez ojca Anny w przyływie dobrego humoru, była wciśnięta w półkę między skałą a półką poniżej. Z resztą nawisu skalnego łączył ją wąski kamienny most – wykuty ręcznie przez ojca Anny przed piętnastu laty – rozpięty nad szeroką przepaścią, której głębokość dochodziła miejscami do sześćdziesięciu stóp.

Zewnątrz ściany Rezydencji również był ręcznie wykute w kamieniu, wypolerowane i wyrównane. Małe, pięknie rzeźbione drewniane drzwi, osadzone głęboko w białym kamieniu na końcu wąskiego mostu, prowadziły do długiego, niskiego korytarza wykutego w skale.

Wchodziło się z niego do czterech pomieszczeń; po prawej były trzy pokoje, w których mieszkali, a czwarte po lewej służyło im jako laboratorium i warsztat.

Anna weszła za ojcem do środka, pomogła mu położyć się na dużej sofie w głębi pokoju, a potem przeszła pod kamiennym nadprożem do kuchni.

Po chwili wróciła i podała ojcu kamienny kubek z zimną wodą.

- Nie, Anno, to za dużo!

- Wypij to – powiedziała stanowczo. – Dziś w nocy pójdę nad staw.

Ojciec zawahał się i marszcząc brwi z dezaprobatą, powoli opróżnił kubek.

Przyglądając się ojcu, Anna zauważyła nagle, że był obolały i bardzo zmęczony. Zastanawiała się, od jak dawna ukrywał przed nią swój stan.

- Jutro będziesz wypoczywał – oświadczyła tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– Sama mogę kontynuować pomiary.

Widziała, że ten pomysł nie przypadł ojcu do gustu, ale mimo to skinął głową.

- A sprawozdanie?

- Po prostu dostanę je później – odparła z rozdrażnieniem.

- Dałem mu słowo – rzekł ojciec, patrząc na Annę.

- Jesteś chory. On to zrozumie. Ludzie chorują.

- Owszem, a inni głodują. To ciężki świat, Anno.

- Być może, ale przeżyjemy. Spójrz na siebie: jesteś ciężko chory.

Potrzebujesz odpoczynku.

- Zgoda – westchnął ojciec. – Ale tylko jeden dzień.

- Dobrze. Połóż się teraz do łóżka. Później obudzę cię na kolację.

Było już ciemno, kiedy Anna usłyszała, jak ojciec się budzi. Siedziała przy małym kwadratowym okienku i obserwowała gwiazdy.

Odwróciła się i spojrzała na leżącego ojca. Wyglądał jak cień pośród cieni w wewnętrznym pokoju.

- Jak się czujesz?

- Trochę lepiej. W każdym razie nie jestem już taki zmęczony.

Anna wstała i podeszła do wnęki obok marmurowego blatu, na którym przygotowywała wszystkie posiłki. Nalała ojcu drugi kubek zimnej wody. Wcześniej, kiedy spał, zeszła nad staw na dnie przepaści i przyniosła na plecach dwa zakorkowane dzbany wody. Jeżeli będą oszczędni, ten zapas powinien im wystarczyć na kilka dni.

Przytknęła kubek do ust ojca, a on pił łapczywie.

- Miałem sen – powiedział, opadając w końcu na poduszki.

- Tak?

- Śniła mi się matka. Myślałem o tym, jak bardzo zrobiłaś się do niej podobna.

Anna nie odpowiedziała. Minęło już sześć lat, ale ten temat wciąż był dla niej zbyt bolesny.

- Pomyślałam, że mogłabym tu jutro zostać – powiedziała po chwili. – Mogłabym dokończyć doświadczenia, które zacząłeś w zeszłym tygodniu.

- Mhm?

- Pomyślałam... pomyślałam, że byłabym pod ręką, gdybyś mnie potrzebował.

- Dam sobie radę. To tylko zmęczenie.

- Wiem, ale...

- Jeśli chcesz zostać, zostań.

- A doświadczenia?

- Wiesz, co robisz, Anno. Wiesz już prawie tyle co ja.

- Nic podobnego – zaprzeczyła z uśmiechem.

Zapadło milczenie, a po chwili Anna usłyszała ciche chrapanie ojca.

Wróciła do kuchni. Przez okno zobaczyła księżyc, który zawisł nisko nad horyzontem.

Odstawiwszy dzban, Anna usiadła na kamiennym parapecie okna i wyjrzała na pustynię. A jeżeli to nie było zwykłe zmęczenie i ojciec naprawdę zachorował?

Od Tadjinaru dzieliło ich ponad sto mil. Nie było mowy o przejściu przez pustynię w letnim upale, nawet gdyby położyła ojca na wozie.

Musi opiekować się ojcem na miejscu, korzystając z tych lekarstw, które ma w domu.

Anna podniosła głowę, odpędzając ponure myśli. Kwiaty. Namaluje dla ojca kwiaty i postawi obraz w drzwiach, żeby zobaczył go natychmiast po przebudzeniu.

Ten pomysł ożywił Annę. Wstała, przeszła do warsztatu i hubką ojca zapaliła lampę oliwną, którą postawiła na kamiennym stole.

Podśpiewując cicho, zdjęła z półki matczyne pudełko z farbami i przystąpiła do pracy.

Anno?

- Słucham, ojczy?

- Co widzisz?

- Widzę... - Anna przerwała w pół zadania i osłaniając dłonią oczy, wyjrzała na zakurzoną równinę rozciągającą się pod granitowym nawisem skalnym. Wstała przed świtem, by kreślić mapę i kontynuować rozpoczęte przez ojca pomiary tego suchego pustkowia. Było już wczesne przedpołudnie, a upał stał się nie do zniesienia. Anna czuła, jak słońce przypieka ją przez kaptur.

Spuściła wzrok i odpowiedziała cicho:

- Widzę kamienie, proch i popioły.

Właśnie tego nauczył ją ojciec. Pytanie i odpowiedź; ta metoda zmuszała Annę do obserwacji, do koncentrowania się na tym, co znajdowało się przed nią, oraz dokonywania rozróżnień, które stanowiły podstawę wszelkiej wiedzy. Jednak dzisiaj Anna nie chciała się koncentrować.

Zamknęła notes, wsunęła ołówek do przegródki, potem kucnęła i schowała notes wraz z kompasem ojca do plecaka.

Minął cały tydzień, a on nie wstał z łóżka. Majaczył przez kilka nocy, a Anna w chybotliwym świetle lampy klęczała i zwilżała ojcu czoło wodą z miski.

W końcu gorączka ustąpiła, ale oboje czuli się całkowicie wyczerpani. Anna przespała cały dzień i obudziła się pełna nadziei, ale poprawa nie nastąpiła. Ojciec miał wymizerowaną twarz, oddychał nierówno.

Anna próbowała karmić chorego i opiekować się nim, ale prawdę powiedziawszy, mogła tylko czekać. Kiedy traciła cierpliwość, przychodziła tutaj, żeby zrobić coś pożytecznego, jednak nie potrafiła włożyć w to serca.

Rezydencja leżała niespełna milę stąd – właśnie dlatego Anna wybrała to miejsce – ale droga powrotna w upalnym słońcu była uciążliwa. Wspinając się na zbocze naprzeciwko Rezydencji, poczuła nagły lęk. Nie zamierzała wychodzić na tak długo. A jeżeli ojciec jej potrzebował? Jeżeli wołał ją, a jej nie było?

Zbiegła po zboczu; irracjonalny lęk narastał, była niemal pewna, że stała się coś złego. Wreszcie przebiegła po wąskim moście i weszła w chłodny mrok Rezydencji.

- Ojciec?

Posłanie było puste. Anna stała w niskich drzwiach, oddychając ciężko. Pot perlił się na jej czole i szyi, spływał po plecach. Odwróciła się i wyjrzała przez okno na pustynię.

A jeżeli ojciec wyszedł jej szukać?



W przypiływie paniki przebiegła przez pokój, ale przystanąła, słysząc jakiś odgłos za plecami.

- Ojczy?

Weszła do warsztatu, a ojciec odwrócił się i uśmiechnął do niej. Siedział na długiej ławie, biegnącej przez cały pokój. Na kolanach trzymał jeden ze swoich dużych, oprawionych w skórę notesów.

- To jest dobre, Anno – oświadczył bez wstępu. – Amanjira będzie zadowolony. Wskaźniki wydobywania są wysokie.

Anna nie odpowiedziała. Na widok ojca poczuła taką ulgę, że na chwilę odebrało jej mowę. Spodziewała się już najgorszego.

Na ustach ojca igrał nieznaczny uśmiech, jak gdyby dokładnie wiedział, co działo się w umyśle córki. Anna pragnęła podejść i go uściskać. Ojciec jednak nie tolerował takiego zachowania. Darzył ją głęboką, lecz surową miłością, podobną do tej, jaką orzeł otacza swoje pisklęta. Właśnie ta miłość pomogła im przetrwać tutaj bez matki Anny.

- Anno?

- Słucham, ojczy?

- Dziękuję ci za obraz. Skąd wiedziałaś?

- Co takiego?

- Że to są moje ulubione kwiaty?

Anna uśmiechnęła się, ale nie zdołała powiedzieć na głos. Mówiła mi o tym matka.

Stan zdrowia ojca stopniowo poprawiał się. Codziennie pracował trochę więcej, aż wreszcie, w tydzień po wstaniu z łóżka, wyszedł z warsztatu i wręczył Annie sprawozdanie.

- Proszę – powiedział. – Zanieś to Amanjirze. Nie jest to dokładnie to, o co prosił, ale i tak będzie zadowolony.

Anna spojrzała na dokument, potem na ojca.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Nie jesteś jeszcze dostatecznie silny. Podróż by cię wyczerpała.

- Dlatego też nie jadę. Znasz drogę. Przecież potrafisz prowadzić wóz.

Anna potrząsnęła głową. Oczywiście, że potrafiła, ale nie to miała na myśli.

- Nie mogę cię zostawić. Jeszcze nie teraz.

- Oczywiście, że możesz – uśmiechnął się ojciec. – Umiem gotować. Nie potrzebuję dużo wody. Dwa dzbany wystarczą mi twojego powrotu.

- Ale...

- Żadnych „ale”, Anno. Jeżeli Amanjira nie dostanie tego sprawozdania, nie zapłaci nam. A kto wtedy zapłaci handlarzom? Poza tym potrzebujemy kilku rzeczy z Tadjinaru. Sporządziłem listę.

Anna przyglądała się ojcu przez chwilę i zrozumiała, że jego decyzja była nieodwołalna.

- Kiedy mam wyruszyć?

- Dziś wieczorem, natychmiast po zachodzie słońca. Powinnaś dotrzeć do wulkanu przed świtem. Tam możesz schronić się w rozpadlinie i spać do wieczora.

Zawsze tak podróżowali, ale kiedy ojciec powtarzał rutynowe czynności, Anna odniosła wrażenie, jakby jechał razem z nią.

- Nie martwisz się?

- Naturalnie, że się martwię – odparł. – Ale ty jesteś twarda, Anno, zawsze to mówiłem. Nie pozwól tylko, żeby kupcy z bazaru w Jaarnindu cię oszukali.

Anna uśmiechnęła się. Zawsze próbowali ich oszukać.

- W takim razie napełnię dzbany.

Ojciec skinął głową i bez słowa wrócił do środka.

- A zatem do Tadjinaru – powiedziała cicho Anna, patrząc na sprawozdanie, które trzymała w dłoniach. – Pozostaje mieć nadzieję, że pan Amanjira okaże się tak gościnnie, jak wyobraża sobie ojciec.

Amanjira był w dobrym humorze. Uśmiechnął się do Anny promiennie i wskazał na niskie krzesło oparte o ścianę wielkiego pokoju. Sam usiadł za biurkiem i otworzył sprawozdanie ojca. Pochylił się do przodu, pilnie studiując mapy i wykresy. Anna tymczasem rozglądała się dookoła. Była to jej pierwsza wizyta w domu wielkiego człowieka. Zazwyczaj przychodził tu jej ojciec, podczas gdy Anna zostawała w zajeździe w starym mieście.

Pokój był urządzone z przepychem, dominowały kolory biały, kremowy, czerwony i różowy. Światło słońca wpadało przez duże przeszklone drzwi

prowadzące na balkon. Na podłodze leżał gruby dywan, a na ścianach wisiały jedwabne gobeliny. Za plecami Amanjiry wisiał portret Cesarza, podarunek od samego władcy.

Wszystko w tym pokoju świadczyło o ogromnym bogactwie.

Anna ponownie spojrzała na pana domu. Podobnie jak ona Amanjira był w tym kraju cudzoziemcem, kupcem ze wschodu, który osiadł tu przed wieloma laty. Obecnie należał do najbardziej wpływowych ludzi w cesarstwie.

Skóra Amanjiry była ciemna jak noc, tak czarna, że niemal błękitna, ale rysy zdradzały zachodnie pochodzenie; miękkość twarzy kupca była bardzo odmienna od surowego wyglądu mieszkańców pustyni.

Jakby gołębica wleciała do sokolego gniazda.

Jednak pozory niekiedy myliły. Ta gołębica miała szpony i rozpiętość skrzydeł od wybrzeża do wybrzeża tej suchej, piaszczystej krainy.

Amanjira chrząknął z zadowoleniem, po czym spojrzał na Annę i skinął głową.

- Doskonale. Twój ojciec przeszedł samego siebie, Anno.

Anna czekała, zastanawiając się, jakie będą następne słowa kupca i co jej da za dostarczoną informację.

- Rozkażę stewardowi, żeby wypłacił ci pełną kwotę, Anno. Powiedz ojcu, że jeśli jego odkrycie okaże się prawdziwe, nagrodzę go premią.

Anna opuściła głowę w zdumieniu. Amanjira nigdy wcześniej nie zaproponował im premii.

- Jesteś zbyt hojny, panie Amanjiro.

Anna usłyszała, jak kupiec wstaje i podchodzi do niej.

- Jeśli chcesz, możesz tu przenocować, Anno – powiedział cicho. – Może przed twoim powrotem zjedlibyśmy razem.

Zmusiła się do podniesienia wzroku. Ciemne oczy Amanjiry patrzyły na nią z zadziwiającą łagodnością.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę wracać – odparła. – Mój ojciec nie czuje się dobrze.

Anna wprawdzie chciała zostać i pobuszować po zaułkach starego miasta, ale poczucie obowiązku zwyciężyło.

- Rozumiem – rzekł Amanjira i odsunął się nieco, jak gdyby wyczuwając rezerwę w jej zachowaniu. – Czy mogę coś zrobić dla twojego ojca? Może jakieś maści czy specjalne jedzenie? Podobno mózg owcy jest szczególnie pożywny.

Anna zaśmiała się na myśl o ojcu jedzącym mózg owcy, ale szybko spoważniała, nie chcąc ranić uczuć Amanjiry.

- Dziękuję panu za troskę, panie Amanjiro, i za propozycję pomocy, ale mamy wszystko, czego nam trzeba.

Amanjira uśmiechnął się i złożył mały pokłon.

- A więc niech tak będzie. Jeżeli jednak zmienisz zdanie, Anna, zwróć się do mnie bez wahania. Amanjira nie zapomina o przyjaciółach.

Ciepłe słowa kupce zdziwiły Annę.

- Powtórzę ojcu słowa pana Amanjiry.

- Dobrze. A teraz idź już, Anno. Jestem pewien, że zatrzymałem cię o wiele za długo.

Droga powrotna minęła bez przygód. Anna dotarła do Rezydencji tuż po świcie. W sumie nie było jej siedem dni.

Zatrzymała wóz w głębokim cieniu pod skałą. Pospiesznie wspięła się na most i przeszła na placach, chcąc zrobić ojcu niespodziankę. W Rezydencji jednak nie zastała nikogo.

Anna wróciła do drzwi i wyjrzała na cichą pustynię.

Gdzie on mógł się podziewać? Gdzie?

Domyśliła się natychmiast. Ojciec musiał pójść do kamiennego kręgu.

Ruszyła na piechotę przez wąską dolinę na wschód, wspięła się na nagą skałę i stanęła w porannym słońcu. Ojciec z pewnością postanowił wybrać się tam wcześniej, zanim upał stanie się nie do zniesienia. Anna przypuszczała, że myszkował wokół kręgu i przewracał kamienie.

Choroba ojca sprawiła, że Anna zapomniała o kręgu kamiennym. Jednak po powrocie z Tadjinaru znowu zaczął ją intrygować.

Cała sprawa zdawała się mieć wymiar nadprzyrodzony, ale ani Anna, ani ojciec nie wierzyli w istnienie rzeczy niewytłumaczalnych. Wszystko miało racjonalny powód, by istnieć.

Anna weszła na szczyt grzbietu skalnego. Natychmiast ujrzała ojca; klęczał w słońcu przy kręgu kamiennym i coś badał. Dopiero teraz Anna uspokoiła się.

Przez chwilę przyglądała mu się, podziwiając jego staranne, metodyczne ruchy. Wreszcie, świadoma faktu, że słońce wspinało się coraz wyżej na niebie, zeszła do ojca.

- Czy znalazłeś coś? – zapytała, stając obok ojca. Uważała, żeby nie rzucić cienia na miejsce, w którym szukał.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do córki.

- Być może, ale nie odpowiedź.

Te słowa była tak typowe dla ojca, że Anna wybuchnęła śmiechem.

- A więc jak ci poszło z Amanjirą? – zapytał, wstając i odwracając się do córki.  
– Zapłacił nam?

Anna przytaknęła, potem wyjęła ciężki skórzany worek z płaszcza i wręczyła ojcu.

- Był zadowolony. Powiedział, że może da nam premię.

- Wcale mnie to nie dziwi – odparł ojciec z uśmiechem. – Znalazłem dla niego srebro.

- Srebro? – Ojciec nie wspominał o tym Annie ani słowem, a ona, niczego nie podejrzewając, nawet nie spojrzała na sprawozdanie, które oddała Amanjirze. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- To nie jest nasza sprawa. Naszą sprawą jest badanie skał, a nie wykorzystywanie ich.

- Żyjemy ze skał – powiedziała Anna i ruchem głowy wskazała na worek.

- Uczciwa zapłata za uczciwie przepracowany dzień – odparł ojciec, a ona wiedziała, że mówi serio. Ojciec nie widział sensu w braniu więcej, niż potrzebował.

Tyle żeby przeżyć – powtarzał zawsze i nie zazdrościł ludziom korzyści wpływających z tego, co dla nich robił.

- A więc jak się czujesz? – zapytała Anna, widząc z zadowoleniem, że twarz ojca odzyskała rumieńce.

- Cóż, od twojego wyjazdu przychodzę tutaj każdego ranka – odparł, patrząc córce prosto w oczy.

Anna bez słowa skinęła głową.

- Chodź – powiedział nagle ojciec, jakby dopiero sobie przypomniał. – Znalazłem coś, co chciałbym ci pokazać.

Przeszli przez rozstępy między dwoma zachodzącymi na siebie grzbietami i wspięli się na występ skalny. Stanęli na płaskowyżu, gładkiej szarej płycie, która

opadała stromo w piach, jak zwałona ściana częściowo przysypana przez burzę piaskową.

Naprzeciwko nich wznosił się drugi, większy grzbiet. Wyżłobione przez erozję kontury rysowały się w słońcu. Biel skały i czern ukrytych w cieniu krzywizn nadawały jej wygląd rzeźbionej kości słoniowej.

- Tam – ojciec wskazał na jeden z większych płatów cienia u podnóża grzbietu.
- Grota? – spytała zaintrygowana Anna.
- Tunel.
- Dokąd prowadzi?
- Chodź i zobacz.

Zeszli po rozgrzanym piasku, pochylili głowy i zagłębili się w cieniście wejściu do tunelu. Zatrzymali się na chwilę, by pozwolić oczom przywyknąć do ciemności po jasnym blasku słońca. Odwrócili się twarzami do tunelu. Anna poczekała, aż ojciec zapali lampę.

- Och!

Tunel biegł w skałę na głębokość piętnastu, dwudziestu kroków, po czym urywał się, zablokowany wielkim zawałem skalnym.

Nie zrażony przeszkodą, ojciec Anny podszedł do skały, oświetlając drogę lampą. Anna ostrożnie ruszyła za nim, badając po drodze ściany.

- Ten tunel wyżłobiła chyba lawa – powiedziała.
- Owszem – odparł ojciec, stając przez zwałoną skałę. – Sądzę, że biegnie dalej w głąb ziemi, a raczej biegłby, gdyby ta skała nie stała mu na przeszkodzie.

Anna kucnęła i zbadała mały odłamek skały. Po jednej stronie był gładki i szklisty, z tego samego minerału co ściany.

- Jak stary jest ten zawał? – spytała Anna.
- Mogę się tylko domyślać.
- Nie rozumiem – powiedziała, podnosząc wzrok.
- Kiedy nie znalazłem tutaj żadnych odpowiedzi, zacząłem szukać na nieco większym obszarze. Zgadnij, co znalazłem.

Anna wzruszyła ramionami.

- Ślady po trzęsieniu ziemi, a w każdym razie po potężnym osunięciu się ziemi zaledwie kilka mil na północ stąd. Sądząc po sposobie, w jaki zostały naruszone skały, osunięcie nastąpiło niedawno. To dało mi do myślenia. Trzydzieści lat temu na

tym obszarze miało miejsce silne trzęsienie ziemi, które było wyczuwalne nawet w Tadżinarze. Możliwe, że jest to wyłumaczenie dla naszego kręgu.

- Tak sądzisz?

- Uważam, że trzęsienie ziemi, ten zawał skalny oraz krąg są ze sobą powiązane, chociaż dokładnie nie wiem, w jaki sposób. Ale jak ci często powtarzałem, nie wiemy wszystkiego. Gdybyśmy jednak zgłębili tę tajemnicę, moglibyśmy poszerzyć naszą wiedzę o ziemi.

- A badania? – zapytała Anna z uśmiechem.

- Możemy je dalej prowadzić – odparł ojciec i lekceważąco machnął ręką. – Ale to, Anno... to jest okazja, jaka trafia się raz w życiu. Jeżeli zdołamy znaleźć przyczynę tych zjawisk, kto wie, co odkryjemy później?

- Co wobec tego proponujesz?

- Proponuję, żebyśmy dowiedzieli się, co jest po drugiej stronie tego – powiedział ojciec, wskazując na zawał.

Po posiłku Anna zdjęła towary z wozu. Na bazarze Jaarnindu kupiła ojcu prezent. Patrząc, jak go rozpakowuje, myślała o wszystkich podarunkach, które ojciec kupił jej w minionych latach. Niektóre były praktyczne, jak pierwszy młoteczek do skał, który dostała, kiedy miała sześć lat. Bywały też luksusowe, jak trzy jardy jasnoniebieskiego jedwabiu w żółte i czerwone motyle, które przywiózł Annie w zeszłym roku.

Ojciec wpatrywał się przez chwilę w skórzane pudełko, wreszcie pstryknął zasuwkę i podniósł wieczko.

- Szachy! – wykrzyknął z zachwytem. – Jak ja tęskniłem za grą w szachy! Skąd wiedziałaś?

- Mówiłeś o tym przez sen – powiedziała Anna i zawstydzona opuściła wzrok.

- Chcesz powiedzieć, że mówiłem o tym, kiedy byłem chory?

Anna przytaknęła

Ojciec wpatrywał się w szachy z miłością. Drewniane, ręcznie rzeźbione figury leżały w zagłębieniach w dwóch małych drewnianych pudełeczkach.

Szachy kupione przez Annę nie były zbyt luksusowe. Figury zostały niezgrabnie wyrzeźbione i pobieżnie pomalowane na biało i czarno. Nie miało to

jednak znaczenia. Dla ojca Anny szachy były doskonalsze niż każdy przedmiot ze srebra.

- Dzisiaj wieczorem zacznę cię uczyć – powiedział, podnosząc wzrok na córkę.  
– Codziennie poświęcimy godzinę na grę. Wkrótce złapiesz podstawy!

Anna uśmiechnęła się, ponieważ dokładnie tego się spodziewała. Przypomniała sobie słowa ojca:

- Podarunki nie są przedmiotami zbytku, ale koniecznością. Stanowią wyraz miłości i sympatii, a dzięki ich „przepychowi” życie jest czymś więcej niż tylko mozołem. Możesz się obejść bez wielu rzeczy, Anno, ale nie bez podarunków, niezależnie od tego, jak drobne i mało istotne mogą ci się wydawać.

W ostatnim czasie Anna przekonała się o słuszności tych słów.

- A więc jak się do tego zabierzemy?

Ojciec spojrzął na córkę i zrozumiał w lot, o co pytała. Wyjął z pasa jeden z młotków do kamieni.

- Użyjemy tego.

- Ależ to zajmie całe wieki!

- Mamy całe wieki.

- Ale...

- Żadnych ale, Anno. Nie poddawaj się zniecierpliwieniu. Będziemy pracować po trochu. Dzięki temu unikniemy wypadków, zgoda?

- Zgoda – uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Dobrze, a teraz pozwól mi odpocząć. Muszę być w pełni sił, jeżeli dzisiaj mam grać z tobą w szachy!

W ciągu następnych dni życie ojca i córki zmieniło rytm. Wstawali godzinę przed świtem, szli do tunelu i przez godzinę lub dwie łupali zwaloną skałę. Większość pracy wykonywała Anna. Nie chciała, by ojciec przemęczał się po przebytej chorobie. Ojciec zaś kontynuował badania okolicy. Wracali do Rezydencji, kiedy słońce zaczynało się wspinać po niebie. Zjadali lekki posiłek i zaczynali pracę w laboratorium.

Na półkach leżały zebrane przez poprzednie lata próbki skał, których nie zdążyli należycie zanalizować. Ojciec postanowił, że zamiast wyruszać na kolejną wyprawę powinni nadrobić zaległości i posłać wyniki Amanjirze.



Późnym popołudniem przerywali pracę, udawali się na spoczynek. Budzili się dopiero wtedy, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a powietrze powoli się ochładzało.

Po posiłku sadowili się w głównym pomieszczeniu Rezydencji, gdzie oddawali się lekturze lub grze w szachy.

Początkowo Anna nie była pewna, czy lubi tę grę. Wkrótce jednak zaczęła dzielić entuzjazm ojca do tego stopnia, że musiała się pilnować, by nie grać całą noc.

Kiedy ojciec szedł w końcu spać, Anna wracała do warsztatu. Spędzała tam jeszcze godzinę, planując kolejny etap badań.

Niezależnie od tego, co twierdził ojciec, wiedziała, że nie uda im się długo zadowalać Amanjiry wynikami analizy próbek. Kupiec płacił ojcu Anny za badania pustyni i to one go interesowały, a nie analiza skał, chyba że można ją było obrócić na bogactwo.

W ciągu minionego roku zbadali rozległy obszar w samym sercu pustyni na południowy zachód od Rezydencji, oddalony od niej o trzy dni marszu. Aby przetrwać na tym pustkowiu, musieli precyzyjnie planować każdą wyprawę. Musieli dokładnie wiedzieć, gdzie mogli znaleźć schronienie i co powinni ze sobą zabrać. Pożywienie, wodę i sprzęt trzeba było ciągnąć w wozie, a ponieważ często wyprawiali się na osiem czy dziesięć dni, należało robić zapasy na szesnaście dni.

Nie była to łatwa praca, ale prawdę powiedziawszy, Anna nie chciałaby innego życia. Możliwe, że Amanjira nie płacił im tyle, ile się należało, ale ani Anna, ani ojciec nie przyjęliby żadnej innej pracy.

Kochała skałę niemal równie mocno jak pustynię. Niektórzy uważali skałę za coś martwego, nieruchomego, ale Anna wiedziała, że było inaczej. Skała żyła tak jak wszystko inne, tyle że czas płynął dla niej wolniej.

Ósmego dnia wczesnym rankiem przebili się przez zawał. Co prawda udało im się wyłupać otwór zaledwie średnicy ręki. Mogli jednak poświecić lampą i przekonać się, że tunel biegł dalej po drugiej stronie skalnej przeszkody.

Ten widok dodał im otuchy. Zanim wrócili do Rezydencji, drążyli skałę jeszcze przez godzinę, ochraniając oczy maskami.

- Co o tym sądzisz? – zapytał ojciec w drodze powrotnej. – Czy uważasz, że powinniśmy powiększyć otwór, by móc się przecisnąć i spenetrować drugą stronę?

- I kto się teraz niecierpliwi? – uśmiechnęła się Anna.

- Odpowiedz.

- Nie wiem. Sądzę, że powinniśmy o tym pomyśleć.

Po południu w warsztacie ojciec nie przestawał o tym mówić, aż wreszcie, z nadejściem wieczoru, Anna ustąpiła.

- Zgoda – powiedziała, podnosząc wzrok znad szachownicy. – Ale wejdzie tam tylko jedno z nas. Posłużymy się liną. Nie wiemy, co się znajduje po drugiej stronie. W razie kolejnego trzęsienia ziemi sytuacja może być niebezpieczna.

- umowa stoi – odparł ojciec, przesuwając królową. – Szach. – Potem uśmiechnął się do córki i dodał: - Właściwie szach i mat.

Poszerzenie otworu zajęło im dwa dni. Można się było precyzyjnie z najwyższym trudem, ale dalsze powiększanie otworu wiązałoby się z kolejnym tygodniem pracy.

- Wieczorem wszystko przygotujemy – powiedział ojciec, przysunął lampę i zajrzał w głąb otworu. – Nie będziesz potrzebowała wiele.

Anna uśmiechnęła się. Sądziła, że będzie musiała przekonywać ojca, by puścił ją jako pierwszą.

- Czego mam szukać?

Ojciec cofnął lampę i odwrócił się do Anny.

- Wszystkiego, co nietypowe. Na przykład lejów wulkanicznych, kanałów, osadów piroklastycznych.

- A więc nadal uważasz, że to jest część większego układu wulkanicznego.

- Prawie na sto procent. Te kanały i otwory stanowią tylko jego część. Przypuszczam, że w głębi ziemi znajdował się wielki zbiornik lawy. W istocie, im głębiej się znajdował, tym większą powierzchnię zajmowałyby te zjawiska. Przegrzana lava znalazłaby dla siebie wszystkie słabsze miejsca w skale, uskoki i tym podobne. Właśnie z tym mamy tutaj do czynienia.

- Jak korzenie drzewa?

Ojciec skinął głową i uśmiechnął się do córki. Anna nigdy nie widziała prawdziwego drzewa poza płytko zakorzenionymi palmami w Tadjinarze. Większość jej wiedzy o świecie pochodziła z książek lub z tego, co opowiadał jej ojciec. To zawężenie horyzontów było chyba najgorszą stroną życia na pustyni.

W drodze powrotnej ojciec poruszył ten temat. Jak zwykle rozmawiali z opuszczonymi głowami, nawet na siebie nie zerkając.

- Anno?

- Tak?

- Czy żałujesz, że żyjesz tutaj?

- A ty?

- Ja to wybrałem.

- Sądzisz, że gdybym miała wybór, wybrałaby coś innego?

- Czasami.

- Wobec tego się mylisz. Kocham pustynię.

- Przecież nie znasz nic innego.

- Mimo to chcę być tutaj.

- Jesteś pewna?

- Jestem pewna.

Uważaj na linę, Anno, zaczepia się.

Anna zatrzymała się, przesunęła się trochę na bok i delikatnie szarpnęła za linę. Odczepiła się. Anna precyzyjnie się do połowy przez otwór w zawale skalnym, ale zadanie okazało się trudniejsze, niż przypuszczała. Udało jej się przepchnąć ramiona, jednak z biodrami sprawa miała się zupełnie inaczej. Niczego nie widziała dokładnie. Cienkie promyki światła sączyły się przez wąskie szczeliny między ciałem Anny a ścianami. Anna miała wrażenie, że ugrzęzła.

Oczywiście mogła spróbować dźwignąć się na drugą stronę, ale wtedy prawie na pewno stoczyłaby się na dno ze sporej wysokości. Poza tym mogła swobodnie poruszać tylko lewym ramieniem; prawe wciąż tkwiło między jej ciałem a ścianą.

- Obróć się twarzą do sufitu, Anno. Ten kanał jest szerszy niż wyższy.

- Powinniśmy byli poczekać jeszcze tydzień – powiedziała, próbując wykonać polecenie ojca.

- Być może, ale już prawie ci się udało. Spróbuj się trochę cofnąć. O tak...

Powoli, bardzo powoli Anna wycofała się wężowym ruchem, aż poczuła, że głowa i ramiona przeszły przez otwór. Teraz należało uwolnić ramię. Spróbowała je podnieść, ale nie było miejsca. Znowu musiała się obrócić.

- Przytrzymaj mnie za stopy – poprosiła.

Poczuła, jak ojciec chwytą ją mocno za buty.

- Dobrze, teraz spróbuję odwrócić się do przodu. Jednocześnie postaram się oswobodzić prawe ramię.

- W porządku.

Zadanie nie było łatwe. Anna miała wrażenie, że skała ją miażdży, gruchocze jej kości, ale w końcu zdołała się odwrócić twarzą do dołu.

Anna nic nie widziała; ciemność przed nią zdawała się absolutna. Nie tyle jednak niepokoila ją ciemność, ile możliwość upadku na coś ostrego.

- Dobrze – powiedziała, kiedy w końcu zdołała oswobodzić ramię. – Teraz opuść mnie powoli.

Odniosła wrażenie, że skała unosi się na spotkanie jej dłoni. Do tunelu napłynęło więcej światła.

- Właśnie tak. Teraz powoli.

Zaczęła przejmować na siebie własny ciężar, wyciągając nieco ręce do przodu.

- Dobrze, możesz mnie już puścić. Jestem na dole.

Anna poczuła, jak palce ojca puszcza ją jej kostki, a po chwili dobiegło ją ciche stęknienie.

Wstała, odwróciła się i otrzepała.

- Nic ci nie jest?

- Tylko trochę się zdyszałem. Pozwól mi chwilę odsapnąć.

Anna podeszła do otworu i zajrzała. Lampa stała na podłodze, a ojciec opierał się o ścianę, z dłonią na piersi.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Nic mi nie będzie. Po prostu nie zdawała sobie sprawy, jaka jesteś ciężka.

- Jesteś pewien?

- Tak. A teraz ruszaj. Obwiąż się w pasie liną. Podam ci lampę.

Anna pochyliła się, podniosła linę i obwiązała się nią ściśle w pasie. Była to cienka, mocna lina długości około pięciuset stóp, co powinno w zupełności wystarczyć na wstępną wyprawę. Anna odwróciła się z uśmiechem i wzięła od ojca lampę.

- To też – powiedział, podając jej przez otwór hełm ochronny.

Anna postawiła lampę na ziemi i przymierzyła hełm. Spodziewała się, że będzie za duży, ale leżał jak ulał. Zapięła pasek pod brodą, potem odwróciła się i podniosła lampę, żeby ojciec mógł ją widzieć.

- Dobrze – pochwalił. – Za godzinę cię zawołam. Miej oczy otwarte, Anno, nie ryzykuj.

- Obiecuję.

- Masz notes?

Anna poklepała się po kieszeni na piersi.

- Dobrze, idź już. Tu jest zimno.

Anna uśmiechnęła się i odwróciła twarzą do ciemności, podnosząc przed sobą lampę.

Biblioteka wznosiła się nad pociemniałym jeziorem. Z długich zakratowanych okien rozciągał się widok na odległe miasto D'ni, którego rozświetlone poziomy wspinały się po wielkiej ścianie jaskini.

W kominku palił się ogień. Chybotliwe płomienie oświetlały czterech mężczyzn siedzących w wielkich fotelach. Zjedli przed godziną, a teraz pograżyli się w rozmowie. Twarze siedzących rysowały się w ostrych kontrastach złota i czerni.

- Nie wiem, jak możesz mówić coś podobnego, Veovisie. W każdym razie skąd masz pewność? Gdzie dowody?

Veovis odwrócił się do przyjaciela, zamykając w dłoniach kieliszek z winem; blask ognia pełzał po rubinowym płynie.

- Rzecz w tym, że nie potrzebuję dowodów, Fiharze. Ta sprawa to aksjomat. Twierdzisz, że rasy zamieszkujące wieki, z którymi się połączyliśmy, zachowują się w sposób moralny. Postępują tak jednak, ponieważ ich do tego skłoniliśmy. Ich moralność nie jest wrodzona, ale wyuczona. To my, D'ni, ich tego nauczyliśmy. Jest tak od tysięcy lat.

Veovis odwrócił się nieznacznie i spojrzał na pozostałych.

- Ty, Suahnirze, jesteś konserwatorem. Czy nie jest tak, jak mówię? Czy jednym z twoich głównych obowiązków nie jest narzucanie stabilnego i moralnego systemu społecznego mieszkańcom światów, z którymi się łączymy?

Suahnir był człowiekiem w średnim wieku i starszym członkiem swego cechu. Dawniej pełnił funkcję strażnika wieków więziennych, a obecnie do jego zadań należało pozbywanie się chybionych lub niestabilnych wieków. Przez chwilę, zastanawiał się nad słowami Veovisa, wreszcie wzruszył ramionami.

- Istotnie tak jest, co nie znaczy, że nie sympatyzuję z poglądem Fihara. Nie możemy mieć pewności, dopóki nie przekonamy się na własne oczy. Przecież na tym właśnie polega metoda naukowa.

- Nonsens! – wykrzyknął Veovis i pochylił się do przodu z nagłym ożywieniem.  
– Nie ulega wątpliwości, że bez wpływu i przewodnictwa D’ni te wieki byłyby zapadłymi dziurami, zamieszkanymi przez dzikusów! Czy twoje doświadczenie nie podsuwa ci dostatecznej liczby takich przykładów, Suahnirze? Czy nie musimy być stale czujni?

- Owszem – odparł Suahnir.

- Wyobraźcie sobie sytuację na powierzchni. Jeżeli żyją tam ludzie, to ich społeczeństwo od kilku tysięcy lat rozwija się bez żadnego moralnego przewodnictwa. Z całą pewnością okażą się dzikusami, niewiele różniącymi się od zwierząt, ulegającymi najbardziej podstawowym instynktom. My wszyscy zdążyliśmy się napatrzeć w wielu wiekach, jak zachowują się dzikie zwierzęta!

Aitrus do tej pory przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu, ale teraz zabrał głos.

- Chyba, że podobnie jak D’ni posiadają wrodzoną moralność.

Veovis odwrócił się do przyjaciela z uśmiechem.

- Takie prawdopodobieństwo jest niezwykle małe, nie sądzisz, Aitrusie?

- Chyba... tak.

- No właśnie! – powiedział Veovis, jak gdyby sprawa była zamknięta. – Wierzcie mi, na samą myśl o czymś takim przechodzą mnie ciarki. Całe społeczeństwo rządzone przez pożydlwość i przemoc!

- I zagrożenie przemocą – dodał Fihar, najwyraźniej już w połowie przekonany do racji Veovisa.

- Otóż to! Gdzież w takim społeczeństwie miałoby się znaleźć miejsce na rozwój prawdziwej inteligencji? Nie. Możemy się spodziewać, że mieszkańcy powierzchni to chrumkający gatunek, stado szakali. Bardziej prawdopodobne jest, że wyją do księżyca, niż prowadzą przyzwoitą rozmowę!

Veovisowi odpowiedział śmiech.

- Czy sądzisz więc, że Rada powinna zatwierdzić twoją decyzję? – spytał Aitrus, wracając do punktu wyjścia. – Uważasz, że nie powinniśmy mieć nic wspólnego z mieszkańcami powierzchni?

- Owszem – odparł Veovis z przekonaniem. – Jeśli mam być szczery, to nie tylko kazałbym zamknąć tunel, ale zniszczyłbym całą konstrukcję!

- Rozumiem.

- Och, Aitrusie, zdaję sobie sprawę z sentymentalnych uczuć, jakimi darzysz tę wyprawę, i podziwiam cię za to, ale to przedsięwzięcie było błędem. Rada popełniła błąd, w ogóle biorąc pod uwagę taką ewentualność!

Aitrus nie odpowiedział. Upił łyk wina i zapatrzył się w ogień.

- A teraz zraniłem twoje uczucia – rzekł Veovis, wstając. – Przepraszam cię. Być może postąpiłem grubiańsko.

- Nie, Veovisie – Aitrus uśmiechnął się smutno do przyjaciela. – Wyraziłeś swoje zdanie i podziwiam cię za to. Zresztą zaczynam podejrzewać, że może masz rację. Możliwe, że wyprawa była błędem.

- Czy w takim razie poprzesz mnie podczas głosowania w Radzie?

- Kto wie? – odparł Aitrus, wzruszając ramionami.

Po przejściu niespełna stu kroków Anna natrafiła na kolejny zawał skalny. Na lewo od przeszkody, niczym uśmiechnięte ciemne usta, w ścianie tunelu widniała szczelina, wystarczająco szeroka, by mogła się przez nią przecisnąć.

Anna stanęła na skraju szczeliny. Lewą ręką podparła się o ścianę i poświeciła lampą.

Szczelina była głęboka. Podłoga biegła stromo w ciemność, skąd dochodził słaby, ziemny powiew. Daleko w dole Anna usłyszała przytłumiony, odległy szmer wody i coś jeszcze, jakby nieregularne stukanie. Puk, puk, puk, jak gdyby ktoś słabo uderzał dłutem w skałę.

Anna obejrzała się na drogę, którą przyszła; zbocze nie było zbyt strome. Przymocowała lampę do hełmu i ruszyła w dół. Obiema dłońmi przytrzymała się ścian i wbijała obcasy w podłoże, by zachować równowagę.

Szczelina nie była tak długa, jak Anna sobie wyobrażała. Po dwudziestu krokach pomyślała, że znalazła się w ślepym zaułku. Skała zdawała się wypełniać szczelinę przez nią, ale tuż przed przeszkodą chodnik ponownie skręcał pod kątem blisko dziewięćdziesięciu stopni. Anna skręciła i krzyknęła ze zdziwienia.

- To jest jaskinia! – zawołała, chociaż nie miała pewności, czy ojciec ją słyszy.  
– Olbrzymia jaskinia!

Stukanie rozlegało się teraz bliżej, a szum wody był znacznie głośniejszy.

Anna weszła do jaskini, odwróciła się i rozejrzała wokół siebie. Lampa oświetlała tylko mały fragment przestrzeni. Anna jednak na granicy światła ujrzała strumyczek, którego powierzchnia mrugała do niej.

Woda, najcenniejszy skarb na pustyni, cenniejszy niż srebro, które ojciec znalazł dla Amanjiry.

Anna podeszła do strumyka, ciągnąc za sobą linę. Woda w strumyku była krystalicznie czysta. Dziewczyna pochyliła się, zanurzyła dłoń, a potem przytknęła palce do ust.

Woda była lodowata i czysta, znacznie lepsza niż woda ze stawu.

Anna uśmiechnęła się szeroko. Nie mogła się doczekać, kiedy powie ojcu o odkryciu. Potem odwróciła się i spojrzała na sufit, wznoszący się około dwudziestu jardów nad jej głową.

Nareszcie znalazła źródło stukania. Wyglądała jak jasnoczerwona draperia, gładka jak marmur, a przy tym cienka; jej koniec przypominał kroplę krwi. Poruszana powiewem, stukała o sklepienie jaskini.

Anna zmarszczyła brwi i odwróciła się, szukając źródła powiewu. Jaskinia zwężała się na jednym końcu, przechodząc w coś w rodzaju lejka. Powiew zdawał się dobiegać właśnie stamtąd.

Anna wciągnęła głęboko powietrze. Zdziwiła ją jego świeżość. W jaskiniach panował zazwyczaj stęchły, zgniły zapach wilgoci i kamieni. Tu było inaczej.

Ponownie odczepiła lampę i podniosła, próbując zobaczyć, czym była czerwona substancja. Wyglądało na to, że ugrzęzła w skale powyżej albo przesiąkła przez skałę, a następnie zakrzepła.

Anna rozłożyła notes na kolanie i zaczęła pisać. Notowała nie tylko to, co widziała, ale także swoje pierwsze spostrzeżenia na temat jaskini. Wiedziała z doświadczenia, że takie impresje mogły się okazać istotne. Najlepiej było notować wszystko, nawet jeśli znaczna część zapisków miała się później okazać chybiona.

Odłożyła notes i pociągnęła linę do siebie, pilnując, żeby nie zaczepiła się w szczelinie. Podniesiona na duchu ruszyła w stronę „lejka”. Rozglądała się bacznie na boki, żeby niczego nie przeoczyć.

Zatrzymała się w odległości trzydziestu kroków od lejka. Miała dziwne poczucie, że coś jest nie w porządku.



Naprzeciwko Anny zwieszała się olbrzymia płachta czerwonej substancji, która wypełniała cały kraniec jaskini. Wyglądała jak gruba, sztywna zasłona, z tym, że wystawała ze skały niczym strumień zastygłej lawy.

Nie była to jednak lawa, w każdy razie Anna nie знаła takiego rodzaju.

Czerwona płachta przywiodła jej na myśl krąg na powierzchni. Te dwie rzeczy były jakoś ze sobą połączone, ale Anna nie wiedziała w jaki sposób.

Nie mogła się doczekać, kiedy powie o tym ojcu.

Podeszła do płachty i oświetliła ją lampą. Płachta miała barwę krwi, ale w czerwieni tkwiła siateczka czarnych nitek.

Być może była to jednak lawa.

Anna ponownie przyczepiła lampę do hełmu, wyjęła z pasa jeden z młotków, uklękła pod ścianą i spróbowała odłupać kawałek tajemniczej substancji.

Po chwili, nie posiadając się ze zdumienia, podniosła wzrok. Młotek nie zostawił nawet najdrobniejszego wgłębienia. Substancja sprawiała wrażenie miękkiej i była miękka w dotyku. Ustępowała pod młotkiem, ale się nie kruszyła!

A zatem nie była to lawa. Ale co? Chcąc się tego dowiedzieć, musiała zabrać choć kawałek do analizy.

Cofnęła się o kilka kroków i przyjrzała się ścianie z nadzieją, że znajdzie gdzieś wystający kawałeczek substancji, który ustąpi przed młotkiem, ale płachta stanowiła jednolitą, gładką powierzchnię.

Anna rozejrzała się wokół siebie i zaśmiała się. W odległości zaledwie kilku kroków od niej dostrzegła linię drobnych czerwonych paciorków. Wyglądały jak plamy świeżej krwi na szarej skalnej podłodze. Anna podniosła wzrok. Czerwona substancja utworzyła w górze wąską siateczkę, jak gdyby pod wysokim ciśnieniem została przeciśnięta przez wargi skały.

Potem musiała ścieknąć w dół.

Anna kucnęła i łupiąc skałę tym razem pod czerwoną substancją, zdołała uzyskać cztery próbki; największa miała wielkość pięści.

Przed wrzuceniem ostatniej próbki do plecaka przesunęła ją do światła i ścisnęła w dłoniach. Substancja miała gąbczastą konsystencję, a jednocześnie była twardsza niż marmur. Co więcej, zdawała się raczej zatrzymywać światło, niż je odbijać.

Nadszedł czas powrotu. Przed kontynuowaniem badań będą musieli dokonać analizy próbek.

Anna zarzuciła plecak na ramię, prawą dłonią chwyciła za linę i ponownie ruszyła w stronę szczeliny, powoli zwijając linę.

W bibliotece zostali tylko Veovis i Aitrus. Stali w szerokim holu posiadłości, pod schodami. Przez szybę masywnych drzwi frontowych widać było wielkie kamienne stopnie i małą zatoczkę.

- Zostań na noc, Aitrusie. Jutro rano możesz wrócić ze mną. Rada zbiera się dopiero w południe.

- Chętnie bym został, ale najpierw muszę spotkać się z pewnymi ludźmi.

- Odwołaj to spotkanie. Powiedz, że chcesz się przygotować na jutro. Poza tym naprawdę chciałbym z tobą dłużej porozmawiać.

- Ja również, ale nie mogę złamać danego słowa.

- Rozumiem – uśmiechnął się Veovis. – Twoje słowo wiele dla ciebie znaczy i słusznie. Spróbuj jednak odwiedzić mnie przed zebraniem. Będę w swoim gabinecie w Domu Cechowym. Wolałbym porozmawiać z tobą jeszcze raz, zanim oddasz głos.

- Ja już podjąłem decyzję, stary drużu – uśmiechnął się Aitrus – Wstrzymam się od głosu.

- Wstrzymasz się?

- Czuję, że tak będzie najlepiej. Nie przekonują mnie argumenty żadnej ze stron. Może masz rację, twierdząc, że moje wahanie wynika ze zwykłego sentymentu. Czuję jednak, że gdybym głosował przeciwko tunelowi, zdradziłbym mistrza Telanisa.

- A więc niech tak będzie. Uważaj na siebie, drogi przyjacielu.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Do jutra.

- Do jutra – zawtórował mu Aitrus z szerokim uśmiechem. – Dziękuję ci. Ten wieczór był niezwykle przyjemny.

- Jak zwykle. Idź już, zanim się na ciebie pogniewam.

Nie mam pojęcia – powiedział ojciec, odchylając się od mikroskopu. – Nigdy nic podobnego nie widziałem. Wygląda... na coś sztucznego.

- Wykluczone – stwierdziła Anna i nachyliła się nad mikroskopem.

- W takim razie powiedz mi, co to jest. Czy kiedykolwiek wcześniej widziałeś kamień o takiej strukturze? Tutaj nie ma kryształu! Ta substancja nie została uformowana, w każdym razie nie przez proces naturalny. Ona została wyprodukowana!

- Być może istnieją procesy, o których nie wiemy – rzekła Anna, wzruszając ramionami.

- A może ja nie wiem nic na temat skał!

- Bardzo możliwe – odparła Anna z uśmiechem.

- No więc? – spytał po chwili ojciec. – Nie zgadzasz się ze mną?

- Nie pojmuję, jak można wyprodukować coś takiego. Potrzebowałbyś gigantycznych temperatur i ciśnień. Poza tym co ta substancja robiłaby w tamtej jaskini? To nie ma sensu.

- Nie...

Anna spostrzegła, jak przez twarz ojca przesuwają się cienie wątpliwości. Znowu sprawiał wrażenie zmęczonego. Pracowali nad tą łamigłówką już blisko dziesięć godzin.

- Powinieneś odpocząć. Jutro rano podejmiemy tę pracę.

- Tak – zgodził się ojciec, ale najwyraźniej nie mógł przestać myśleć o tajemniczej substancji. – To musi być coś oczywistego – dodał po chwili. – Coś, co kompletnie przeoczyliśmy.

Ale co mogli przeoczyć? Przeprowadzili drobiazgowo próby. Gdyby dysponowali dwukrotnie większą ilością sprzętu i dziesięciokrotnie dłuższym czasem, otrzymaliby takie same wyniki. Czerwona substancja była dziwna.

Tego wieczoru ojciec był wesoły, weselszy niż w ostatnich dniach. Śmiał się i żartował, a rano już nie żył.

Anna obudziła się ze wspomnieniem snu o kwiatkach, niebieskich kwiatkach, które namalowała dla ojca. Poszła do kuchni, żeby poukładać naczynia. Na moment wyjrzała przez okno i zwróciła uwagę na to, że w świetle świtu wszystko wygląda inaczej. Dopiero wtedy znalazła ojca, zwiniętego na podłodze obok ławy w pracowni. Natychmiast zrozumiała, że nie żyje, zanim jeszcze go dotknęła.

Ciała ojca było zimna jak gład.

Przez chwilę w umyśle Anny zalegała całkowita pustka. W końcu zmrużyła oczy i spojrzała na leżącego ojca.

Musiał tu przyjść w nocy, a ona nic nie słyszała. Tutaj też umarł, nie powiedziawszy do niej ani słowa.

Anna jęknęła i zamknęła oczy, pogrążając się w żalu.

We frontowym holu wielkiego Domu Cechowego panowała zamieszanie. Aitrus, który się spóźnił, rozejrzał się, a ujrawszy Veovisa w grupie starszych cechowników, szybko podszedł do niego.

- Co się stało, Veovisie?

- Pan Eneah zachorował dzisiejszej nocy.

Pan Eneah był zmiennikiem pana Tulli w Radzie. Bez jego obecności lub wyznaczenia zastępcy Rada nie mogła podjąć żadnej decyzji.

- W takim razie głosowanie się dzisiaj nie odbędzie.

- Jeżeli pogłoski okażą się prawdziwe, głosowanie odbędzie się dopiero za tydzień lub dwa. Wygląda na to, że wielki pan stoi u wrót śmierci.

- To rzeczywiście zła nowina – stwierdził Aitrus.

Chociaż żaden przedstawiciel starszyny D'ni nie mógł uchodzić za człowieka wesołego w oczach młodych, pan Eneah, który liczył sobie ponad dwieście lat, zachował poczucie humoru i sprawował kontrolę nad Radą raczej za pomocą dowcipu niż surowości. W razie jego śmierci Rada straciłaby jednego ze swych najwybitniejszych sług.

- Co teraz zrobimy? – spytał Aitrus, rozglądając się po zatłoczonym westybulu.

- W końcu się rozejdziemy, ale najpierw załatwimy swoje sprawy – odparł Veovis. – Wybacz mi, Aitrusie, ale chciałbym porozmawiać z kilkoma niezdecydowanymi członkami Rady.

Aitrus skinął głową, żegnając Veovisa. W odróżnieniu od przyjaciela nie miał wielkich ambicji politycznych. Został wprowadzony do Rady jako młody przedstawiciel swego cechu, ale nie zabiegał o tę nominację.

Szybko piął się w górę, w trzydziestym ósmym roku życia został mistrzem – najmłodszym od blisko siedmiu wieków – a przed trzema laty cech Aitrusa wybrał go na członka Rady. Dostał niezwykłego zaszczytu, ponieważ wśród kontrkandydatów

znajdowali się ludzie blisko dwukrotnie starsi od Aitrusa, który miał teraz pięćdziesiąt pięć lat.

Przyglądając się Veovisowi z przeciwległej strony pełnego kolumn holu, zwracał uwagę na łatwość, z jaką młody pan poruszał się wśród kolegów, na swobodę, z jaką rozmawiał z najwyższymi osobistościami D'ni. Aitrusa zdumiewało to, jak bardzo stali się sobie bliscy od czasu ponownego spotkania przed trzydziestu laty. Gdyby wtedy ktoś zapytał Aitrusa, kto jest jego najbliższym przyjacielem i powiernikiem, ostatnią osobą, na którą by wskazał, byłby syn pana Rakeriego. Teraz jednak w oczach opinii publicznej Aitrus i Veovis byli nierozłączni.

Pomimo tej nierozłączności przyjaciele bardzo różnili się charakterem. Możliwe, że ich przyjaźń funkcjonowała tak doskonale, ponieważ każdy z nich dobrze wiedział, kim jest ten drugi.

Gdyby byli wrogami, nie prowadziliby dysput do późnych godzin nocnych, nie trwaliby przy swoich poglądach, nie szliby z oporem na ustępstwa, nie dochodziliby w końcu do porozumienia. Stałoby się to z czasem tragedią dla Rady, ponieważ zdaniem wielu w osobach Aitrusa i Veovisa tkwiły ziarna przyszłości D'ni.

- Jak się masz, Aitrusie? Jak czuje się twój ojciec?

Aitrus odwrócił się i uśmiechnął do starca, który go zagadnął. Nigdy nie przestało go zdumiewać, że obraca się w tak wysokich kręgach.

- Dziękuję, wielki mistrzu Yena, ojciec czuje się dobrze.

Wszystko było gotowe. Anna załadowała bagaże na wóz i pożegnała się z okolicą. Stała na końcu mostu i ze łzami w oczach obejrzała się na pustą Rezydencję.

To był jej dom, jej cały wszechświat. Tutaj się urodziła, w tych pokojach pobierała pierwsze nauki. Tutaj była kochana przez najwspanialszych rodziców, jakich może sobie wymarzyć dziecko. A teraz odeszli.

Pozostał tylko kamień. Kamienie, pył i prochy.

Prochy ojca Anna wsypała do małego słoiczka. Ostrożnie umieściła go na wozie obok tego, który zawierał prochy matki.

Anna odwróciła się. Zdawała sobie sprawę, że nie może tu wrócić. Jej przyszłość leżała gdzie indziej, może w Tadjinarze albo w Europie, ale nie tutaj. Nie teraz, kiedy ojciec odszedł.

Było jej ciężko na sercu, ale wiedziała, że z czasem i to uczucie minie. Nie całkiem, ponieważ w pewnych chwilach ból powraca, ale żal, który teraz czuła, z czasem musi osłabnąć.

Z mozołem ruszyła w dół. Wóz był ciężki, a droga do Tadjinaru daleka. Anna pochyliła się do przodu i zaczęła wciągać wóz na zbocze. Czuła, jak uprzęż wpija się w skórzane podkładki na ramionach, ale przypomniała sobie słowa ojca:

- Podróż licząca tysiąc mil rozpoczyna się od jednego kroku.

Przynajmniej tyle po nim pozostało: wspomnienia, słowa, jego wielka mądrość.

Anna otarła łzy z policzków i uśmiechnęła się. Ojciec był teraz w jej myślach, w jej głowie. Miał tam pozostać, dopóki i ona nie obróci się w proch.

Co widzisz, Anno?

Wspinając się na zbocze, za którym leżała dolina, Anna odpowiedziała na pytanie ojca, a jej głos rozbrzmiał czysto w pustynnej ciszy.

- Widzę bezkresną pustynię, a przed sobą pustynny księżyc wschodzący w ostatnim świetle zmierzchu. Wszędzie, gdzie tylko spojrzę, widzę ciebie. Widzę tam ciebie.

Droga do Tadjinaru nie prowadziła przez krąg kamienny, ale Anna poczuła, że musi go zobaczyć. Jeżeli jej przyszłość leżała gdzie indziej, przynajmniej zabierze ze sobą wspomnienie o kręgu.

Zostawiła wóz w wąskim żlebie i ruszyła po piasku w stronę kręgu. W księżycowym blasku krąg wyglądał bardziej tajemniczo niż kiedykolwiek. Co mogło spowodować jego powstanie?

Może przyczyna znajdowała się pod ziemią?

Anna kucnęła pośrodku kręgu i przypomniała sobie słowa ojca. Faktycznie wyglądało na to, że ziemia pod kręgiem nie tylko się zatrzęsała, ale wibrowała. Co mogło spowodować wibracje? Czystą formą wibracji był na przykład dźwięk, ale jaki dźwięk, jakie potężne echo w skale mogło spowodować powstanie takiego kręgu?

Odpowiedź na to pytanie musiała się znajdować w jaskini, a Anna najzwyczajniej w świecie ją przeoczyła.

Zamiar ponownej eksploracji, zwłaszcza na własną rękę, graniczył z szaleństwem, ale myśl o odejściu bez podjęcia próby zgłębienie tajemnicy była nie do przyjęcia. Anna musiała wrócić do jaskini.

W plecaku miała wszystko, czego potrzebowała: hełm ojca, lampę, hubkę i linę. Jak gdyby już wcześniej wiedziała, że tam wróci.

Anna uśmiechnęła się. Oczywiście, że wiedziała. Gnał ją przymus, ten sam, który przez całe życie kierował ojcem.

A jeżeli nic tam nie znajdziesz, Anno?

Wtedy będzie wiedziała, że nic nie znalazła. Pójdzie do Tadjinaru i wszędzie, gdzie ją los powiedzie, zostawiając tajemnicę kręgu za sobą.

Ciemny tunel wyglądał jak czarne usta w posrebrzonej skale. Sam jego widok był przerażający, ale Anna nie czuła strachu. Czego miałyby się bać?

Zapaliła lampę i weszła do tunelu. Od razu dostrzegła zawał skalny i wydrążone przejście.

Przyglądała się otworowi przez chwilę i pokiwała głową. Będzie musiała przepchnąć plecak przed sobą. W ciemności nie będzie to łatwe, ale przecież już raz jej się udało.

Wyjęła z plecaka hełm, założyła go i zawiązała paski pod brodą, a następnie zgasila lampę. Ogarnęła ją głęboka ciemność. Wsunęła lampę do plecaka, zasznurowała go mocno i przecisnęła przez otwór. Usłyszała, jak spada z przytłumionym grzechotem.

Pamiętała, jak trudno schodziło się poprzednim razem. Wsunęła się do otworu głową w przód, wyciągając ręce przed siebie. Poprzednim razem błędnie oceniła szerokość otworu. Teraz pozostawał tylko problem bezpiecznego wylądowania w tunelu.

Wyłaniając się z otworu, Anna zaczepiła się stopami o krawędź skały i dłońmi wymacała drogę po nieregularnej powierzchni. Upewniwszy się, że nie będzie spadała ze zbyt dużej wysokości, podciągnęła się do przodu. Wsunęła stopy do otworu, wtuliła głowę w ramiona i poturlała się w dół.

W ciemności spадanie wydało jej się znacznie dłuższe, niż pamiętała. Na moment zdjął ją paniczny strach, a potem mocno uderzyła o skałę.

Przez chwilę leżała nieruchomo, a plecak wbijał jej się boleśnie w ramiona. Przeguby bolały ją po upadku. Czuła, że posiniaczyła sobie szyję i plecy, ale chyba nie doznała poważniejszych obrażeń.

Anna usiadła, sięgnęła za siebie po plecak i skrzywiła się z bólu, który nagle przeszył jej rękę od przegubu do łokcia. Zgięła rękę i powoli pokręciła dłonią w przegubie, zginając przy tym palce.

- Głupia – powiedziała do siebie tonem upomnienia. – Postąpiłaś bardzo głupio.

Tak, ale mimo to się udało.

Ledwo, ledwo – przypomniał jej wewnętrzny głos.

Wyjęła lampę z plecaka i zapaliła ją.

Obejrzała się na zawał skalny i oceniła, że spadła z wysokości półtora metra. Mogła sobie połamać przeguby.

Miała szczęście.

Przyczepiła lampę do hełmu, zarzuciła plecak na ramię i wstała.

Postanowiła, że jeden raz porządnie rozejrzy się po jaskini i to wszystko.

A jeżeli coś znajdzie?

Odwróciła się twarzą do otworu i znów poczuła słaby podmuch od strony tunelu.

Wtedy podejmie decyzję, ale najpierw musiała szukać.

Na lewo od klina, w fałdzie czerwonej płachty wystającej ze skały, znajdował się otwór, liczący osiem stóp szerokości i dwie stopy wysokości. Przypominał wykrzywione usta, zasłonięte od dołu przez grubą, gładką wargę dziwnej substancji.

Anna natrafiła na otwór po drobiazgowym przeszukaniu całej jaskini. Tylko ta „wyprodukowana” skała pochodzenia magmowego odbiegała od normy.

Odczepiła lampę od hełmu, nachyliła się nad wykrzywionymi ustami i poświeciła do środka. Oczom Anny ukazała się większa przestrzeń – maleńka jaskinia w jaskini – z podłogą z czerwonej substancji, a sufitem z polerowanej czarnej skały, jak ta w kanale wulkanicznym. Wtedy zrozumiała. Kiedyś czerwona substancja musiała być w stanie ciekłym, podobnym do lawy; wypełniła tę przestrzeń, zatykając ją albo prawie zatykając.

Anna wcisnęła się do małej jaskini i wstała. Sklepienie miało kształt dzwony. Musiało to być gniazdo skalne.

Miała wrażenie, że weszła w trzewia jakiegoś dziwnego zwierzęcia.

W głębi jaskini sklepienie ponownie opadało, ale nie stykało się z podłogą. Wzrok Anny napotkał kolejny otwór. Podeszła, kucnęła i poświeciła lampą.

Otwór biegła w głąb skały, a po około dziesięciu jardach kończył się litą ścianą czerwonej substancji.



Anna poczuła jednak, że z otworu dobiega powiew. Odetchnęła głęboko. To było powietrze, czyste, bezwonne powietrze.

Otwór musiał prowadzić na powierzchnię, ale wszystko to nie miało sensu, ponieważ nie było to zapach pustynnego powietrza. Anna знаła zapach pustyni, który zostawiał na ustach suchy smak popiołu. To powietrze było wilgotne i prawie słodkie, zupełnie pozbawione minerałów.

I jeszcze coś. Światło było jakieś inne.

Anna przykręciła knot lampy, postawiła ją za sobą, po czym spojrzała w głąb jaskini. Mimo panującej ciemności ściana przed nią wciąż lśniła. Poblask był słaby i dziwnie ciemny, jak gdyby samo światło było ciemne. Anna nie myliła się.

Z góry napływało światło.

Ponownie podniosła lampę. Odkręciła knot, po czym wczłogała się na czworakach do otworu, popychając lampę przed sobą. Czerwona substancja wypełniała koniec tunelu, ale tuż przed nią, po lewej stronie, otwierała się kolejna szczelina. Anna skręciła w nią i ruszyła łukowatym chodnikiem wzdłuż czerwonej ściany. Chodnik urywał się nagle, ale szczelina biegła dalej, skręcając w lewo pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Anna ruszyła w tamtą stronę.

Powiew nasilił się nagle, a aromat słodkiego, świeżego powietrza stał się obezwładniający. Anna usłyszała hałas, przypominający syk ulatniającego się gazu.

Szczelina otwierała się niczym kielich kwiatu. Po prawej stronie czerwona ściana zdawała się topić, a przed Anną rozpościerała się jaskinia.

Nie, nie jaskinia, ponieważ podłoga była płaska, a ściany regularne.

Anna wstała, uniosła wysoko lampę i krzyknęła ze zdumienia.

Kiedy Aitrus znalazł się w swoim mieszkaniu, ściągnął buty i usiadł ciężko na krześle. Było to typowe, skąpo umeblowane mieszkanie cechowe, takie jakie przydzielano samotnym mistrzom. Ściany z surowego, nie polerowanego kamienia zdobiły gdziegdzie grube gobeliny cechowe, przedstawiające maszyny zagłębione w skale. Wzdłuż trzech spośród czterech ścian biegły szerokie półki, na których stały podręczniki Aitrusa – specjalistyczne prace cechowe z dziedziny mechaniki skał i tachometrii, opisujące kohezję, elastyczność i przenikalność oraz niezliczone prace z dziedziny wulkanologii.

Było tam także kilka tomów opowiadań. Ilustrowana księga ze starodawnymi opowieściami D'ni leżała na małym stoliku obok Aitrusa, gdzie zostawił ją poprzedniego wieczoru. Podniósł ją i przez chwilę patrzył na tłoczoną skórzaną okładkę. Po chwili odłożył ją.

Nie był w nastroju do opowieści. Pragnął towarzystwa, nie zwykłego jednak, ale czegoś, co podniosłoby go na duchu. A może kogoś.

Wydawać by się mogło, że nie oczekuje zbyt wiele, ale bywały dni, kiedy czuł, że jest to niemożliwe.

Aitrus westchnął i wstał. Ogarnął go niepokój.

Może powinienem wziąć kilka dni wolnego i odwiedzić swój rodzinny wiek. Już dosyć dawno tam nie był, a potrzebował odpoczynku. Kolejne zebranie Rady miało nastąpić dopiero za kilka dni, a Aitrus nie miał zaległości w pracy. Nikt nie będzie go winił, jeśli zrobi sobie małe wakacje.

Uśmiechnął się, ponownie wciągnął buty, podszedł do drzwi i wezwał jednego ze stewardów. Potem pospiesznie napisał wiadomość, złożył kartkę i wręczył stewardowi.

- Oddaj to cechmistrzowi Telanisowi.

Steward skłonił się, odwrócił i zniknął w głębi korytarza.

Aitrus omiół spojrzeniem pokój, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Jaskinia, która na pierwszy rzut oka wydawała się mała, okazała się olbrzymia. To, co Anna zobaczyła na początku, było w istocie tylko przedsionkiem. Dalej znajdowała się większa komnata, której ściany mieniły się słabym zielonym światłem.

Właśnie pośrodku tej komnaty zobaczyła dwie potężne maszyny, których ciemne, przytłaczające kształty majaczyły groźnie w półmroku. Stały niczym strażnicy, z wyzywająco uniesionymi kończynami.

Dopiero po chwili Anna poznała, czym w istocie były. Początkowo wzięła je za owady, ze względu na lśniący, twardy, pancierzowaty wygląd. Żadne owady nie osiągały jednak takich rozmiarów, nawet w upalnym pustynnym słońcu. Poza tym te owady zamiast oczu miały okna.

Anna ruszyła w ich stronę, przestraszona nie tylko ich rozmiarami, ale także samym wyglądem. W książkach ojca widziała maszyny parowe – potężne konstrukcje z metalową karoserią, spojeną solidnymi nitami – jednak te dwie były

inne. Miały gładki, wyrafinowany wygląd i były całkowicie niepodobne do wszystkiego, co widziała dotychczas. Opływowe sylwetki przywoływały na myśl zwierzęta i owady, jak gdyby ich kształty były wynikiem wielu pokoleń prób i błędów.

Po bokach bliższej maszyny biegły długie listwy znaczone owalnymi wgłębieniami. Podłużne wycięcia u dołu, przypominające dysze, nadawały jej dziwny, niemal drapieżny wygląd.

Im bliżej podchodziła do maszyn, tym większy odczuwała lęk, ponieważ zdała sobie sprawę ze skali, w jakiej musieli pracować ich twórcy. Ciemna powierzchnia boczna bliższej maszyny, stojącej na lewo od Anny, przewyższała ją niemal pięciokrotnie, a druga, cofnięta nieco w głąb jaskini, była jeszcze większa.

Anna ujrzała też, jak bardzo dwie maszyny różniły się między sobą. Ta, która stała bliżej, była prosta, a jej cztery wielkie nogi kończyły się stożkowatymi dyszami. Druga, krabowata, prezentowała się znacznie groźniej; jej podzielony na segmenty korpus pokrywał gruby pancerz.

Stanąwszy pod pierwszą machiną, Anna dotknęła ciemnej, gładkiej jak lustro powierzchni. Była raczej chłodna niż zimna, a w dotyku nieoczekiwanie szorstka.

Anna zmarszczyła brwi i zbliżyła lampę. Zamiast odbić jej twarz, dziwny metal zdawał się zatrzymywać światło, wciągając je w swoje polerowane, czarnozielone głębnie.

Kątem oka zauważyła jakiś znak umieszczony nisko przy podłodze maszyny. Kucnęła i przesunęła palcami po wytłoczonym symbolu.

Symbol czy litera? A może zwykła ozdoba?

W każdym razie nie przypominało to żadnego pisma, które Anna kiedykolwiek widziała.

Wyjęła notes z plecaka, pospiesznie naszkicowała znak, po czym przysunęła szkic do oryginału.

Tak, dokładnie tak.

Schowała notes, podniosła lampę i odwróciła się powoli. Próbowana złożyć kawałki układanki.

Jakie fakty zgromadziła do tej pory? Krąg ze skał i pyłu, dziwną czerwoną substancję, a także ciemnozielony kamień, który emitował słabe, ale wyraźne światło. A teraz te maszyny.

Nic, zupełnie nic, co miałoby sens. Czyżby natrafiła na pozostałości po starodawnej rasie, która kiedyś zamieszkiwała te strony? Jeżeli tak, to dlaczego nie

znalazła nic więcej? Tak potężna rasa pozostawiłaby znacznie więcej śladów. Dlaczego, jeśli były to dawne szczątki, wyglądały na nowe?

Anna powiodła wzrokiem wzdłuż wielkiego, gładkiego boku maszyny i dostrzegła coś w rodzaju pomieszczenia kontrolnego. Wysoko w górze znajdowało się długie, wąskie okno, którego szczyt leżał na równi z dachem pojazdu.

W plecaku Anna miała linę. Gdyby udało się zarzucić ją na dach maszyny i umocować po przeciwnej stronie, może zdołałaby się wspiąć i zajrzeć do środka.

Anna zsunęła plecak i wyjęła linę. Przeszła na przód maszyny, kucnęła i przyjrzała się podwoziu w świetle lampy. W odległości około dziesięciu czy piętnastu stóp pod czymś, co wyglądało na rurę wydechową, znajdowało się kilka małych brodawkowatych wypustek. Postanowiła przywiązać linę do jednej z nich.

Cofnęła się, powoli rozwijając linę w dłoni. Potrzebowała jakiegoś ciężarka, by przywiązać go do końca liny, ale dysponowała tylko lampą i hubką; oba te przedmioty były zbyt cenne, by mogła ryzykować ich zniszczenie.

Rzuciła linę, która tylko otarła się o bok maszyny i opadła na podłogę. Drugi rzut okazał się lepszy, ale przyniósł taki sam rezultat.

Anna kilkakrotnie związała koniec liny, aż pojawił się na niej węzeł wielkości pięści. Zadowolona, spróbowała znowu.

Tym razem lina ze świstem poszybowała nad maszyną i upadła z drugiej strony.

Anna położyła plecak na zwoju, obeszła maszynę, podniosła koniec liny, następnie wczołgała się pod spód i związała linę wokół jednej z wypustek.

Wyczołgała się, wstała i sprawdziła linę, uwieszając się na niej całym ciężarem. Wytrzymała.

Jak dotąd wszystko szło jak z płatka. Jednak najtrudniejszą część pracy Anna miała przed sobą, ponieważ lina nie gwarantowała jej bezpieczeństwa. Gdyby się ześlizgnęła, Anna wpadałaby w poważne tarapaty.

Mocno naciągnęła linę, postawiła but na kadłubie pojazdu i odchyliła się w tył. Poczwała nagle napięcie w mięśniach łydek i ramion.

Przechylając się nieco w prawo, zaczęła się wspinać. Trzymała się z dala od przodu dziwnego pojazdu, w każdej chwili gotowa zeskoczyć na ziemię, gdyby lina zaczęła się ześlizgiwać. Lina jednak trzymała się jak przyklejona. Być może pomogła szorstkość metalu, na którą wcześniej zwróciła uwagę.

Anna rozluźniła się dopiero, kiedy dotarła do szerokiego tyłu pojazdu. Szczyt okna znajdował się tuż przed nią, w odległości dziesięciu-dwunastu stóp. Czoło pojazdu zwężało się stożkowato, a następnie opadało stromo do podłogi.

Anna powoli podczołgała się do przodu pojazdu, aż krawędź okna znalazła się dokładnie przed nią. Ostrożnie pochyliła się do przodu i zajrzała do środka przez grubą, przezroczystą płytę.

W przyćmionym świetle lampy naftowej kabina nabrała niesamowitego wyglądu. Chybotliwe cienie pełzały groźnie po ścianach.

Anna zmarszczyła brwi, próbując zrozumieć, czego właściwie szukała. W pojeździe znajdowały się dwa siedzenia, a przynajmniej to właśnie przypominały szkielety rurek z naciągniętą na nie siatką. Z przodu dostrzegła tablicę rozdzielczą, ale zupełnie nie mogła się połapać w zegarach, o ile były to zegary.

Na czarnej tablicy Anna dostrzegła wgłębienia i więcej dziwnych symboli, ale żadnych dźwigni czy przycisków, chyba że były schowane.

Anna przesunęła się nieco do przodu, próbując zajrzeć w głąb kabiny, ale nie było tam drzwiczek, lecz jedynie właz. Ktokolwiek czy cokolwiek obsługiwało ten pojazd, musiało wchodzić do kabiny przez okno.

Nagła myśl, że twórcy maszyny mogli nie być ludźmi, lecz jakimiś dziwnymi, tajemniczymi stworami skalnymi, wzbudziła w Annie lęk. Aż do tej pory strach wywołany odkryciem nie pozwalał jej zastanawiać się na przeznaczeniu maszyn, ale teraz Anna dopuściła do siebie to pytanie.

A jeżeli te dziwne, siatkowane siedzenia nie były przeznaczone dla dwóch, ale dla jednego stworzenia: ogromnej, groteskowej istoty o wielu szponiastych kończynach, podobnej do maszyn, które wyprodukowała?

Nie, przekonywała siebie Anna. Ktokolwiek wyprodukował te maszyny, od dawna już nie żyje. One tylko sprawiają wrażenie nowych. Jednak ten chwilowy lęk wywołany przez wyobraźnię rzuciła na Annę cień.

Powoli wycofała się z kabiny, ujęła linę i zeszła na dół.

Odczepiwszy linę, schowała ją do plecaka, po czym odwróciła się do drugiej maszyny. O ile przeznaczenie pierwszej było dla Anny niejasne, druga nie budziła żadnych wątpliwości. Zdradzały ją potężne wiertła na końcu każdej składanej odnogi. To musiała być wycinarka.

Podeszła i stanęła tuż przed maszyną.

Pewne pytanie nie dawało Annie spokoju. Dlaczego ktoś miałby drążyć tunele w ziemi, a następnie je zamykać? Czy obcy znaleźli coś tutaj?

A może był to grobowiec?

Myśl o grobowcu – z pewnością królewskim, bo dla kogo innego tak bardzo by się starano – wprawiła Annę w podniecenie. Możliwe, że natrafiła na kryptę jakiegoś wielkiego starożytnego cesarza. Jeżeli tak, to kto wiedział, co się tu mogło znajdować? Jeżeli tajemnicze istoty potrafiły konstruować takie maszyny, to jakie bogactwa, jakie dziwy mogły zostać pochowane razem ze zmarłym?

Powoli okrążyła maszynę z prawej strony, przyglądając się jej masywnym bokom, rejestrując każdy szczegół grubo ciosanej, ale eleganckiej sylwetki. Przypominała żywe stworzenie, które wyrosło w łonie skały. Materiał, z którego ją wykonano, gdzieś nakładał się na siebie na kształt owadzych skrzydeł. Jeśli jednak pierwowzorem pojazdu był owad, to musiał on być dziwnej, muskularnej, hydraulicznej natury. Na kadłubie umieszczono długie na dwie-trzy stopy pęcherze o niejasnym przeznaczeniu.

Anna przystanęła. Tuż za maszyną, na dole wielkiej ściany krypty, dostrzegła otwór, idealne koło w czarnozielonej ścianie. Anna przeszła jeszcze kilka kroków. Tuż za pierwszym otworem znajdował się drugi, a jeszcze dalej trzeci. Tunele, niewątpliwie były to tunele.

Dokąd prowadziły?

Z bijącym sercem podeszła do pierwszego. Niewielki tunel, w którym ledwo można było stanąć, również okazał się dziełem tajemniczych istot. Ściany wyłożono tym samym czarnozielonym materiałem. Tunel schodził w ciemność.

Drugi tunel okazał się identyczny, ale trzeci otwór, ku zdziwieniu Anny, nie był tunelem, ale swego rodzaju magazynem. Po obu stronach wydrążonego pomieszczenia były szerokie, puste półki.

Anna wyszła i spojrzała przed siebie.

Do którego tunelu miała wejść, do pierwszego czy drugiego?

Postanowiła, że nie wejdzie do żadnego, przynajmniej nie teraz. Najpierw powinna przygotować się do drogi. W ten sposób trzeba się zabierać do rzeczy; tego nauczył ją ojciec.

Przygotowanie się do drogi wiązało się jednak z ponownym przeciśnięciem się przez otwór i z powrotem przez pustynię do wozu. Dwugodzinna wędrówka mogła być przyjemna w świetle księżyca, ale w pustynnym słońcu była mordęgą.

Po cóż właściwie miałyby odbywać tę podróż? Chciała tylko sprawdzić, czy tunele dokądkolwiek prowadzą.

Pięćset kroków, tylko na tyle sobie pozwoli. Jeżeli okaże się, że tunele prowadzą donikąd, natychmiast wróci.

No dobrze, ale który powinna wybrać?

Kierując się intuicją, Anna wybrała ten z prawej strony.

- Jeden, dwa, trzy – odliczała, podpierając się lewą dłonią o ścianę. – Siedem, osiem, dziewięć.

Pięćset. To nie było daleko.

Ciemność przed Anną biegła w głąb skały, stale umykając przed jasnym światłem lampy.

- Osiemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt trzy, osiemdziesiąt cztery...

Po przejściu znacznie więcej niż pięciuset kroków Anna stwierdziła, że zabłądziła. Nie chciała się do tego przyznać, ale pogubiła się. Po ostatnim zakręcie w lewo zaczęła zawracać, lecz wyszła w miejscu, w którym na pewno wcześniej nie była. W każdym razie nie pamiętała, żeby tam była. Znalazła się w małej jaskini o doskonale kulistym kształcie.

Rachubę kroków straciła przed godziną, może dwiema. Wiedziała tylko, że mapa, której trzymała się w umyśle, zawiodła ją. Jeden jedyny raz skrzyła niewłaściwie i wszystko się pogmatwało.

To był labirynt, gąszcz wzajemnie splecionych ze sobą tuneli. Wszystkie wyglądały jednakowo i zdawały się prowadzić... donikąd.

Grobowiec, to musiał być grobowiec, a labirynt, w którym zabłądziła Anna, stanowił jego część.

Nabierała coraz większego przekonania, że tutaj umrze.

Ta myśl kazała Annie stanąć. Musiała wyciągnąć rękę, by utrzymać równowagę. W głowie czuła łomotanie.

Pomyśl, Anno. Pomyśl o tym, co robisz.

Anna podniosła wzrok. Głos rozbrzmiał wyraźnie w jej głowie, jak gdyby to ona sama się odezwała.

- Nie mogę myśleć – odpowiedziała głośno. – Boję się.

Lęk jest wrogiem myśli. Pomyśl, Anno. Zastanów się na tym, co powinnaś zrobić.

Pozwoliła głowie się oczyścić; pozwoliła, by lęk ulotnił się z umysłu. Puls powoli wrócił do normy. Wyjęła z pasa jeden z młotków i podniosła w górę.

- Muszę oznaczyć drogę.

Wsunęła młotek z powrotem do pochwy, zdjęła plecak i wyjęła notes.

- Wykreślę mapę.

Należało to zrobić na samym początku, ale teraz już za późno. Najlepszym rozwiązaniem będzie więc narysowanie drogi powrotnej do pierwszego prostego tunelu, zanim droga się rozwidła. Anna nie wiedziała, ile to zajmie czasu, ale jeżeli będzie postępować metodycznie, jeśli oznaczy każdą ścianę tunelu, każde odgałęzienie, litera i cyfrą, być może po pewnym czasie ujrzy wzór labiryntu na papierze.

Szansa była nikła, ale nic lepszego nie przychodziła jej do głowy.

Anna odwróciła się i rozejrzała wokół siebie. Tunel schodził w dół, a tuż za jej plecami rozwidłał się. Podeszła do rozwidlenia, wsunęła notes do kieszeni płaszcza, po czym zdjęła z pasa młotek i długo.

Pierwsze uderzenie było mocne – Anna poczuła, jak młotek równo uderza w trzonek dłuta – ale ściana pozostała nie naruszona. Spojrzała na skałę z niedowierzaniem, po czym powtórzyła uderzenie. Nic. Na czarnozielonej powierzchni nie pojawiło się nawet zadrapanie.

Było dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy Anna usiłowała pobrać próbkę.

Anna głośno jęknęła. To była jej jedyna nadzieja. Teraz naprawdę była zagubiona.

Papier owija kamień, użyj więc papieru, kwadratów papieru.

Oczywiście! Mogła wydrzeć kartki z notesu i zostawiać małe kwadraty papieru na podłodze przy każdym wejściu. Nie zwlekając ani chwili, wyrwała kartkę, przedarła ją na pół i jeszcze raz na pół. Wyszły cztery kawałki; za mało. W ten sposób szybko wyczerpałaby zapas papieru. Musiała zostawiać znacznie mniejsze kawałki. Przedarła papierki na pół, a potem powtórzyła tę czynność po raz czwarty.

Gotowe. Miała około pięćdziesięciu kartek; to powinno wystarczyć.

Anna kucnęła i zaczęła oznaczać kwadraty symbolami od A1 do A16. postanowiła, że przydzieli po dwie kartki na jedną literę i w ten sposób wykreśli mapę „obszarów” labiryntu. Gdyby w swojej wędrówce wróciła do jednego z nich, na



przykład do C, wiedziałyby dokładnie, w którym miejscu mapy się znajduje. Mogłyby skręcić w inną stronę, aż w końcu ogarnęłyby umysłem całość labiryntu.

Anna podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Jeszcze nie była pokonana.

Dom Cechowy znajdował się w najstarszej części miasta, w otoczeniu gmachów wszystkich większych cechów. Ze schodów jednego z nich rozciągał się widok ponad rozległym D'ni na zatokę i wielki łuk nazwany tak na część legendarnego księcia Keratha.

Skręcając ze schodów przez rząd żłobkowanych marmurowych kolumn, wchodziło się do przestronnego westybulu o nieregularnym kształcie. Posadzka była tu ułożona w wielką mozaikę, przedstawiającą mapę głównej jaskini D'ni. Na podłogach pomieszczeń, odchodzących od westybulu, widniały podobne mozaiki pomniejszych jaskiń.

Sufit westybulu nie był wysoki; zaledwie dwa razy wyższy niż dorosły człowiek. Wielkie łukowate belki stropowe z fiołkoworóżowego kamienia sterczały ze wszystkich ścian, a w górze zbiegały się w delikatną koronkę.

Na prawo od głównego pomieszczenia znajdowały się wielkie łukowate drzwi. W kamieniu okalającym je wyrzeźbiono drzewa, które układały się w naturalny łuk na leśnej polanie. Drzwi te prowadziły do wielkiej komnaty Rady.

Od dawna powtarzano dowcip, że D'ni nigdy nie rozpoczęliby prac wydobywczych na wschód od głównej groty, bo musieliby zmienić wystrój Domu Cechowego. Prawda jednak była taka, że w skale na wschodzie znajdował się zbiornik magmy, powoli stygnącej przez tysiąclecia, z której D'ni od dawna czerpali energię.

Mijając kilkoro drzwi o masywnych zawiasach – każde wykonane z kamiennej płyty, grubej na trzy stopy i wysokiej na dziesięć – wchodziło się do najbardziej imponującej z licznych komnat D'ni. Potężna kopuła sufitu wznosiła się wysoko w górze, podparta osiemnastoma filarami, wyciągniętymi jak krzepkie ramiona. Szerokie stopnie, które służyły także jako siedzenia, prowadziły w dół do okrągłego wgłębienia, pośrodku którego stało pięć wielkich bazaltowych tronów.

Na zewnętrznych ścianach wisały tarcze herbowe cechów wraz ze starodawnymi proporcami.

Na tronach zasiedli wielcy panowie, a na stopniach spoczęli członkowie Rady. Dzisiaj mieli postanowić, czy należy znieść ustawę zakazującą kontaktu z „istotami z zewnątrz”, nazywanymi również „mieszkańcami powierzchni”.

Zebrani siedzieli przez sześć godzin, wysłuchując argumentów za i przeciw, aż wreszcie debata zaczęła zbliżać się do końca. Głos zabrał młody pan Veovis. Stojąc na drugim stopniu, tuż za tronami, podsumował argumenty przemawiające za utrzymaniem dotychczasowego stanu rzeczy, a jego elokwencja sprawiała, że wielu starszych członków Rady uśmiechało się i kiwało głowami.

Kiedy Veovis usiadł, rozległo się bębnienie pięści po kamieniu; w ten sposób D’ni wyrażali aprobatę. Veovis rozejrzał się po Sali ze skromnym uśmiechem, przyjmując milczące wyrazy pochwały.

Naprzeciwko niego, za tronami i nieco po prawej, może sześć stopni wyżej, stał Aitrus, zdając sobie sprawę, że czas już prawie nadszedł. Veovis nadal sądził, że przyjaciel wstrzyma się od głosu. Właściwie liczył na to, ponieważ w zaistniałej sytuacji jeden lub dwa głosy mogły mieć znaczenie decydujące. Aitrus nie mógł się jednak wstrzymać, a chociaż wiedział, że może wystawić na szwank ich przyjaźń, musiał postąpić zgodnie z własnymi przekonaniem.

W komnacie rozległ się szmer, pan Eneah powoli podniósł się z tronu, a jego krucha sylwetka natychmiast skupiła uwagę wszystkich. Zapadła cisza.

Pan Eneah od pewnego czasu ciężko chorował; w jego głosie dało się słyszeć zmęczenie, ale także siłę.

- Cechownicy, wysłuchaliśmy argumentów i wielu z was podjęło już decyzję. Ponieważ jednak jest to sprawa wielkiej wagi, czuję, że przed ostatecznym głosowaniem powinniśmy mieć okazję do nieformalnej dyskusji. Za godzinę odbędzie się głosowanie, ale wcześniej zrobimy przerwę w zebraniu i przejdziemy do westybulu.

Jeżeli nawet niektórzy zebrani czuli się zawiedzeni tą decyzją, to nie okazali tego; pozostali kiwali głowami, jak gdyby słowa pana Eneaha były samą mądrością. Ostatecznie D’ni byli cierpliwą rasą, a wiele decyzji, które mogły zostać „pochopnie” podjęte w komnacie, zapadało w nieformalnej atmosferze westybulu.

Pozostali panowie wstali i ruszyli do wyjścia, a po chwili reszta członków wielkiej Rady poszła w ich ślady.

O ile w wielkiej komnacie panował nastrój powagi i godności, o tyle w westybulu huczało od rozmów. Członkowie Rady chodzili od grupy do grupy, próbując przeciągnąć innych na swoją stronę.

W ostatnich latach niewiele było spraw, które budziłyby tyle namiętności. Teraz, kiedy do głosowanie pozostała zaledwie godzina, obydwie obozy robiły wszystko, żeby pozyskać jak najwięcej zwolenników.

Aitrus samotnie wyszedł do westybulu i na chwilę stanął pod wielkim łukiem, przyglądając się Veovisowi, który stał obok pana Eneaha siedzącego na krześle, wyniesionym specjalnie dla niego. Veovis przemawiał do grupki starszych członków Rady, ani trochę nie onieśmielony faktem, że wielu z nich było o sto lub dwieście lat starszych od niego. Pewność przyjaciela wywarła wielkie wrażenie na Aitrusie, który nie wątpił, że pewnego dnia Veovis zajmie miejsce pana Eneaha na centralnym tronie.

Nie był to odpowiedni moment, dopóki Veovis znajdował się w takim towarzystwie, ale Aitrus musiał powiadomić przyjaciela o zmianie stanowiska, zanim wróci do wielkiej komnaty.

Aitrus ruszył przez westybul, uśmiechając się i pozdrawiając skinieniami głowy cechowników. Nie doszedł jednak nawet do połowy, kiedy zauważył jakiś harmider w głębi westybulu.

Wspiął się na palce, próbując dostrzec przyczynę zamieszania. Strażnicy z kimś się sprzeczali. Nagle cofnęli się i przepuścili przybysza. Był to starszy cechownik z Cechu Poślańców, w dłoni ścisnął zalakowany list.

Kiedy członkowie Rady zdali sobie sprawę z obecności intruza, hałas w westybulu powoli ucichł. Cechownicy odwracali się do przybysza, który przeciskał się przez zgromadzenie, idąc prosto do pana Eneaha.

Westybul i komnata były największą świętością. Wpuszczenie posłańca podczas zebrania stanowiło przypadek bez precedensu. Musiało chodzić o wydarzenie najwyższej wagi.

Kiedy posłaniec stanął przed panem Eneahem, w westybulu panowała już całkowita cisza. Eneah powoli rozłożył pojedynczą kartkę papieru, uniósł podbródek i zaczął czytać. Po chwili podniósł rozbawiony wzrok.

- Cechownicy, wygląda na to, że decyzja została podjęta za nas – powiedział.  
– Mamy gościa, mieszkańca powierzchni.

Po chwilowym milczeniu w komnacie podniósł się nagły rwetes.

## **CZEŚĆ TRZECIA**

# **Wskoki**

Przez pozostałą część tego dnia wysoka Rada – pięciu wielkich panów i osiemnastu mistrzów – usiłowała podjąć decyzję w sprawie dalszego działania.

W trakcie obrad po mieście rozchodziły się plotki, z których wiele dotyczyło charakteru intruza. Snuto domysły, jakiego rodzaju stworzenie pochwycili konserwatorzy. Chociaż większość zgadzała się co do tego, że obcy jest istotą człekokształtną, niektórzy upatrywali w nim krzyżówki niedźwiedzia z małpą. Krążyły też jeszcze bardziej nieprawdopodobne plotki. Według jednej z nich całe plemię obcych – uzbrojonych po zęby i agresywnych – wdarło się do tuneli z zamiarem wtargnięcia do D’ni i dopiero cały garnizon konserwatorów, wspieranych przez Straż Miejską, zdołał ich odeprzeć.

Aitrus nie wątpił, że takie „wiadomości” są całkowicie nieuzasadnione, ale wobec faktów nawet on dał się wciągnąć w grę domysłów. Z nadejściem wieczoru, kiedy wody jeziora przygasały, Aitrus opuścił mieszkanie i ruszył wąskimi zaułkami górnej części miasta. Zamierzał odwiedzić swego przyjaciela Veovisa, który mieszkał w Gmachu Cechu Pisarzy.

Jeżeli ktokolwiek spoza ścisłej grupy panów i mistrzów wiedział, co się działo, tą osobą był właśnie Veovis.

Na małym dziedzińcu przed głównymi drzwiami wiekowego gmachu Aitrus czekał na powrót stewarda, który pospieszył powiadomić Veovisa o jego przybyciu.

Po kilku minutach steward wrócił.

Aitrus ruszył za nim, minął wysokie, żłobkowane filary i przeszedł po szeroki, mozaikowym chodniku, który przepoławiał Gmach Ri’nerafa. Był to pierwszy z pięciu wielkich gmachów, nazwanych na cześć najwybitniejszych synów cechów. Podobnie jak większość starych gmachów cechowym Gmach Cechu Pisarzy nie był jednym budynkiem, ale kompleksem połączonych ze sobą domów i mieszkań. Wrzynały się one głęboko w ścianę wielkiej jaskini. Aitrus zagłębił się w ten kompleks, wspiał się po starych wąskich schodach, których kamień stopił się z upływem czasu jak wosk. Stopnie zostały wytarte przez niezliczone stopy w ciągu sześciu tysiącleci istnienia D’ni.

Tu, w starodawnym kamiennym łonie, mieszkało, jadło i spało dwa tysiące cechowników. Tutaj pobierali nauki, tutaj doglądali codziennych spraw cechu. Tutaj też znajdowały się czytelnie i wielkie biblioteki cechowe, jedyne w swoim rodzaju w całym D’ni.

Idąc wiekowymi korytarzami, Aitrus poczuł ciężar historii Cechu Pisarzy. Chociaż pisarzom nie przysługiwały żadne szczególne przywileje, a ich zdanie nie znaczyło więcej niż zdanie któregoś z członków Rady, Cech Pisarzy uchodził za najbardziej prestiżowy ze wszystkich osiemnastu, a jego członkowie mieli tego świadomość.

Wielu chłopców z ludu D'ni marzyło o tym, żeby zostać pisarzami.

Steward zwolnił, a następnie stanął przed drzwiami. Odwróciwszy się do Aitrusa, ponownie się skłonił.

- Jesteśmy na miejscu, mistrzu.

Aitrus poczekał, aż steward zapuka.

- Wejść! – dobiegł ze środka głos Veovisa.

Steward uchylił nieco drzwi i zajrzał do gabinetu.

- Proszę mi wybaczyć, cechmistrzu, ale przyszedł mistrz Aitrus z Cechu Badaczy.

- Wprowadź go.

Steward pchnął drzwi, a Aitrus wszedł do środka. Veovis siedział na krześle w głębi niskiego gabinetu. Wszystkie ściany były zastawione książkami. Na ścianie za wielkim dębowym biurkiem wisiał portret Rakeriego, ojca Veovisa. Na krzesłach z wysokimi oparciami siedziała jeszcze dwóch mężczyzn, starszy i młodszy. W starszym Aitrus rozpoznał Lianisa, nauczyciela i głównego doradcę Veovisa, a w młodszym Suahnir, przyjaciela Veovisa z Cechu Konserwatorów.

- O Aitrusie – powiedział Veovis, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. – Witaj, drogi przyjacielu.

Aitrus usłyszał, jak drzwi powoli zamykają się za nim.

- Wybacz, że przeszkadzam, Veovisie, ale byłem ciekaw, czy znasz jakieś nowiny.

Veovis podszedł do przyjaciela, ujął go za rękę, potem cofnął się i wskazał na wolne krzesło.

- Ciekawe, że przyszedłeś właśnie teraz. Dopiero co przybył Suahnir z Domu Cechowego. Wygląda na to, że Wysoka Rada zakończyła obrady. W ciągu godziny w całym mieście ma zostać rozwieszona obwieszczenie.

- A więc jakie są nowiny?

Veovis usiadł, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Rada ma przeprowadzić specjalne przesłuchania.

- Przesłuchania? – spytał Aitrus, siadając i patrząc na przyjaciela. – Jakie przesłuchania?

Veovis wzruszył ramionami.

- Wiem tylko, że przybysz z zewnątrz ma zostać przesłuchany, a my, członkowie Rady, możemy być przy tym obecni. Domyślam się, że pytania będą dotyczyły charakteru życia na powierzchni.

- Czy on zna język D'ni?

- Ani słowa. Poza tym to nie jest on, Aitrusie. Przybysz z zewnątrz to kobieta.

- Kobieta?

- Dziewczyna. Z tego, co słyszałem, jest to młoda dziewczyna, która dopiero co wyszła z wieku dziecięcego.

Aitrus ze zdziwieniem pokręcił głową. Trudno było uwierzyć, by ktokolwiek, a tym bardziej młoda dziewczyna, mógł przedostać się na dół tunelami.

- Ale jak mamy ją przesłuchać, jeżeli nie zna języka D'ni? – spytał Aitrus, marszcząc brwi.

- Kto wie? – odparł Veovis z lekką ironią. – Dowiedziałem się, że mają ją przekazać Cechowi Językoznawców. Oni mają spróbować odczytać sens jej dziwnych wypowiedzi. Taka jest w każdym razie idea. Osobiście zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że jej zdolności językowe wykraczają poza chrumkanie.

- Tak sądzisz?

- Och, jestem pewien, Aitrusie. Słyszałem, że obca jest zwierzęciem o dosyć dużych kościach, całkowicie porośnięta sierścią.

- Sierścią?

- Ale przypuszczam, że i tego należało się spodziewać. Ostatecznie jakoś trzeba ochronić ciało przed działaniem żywiolów, prawda?

- Chyba tak.

- Zresztą niektóre stworzenia gustują w owłosionych, tak przynajmniej słyszałem.

Veovisowi odpowiedział śmiech Suahnira, ale Aitrus milczał. Zastanawiał się, jakie okoliczności mogły zmusić młodą dziewczynę – bez względu na gatunek, do jakiego należała – do wyprawienia się w głąb tuneli. Była to raczej nietypowa sytuacja.

- Czy mógłbym ją zobaczyć? – spytał Aitrus.

- Wątpię – odparł Veovis. – Podobno trzymają ją na wyspie w jaskini Irrat. Niewątpliwie językoznawcy potrzymają ją przez kilka miesięcy. Wiesz, jacy oni są drobiazgowi! Poza tym – ciągnął po chwili przerwy Veovis – jest mało prawdopodobne, by ktokolwiek z nas zobaczył ją przed przesłuchaniem. Jeżeli to, co mówi Suahnir, jest prawdą, blisko połowa Wysokiej Rady była za tym, żeby natychmiast odesłać obcą do wieku więziennego i zakończyć całą sprawę. Zapobiegła temu tylko osobista interwencja pana Eneaha.

- Ależ to tylko dziewczyna.

- Przemawiają przez ciebie sentymenty, Aitrusie, czyste sentymenty – wtrącił Suahnir.

- Oczywiście, że to dziewczyna, ale nie pochodzi z D'ni. Nie możemy przypisywać jej tej samej inteligencji czy wrażliwości, którą posiadamy my, D'ni. Co się tyczy faktu, że ona jest tylko dziewczyną, to nie możesz w ten sposób argumentować. Sama jej obecność w D'ni wywołała niepokój wśród ludzi. Nie mówią o niczym innym, a sytuacja ta się nie zmieni, dopóki kwestia obcej nie zostanie rozwiązana. Nie. Przybycie tej dziewczyny do D'ni jest złą rzeczą, ponieważ wywołała wzburzenie wśród prostych ludzi.

Aitrus był zdumiony gwałtownością wypowiedzi Suahnira.

- Czy naprawdę tak uważasz, Suahnirze?

- Suahnir ma rację – powiedział cicho Veovis. – Moglibyśmy na ten temat żartować, ale jest to poważna sprawa i gdyby zwrócono się do mnie po radę, ja również zaleciłbym umieszczenie obcej w takim miejscu, żeby w możliwie najmniejszym stopniu niepokoiła wyobraźnię publiczną.

- Rozumiem – westchnął Aitrus. – Możliwe, że ta sprawa wywoła niepokój społeczny, ale szkoda by było, gdybyśmy nie spróbowali dowiedzieć się jak najwięcej o warunkach życia na powierzchni.

- Wiemy już, że jest zamieszkana. Czy to nie wystarczy?

Aitrus opuścił wzrok. Nie chciał dać się wciągnąć w sprzeczkę z przyjacielem na ten temat.

- Tak czy inaczej, decyzja nie należy do nas, co, stary druhu? – dodał Veovis. – Wysoka Rada postanowiła, że odbędą się przesłuchania, i tak też się stanie, czy sobie tego życzę, czy nie. Módlmy się o to, żeby językoznawcy, skądinąd bardzo przywoici ludzie, tym razem nie porozumieli się z tym stworzeniem.



Aitrus podniósł wzrok i ujrzał, że Veovis uśmiechał się zaczepnie, ale powoli ten uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Gwarantuję ci, Aitrusie, że z tej historii mogą wynikać same kłopoty. Nic, tylko kłopoty.

Cechmistrz Haemis zamknął drzwi celi, po czym odwrócił się do uczennicy. Siedziała za wąskim biurkiem, milcząca i skupiona, a lekka niebieska szata, którą kazali jej założyć, upodabniała ją raczej do młodej akolitki niż więźniarki.

- Jak się dzisiaj miewasz, Ah-no?

- Dobrze, mistrzu Haemisie – odparła. Jej wymowa wciąż była nieco chropawa, ale już w mniejszym stopniu niż poprzednio.

- *Thoe kenem, nava* – powiedziała. Jak się masz, mistrzu?

Haemis uśmiechnął się, zadowolony z uczennicy. Początkowo próbowali po prostu tłumaczyć jej ojczysty język, szukali w języku D’ni odpowiednich nazw przedmiotów codziennego użytku i prostych czynności, ale ku ich zdziwieniu Anna zaczęła walczyć z nimi ich własną bronią. Wskazywała rozmaite przedmioty i za pomocą mimiki skłaniała ich do tego, żeby je nazywali. Bystrość umysłu Anny zdumiała wszystkich. W ciągu ośmiu tygodni opanowała podstawy języka D’ni. Mówiła jak małe dziecko, ale i tak było to niesłychane, jeśli wziąć pod uwagę, skąd pochodziła.

W dwanaście tygodni później Anna mówiła prawie płynnie. Codziennie powiększała zasób słów, nakłaniając ich do przekazywania jej całej swojej wiedzy.

- Czy dzisiaj jesteś sam, mistrzu Haemisie?

- Wielki mistrz Gihran przyłączy się do nas później – oparł Haemis, siadając naprzeciwko Anny. – Ale przez pierwszą godzinę będziemy tylko we dwoje. – Uśmiechnął się. – Czym się więc dzisiaj zajmiemy?

Wpatrywała się w Haemis szeroko otwartymi oczami, których ciemne źrenice nadal go zdumiewały.

- Wspomniałeś o pewnej książce... „Rehevkor”... Czy mogłabym ją zobaczyć?

Pytanie Anny wprowadziło Haemis w zakłopotanie. Nie zamierzał wspominać jej o leksykonie D’ni. Polecono im mówić więźniarce możliwie jak najmniej o życiu D’ni, ale Anna okazała się tak dobrą uczennicą, że Haemis zrezygnował z czujności.

- To nie będzie proste, Ah-no. W tym celu musiałbym uzyskać pozwolenie Rady.

- Pozwolenie?

Haemis spuścił wzrok z zażenowaniem.

- Być może nie powinienem ci o tym mówić, ale... Nie powinienem być ci wspominać o istnieniu księgi „Rehevkor”. Gdyby moi koledzy mistrzowie dowiedzieli się o tym...

- Miałbyś kłopoty?

Haemis przytaknął, a potem podniósł wzrok. Anna przyglądała mu się z uwagą.

- W takim razie nie powiem już ani słowa więcej, mistrzu Haemisie.

- Dziękuję ci, Ah-no.

- Drobiazg – odparła cicho. – Byłeś dla mnie bardzo dobry.

Haemis skinął głową, znowu zażenowany, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, ale Anna przerwała milczenie.

- Czy odpowiesz mi na jedno pytanie, mistrzu Haemisie?

- Jeśli będę potrafił.

- Co oni o mnie myślą? Chodzi mi o twoich kolegów mistrzów. Co oni naprawdę o mnie myślą?

Było to dziwne, niespodziewane pytanie. Haemis nie podejrzewał, że Anna zaprzęta sobie głowę takimi sprawami.

- Szczerze mówiąc, początkowo większość z nich postrzegła cię jako uśmiechnięte, prymitywne zwierzę.

Haemis spojrzał na Annę i zwrócił uwagę na wyraz zamyślenia, jaki pojawił się na jej twarzy.

- A ty, mistrzu Haemisie? Co ty myślałeś?

Nie śmiał na nią spojrzeć, ale było w niej coś, co zmuszało go do szczerości.

- Ja myślałem podobnie.

Anna milczała przez chwilę, wreszcie powiedziała:

- Dziękuję ci, mistrzu Haemisie.

Haemis przełknął ślinę, odważył się ponownie spojrzeć na Annę i powiedział cicho.

- Teraz tak nie myślę.

- Wiem.

- Ja... Jeśli chcesz, wstawię się za tobą podczas przesłuchań.

- Twoja dobroć zasługuje na najwyższy szacunek, mistrzu Haemisie – uśmiechnęła się Anna. – Kiedy nadejdzie właściwy moment, będę musiała przemawiać we własnym imieniu. W przeciwnym razie oni również wezmą mnie za zwierzę, prawda?

Haemis skinął głową. Był pod wielkim wrażeniem postawy Anny, siły, jaka cechowała wszystkie aspekty jej charakteru.

- Zapytam – powiedział cicho.

- Zapytasz? – Anna spojrzała na mistrza ze zdziwieniem.

- O „Rehevkor”.

- Ale mówiłeś...

- To nie ma znaczenia – odparł Haemis i nagle zdał sobie sprawę, że znaczenie miało właściwie tylko dobre mniemanie Anny o nim. – Poza tym nie możemy dopuścić do tego, żebyś stanęła przed obliczem Rady nie przygotowana, prawda Ah-no?

Anna spoglądała przez okno celi na jaskinię, która, jak jej powiedziano, nosiła nazwę Irrat. Ten posępny widok bynajmniej nie podniósł jej na duchu. Potężne żelazne kraty tkwiły w parapecie grubym na cztery stopy, a widok przedstawiał tylko skały i skały; jedyny kontrast z tym szarym krajobrazem stanowiła mała, rdzawa sadzawka.

Mistrz Haemis był dla niej bardzo dobry; Anna wyczuła, że jest może nawet jej przyjacielem, ale i tak był tylko jednym z wielu. Pomimo jego wszystkich drobnych uprzejmości Anna nadal była sama, uwięziona w tym obcym, mrocznym świecie, gdzie dni liczyły po trzydzieści godzin, a pory roku nie ulegały zmianie.

Anna westchnęła, czując, jak ogarnia ją rzadkie uczucie przygnębienia. Próbowwała nauczyć się ich języka i znaleźć coś, co mogłoby jej pomóc – sprawiało jej to nawet przyjemność – nadal jednak nie wiedziała, gdzie się znajdowała i kim byli ci ludzie.

Odwróciła się do drzwi, które, jak cała reszta, były wykute w kamieniu. Anna spała na kamiennym posłaniu, wykutym w skale. W celi znajdował się jeszcze mały kamienny stół, na którym, stał dzbanek z wodą i miska, a na łóżku leżał cienki koc złożony w kwadrat.

Anna przeszła przez celę i usiadła na krawędzi łóżka, ściskając dłonie między kolanami. Siedziała tak przez pewien czas, wpatrując się pustym wzrokiem w ścianę, wreszcie podniosła wzrok.

W drzwiach, które otworzyły się bezgłośnie, stał starszy mężczyzna, wysoki, pełen godności, odziany w długi ciemny płaszcz z takim samym rąbkiem koloru burgunda, jakim ozdobione były płaszcze strażników, którzy schwytali Annę.

Nieznajomy, podobnie jak strażnicy, miał jasne oczy i twarz o niezwykle delikatnej strukturze kości, przywodzącej na myśl cienką porcelanę. Długie siwe włosy, w czym również nie różnił się od strażników, zaczesał gładko do tyłu z wysokiego, bladego czoła.

Człowiek ten był jednak stary, znacznie starszy niż wszyscy, których Anna dotychczas widziała. Widziała stulecia spiętrzone za tymi ustami o cienkich wargach, za tymi jasnymi, zimnymi oczami.

Anna czekała, spodziewając się, że mężczyzna odezwie się pierwszy, ale on tylko na nią patrzył, a potem, jak gdyby zobaczył już dosyć, rozejrzał się po celi. Za nieznajomym, w półcieniu korytarza, stał mistrz Haemis z jednym ze strażników. Nieznajomy zrobił krok w stronę drzwi, a wtedy Anna wstała i odzyskała mowę.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale czy mogłabym pana narysować?

Mężczyzna odwrócił się, a w jego jasnych oczach błysnęło zdziwienie.

- W moim szkicowniku – wyjaśniła. – Był w moim plecaku, razem z węglem do rysowania. Gdybym miała te rzeczy, łatwiej mogłabym znieść oczekiwanie.

Mężczyzna nieznacznie zmrużył oczy, potem odwrócił się i wyszedł z celi. Drzwi zamknęły się bezgłośnie.

Anna znowu usiadła, czując większe przygnębienie niż kiedykolwiek. Zobaczyła chłód w oczach starca i wyczuła, że w tej krótkiej chwili, kiedy na nią spojrział, jej los został przypieczętowany.

- A więc co teraz?

Wypowiedziała te słowa cicho, jakby w obawie, że zostanie podsłuchana, ale właściwie już nie miała się czego bać. Pozwoliła głowie opaść; na moment zapadła w odrętwienie, w którym nie potrzebowała myśleć. Po chwili obraz twarzy starca powrócił.

Anna przypomniała sobie jego zdziwienie, zmrużenie oczu, i zastanawiała się, czy w tej krótkiej chwili nawiązała z nim kontakt.

- Panienko?

Anna podniosła wzrok, zdziwiona tym, że ktoś odzywa się do niej po tak długim milczeniu.

- Proszę – powiedziała nieznajoma kobieta, stawiając tacę na stole. Zapach gorącej zupy i świeżego chleba sprawił, że ślina pociekła Annie do ust.

Kobieta cofnęła się, a Anna wstała, zdziwiona zestawem na tacy. Zamiast tradycyjnego skąpego pożywienia ujrzała dzbanek z jasnoczerwonym napojem, drugi z mlekiem, mały bochenek chleba i inne przysmaki.

Anna odwróciła się, żeby podziękować kobiecie, ale tamta zniknęła. Zamiast niej w drzwiach stał strażnik z beznamyślnym wyrazem twarzy i podał coś Annie. Był to jej szkicownik i węgiel drzewny.

Zaskoczona, odebrała przybory do rysowania i skinęła głową w podzięcie. Prosiła o te rzeczy już ze sto razy, ale nikt jej słuchał. Aż do teraz.

Drzwi celi zamknęły się za strażnikiem.

Anna odłożyła przybory do rysowania, oparła tacę na kolanach i zaczęła jeść.

Nieznajomy mężczyzna wysłuchał jej prośby, ale co to mogło oznaczać? Czy okazywali taką uprzejmość wszystkim więźniom? Czy Anna miała spędzić resztę życia uwięziona w tej ponurej, kamiennej celi?

A jeśli tak, to czy była w stanie to znieść?

Teraz przynajmniej miała swój szkicownik. Na jego tylnej okładce mogła zapisywać myśli i spostrzeżenia, czego bardzo brakowało jej w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Cieszyła się też na spotkania z mistrzem Haemisem i naukę tego dziwnego, ale cudownego języka.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, z nie przeżutym jedzeniem w ustach. Tamta twarz, twarz starca. Gdyby zdołała ją narysować, może zaczęłaby rozumieć, kim był ten człowiek i czego od niej chciał. Ponieważ tajemnica kryła się tam, w rysach twarzy człowieka; tak przynajmniej powiedziała kiedyś Annie matka.

Twarz starca sprawiała wrażenie wykutej w kamieniu. Gdyby jednak Annie udało się odkruszyć kawałek powierzchni i zobaczyć, co znajdowało się pod spodem...

Odstawiła tacę na stół, a potem ziewnęła, czując nagle zmęczenie i potrzebę snu.

Postanowiła, że naszkicuje twarz starca po przebudzeniu.

Anna rozłożyła koc, wyciągnęła się na pościeli, przykryła się i zamknęła oczy. Po chwili zasnęła.

Kapitan stanął na chwilę, żeby przyrzeć się szkicowi. Wbrew samemu sobie czuł podziw dla więźniarki, która tak doskonale uchwyciła twarz starca. Wreszcie zamknął szkicownik, odwrócił się, oddał go Annie i wskazał na otwarte drzwi.

- Chodź, już czas.

Anna schowała kawałki węgla drzewnego do kieszeni i spojrzała na kapitana.

- Dokąd mnie zabierasz?

Nie odpowiedział, tylko wskazał na drzwi.

Anna wyszła z celi, dwóch strażników zajęło miejsce przed nią, a dwóch tuż za nią. Tym razem jednak nikt nie związał jej rąk.

Kiedy kapitan wyszedł z celi, strażnicy stanęli na baczność, po czym ruszyli krokiem marszowym. Anna robiła wszystko, żeby za nimi nadążyć.

Długie schody wiodły przez litą skałę i kończyły się potężną bramą z kamiennymi drzwiami wsuniętymi w szeroką czarną szczelinę w sklepieniu. Minęli bramę i znaleźli się na wielkim bloku skalnym, jeszcze w obrębie jaskini, ale już poza kamiennym lochem, w którym więziono Annę. Obejrzała się; zdziwiła ją masywność konstrukcji lochu.

Zwolnili kroku. Tuż przed nimi skała opadała niemal pionowo w otchłań; most łańcuchowy łączył fortecę z okrągłą bramą wykutą w ścianie jaskini. Anna weszła na most i zwróciła uwagę na wielkie maszyny, które, jak rybacy o czarnych kończynach, przycupnęły nad ciemną szczeliną. Pod wąskim, rozkołysanym mostem były też budynki, kominy i olbrzymie zwały wydobytych kamieni. Anna nie miała lęku wysokości, ale nawet gdyby miała, strażnicy nie zwróciliby na to uwagi. Maszerowali niestrudzenie, szturchając więźniarkę, kiedy zaczynała się ociągać.

Okazało się, że łuk wykuty w skale jest pokryty ozdobami, a tuż poza nim znajduje się ściana z polerowanego czarnego marmuru. Anna pomyślała, że się zatrzymają, ale kapitan maszerował dalej, jakby zamierzał przejść przez skałę.

Kiedy jednak minęli łuk, kapitan skręcił ostro w prawo w głęboki cień. Zeszli po kilku stopniach i stanęli przed drzwiami. Kapitan otworzył je, a Anna spojrzała na niego. Chciała zapytać, dokąd ją prowadzą i co ma się z nią stać. On jednak zachowywał się jak automat, odległy i bezosobowy, zaprogramowany na wypełnianie zadań skutecznie i cicho. Strażnicy stanowili nieme kopie kapitana; ich twarze nie wyrażały niczego.

Anna zrozumiała. Ci ludzie nie lubili jej ani nie chcieli podejmować ryzyka, że ją polubią.

Chodnik za drzwiami biegł zygzakiem przez skałę. W kamieniu płonęły małe kaganki. Wreszcie znów wyszli „na zewnątrz”, do kolejnej jaskini.

Anna rozejrzała się wokół siebie. Widok po prawej zasłaniała skała. Po lewej ręce Anny, około stu jardów w dół, płynął szeroki strumień. Tutaj nie było tak ciemno jak w pierwszej jaskini. Początkowo Anna tego nie rozumiała, ale po chwili zauważyła ze zdziwieniem, że blask bijący z wody oświetlał wszystko wokół.

Zeszli po nagim, skalistym zboczu, a potem ścieżką na kamienne molo. Tam, u stóp stromych schodów z czarnego bazaltu, przycumowana była długa, ciemna, elegancka łódź. Na ławkach czekało cierpliwie czterech wioślarzy w płaszczach koloru burgunda. Obok zdobionej kabiny rufowej zwisała flaga koloru burgunda z misternym, złotym symbolem na środku. Anna weszła na pokład i przyjrzała się symbolowi, zaintrygowana jego złożonością.

- Gdzie my jesteśmy? – zapytała.

Kapitan posłał więźniarce zimne, surowe, podejrzliwe spojrzenie. Przez chwilę sądziła, że jej nie odpowie, ale po chwili powiedział krótko:

- Jesteśmy w D'ni. To jest główna jaskinia.

- Aha... - Anna nie czuła się jednak ani trochę mądrzejsza. Du-ni? Ale gdzie to było? Głęboko w ziemi? Nie, to po prostu nie było możliwe. Przecież ludzi nie żyli w głębi ziemi, pod skałami. A może? Ostatecznie w ciągu minionych sześciu miesięcy widziała wokół siebie właśnie skały, nic, tylko skały.

Odczepiono cumę, a wioślarze siedzący po lewej ręce Anny odepchnęli łódź od nabrzeża. Popłynęli kanałem, skalne ściany zostawały w tyle, a wiosła miarowo zanurzały się w wodę.

Anna obejrzała się na wielki łuk wykuty w masywnej ścianie jaskini. Był to niewątpliwie odpowiednik łuku po zewnętrznej stronie. Sama ściana biegła wysoko, wysoko w górę. Anna zadarła głowę, próbując zobaczyć jej koniec, ale szczytowa część ściany kryła się w cieniu.

Anna wciągnęła powietrze nosem. Było chłodne i czyste, jak powietrze w północnych górach jej ojczyzny.

Musieli się znaleźć na zewnątrz. A przecież kapitan powiedział wyraźnie, że to była jaskinia.

Anna potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Nigdy nie słyszała o tak dużej jaskini. Musiała mieć... wiele mil długości. Anna spojrzała na kapitana, który stał na dziobie i wpatrywał się prosto przed siebie. Za nim, tam gdzie kanał skręcał w prawo,

pojawił się most, jasna, koronkowa kamienna konstrukcja spinająca przepaść. Trzy wysokie łukowate przęsła zdobiły żłobienia równie delikatne jak na wachlarzu z kości słoniowej.

Po drugiej stronie mostu kanał się rozszerzał, a strome ściany przepaści ustępowały miejsca łagodniejszym, bardziej zaokrąglonym zboczom wzgórz. Zamiast szarych skał pojawił się zielony mech. Przed nimi rozpościerało się jezioro, a w oddali majaczyły poszarpane brzegi wyspy.

Początkowo Anna nie zdawała sobie sprawy z tego, na co patrzy, ale po chwili zrozumiała, że to, co wzięła za dziwne nawisy skalne, było w istocie budynkami o dziwnych kształtach, które naśladowały płynne formy stopionej skały. Budynki te były pozbawione dachów.

To ostatnie spostrzeżeni nagle nabrało dla Anny sensu. A więc znajdowali się w środku. A woda... Jakaś substancja rozpuszczona w wodzie musiała powodować ten blask.

Kiedy łódź wypłynęła na jezioro, Anna po raz pierwszy ogarnęła wzrokiem całą jaskinię.

- Jest wspaniała – powiedziała cicho.

Kapitan odwrócił się i spojrzał na Annę, zdziwiony jej słowami. Potem, jak gdyby przyznając jej rację, wskazał w prawo.

- Płyniemy tam. Widzisz? Tuż za skałą. Zaraz się pojawi.

Tuż za wielką skałą widniejącą po ich prawej stronie wznosił się filar – może latarnia morska albo pomnik, którego wierzchołek wystawał ponad urwisko. Kiedy jednak okrążyli cypel, Anna ujrzała ze zdumieniem, że filar nie znajdował się tak blisko, jak przypuszczała. W istocie dzieliły ich od niego dobre dwie lub trzy mile.

- Ależ on jest...

- Ma trzysta pięćdziesiąt pięć wysokości.

Anna wpatrywała się w wielką kolumnę ze skręconej skały, sterczącą ze środka mieniącego się jeziora. Trzysta pięćdziesiąt pięć! Czyli więcej niż mila według jej własnej rachuby! Z jakiegoś powodu wydało jej się to nienaturalne. Skała wyglądała tak, jakby wyrzeźbiła ją czyjaś niewidzialna ręka. Anna nie mogła się zdecydować, czy skała jest ohydna czy piękna; jej oczy nie zostały wyćwiczone do doceniania tak obcej estetyki.

- Jak nazywa się ten filar?



- Starożytni określali go nazwą Ae'Gura – odparł – ale my nazywamy go po prostu Wyspą. Miasto leży za filarem, po prawej.

- Miasto?

Jednak kapitan najwyraźniej uznał, że już i tak powiedział za dużo. Odwrócił wzrok i zamilkł, a niesamowitą ciszę przerywał tylko plusk wiosł i skrzypienie łodzi sunącej po powierzchni jeziora.

Veovis siedział na korytarzu przed gabinetem pana Eneaha i czekał, aż tocząca się za drzwiami dyskusja starszyny dobiegnie końca.

Wezwano go w ostatniej chwili i dowieziono na miejsce prywatnym kabrioletem wielkiego pana. Już samo to znaczyło niemało. Coś musiało się wydarzyć, a starcy pilnie pragnęli skonsultować się z Veovisem w tej sprawie.

Veovis uśmiechnął się. Znał tych ludzi od dziecka. Często widywał ich podczas formalnych i nieformalnych spotkań z jego ojcem. Jedli niewiele, a odzywali się tylko wtedy, kiedy sprawa była naprawdę pilna. Porozumiewali się głównie oczami i gestami, ponieważ znali się od ponad dwóch wieków i niewiele było spraw, których o sobie nie wiedzieli. Veovis reprezentował bardziej młodzieńczy, energiczny nurt myśli D'ni. Starcy mawiali, że miał kontakt z pulsem kultury D'ni.

Veovis wiedział o tym i akceptował ten stan rzeczy. Przyjął na siebie rolę pomostu między Pięcioma a młodszymi członkami Rady. Dążył do pogodzenia ich często sprzecznych zdań, by dojść do konkluzji, które zadowalałyby wszystkich. Podobnie jak wielu przedstawicieli jego klasy, Veovis nie lubił konfliktów, ponieważ konflikt oznaczał zmianę, zmiana zaś była dla niego klątwą. Pięciu już dawno dostrzegło w nim tę cechę i często prosiło Veovisa o pomoc w rozładowaniu potencjalnie trudnych sytuacji, zanim doszło do wybuchu.

Jeżeli się nie mylił, tak też było i teraz.

Drzwi gabinetu otworzyły się i Veovis wstał. W progu stał sam pan Eneah.

- Chodź, Veovisie.

- Panie Eneahu – odpowiedział młodzieniec i skłonił się z autentycznym szacunkiem.

Wszedł do jasno oświetlonego pomieszczenia i ukłonił się wszystkim wielkim panom, a na końcu własnemu ojcu. Zgodnie z przewidywaniem Veovisa w gabinecie siedziało tylko Pięciu; reszta została wykluczona z rozmowy.

Eneah ponownie usiadł na dużym krześle za biurkiem, a Veovis stał na nieco rozstawionych nogach i czekał.

- Chodzi o intruza – powiedział Eneah bez wstępu.

- Wygląda na to, że jest gotowa – dodał pan Nehir z Cechu Kamieniarzy, siedzący na prawo od Veovisa.

- Gotowa, panowie?

- Tak, Veovisie – powiedział Eneah, po czym przesunął wzrokiem po twarzach kolegów, jakby sprawdzał, czy aprobowali to, co miał powiedzieć. – Prawdę mówiąc, jest jeszcze lepiej przygotowana, niż się spodziewaliśmy.

- Co to znaczy, panowie?

- Opanowała język D'ni – odpowiedział pan R'hira z Cechu Konserwatorów.

- Słucham, panie R'hiro? – spytał zszokowany Veovis.

- Tylko pomyśl, Veovisie – odparł R'hira, wpatrując się w młodzieńca. – Pomyśl, co to oznacza.

Jednak Veovis nie był w stanie myśleć. Zaczął podejrzewać, że mistrzowie stroją sobie żarty albo go wypróbują. Przecież ojciec nie wspominał o tym ani słowem!

- Ja...

- Wielki mistrz Gihran z Cechu Językoznawców złożył nam dziś rano wizytę – oświadczył pan Eneah, pochylając się nieco do przodu. – Jego raport jest niezwykle zajmujący. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że kobieta czyni pewne postępy, ale ich skala wprowadziła nas wszystkich w zdumienie. Wygląda na to, że nasz gość jest gotowy do przesłuchania.

- Nie rozumiem... - Veovis zmarszczył brwi.

- To bardzo proste – wtrącił pan Nehir łagodnym tonem. – Musimy zdecydować, co należy zrobić. Czy powinniśmy pozwolić tej młodej kobiecie wypowiedzieć się swobodnie przed całą Radą, czy też ludzie potrafiący zachować dyskrecję powinni ją przesłuchać za zamkniętymi drzwiami.

- Ma pan na myśli Wysoką Radę?

Ojciec Veovisa, pan Rakeri, zaśmiał się burkliwie.

- Nie, Veovisie, chodzi nam o Pięciu.

Veovis zamierzał się odezwać, ale ugryzł się w język, ponieważ nagle zrozumiał, czego od niego oczekiwano.

- Tak jest, Veovisie – powiedział pan Eneah, przyglądając się uważnie młodzieńcowi. – Chcemy, żebyś wybadał dla nas tę sprawę. Ostatecznie jest to kwestia wielkiej wagi. Niewykluczone, że moglibyśmy pozwolić tej dziewczynie przemawiać swobodnie. Z drugiej strony, kto wie, co mogłaby powiedzieć? Naszym obowiązkiem jako kustoszy kultury D’ni jest ocenienie tego ryzyka.

- Czy mogę coś zaproponować, panowie? – spytał Veovis.

- Mów.

- Czy nie moglibyśmy przedstawić propozycji dwóch odrębnych przesłuchań? Pierwsze odbyłoby się przed obliczem Pięciu, a drugie wtedy, kiedy już sami osądzicie sytuację.

- Czy sugerujesz, żebyśmy złożyli obietnicę, której moglibyśmy nie dotrzymać?

- Drugie przesłuchanie zależałoby wyłącznie od powodzenia pierwszego.

Dzięki temu mielibyśmy zabezpieczenie. Gdyby sprawy przybrały zły obrót...

Eneah uśmiechał się lodowato.

- Wyśmienicie – powiedział po chwili. – Powierzamy to zadanie tobie, Veovisie. W ciągu trzech dni zdasz nam sprawozdanie. Jeżeli wszystko potoczy się, jak należy, wysłuchamy tej dziewczyny za tydzień.

- Jak sobie życzycie, panowie – odparł Veovis i skłonił się głęboko.

Właśnie miał się odwrócić i odejść, kiedy jego ojciec, Rakeri, przywołał go do siebie.

- Veovisie?

- Tak, ojczu?

- Twój przyjaciel, Aitrus.

- Co z nim, ojczu?

- Spróbuj nakłonić go do włączenia się do tej sprawy. Aitrus cieszy się sympatią wśród nowych członków. Jeżeli znajdzie się po naszej stronie, wszystko powinno się gładko potoczyć.

- Jak sobie życzysz, ojczu. – Veovis skłonił się z uśmiechem, po czym kolejno skinął głową wszystkim obecnym i opuścił salę.

Po wyjściu mistrzów Eneah długo siedział przy biurku, wpatrując się w swój portret narysowany węglem drzewnym. Od dawna nie przyglądał się sobie tak długo i

nie widział się tak wyraźnie. Myśl o tym, kim się stał, o tym, w jaki sposób czas pobruździł jego twarz, wprawiała go w zakłopotanie.

Eneah miał naturę kontemplacyjną, ale jego myśli były zazwyczaj skierowane na zewnątrz, ku małemu światkowi wsklepionemu w otaczającą go skałę. Rzadko koncentrował się na większym świecie, który żył w nim. Przypomnił mu o nim jednak szkic dziewczyny. Eneah widział, jak nadzieja i strata, ambicja i rozczarowanie, idealizm oraz nieustępliwe brzemie obowiązku zostawiły na nim swoje piętno. Dawniej uważał swoją twarz za maskę, za kamienną pokrywę, która legła na minionym latach, ale mylił się. Na jasnym kamieniu jego skóry wszystko było wyryte jak na tablicy; każdy, kto chciał, mógł czytać.

Jeżeli ona jest typowa...

Ta niedokończona myśl, podobnie jak szkic, bardzo zaniepokoiła starego mistrza. Kiedy zgodził się na przesłuchania, myślał, tak jak wszyscy, że sprawa jest prosta. Dzikuska stanie przed nimi, zostanie przesłuchana, następnie w sposób humanitarny odesłana do wieku więziennego, a z czasem odejdzie w zapomnienie. Tylko że ta dziewczyna nie była zwykłą dzikuską.

Eneah zamknął szkicownik i westchnął ciężko.

- Jeżeli ona jest typowa...

Veovisie?

Veovis podniósł wzrok, a na jego twarzy nie było ani śladu zwykłej wesołości. Wyglądał na zmęczonego, jakby wcale nie spał.

- Ach, to ty, Aitrusie. Cieszę się, że przyszedłeś.

Veovis wskazał na stojące przed nim krzesło. Znajdowali się w wielkiej wspólnej Sali Gmachu Cechowego. Obszerne kwadratowe pomieszczenie było zastawione dużymi fotelami z wysokimi oparciami. To ulubione miejsce spotkań cechowników było prawie puste o tak wczesne porze.

Veovis uśmiechnął się przelotnie, po czym podniósł wzrok na przyjaciela.

- Zeszłej nocy wezwał mnie pan Eneah.

- I?

- Chcą, żebym im pomógł – powiedział Veovis przyciszonym głosem.

- W jaki sposób?

- Chcą odwołać przesłuchania.

- Ależ pan Eneah zapowiedział przesłuchania przed całą Radą. Nie może ich tak po prostu odwołać!

- Otóż to. Właśnie dlatego ma nadzieję, że mogę przekonać poszczególnych członków, żeby poniechali całej sprawy.

- Czy po to mnie wezwałeś? Żeby mnie przekonać?

- Nie, stary przyjacielu. Decyzja należy do ciebie. Jednak mój ojciec chciał, żeby z tobą porozmawiał, co też czynię.

- Nie rozumiem, Veovisie.

- Mój ojciec chce, żebyś mi pomógł.

- A co ty mu odpowiedziałeś?

- Obiecałem, że z tobą porozmawiam, tylko tyle.

- Proszę cię, daruj sobie te gry – zaśmiał się Aitrus. – Chcesz mojej pomocy czy nie?

- Bardzo bym się cieszył, gdybyś mi jej udzielił – uśmiechnął się Veovis.

- Wobec tego lepiej powiedz mi o wszystkim.

Tego wieczoru Aitrus nie wrócił do mieszkania w Gmachu Cechowym, ale poszedł do domu rodzinnego w dzielnicy Jaren, w północno-wschodniej części miasta, skąd roztaczał się widok na Park Wieków. Matka Aitrusa powitała syna z radością, ale on chciał się zobaczyć z ojcem.

Aitrus uściskał matkę i spojrzał na kamienne schody prowadzące na piętro.

- Czy ojciec jest w gabinecie?

- Tak, ale jest bardzo zajęty, Aitrusie. Pisze raport, który musi oddać jutro rano.

Kiedy Aitrus wszedł do dużego, zastawionego książkami pokoju, Kahlis podniósł wzrok i uśmiechnął się słabo spoza wielkiej sterty papierów, nad którymi pracował.

- Ach, to ty, Aitrusie. Jak się masz?

- Czy mogę z tobą porozmawiać, ojczu?

Kahlis zerknął na leżący przed nim dokument, potem odłożył pióro do kałamarza i oparł się na krześle.

- Rozumiem, że to coś ważnego.

Aitrus usiadł naprzeciwko ojca.

- Martwi mnie sprawa tej kobiety.

- Dlaczego?

- Dziś rano spotkałem się z Veovisem. Prosił mnie, żebym odwiedził go w Gmachu Cechowym. Był... w dziwnym nastroju. Kiedy zapytałem go, o co chodzi, odparł, że Pięciu zleciło mu pewne zadanie, a on potrzebuje mojej pomocy.

- A ty obiecałeś, że mu pomożesz?

- Tak.

- W czym więc leży problem?

- Nie podoba mi się to, co robię, ojcze. Dałem słowo, zanim zrozumiałem, w co się wplątuje.

- To do ciebie niepodobne, Aitrusie.

- Być może, ale Veovis jest moim przyjacielem. Trudno byłoby mi odmówić.

- Rozumiem. Ale co jest właściwie trudnego w tym „zadaniu”, które powierzyło wam Pięciu?

- Czyżbyś o niczym nie słyszał, ojcze?

- Co takiego miałem słyszeć?

- Że ta dziewczyna mówi płynnie w języku D'ni.

- Żartujesz sobie, Aitrusie. Plotka głosi, że ona ledwo potrafi wymamrotać własne imię!

- Plotka kłamie.

Kahlis nagle spowaźniał.

- Rozumiem. A zatem przesłuchania odbędą się wkrótce?

- Właśnie – odparł Aitrus. – Pięciu nie życzy już sobie takich przesłuchań, w każdym razie nie przed Radą w pełnym składzie. Chcą, żeby posiedzenia miały charakter poufny, a Veovisowi i mnie powierzyli zadanie przekonania do tego członków Rady.

- Cieszę się, Aitrusie, że przyszedłeś do mnie, zanim stało się coś złego. Pan Eneah złożył obietnicę przed całą Radą i musi jej dotrzymać.

Kahlis wstał i wyszedł z za biurka. Aitrus również wstał i odwrócił się do ojca.

- Co w takim razie zrobisz?

- Spotkam się z panem Eneahem, zanim sprawa potoczy się dalej. Powiem mu, że słyszałem pewne pogłoski i chcę, żaby potwierdził, że są nieprawdziwe.

- Nie wspomnisz mu o moim udziale w tej sprawie?

- Oczywiście, że nie. – Kahlis na chwilę ujął syna za ramiona. – Nie przejmuj się, Aitrusie. Rozumiem, że znajdujesz się w delikatnym położeniu. Jeżeli Veovis

dowie się, że przyszedłeś do mnie, będzie cię winił za wszelkie kłopoty, jakie mogą wyniknąć. Dopilnuję, żeby pan Eneah nie dowiedział się o naszej rozmowie.

- Może się domyślić...

- Domysły oddziela od wiedzy długi ciemny tunel – uśmiechnął się Kahlis. – Wiem, że oszukiwanie nie leży w twojej naturze, Aitrusie, ale postąpiłbyś uczciwie wobec swego przyjaciela i samego siebie, gdybyś zachował tę rozmowę w tajemnicy.

- Lepiej już pójdę – powiedział Aitrus i pokłonił się ojcu.

- Tak. Dziękuję ci, Aitrusie. Postąpiłeś właściwie.

Pan Eneah leżał już w łóżku, kiedy do drzwi zapukał służący.

- O co chodzi, Jedurze?

W drzwiach ukazała się twarz tylko odrobinę mniej wiekowa niż twarz Eneaha.

- Przyszedł wielki mistrz Kahlis, panie. Wie, że godzina jest późna, ale prosi o spotkanie. Twierdzi, że chodzi o sprawę wielkiej wagi.

Eneah westchnął i powoli się wyprostował.

- Poproś mistrza Kahlisa, żeby pozwolił mi się odświeżyć. Za chwilę do niego przyjdę.

- Tak, panie. – Pomarszczona twarz zniknęła.

Eneah odrzucił bawełniany koc z kolan i opuścił stopy na zimną kamienną podłogę. Kiedyś cieszył go luksusy związane z piastowanym stanowiskiem, ale teraz wolał prostotę we wszystkim.

Podszedł do umywalki w kącie spartańskiej sypialni, nalał wody z dzbana do miski, umył twarz i dłonie, po czym osuszył się małym ręcznikiem.

Jego urzędowa szata wisiała na kołku za drzwiami. Eneah zdjął ją, założył i zapiął pod samą szyję.

- Gotowe! – oznajmił, przesunął dłonią po przerzedzonych siwych włosach i przejrzał się w małym lustrze, które wisiało na ścianie. – Zobaczymy, czego sobie życzy mistrz Kahlis.

Kahlis czekał w gabinecie. Kiedy wszedł Eneah, mistrz wstał pospiesznie i skłonił się nisko.

- Wybacz, panie Eneahu...

Eneah zignorował przeprosiny krótkim machnięciem ręki.

- O co chodzi, Kahlisie? Czy przyszedłeś w sprawie planów budowy nowej jaskini?

Dobrze wiedział, że tak nie było. Kahlis nie zrywałby go z łóżka dla takiej błażostki. Nie. Eneah wiedział, o co chodziło. Właściwie spodziewał się zobaczyć jednego z nich. Zdziwił się tylko tym, jak szybko się to stało.

Eneah usiadł, a Kahlis podszedł do biurka.

- Nie, panie, nie chodzi o plany budowy nowej jaskini. Przyszedłem w sprawie pewnych plotek, które krążą dziś od rana.

- Plotki? – Eneah jeszcze przez chwilę udawał niewiniątka, wpijając wzrok w Kahlisa. – Budzisz mnie, żeby mówić o plotkach, mistrzu Kahlisie?

- Nie zawracałbym tym panu głowy, panie Eneahu, gdyby w grę nie wchodziła sprawa najwyższej wagi.

- A cóż to może być za sprawa?

- Chodzi o przesłuchania. – Po chwili wahania Kahlis ciągnął dalej. – Chodzą słuchy, że Pięciu chce przeprowadzić przesłuchania za zamkniętymi drzwiami. Czy to prawda, panie?

- To prawda – odparł Eneah i po raz pierwszy się uśmiechnął.

Kahlis, który najwyraźniej oczekiwał odmowy, zamrugnął zdezorientowany.

- Czy mogę zapytać dlaczego, panie?

Eneah wskazał na krzesło.

- Usiądź, mistrzu Kahlisie, a spróbuję ci to wyjaśnić. Przydałoby się, gdybyś zrozumiał nasz punkt widzenia.

Aitrus siedział przy biurku w kącie gabinetu, próbując nadgonić z pracą przed wyjściem do Domu Cechowego, kiedy rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Wstał i otworzył. W progu stał Veovis. Przyjaciel minął go, wpadł do gabinetu i rzucił się na wyściełaną ławkę z twarzą pociemniającą od tłumionego gniewu.

- Słyszałeś?

- Co miałem słyszeć?

- Przesłuchania. Mimo wszystko zamierzają je przeprowadzić. Pięciu zmieniło zdanie. Przesłuchania odbędą się za tydzień.

- Przed całą Radą?



Veovis przytaknął, ale nie patrzył na Aitrusa; wpatrywał się w przestrzeń tuż przed sobą, jak gdyby wspominał spotkanie, z którego właśnie wrócił.

- To jest błąd. Powiedziałem panu Eneahowi, że to błąd. Będą tego żałować. Jednak mistrz uporczywie obstawał przy swoim. Powiedział, że obietnica jest obietnicą. Cóż, nie zamierzam z tym dyskutować, ale okoliczności się zmieniają.

- Uważasz więc, że udzielenie dziewczynie prawa głosu wiąże się z niebezpieczeństwem?

- Czy masz co do tego jakiegokolwiek wątpliwości? – odpowiedział pytaniem Veovis. – Nie, im dłużej o tym myślę, tym większej nabieram pewności. Ta dziewczyna ma wrodzony spryt i to właśnie on, bardziej niż cokolwiek innego, pozwolił jej opanować nasz język.

- Tak sądzisz?

- Och, wiem to. Obawiam się, że posłuży się tym samym wrodzonym sprytem, żeby manipulować Radą. Słyszałem, że omotała kilku cechowników, którym zlecono badanie jej, i wyciągnęła od nich informację, kiedy wcale się tego nie spodziewali. Jakiż ta dziewczyna ma tupet!

Aitrus usiadł naprzeciwko Veovisa.

- Mów dalej.

Veovis pochylił się do przodu i spojrzał na swe dłonie zaciśnięte na kolanach.

- Wygląda na to, że jeden z językoznawców, który dał się zwieść jej młodzieńczą niewinnością, wspomniał więźniarce o istnieniu księgi „Rehevkor”. Wymusiła na nim obietnicę, że pokaże jej egzemplarz.

- Ależ to jest niedozwolone.

- Otóż to. Dlatego właśnie niejaki cechmistrz Haemis został wykluczony z grupy badawczej.

- Dlaczego nie wspomniałeś mi o tym wcześniej?

- Ponieważ dowiedziałem się dopiero dzisiaj rano.

Aitrus westchnął i potrząsnął głową.

- Musisz się czuć... zawiedziony.

Veovis podniósł wzrok i skinął głową.

- Co teraz zrobisz?

- Zrobię? – W głosie Veovisa dało się słyszeć gorzkość. – Nic nie mogę zrobić. Muszę udawać grzecznego syna, położyć uszy po sobie i ugryźć się w język.

- Czy twój ojciec wydał ci takie polecenie?

- Nie tymi słowami, ale jak inaczej mogę to interpretować? – Potrząsnął głową.  
– Zapewniam cię, Aitrusie, że gorzko tego pożałują. Ta dziewczyna jest sprytna.

- Widziałeś ją?

- Nie, ale jej postępowanie mówi samo za siebie. W końcu to dzikuska, a dzicy nie mają moralności, tylko spryt. Obawiam się, że jej słowa zatrują uszy wielu ludzi i nakłonią ich do działań, których w normalnej sytuacji by unikali.

- W takim razie musisz wystąpić przeciwko niej.

Veovis przyglądał się Aitrusowi przez chwilę, wreszcie skinął głową z uśmiechem.

- Tak, naturalnie. Właśnie tak musi być. Mój głos przeciwko niej. Prawda przeciwko szalbierstwu. – Uśmiechnął się szeroko. – Jak zwykle przemawia przez ciebie czysta mądrość, Aitrusie. Jesteś dla mnie prawdziwą opoką!

Veovis wstał i objął Aitrusa.

- Pozwól, że cię uściskam, stary przyjacielu. Przyszedłem tutaj przygnębiony, a ty tchnąłeś we mnie nową nadzieję. Stanie się tak, jak powiedziałeś. Będę głosem rozsądku, silnym światłem w ciemnościach.

Veovis cofnął się i uśmiechnął się do przyjaciela.

- A ty? Czy poprzeczysz mnie?

- Wypowiem prawdę w taki sposób, jak ją pojmuję – odparł Aitrus. – Nic więcej nie mogę obiecać.

- A więc dość na tym. Obiecuję, Aitrusie, że zdołasz dostrzec prawdę. Nie daj się zwieść pozorną niewinnością tej dziewczyny, ale pomyśl o sprycie, jaki kryje się pod tą maską. Przemów zgodnie z tym, co zobaczysz.

- Tak zrobię.

- Doskonale. Teraz pozwolę ci wrócić do pracy. Jeszcze jedno, Aitrusie.

- Słucham.

- Dziękuję ci. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

W wąskich uliczkach dolnej części miasta tłoczyli się gapie, podczas gdy procesja wspinała się po zboczu skały ku Wielkiemu Gmachowi Cechowemu. Mały oddział Straży Miejskiej przeciskał się przez tłum, utrzymując ciekawskich z dala od wielkiej lektyki, którą ośmiu młodych konserwatorów niosło na dwóch długich tykach.

Anna siedziała na krześle w lektyce i wyglądała spoza częściowo zaciągniętych zasłon na morze twarzy, które zgromadziły się, żeby zobaczyć, jak wiozą obcą na przesłuchania. Niektórzy z gapiów wykrzykiwali do niej dziwnym języku, którego Anna jeszcze w pełni nie opanowała, ale tylko nieliczni wyglądali wrogo. Była dziwolągiem, egzotycznym stworem schwytanym w jakiejś obcej krainie i przywiezionym do pokazania na dworze.

Anna patrzyła na mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy zgromadzili się tylko po to, żeby ją oglądać. Widziała wokół siebie tysiące twarzy o wydłużonych rysach i delikatnych kościach; w ciągu minionych sześciu miesięcy niemal zdążyła się do nich przyzwyczać. Kiedy zeszłej nocy spojrzała w lustro, zdziwiła ją jej własna twarz, a teraz zastanawiała się, jak ci gapie ją postrzegają. Czy jej nos i usta wydawały im się zbyt grube i pospolite, a kości policzkowe o wiele za ciężkie i wystające?

Za bramą tłumy zaczęły rzednąć. Znaleźli się w zamożniejszej dzielnicy, której bogato odziani mieszkańcy stojący na progach domów przyglądali się Annie z jeszcze bardziej nachalną ciekawością niż mieszkańcy dolnej części miasta. Droga nagle się poszerzyła. Miliony stóp wygładziły marmurowe płyty drogi, wijącej się wśród wielkich, pozbawionych dachów domów, które w takim stopniu różniły się między sobą, jak domy w niższej części miasta były do siebie podobne.

Anna zwróciła uwagę na te różnice i w duchu skinęła głową. Tak właśnie miała się sprawa ze społeczeństwami. Dla biednych jednolitość strojów i miejsc zamieszkania, dla bogatych... cóż, czego tylko dusza zapragnie. To właśnie powiedział jej ojciec wiele lat temu, kiedy Anna była jeszcze dzieckiem. Jego rozczarowanie imperiami osiągnęło wówczas punkt kulminacyjny.

Dzisiaj Anna miała spotkać się twarzą w twarz z tym oto obcym imperium. Ta myśl napawała lękiem, ale dni spędzone samotnie w celi na wyspie przygotowały ją do tej próby. Te istoty mogły zrobić wszystko, co najgorsze, a Anna pozostanie sobą i nie okaże skruchy. Za cóż miałyby się kajać oprócz tego, że zabłądziła? Nie, było dokładnie tak, jak uczył ją ojciec: Jeżeli wierzyła w siebie, wówczas nie miało znaczenia, co myślał o niej wielki świat. Dopóki pozostawała w zgodzie z własnym sumieniem, wszystko było w porządku.

W tym momencie, po raz pierwszy od wielu miesięcy, usłyszała w głowie głos ojca, który dodawał jej otuchy tymi samymi słowami co zawsze:

Bądź dzielna, Anno, ale przede wszystkim pozostań wierna sobie.

Nie zamierzała się uchylać przed tym, co ją czekało. Bez względu na to, co powiedzą i co postanowią, Anna zachowa dumę.

Komitet powitalny złożony ze starszych dostojników cechowych czekał przed kolejną kamienną bramą z dwiema wieżami strażniczymi i drzwiami wysokimi na dwadzieścia stóp.

Anna rozpoznała zaledwie kilku z nich, ale twarze trzech dostojników stojących na czele grupy były jej znane.

- Zejdz, Ah-no – powiedział pan Eneah, podszedł do lektyki i kurtuazyjnie podał jej rękę. – Od tego momentu musisz iść piechotą.

Anna pozwoliła, by pomógł jej zsiąść, a następnie zajęła miejsce między wiekowym Gihranem a jego kolegą z cechu, Jimelem. Teraz, kiedy musiała zaufać własnym nogom, nagle straciła pewność siebie. Puls przyspieszył; serce załomotało w piersiach. Wyczuła, że byli już prawie na miejscu.

Tuż za bramą ulica wychodziła na plac, opadający stromo jak ziemia w całym D’ni. Anna rozejrzała się wokół i uzmysłowiła sobie, że widziała to miejsce wielokrotnie przez okno celi, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego znaczenia.

Na wprost niej znajdował się Dom Cechowy, masywny budynek, przed którym stało sześć wielkich bazaltowych filarów. Warstwowy dach sięgał sklepienia jaskini. Nikt nie musiał mówić Annie, do czego służył ten dom, ponieważ tarcze herbowe rozmaitych cechów zdradzały jego funkcję. W alejkach okalających wielki plac tłoczyli się cechownicy, młodzi i starzy, odziani w płaszcze w kolorach burgunda, żółte, turkusowe, purpurowe, szmaragdowe, czarne, jasnokremowe i błękitne.

Anna spojrzała na pana Eneaha, który podszedł do niej. Zauważyła, jak surowa i pozbawiona emocji była jego twarz. Wiedziała jednak, że jeśli nawet starzec nie jest dobry, to z pewnością uczciwy. Jeżeli ktokolwiek mógł ją uratować, to właśnie on. Wiedziała, że mistrz Gihran jej nie lubi, a mistrz Jimel dał jej jasno do zrozumienia, że według niego powinno się ją uwięzić na dobre. Tylko mistrz Haemis był dobry, ale odsunięto go.

Na znak dany przez pana Eneaha grupa z Anną ruszyła dalej.

Przynajmniej mnie nie skuli – pomyślała Anna.

Ale właściwie dlaczego mieliby ją skuwać? Co mogłaby zrobić? Uciec? Nie, nie miała dokąd uciekać. Wyróżniała się jak koza w owczarni.

Kiedy podeszli do wielkich marmurowych schodów prowadzących do gmachu, Gihran nachylił się do Anny i szepnął:

- Dopóki nie udzielą ci głosu, masz zachować całkowite milczenie, rozumiesz, Ah-no? Jeżeli odezwiesz się nie proszona, pana Eneah każe cię zakneblować.

Anna odwróciła się, zdumiona, ale starzec tylko skinął głową.

- Naszych reguł zachowania nie wolno lekceważyć – ciągnął cicho Gihran, kiedy zaczęli wstępować na schody. – Masz robić dokładnie to, co ci każą, i dokładnie odpowiadać na wszystkie pytania. W porządku?

Anna skinęła głową, ale nagle poczuła, że nic nie było w porządku. Napięcie, które przez cały czas czuła w żołądku, teraz groziło wybuchem. Walczyła z nim, podobnie jak walczyła z drzeniem kolan i chęcią opuszczenia głowy.

Poczuła suchość w gardle. Dłonie jej drżały.

Anna stanęła, wyprostowała głowę i zacisnęła pięści, by zapanować nad nerwowym spazmem. Ostatecznie czekało ją przesłuchanie, a nie proces. Postanowił mówić wyraźnie i odpowiadać na wszystkie pytania, dokładnie tak, jak powiedział mistrz Gihran. Może przekonają się, że mówi prawdę. Dlaczego miałyby kłamać?

Gmach okazał się olbrzymi, znacznie większy, niż wydawało się z zewnątrz. Rzędy schodów biegły wzdłuż ścian, zwieńczonych szeroką marmurową plintą, na której stał szereg masywnych bazaltowych tronów. Siedziała na nich ponad setka cechowników w płaszczach, ze złotymi łańcuchami na szyi.

W tym wielkim kwadracie tronów znajdowały się tylko dwie przerwy: wejście, które minęła Anna, oraz drugie drzwi osadzone głęboko w skale w głębi gmachu. Pan Eneah poprowadził grupę dalej po mozaikowej posadzce, potem zatrzymał się i odwrócił się do Anny.

- Stań tutaj, Ah-no – rozkazał.

Anna skinęła głową i patrzyła, jak starzec zajmuje miejsce na wielkim tronie. Rozejrzała się wokół siebie, czując silne napięcie. Na tronach siedzieli w większości starcy – siwobrodzi jak pan Eneah, chociaż nieco młodszy – ale paru cechowników sprawiało wrażenie młodych, według standardów D'ni. Zwłaszcza dwaj przykuli uwagę Anny. Siedzieli obok siebie, tuż po lewej ręce pana Eneaha; pierwszy miał na sobie czarny płaszcz z jasnoczerwoną obwódką, a drugi – jasnoniebieski.

Anna spojrzała na ich twarze, spodziewając się zobaczyć na nich tę samą obojętność, jaką widziała na twarzy pana Eneaha, ale zdziwiła ją intensywność ich spojrzeń; jeden wpatrywał się w Annę z ciekawością, drugi z jawną wrogością.

Anna zadrżała, czując, jak krew zastyga jej w żyłach. Nie mogła się mylić; kimkolwiek był ten młody cechownik, najwyraźniej jej nienawidził.

Ale dlaczego?

- Ah-no? – zagrzmiął pan Eneah.

- Tak, panie.

- Czy wiesz, dlaczego tu jesteś?

Anna odpowiedziała wyraźnie, nasycając głos pewnością, której wcale nie czuła.

- Żeby odpowiadać na pytania, panie Eneahu.

- Dobrze. Masz się jednak trzymać tematu. Nie życzymy sobie żadnych dygresji, rozumiesz?

- Rozumiem, panie.

- Dobrze, wobec tego zaczynamy. Musimy ci dzisiaj zadać wiele pytań.

Anna wsiadła do lektyki, zaciągnęła zasłony i poczuła, jak zalewa ją fala zmęczenia. Przez blisko pięć godzin stała przed tronami, odpowiadając na pytania.

Osunęła się ciężko na poduszki i wróciła pamięcią do przesłuchania.

Kim była? Gdzie się urodziła? Kim byli jej rodzice? Czym zajmował się jej ojciec? Do kogo pisywał raporty? Jak wyglądało państwo Tadjinar? Jaki rodzaj rządu posiadało? Czy w kraju, z którego przybyła, toczono wojny? Czy mieli maszyny? Z jakich źródeł energii korzystali? Czy ludzi jej rasy byli uczciwi?

Niektóre z pytań były proste. Inne, jak to ostatnie, sprawiały Annie sporo trudności. Czy ludzie jej rasy byli uczciwi? Niektórzy, jak jej ojciec, tak. Ale co z handlarzami na bazarze Jaarnindu? Albo z inspektorami i pośrednikami pracującymi dla pana Amanjiry? Annie trudno było ich nazwać uczciwymi. Jednak cechownicy oczekiwali pojedynczej odpowiedzi na to pytanie.

Właśnie ten młody cechmistrz, który przyglądał się Annie surowo od samego początku, domagał się jasnej odpowiedzi.

- A więc, dziewczyno? Czy wszyscy ludzie są uczciwi?

- Nie, panie. Nie wszyscy.

- A zatem wszyscy ludzie są z natury nieuczciwi?

- Nie wszyscy.

- Daj spokój, nie może być i tak, i tak. Albo są z natury uczciwi, albo nie.

- Czy wszyscy ludzie w D'ni są z natury uczciwi, panie?

W komnacie dało się wyczuć napięcie. Pan Eneah wstał z tronu, a z jego postaci biła moc.

- Jesteś tutaj, żeby odpowiadać na pytania, a nie po to, by je zadawać.

Anna pochyliła głowę, a pan Eneah, przyglądając się Annie surowo, dał znak do zakończenia przesłuchania. Jutro miało się odbyć następne, a w razie konieczności jeszcze jedno, aż Anna zostanie całkowicie wydrenowana z odpowiedzi.

Lektyka uniosła się i rozpoczęła swój łagodny, chybotliwy ruch, a Anna opadła na poduszkę, zamykając oczy.

Oczami wyobraźni ujrzała twarz tamtego młodego mistrza, Veovisa. Był przystojnym mężczyzną o książęcej postawie, ale Anna zauważyła, że w ciągu całego przesłuchania przyglądał się jej podejrzliwie.

Drugi młodzieniec, siedzący obok Veovisa, często nachylał się do niego, by pochwycić szeptane słowo; od czasu do czasu kiwał głową. Wyglądał na sprzymierzeńca Veovisa, ale Anna ani razu nie dostrzegła w jego twarzy choćby cienia krytyki pod jej adresem. Nie zadał też żadnego pytania.

Jakie to dziwne, myślała, widząc w umyśle twarz młodzieńca. Pociągnęła, surowa twarz, niebrzydka, ale nie tak przystojna jak Veovisa. Nieznajomy sprawiał wrażenie intelektualisty, ale czy nie dało się to powiedzieć o wszystkich D'ni?

Kołysanie lektyki uspiło Annę. Po chwili ocknęła się i nie wiedziała, gdzie jest.

Kiedy pamięć wróciła, Anna po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak użytek zrobią z odpowiedzi, których im udzieliła. Anna widziała tunele prowadzące na powierzchnię i wiedziała, że D'ni interesowało to, co działo się tam w górze; nie mogła jednak pojąć, co zamierzali zrobić z informacjami, które im dostarczyła. Pewne sprawy interesowały ich bardziej niż inne. Wielką wagę przywiązywali na przykład do odpowiedzi Anny na pytanie, czy jej naród był wojowniczy czy nie. Czy to oznaczało, że planowali inwazję? Czy takie było przeznaczenie tuneli?

Anna pytała samą siebie, czy te pytania w ogóle ją obchodzą. Z wyjątkiem pana Amanjiry w całej Tadjinarze – nie, w całym imperium – nie miała nikogo bliskiego. Ludzie, których kochała, nie żyli. Czy w takim razie to wszystko miało jakiegokolwiek znaczenie?

Oczywiście, że tak, odpowiedział głos w umyśle Anny. Od twoich słów może zależeć los imperiów, a poza tym każda wojna jest zła. Pomyśl o cierpieniu, Anno.

Ta myśl wprowadziła ją w zakłopotanie. Czy powinna może odmówić odpowiedzi na dalsze pytania? A może już i tak za dużo powiedziała?

Kłopot polegał na tym, że tak mało wiedziała o tych ludziach. Anna odpowiedziała na wszystkie pytania, ale oni dopilnowali, żeby zataić przed nią możliwie jak najwięcej. Jak gdyby była szpiegiem.

Anna westchnęła głęboko. Czy tak właśnie myśleli? Że przybyła, żeby ich śledzić?

Gdyby sprawa nie była poważna, Anna wybuchnęła by śmiechem. Szpieg? Co za pomysł!

W tym momencie przypomniała sobie wrogość młodego mistrza.

Oni sądzą, że im zagrażam.

Po raz pierwszy od czasu przybycia na Irrat Anna zaczęła się zastanawiać, czy jej życiu nie groziło niebezpieczeństwo.

No więc? – zapytał pan Eneah tego wieczoru, kiedy pięciu panów zostało wreszcie bez towarzystwa innych osób. – Czy nadal uważasz, że dziewczyna stanowi zagrożenie, Nehirze?

Nehir, który właśnie usiadł za biurkiem naprzeciwko Eneaha, podniósł wzrok i spojrzał wyzywająco na starca.

- Nie ona, Eneahu, ale to, co mówi. Osobiście uważam, że usłyszeliśmy już dość.

- Zgadzam się – powiedział Rakeri, pochylając się do przodu. – Nie obchodzi nas to, kim jest ta dziewczyna. Ważna jest zagrożenie, jakie może nieść ze sobą kontakt z jej rasą.

- Czujesz więc, że istnieje autentyczne zagrożenie?

Rakeri napotkał wzrok Eneaha i skinął głową.

- Jak ci wiadomo, początkowo nie zgadzałem się z Veovisem, ale czuję, że przewidywania moje syna w pełni się potwierdziły. Jeżeli dziewczyna mówi prawdę, a wierzę, że tak, mieszkańcy powierzchni są zacofaną, wojowniczą, niemoralną rasą, której podstawowym motywem działania jest chciwość.

- Aż tyle wyczytałeś z jej słów?

- Owszem. Przecież każde zdanie dziewczyny mówiło o skorumpowanym charakterze jej współplemieńców!



- Zgadzam się – odezwał się cicho Rakeri z kąta komnaty. – Według mnie usłyszeliśmy już dość. Szaleństwem byłoby choćby rozważanie możliwości nawiązania kontaktu z mieszkańcami powierzchni.

- A co ty na to, Sajko?

Sajka, świeżo mianowany członek Pięciu, po prostu skinął głową.

- A więc to właśnie proponujemy. – Eneah rozejrzał się wokół siebie. – Jutro przy dziesiątym dzwonku zwołam całą Radę. Pozostała nam do ustalenia jeszcze jedna drobna kwestia, a mianowicie, co zrobić z dziewczyną?

- Odesłać ją z powrotem – zaproponował Rakeri.

- To zbyt ryzykowne – zaproponował R'hira. – Przyznaję, że jest to mało prawdopodobne, ale ktoś mógłby uwierzyć w jej opowieść i zacząć nas szukać.

- Może w takim razie powinniśmy ją umieścić w jednym z wieków więziennych – powiedział Nehir. – Niekoniecznie musi być on ciężki. W razie potrzeby moglibyśmy stworzyć dla niej nowy, przyjemny wiek.

- Przyjemny czy też nie, czy sądzisz, że byłaby to sprawiedliwa zapłata za szczerłość, jaką nam okazała, Nehirze? – Eneah powiódł pytającym wzrokiem po twarzach starców, po czym skinął głową.

- A zatem postanowione. Dziewczyna zostanie tutaj, w D'ni. Znajdziemy dla niej tymczasowe lokum, dopóki nie zapadnie ostateczna decyzja. Zgoda?

- Zgoda.

- Zgoda.

- Zgoda.

Sajka, który dotychczas się nie odzywał, powiódł wzrokiem dookoła, uśmiechnął się lodowato, wreszcie skinął głową.

- Zgoda.

Veovisa rozsadzał entuzjazm. Wieczorem wydał przyjęcie w gospodzie nad zatoką. Aitrus, któremu szkoda było czasu na odwiedzanie takich miejsc, robił wszystko, żeby się wykręcić, ale Veovis nie chciał o tym słyszeć.

Aitrus znalazł się więc w kącie wielkiej Sali zastawionej stołami, a wokół niego tuzin młodych cechowników – niektórych znał dobrze, innych tylko z widzenia – zanurzało kielichy w misie stojącej na środku stołu i piło za sukces młodego pana.

- Ostatnie pytanie było decydujące – powiedział Suahnir, a jego oczy błyszczały z podniecenia. – Reszta była czystą formalnością.

- Możliwe – odparł Veovis, wstał i spojrzał na Aitrusa. – Pozwólcie jednak, że powiem coś, do czego się jeszcze nie przyznałem. Myliłem się co do tej dziewczyny.

- Myliłeś się? – rozległ się chór głosów.

Veovis podniósł ręce, dłońmi zwróconymi do sali.

- Wysłuchajcie mnie, panowie! Przed przesłuchaniem byłem przekonany, jaką istotą okaże się ta dziewczyna, i jeśli sobie przypominacie, nie kryłem swego zdania!

Odpowiedział mu śmiech i kiwanie głowami.

- A jednak myliłem się – ciągnął Veovis – i nie jestem zbyt dumny, by się do tego przyznać. Bez względu na zasługi jej rasy lub ich brak dziewczyna przemawiała doskonale. Wydaje mi się, że wszyscy to wyczuliśmy.

Odpowiedział mu zgodny pomruk i dalsze kiwanie głowami.

- Wieść niesie, że dziewczyna ma zostać w D'ni – mówił dalej Veovis. – Czy ogłosi wyjdzie to na dobre czy nie, dopiero się okaże, ale tak właśnie postanowili nasi mistrzowie, toteż czuję, że powinniśmy poczekać i zobaczyć. Jednocześnie musimy zachować czujność.

- Co masz na myśli? – spytał nieodłączny towarzysz Veovisa, Lianis, który siedział po jego lewej ręce.

- Mam na myśli to, że powinniśmy dopuścić do zrodzenia się ruchu, mającego na celu zmianę dzisiejszej decyzji. Nie wolno się z nią kontaktować.

- A jeżeli taki ruch powstanie, Veovisie? – spytał Suahnir.

Veovis uśmiechnął się i powiódł po zebranych pewnym wzrokiem.

- Wówczas będziemy musieli doprowadzić do przeniesienia dziewczyny z D'ni w bardziej stosowne miejsce.

Aitrus, który pilnie przysłuchiwał się rozmowie, zmarszczył brwi. Veovis miał na myśli wiek więzienny. Mimo to, biorąc pod uwagę poglądy przyjaciela, musiał przyznać, że Veovis postępuje możliwie najuczciwiej.

Aitrus sięgnął po kielich i przycisnął go do piersi. Cieszyło go, że Veovis jest taki szczęśliwy, a jednak nie mógł podzielać radości panów w związku z dzisiejszą decyzją. Być może Veovis miał rację, być może Aitrus pozwalał, by sentymenty osłabiły jego zdolność osądu, ale czuł, że zostawił część siebie tam w skale, gdzie wspinał się ku powierzchni wraz z mistrzem Telanidem, Jerahlem i całą resztą.

Niezależnie od tego, kim się stał w ciągu minionych trzydziestu lat, nie mógł odrzucić swego dawnego „ja”.

Kiedy słuchał, jak dziewczyna odpowiada na pytania, wreszcie uchwycił prawdę. Wiedział już, że pragnie kontaktu; niczego tak nie pragnął, jak stanąć tam i zobaczyć na własne oczy, jak wygląda powierzchnia.

Ale jak miał to powiedzieć Veovisowi, a jednocześnie pozostać jego przyjacielem? Dla Veovisa taki pomysł był jednoznaczny z klątwą.

- Mistrzu Aitrusie?

Głos przebił się przez gwar przy stole. Aitrus podniósł wzrok, spodziewając się ujrzeć jednego z młodych cechowników, ale tuż za plecami Lianisa ujrzął cechownika w płaszczu Cechu Poślańców.

Aitrus odstawił kielich i wstał, a przy stole zapadła cisza.

- O co chodzi?

- Pilna wiadomość, mistrzu – oznajmił posłaniec, zdjął rękawicę i wyjął z kieszeni płaszcza zalakowaną kopertę. – Kazano mi dopilnować, żebyś niezwłocznie zastosował się do jej treści.

Veovis wyciągnął rękę z uśmiechem.

- Daj. Oddam ją przyjacielowi.

Posłaniec spojrzał na Aitrusa, który skinął głową. Cechownik skłonił się przed Veovisem, wręczył mu list, po czym cofnął się i na powrót wciągnął rękawicę.

Veovis odwrócił się i podał list Aitrusowi.

- Pilna sprawa, co, przyjacielu? To chyba pieczęć pana Eneaha.

Aitrus przez chwilę przyglądał się kopercie. Veovis miał rację: to była pieczęć pana Eneaha. W kopercie znajdowała się jednak wiadomość od jego ojca.

- Wybacz, Veovisie, ale muszę iść – powiedział, podnosząc wzrok.

- Kłopoty? – spytał Veovis ze szczerą troską w głosie.

- List nic o tym nie wspomina.

- W takim razie idź – powiedział Veovis i dał znak pozostałym, by przepuścili Aitrusa. – Idź natychmiast, ale daj mi znać, gdybym mógł ci jakoś pomóc...

Aitrus przecisnął się przez grupę cechowników, w roztargnieniu skinął głową i wyszedł.

Veovis usiadł, spojrzał na zatłoczoną salę, a przez twarz przemknął mu cień. Potem powidół wzrokiem po twarzach siedzących, uśmiechnął się i podniósł kielich.

- Za D'ni! – wykrzyknął.

- Za D'ni! – zawtórował tuzin gromkich głosów.

Kahlis chodził tam i z powrotem po holu, oczekując syna. Nastąpiła północ, a dźwięk miejskiego dzwonu niósł się po powierzchni jeziora.

Kiedy dzwon ucichł, Kahlis usłyszał skrzypnięcie bramy i pospieszne kroki na kamiennych płytach. Na barwne szybki drzwi padł cień.

Kahlis odsunął zasuwę i otworzył drzwi na oścież.

W progu stał Aitrus, z szeroko otwartymi oczami, zadyszany. Sprawiał wrażenie człowieka, który biegł przez pół mili.

- Co się stało? – spytał, patrząc na ojca.

- Chodź na górę, Aitrusie – powiedział Kahlis i zamknął drzwi.

Poszli do gabinetu. Kahlis cicho zamknął drzwi i odwrócił się do syna.

- Dziś wieczorem wezwał mnie pan Eneah i zapytał, czy na pewien czas przyjąłbym do siebie tę dziewczynę, Ah-nę. Zwrócił się z tym do mnie, ponieważ wie, że jej los nie jest mi obojętny.

- I chcesz, żebym wyraził zgodę?

- Tak.

- A więc zgadzam się.

Kahlis zamierzał mówić dalej, kiedy dotarły do niego słowa syna.

- Zgadzasz się?

- Rozumiem, że matka się zgodziła, a ty również musiałeś, bo w przeciwnym razie być mnie nie wzywał.

Kahlis otworzył drzwi i zawołał:

- Tasero!

U stóp schodów pojawiła się głowa matki.

- Tasero, przyprowadź tę młodą damę. Chcę ją przedstawić naszemu synowi.

Anna weszła do wypełnionego książkami gabinetu i powiodła zmęczonym wzrokiem wokół siebie.

- Aitrusie, to jest Ah-na – powiedział Kahlis. – Przez pewien czas będzie naszym gościem.

Aitrus pochylił głowę z szacunkiem.

- Cieszę się, że z nami zamieszkasz.

- Dziękuję – odparła, a ich oczy spotkały się na moment. – Jestem wdzięczna za waszą gościnność.

- Jesteś tu mile widziana – przerwała Taseira, podeszła do Anny i ujęła ją za ramię. – Wybaczcie, ale muszę odprowadzić Ah-nę do jej pokoju.

Annę zdziwiło to pospieszne powitanie, ale odwróciła się posłusznie i wyszła za kobietą na korytarz.

- Proszę – powiedziała Taseira, otworzyła drzwi i wyciągnęła rękę. – To będzie twój pokój.

Anna weszła do środka, nie posiadając się ze zdumienia. W porównaniu z Rezydencją ten pokój był luksusowy. Odwróciła się i pochyliła głowę.

- Jesteś za dobra, Taseira, o wiele za dobra.

Aitrus szedł z Domu Cechowego do Wielkiej Biblioteki, kiedy Veovis odłączył się od grupy cechowników i podszedł do przyjaciela. Od spotkania w gospodzie minął tydzień.

- Aitrusie! Czy dostałeś moją wiadomość?

- Wiadomość... Ach, tak. Byłem zajęty.

Veovis uśmiechnął się, po czym wyciągnął dłonie do Aitrusa, który uściśnął je mocno.

- No więc, jaka ona jest?

- Sprawia wrażenie... grzecznej, dobrze ułożonej.

- Sprawia wrażenie?

- Tak mi się wydawało – odparł Aitrus, nie rozumiejąc, dlaczego przyjął defensywny ton.

- Czy myślisz, że ta dziewczyna jest autentyczna?

- A ty nie? Sądziłem, że nie masz wątpliwości.

Veovis uśmiechnął się, rozładowując napięcie.

- Zapewniam cię, że takie właśnie odniosłem wrażenie. Ale z drugiej strony, nie mieszkam z nią dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby w masce, która nosi, były jakieś rysy, ty byś je zauważył, prawda?

- Gdyby były.

- Och, nie twierdzą, że są. Po prostu...

- Co po prostu?

- Powinniśmy mieć całkowitą pewność, nie sądzisz?

Pomysł badania dziewczyny wydał się Aitrusowi obraźliwy.

- Sprawia wrażenie... niespokojnej – powiedział po chwili, chcąc w jakiś sposób zadowolić ciekawość Veovisa.

- Niespokojna? W jakim sensie?

- Może chodzi o to, że wszystko tutaj jest dla niej obce. Musi być trudno przystosować się do D'ni po życiu pod gołym niebem.

- Czy ona tęskni za domem?

- Nie jestem pewien. Szczerze mówiąc, nie pytałem jej.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze z nią nie rozmawiałeś – zaśmiał się Veovis.

- Jak już mówiłem, byłem zajęty. Pomagałem ojcu.

Veovis przyglądał się Aitrusowi jeszcze przez chwilę, po czym uściśnął go za ramię.

- Powinieneś zrobić sobie przerwę, Aitrusie, i odwiedzić mnie na K'veer. Przywieź też dziewczynę.

- To byłoby miłe.

- A zatem do zobaczenia wkrótce – odparł Veovis, odwrócił się i odszedł.

Aitrus odprowadzał wzrokiem przyjaciela, który wrócił do grupy cechowników, wreszcie uśmiechnął się i ruszył w dalszą drogę. Prawdę powiedziawszy, obawiał się spotkania z Veovisem, ponieważ wiedział, co jego przyjaciel czuje w związku z „intruzką”. Sądził, że Veovis będzie zły, że dziewczyna zamieszkała w jego rodziców, ale te obawy najwyraźniej okazały się bezpodstawne.

Aitrus przyspieszył kroku, bo już i tak był spóźniony na spotkanie.

K'veer. Miło będzie pokazać dziewczynie K'veer.

Ten pokój był jakimś warsztatem lub laboratorium. Anna zawahała się, obejrzała się na pusty korytarz, wreszcie wślizgnęła się do środka i zamknęła drzwi.

Nie powinnaś tu wchodzić, Anno – powiedziała sobie, ale obudziła się w niej stara ciekawość badacza. Poza tym nie zostanie tu długo i niczego nie przestawi.

Wzdłuż lewej ściany pokoju biegła długa ława z kamiennym blatem, a na środku stał duży, niski stół ze zlewami i kurkami gazu. Po prawej stronie, w dalszym rogu, znajdowało się biurko i krzesło, a na półkach nad nimi okazały się zestawy notesów.

Anna dotknęła chłodnej, twardej powierzchni ławy. Została wyszorowana do czysta, a kiedy Anna podniosła rękę, poczuła dziwny zapach. Co to było? Smoła? Jodyna?

Powoli przechadzała się po pokoju, podnosząc rozmaite przedmioty i przyglądając się im. Większość sprzętu była znajoma, ale kilka rzeczy nic jej nie mówiło. Zwłaszcza jedna zwróciła uwagę Anny: mały słoik z brązu z ośmioma dziobkami, pod którymi znajdowały się maleńkie miseczki. W słoiku, na miniaturowej podstawce, spoczywała kula z brązu.

Anna kucnęła, przez chwilę przyglądała się słoikowi, po czym ruszyła dalej w głąb pokoju.

Na biurku leżały tylko dwa przedmioty: misternie zdobiony kałamarz z jadeitu, a obok niego okulary.

Anna podniosła okulary i przyjrzała się im uważnie. Szkła były grube, wykonane jakby z wielu delikatnych warstw, które pełniły rolę filtrów. Każde szkło okalał rozciągliwy materiał, owinięty z kolei grubym skórzanym paskiem, wysadzonym maleńkimi metalowymi pokrętłami. Anna ustawiła je i zauważyła z uśmiechem, że zmieniają przepuszczalność szkła. Potem, pod wpływem kaprysu, założyła okulary. Dziwne. Były bardzo ciasne. Możliwe, że miały nie przepuszczać powietrza. W pokoju pociemniało.

Anna ponownie zmieniła ustawienie pokręteł, dostosowując okulary do oświetlenia. W końcu zdjęła je, zastanawiając się, do czego służą. Okulary górnicze? Miały ochronić oczy przed odłamkami skalnymi? Ale w takim razie, po co zmienna przepuszczalność?

Anna zerknęła w stronę drzwi, nasłuchiwała przez chwilę, potem odwróciła się do półek i zdjęła jeden z notesów. Stronice były wypełnione dziwnym, nieznanym pismem. Przerzuciła kilka kartek i z podziwem wpatrzyła się w wykres na prawej stronie. Dalej było ich więcej, wszystkie misterne, subtelnie wycieniowane. Świadczyły o wysokim poziomie inteligencji.

Anna zamknęła notes, odłożyła go na półkę, po raz ostatni obrzuciła wzrokiem pokój i ruszyła do drzwi.

Jeżeli się czymś nie zajmie, to umrze z nudów.

Była tak zamyślona, że o mały włos nie wpadła na Aitrusa.

- Chodź – powiedział cicho. – Musimy porozmawiać.

Anna poszła za nim zdziwiona. Od tygodnia prawie się do niej nie odzywał. Jej zdziwienie wzrosło, kiedy poprowadził ją korytarzem do pokoju, w którym myszkowała.

Czyżby wiedział? Czy o to chodziło?

Aitrus wszedł do pokoju, zamknął drzwi, po czym wskazał Annie krzesło przy biurku. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Proszę – powiedział, zdjął jedną z książek z najwyższej półki i wręczył dziewczynie. – To jest historia D’ni. To oczywiście książka dla dzieci, ale...

Anna wpatrywała się w stronicę pustym wzrokiem.

- O co chodzi?

Podniosła wzrok, potem zamknęła książkę i oddała Aitrusowi.

- Nie potrafię tego przeczytać.

- Ale sądziłem... Chcesz powiedzieć, że nauczyłaś się mówić w języku D’ni, ale nie umiesz czytać?

Anna przytaknęła.

Aitrus przyglądał się książce przez chwilę, wreszcie odłożył ją, odwrócił się i wyjął coś z dolnej półki. Była to duża, kwadratowa książka w skórzanej oprawie w kolorze ciemnego bursztynu.

- Proszę, to jest klucz do wszystkiego.

Anna wzięła książkę i zanim ją otworzyła, przyjrzała się pięknie zdobionej skórzanej oprawie. Na ciężkim welinowym papierze widniały kolumny wspaniałych, misternych figur, bardziej przypominających wzory niż litery.

- Czy to jest to, co myślę? – spytała Anna z uśmiechem. – Czy to jest leksykon D’ni?

- „Rehevkor” – potwierdził Aitrus.

Anna spojrzała na książkę ze smutnym uśmiechem.

- Ale ja nie wiem, co oznaczają te znaki.

- Wobec tego nauczę cię – oświadczył Aitrus, przyglądając się jej uważnie jasnymi oczami.

- Czy jesteś pewien, że to dozwolone?

- Nie, ale i tak cię nauczę.



Kiedy dobijali do wyspy, Anna siedziała na dziobie łodzi, a Aitrus stał tuż za nią, z prawą dłonią lekko opartą o burtę.

- A więc to jest K'veer – powiedziała cicho. – Już raz ją widziałam, kiedy wieźli mnie z Irrat.

- To jest ich dom rodzinny od wielu lat – odparł Aitrus.

- Pamiętam, jak myślałam, że wygląda jak wielkie wiertło sterczące z dna jeziora.

Aitrus uśmiechnął się na to porównanie.

- A więc kim jest ten Veovis?

- Synem pana Rakeriego, wielkiego cechmistrza górników.

- Veovis także jest górnikiem?

- Nie, Veovis jest cechmistrem pisarzy.

- Macie Cech Pisarzy? Czy on jest ważny?

- Och, bardzo, może najważniejszy ze wszystkich cechów.

- Pisarze?

Aitrus nie odpowiedział.

Anna spojrzała na niego zdziwiona. Wyspa powoli rosła przed nimi, przesłaniając widok.

- Czy Veovis ma dużo braci i siostr?

- Nie, jest jedynakiem.

- W takim razie, po co im taka wielka posiadłość?

- Pan Rakeri często przyjmuje gości. A raczej przyjmował, zanim zachorował.

Kiedy podpływali wolno do wyspy, Anna milczała. Tuż przed nimi rozpościerała się niewielka zatoczka, a pod długim kamiennym nabrzeżem widniał ciemny, prostokątny otwór.

- Czy twój przyjaciel Veovis czuje do mnie antypatię?

- Dlaczego o to pytasz? – zdziwił się Aitrus.

- Ponieważ gapił się na mnie podczas całego przesłuchania.

- Czy to takie niezwykle? Ja też się gapiłem.

- Owszem, ale nie w taki sposób jak on. Odnosił się wrogo wobec mnie. A jego pytania...

- Co takiego?

Anna wzruszyła ramionami i zapytała:

- Czy poprosił cię, żebyś mnie przywiózł?

- Powiedział wyraźnie, że cię zaprasza.

- Rozumiem.

Aitrus odnosił wrażenie, że Anna znajduje się gdzieś daleko, a przyglądając się jej, zastanawiał się, co się dzieje w jej umyśle. Chciał, żeby Veovis i ona zostali przyjaciółmi. Ułatwiłoby to wiele spraw, ale na razie Aitrus czuł się niezręcznie.

- Zdarza się, że Veovis mówi bez ogródek.

- To znaczy?

- Pomyślałem po prostu, że powinienem cię ostrzec. Niekiedy wypowiada się ostro, potrafi nawet okazać brak wrażliwości, ale ma dobre intencje. Nie powinnaś się go bać.

- Nie boję się, Aitrusie – zaśmiała się Anna. – W każdym razie nie Veovisa.

Przez wiele godzin chodzili po pokojach wielkiej posiadłości wbudowanej w skałę K'veer; Veovis z radością pokazywał Annie wszystkie zakamarki.

Początkowo Anna miała się na baczności, ale z czasem uległa czarowi młodego pana, a Aitrus, przyglądający się temu z boku, wreszcie się rozluźnił.

Kiedy wspinali się na ostatnie schody, prowadzące na werandę na szczycie wyspy, Aitrus śmiał się w duchu ze swoich wcześniejszych obaw.

- Ten kamień wygląda tak, jakby został stopiony, a potem uformowany – zauważyła Anna, kiedy minęli niski łuk i ponownie wyszli na otwartą przestrzeń.

- Dokładnie tak się stało – odparł Veovis z niekłamany entuzjazmem. – Jest to specjalny proces D'ni, którego tajemnicę znają tylko zainteresowane cechy.

Wyszli na werandę. Nad ich głowami rozpościerał się stromy dach, ale ze wszystkich czterech stron rozciągał się doskonały widok. W oddali widzieli skrzywą skałę Ae'gura sterczącą z jeziora, a po jej prawej stronie miasto.

Znajdowali się wysoko, a mimo to wielkie skały jaskini wznosiły się jeszcze wyżej, nad ich głowami zaś szybowały pierzaste cirrusy. Anna nieoczekiwanie się roześmiała.

- Co takiego? – spytał Veovis.

- Po prostu stale myślę, że jestem na zewnątrz. Och, światło jest zupełnie inne, ale... to jest takie duże.

Veovis spojrział na Aitrusa z uśmiechem, po czym wskazał na kilka krzesel stojących na końcu werandy.

- Może usiądziemy na chwilę? Każę służącym, żeby coś nam przynieśli.

- To będzie miłe – odparła Anna i uśmiechnęła się do Aitrusa.

Veovis wyszedł, by wydać polecenie służbie, a Anna i Aitrus usiedli.

- On jest bardzo miły – powiedziała cicho. – Rozumiem, dlaczego jest twoim przyjacielem.

- A więc wybaczyłeś mu?

- Co?

- To, że gapił się na ciebie z surową miną.

- Ach... - zaśmiała się Anna. – Już dawno temu.

- Cieszę się, wiesz? – powiedział Aitrus.

- Naprawdę?

- Tak. Chciałem, żebyście zostali przyjaciółmi. W przeciwnym razie byłoby bardzo trudno.

- Nie wiedziałam.

- Ja...

Aitrus zamilkł, ponieważ na werandę wrócił Veovis. Młody pan wziął krzesło, usiadł między nimi i spojrzał najpierw na jedno, potem na drugie.

- Czy mogę być z tobą szczery, Ah-no?

- Szczery? W jakim sensie?

- Ty i ja jesteśmy do siebie podobni – powiedział Veovis z uśmiechem. – Oboje jesteśmy ludźmi prostolinijnymi. – Spojrzał na Aitrusa. – Niektórzy zarzucają mi obcesowość. Pozwól jednak, że coś ci powiem. Początkowo nie zamierzałem cię polubić. Właściwie byłem przygotowany na to, żeby cię aktywnie nie lubić. Muszę jednak pozostawać w zgodzie z własnymi uczuciami, a okazało się, że bardzo cię polubiłem.

- Dziękuję, panie Veovisie – odparła Anna i lekko skłoniła głowę.

- Och, nie dziękuj mi Ah-no. To nie był mój wybór, ale mimo to cię polubiłem. Możemy zostać przyjaciółmi, ale muszę ci wyjaśnić parę spraw. Jestem D'ni i jestem zazdrosny o wszystko, co D'ni. Jesteśmy potężną i dumną rasą. Pamiętaj o tym, Ah-no, zawsze o tym pamiętaj.

Anna przyglądała się Veovisowi, zdziwiona jego nagłym chłodem, wreszcie odpowiedziała:

- A ja jestem człowiekiem, panie, i jestem z tego dumna. Zawsze o tym pamiętaj – dodała z przebiegłym uśmiechem.

Veovis milczał, przyglądając się Annie badawczo. W końcu rozchmurzył się i klepnął dłonią w kolano.

- Dajmy już spokój tym poważnym tematom. Aitrusie, co z planami budowy nowej jaskini?

W drodze powrotnej Anna milczała, pogrążona w myślach. Aitrus, który siedział naprzeciwko, nigdy nie czuł się bardziej obco. Co właściwie wiedzieli o sobie nawzajem?

- Ah-no?

Podniosła wzrok i spojrzała na niego z głęboką melancholią.

- Tak?

- Na co miałabyś teraz ochotę?

Anna odwróciła głowę i zapatrzyła się na jezioro.

- Chciałbym to wszystko zrozumieć, dowiedzieć się, skąd pochodzi pożywienie. Mam wrażenie, że czegoś tu brakuje, a ja nie wiem czego.

- Czy chcesz, żeby ci to powiedział?

- Owszem. Chcę poznać sekret.

- Dziś wieczorem – odparł Aitrus tajemniczo i skrzyżował ręce na piersiach. – Zabiorę cię tam dziś wieczorem.

Aitrus otworzył drzwi, a potem cofnął się.

- Chcesz, żebym weszła do środka?

Skinął głową.

Anna wzruszyła ramionami. Już wcześniej zwróciła uwagę na te drzwi. Zawsze były zamknięte, więc zakładała, że prowadzą do jakiejś spiżarni. Znaleźli się jednak w normalnym pokoju, tyle że na środku podłogi znajdował się marmurowy cokół, a na nim leżała otwarta wielka księga w skórzanej oprawie.

- Co to za pokój? – spytała Aitrusa.

Aitrus zamknął za sobą drzwi i odwrócił się do Anny.

- To jest Pokój Księgi.

- Ale tu jest tylko jedna książka.

Aitrus przytaknął, a potem powiedział zaskakująco poważnym tonem.

- Nikomu nie mów, że tu byłaś, nawet moim rodzicom. Rozumiesz?
- Czy robimy coś niewłaściwego?
- Nie, ale to może być zakazane.
- Może w takim razie...
- Nie, Ah-no. Jeżeli masz tu żyć, musisz zrozumieć. Masz zbyt proste wyobrażenie o nas, które zniekształca twoje zrozumienie.

„Zniekształca”, jakie to dziwne słowo. Anna przyjrzała się Aitrusowi i potrząsnęła głową.

- Przerażasz mnie, Aitrusie.

Aitrus podszedł do cokołu i spojrzał ciepło na księgę.

Anna zbliżyła się i spojrzała na otwarte stronicę. Lewa strona była pusta, za to prawa...

- To jest jak okno – wykrzyknęła.
- Tak – odparł po prostu Aitrus. – A teraz podaj mi rękę.

Anna poczuła swędzenie dłoni, a potem nieznaną siłą wciągnęła ją w stronicę książki. Anna kurczyła się, a strona rosła, wsysając ją w ilustrację jarzącą się łagodnym blaskiem.

Przez chwilę miała wrażenie, że się topi, zespala z atramentem i papierem, a potem, zupełnie nieoczekiwanie, na powrót znalazła się we własnym ciele.

Tylko, że nie była już w pokoju.

Świeże powietrze było ciężkie od pyłków. Z półki skalnej znajdującej się na wprost Anny wiała lekka bryza, a dalej...

Dalej rozpościerało się błękitne niebo.

Anna otworzyła usta ze zdumienia, kiedy Aitrus uformował się obok niej. Doznała zawrotu głowy, a on chwycił ją za ramię. Upadłaby, gdyby nie on. Po chwili poczuła się lepiej, spojrzała na Aitrusa i spytała bojaźliwym szeptem.

- Gdzie my jesteśmy?
- W Ko'ah – odparł. – To jest mój rodzinny wiek.

Anna patrzyła ze skarpy na zielony krajobraz, którego piękno zapierało jej dech w piersiach. Płaskie pastwisko było gdzieniegdzie przerywane małymi

zagajnikami, a u podnóża wzgórza, na którym stała, płynęła leniwa, szeroka rzeka. W rozświetlonej słońcem powierzchni widniały trawiaste wysepki, niczym miękkie zielone klejnoty.

Po jej prawej ręce ciągnęło się górskie pasmo, a ponad szczytami kołowały ptaki.

Słońce ogrzewało szyję i ramiona Anny, ale nie był to morderczy skwar pustyni, ale znacznie przyjemniejsze, łagodniejsze ciepło.

- No więc? – spytał Aitrus, który siedział tuż za Anną i przyglądał się jej przez dziwne, grube okulary. – Co sądzisz o Ko'ah?

Anna odwróciła się i spojrzała na towarzysza.

- Myślę, że mnie zaczarowałaś albo wciąż leżę w łóżku i to wszystko mi się śni.

Aitrus zerwał kwiat rosnący w pobliżu i podał go jej. Anna powąchała jasnoniebieskie płatki.

- Czy twoje sny są tak rzeczywiste?

- Nie – zaśmiała się Anna, a potem dodała poważniej: - Powiedziałaś, że mi wytłumaczysz.

Aitrus wyjął z kieszeni małą książkę w skórzanej oprawie. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym wręczył Annie.

- Czy to jeszcze jedna z tych książek? – spytała, wpatrując się w pismo D'ni.

- Tak, ale różni się od tej, za pomocą której przybyliśmy tutaj. Ta książka łączy nas z powrotem z D'ni. Przechowujemy ją tutaj, w małej jaskini. Słowa w tej książce opisują miejsce, w którym się łączymy, a mianowicie gabinet w mojej rodzinnej posiadłości w D'ni. Właśnie tam ta książka została napisana. Bez niej bylibyśmy tutaj uwięzieni.

- Rozumiem – powiedziała Anna i z szacunkiem spojrzała na cienki tomik. – Ale gdzie my się dokładnie znajdujemy? Jesteśmy na stronica książki czy naprawdę gdzieś?

Aitrus uśmiechnął się, ponieważ spodobała mu się dociekliwość Anny.

- Niewykluczone, że istnieje jakiś sposób na dokładne ustalenie, gdzie jesteśmy, na przykład na podstawie gwiazd, ale na pewno możemy powiedzieć tylko tyle, że znajdujemy się gdzieś indziej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jesteśmy po przeciwnej stronie wszechświata niż D'ni.

- To niemożliwe.

- Rozumiem twoje niedowierzanie, Ah-no, ale rozejrzyj się wokół siebie. Ten świat jest wiekiem dokładnie opisanym w książce, która znajduje się w pokoju w D'ni. Świat, który widzisz, dokładnie odpowiada szczegółom książki. W nieskończonym wszechświecie wszystko jest możliwe, oczywiście w granicach fizycznych. Każda książka, którą można napisać, istnieje. Ta książka stanowi pomost między słowami a rzeczywistością materialną. Słowo i świat zostały połączone dzięki szczególnym właściwościom książki.

- To brzmi jak czary.

- Być może – uśmiechnął się Aitrus – ale już dawno przestaliśmy o tym myśleć w tych kategoriach. Pisanie takich książek to takie trudne zadanie. Nie można pisać wszystkiego, co przyjdzie do głowy. Istnieją żelazne zasady i wskazówki, których opanowanie wymaga długiej, mozolnej pracy.

- Ach, teraz już rozumiem – powiedziała Anna.

- Co takiego?

- To, co powiedziałeś o pisarzach. Myślałam... - Anna wybuchnęła śmiechem. – Wiesz, Aitrusie, nigdy bym się nie domyśliła, nawet gdybym myślała tysiąc lat. Uważałam was, D'ni, za zimną, introwertyczną rasę. Ale to... Jesteście prawdziwymi wizjonerami!

Aitrus tylko się zaśmiał.

- Ta wielka jaskini w D'ni jest jak olbrzymia czaszka pełna niespokojnych myśli, a te książki... cóż, są jak marzenia i wizje, zrodzone z tej niesłychanej aktywności umysłowej!

Aitrus przyglądał się Annie, wreszcie potrząsnął głową.

- Jesteś niesamowita, Ah-no. Mieszkam w D'ni od ponad pięćdziesięciu lat, a coś takiego nigdy nie przyszło mi do głowy!

- Inne oczy – wyjaśniła. – Czasami tylko ktoś zupełnie obcy może dostrzec, co oczywiste.

- Być może masz rację.

- Ale powiedz mi jedno, Aitrusie. Wspomniałeś o szczególnych właściwościach tej książki. Co dokładnie miałeś na myśli?

- Wybacz mi, Ah-no, ale możliwe, że już i tak za dużo powiedziałem – odparł Aitrus, odwracając wzrok. – Takie sprawy są pilnie strzeżonymi tajemnicami, znanymi tylko cechom.

- Na przykład Cechowi Wytwórców Atramentu?

- Tak, a także Cechowi Ksiąg, który wytwarza papier, oraz oczywiście Cechowi Pisarzy.

- Czy pismo w tych książkach różni się od tego, którego mnie uczysz?

- Tak.

Jeszcze przez chwilę Anna przyglądała się książce, którą trzymała w dłoniach, wreszcie oddała ją Aitrusowi.

Odwróciła się i popatrzyła wokół siebie, rozkoszując się łagodną bryzą. Odgarnęła z szyi pasmo długich, jedwabistych włosów.

- Musiałaś przeżyć ciężkie chwile w tej celi – powiedział Aitrus, a jego oczy nabrały dziwnego wyrazu.

- Owszem – Anna odwróciła się do Aitrusa i posłała mu słoneczny uśmiech. – Ale zapomnijmy o tym. Chodź, Aitrusie, zejdziemy nad rzekę.

Tego wieczoru ani Aitrus, ani Anna nie wspomnieli o wyprawie do Ko'ah, ale kiedy Anna znalazła się w swoim pokoju, uderzyła ją nierealność tego zdarzenia. Usiadła na krawędzi łóżka i ustami otwartymi ze zdumienia oddała się wspomnieniom.

Nigdy w życiu nie czuła takiego strachu, jak tuż po „połączeniu”. Nigdy też nie odczuwała silniejszego podniecenia. A sam ten świat, Ko'ah. Siedząc na łóżku, Anna nie mogła uwierzyć, że naprawdę tam była. Wspomnienie miało charakter niesamowitego snu. A przecież na stole, w małym szklanym wazoniku, stał jasnoniebieski kwiat, który podarował jej Aitrus.

Anna pochyliła się i powąchała kwiat.

Tamten świat był równie rzeczywisty jak ten kwiat. Ale jak to możliwe? W jaki sposób zwykle słowa mogły łączyć z innymi światami?

Po powrocie z Ko'ah Aitrus pokazał Annie księgę i cierpliwie zademonstrował, a jaki sposób tworzy się wiek. Anna natychmiast dostrzegła różnice pomiędzy archaiczną odmianą języka a zwyczajną potoczną mową D'ni. Zauważyła, że dawno język D'ni był nie tylko bardziej wyszukany, ale także dokładniejszy. Był to język o precyzyjnej, a przy tym subtelnej mocy opisowej. Jednak zobaczyć nie oznaczało uwierzyć. Pomimo wszystkich dowodów racjonalny umysł Anny nadal wzbraniał się przed zaakceptowaniem prawdy.

Oprócz samej księgi Aitrus pokazał jej książki z komentarzami, w sumie trzy, z których ostatnia zawierała zaledwie tuzin wpisów. Aitrus powiedział, że wszystkie



księgi były zaopatrzone w takie komentarze, składające się z notatek i obserwacji dotyczących wieków. Niektóre starsze księgi – jak Nidur Gemat – posiadały setki książek z komentarzami.

- Nidur Gemat? – zapytała Anna.

- Jest to jeden z sześciu światów należących do rodziny Veovisa.

- Rozumiem. Czy wszyscy D'ni posiadają takie wieki?

- Nie, tylko starsze rody. Pozostali, zwykli mieszkańcy D'ni, korzystają z Pokojów Księgi.

- Chcesz powiedzieć, że istnieją zwyczajne światy, które wszyscy mogą odwiedzać?

- Tak. Zanim mój ojciec został wielkim cechmistrzem naszego cechu, nie mieliśmy własnego wieku. Ko'ah został napisany dla mojego ojca dwadzieścia lat temu.

- A co było wcześniej?

- Odwiedzaliśmy wieki cechowe albo wieki naszych przyjaciół.

- To niezły bodziec – uśmiechnęła się Anna.

- Bodziec?

- Żeby ciężko pracować i piąć się w górę w hierarchii cechu. Czy wśród zwykłych ludzi nie ma zawiści?

- Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Aitrus, wzruszając ramionami. – Zwykłe wieki są dostępne dla wszystkich.

- No tak, ale... - Anna przestała drążyć ten temat i wróciła do pierwszej książki z komentarzami. – Co to jest? – zapytała po chwili.

Pod akapitem drobnego, schludnego tekstu napisanego jasnozielonym atramentem widniała pieczęć.

- To jest znak Cechu Konserwatorów, którego zadaniem jest pilnowanie, by wszystkie wieki utrzymywano zgodnie z prawami cechowymi.

- A jeżeli tak się nie dzieje?

- Wówczas księga może zostać skonfiskowana, a właściciel ukarany.

- Czy to się często zdarza?

- Niezbyt często. Wszyscy znają karę za wykroczenia. Posiadanie wieku wiąże się z olbrzymią odpowiedzialnością. Tylko nielicznych obdarza się zaufaniem.

- A mimo to ty mnie tam zabrałeś.

Po chwili wahania Aitrus spojrział Annie w oczy i skinął głową.

- Owszem – powiedział.

Tej nocy Anna dobrze spała, a jeżeli coś jej się śniło, to po przebudzeniu niczego nie pamiętała. Wypoczęta, usiadła na łóżku, spojrzała na delikatny niebieski kwiat i natychmiast przypomniała sobie z zachwytem wydarzenia minionego dnia.

Kiedy Aitrus nie pojawił się na śniadaniu, Anna pomyślała, że wyszedł wcześniej do Gmachu Cechowego, ale kiedy kończyła jeść, wpadł do pokoju w stanie ogromnego podniecenia.

- Wspaniałe nowiny, Ah-no! Odbędzie się Korfah V'ja na cześć Veovisa.

Anna spojrzała na Aitrusa nic nie pojmując.

- Przepraszam cię – zaśmiał się. – Korfah V'ja to specjalna uroczystość z okazji przyjęcia przez cech jego księgi, to znaczy jego pierwszego mistrzowskiego dzieła. Jest to niezwykle doniosłe wydarzenie. Tylko nieliczni cechownicy dostępują tego zaszczytu, a Veovis osiągnął go w bardzo młodym wieku!

- Veovis... napisał tę księgę? Taką jak wiek, który odwiedziliśmy?

- Tyle, że jego wiek jest nieporównanie lepszy.

Anna spojrzała na pana Veovisa w nowym świetle. Dotychczas uważała go za syna bogacza, polityka. Nie przyszło jej do głowy, że był także „twórcą”, i to w dodatku wielkim.

- Czy to znaczy, że szykuje się wielka uroczystość?

- Największa od wielu lat. Zbierze się cała śmietanka towarzyska D'ni. Musisz to zobaczyć, Ah-no!

Anna spuściła wzrok. Zazwyczaj nienawidziła podobnych uroczystości, ale perspektywa ujrzenia śmietanki towarzyskiej D'ni – a także ponownego spotkania z panem Veovisem – napełniła ją dziwnym podnieceniem.

- Kiedy ma się odbyć Korfah V'ja? – zapytała.

- Za tydzień – odparł Aitrus. – W rocznicę powrotu Keratha.

To była mała uroczystość. Sześciu asystentów wielkich mistrzów i sam wielki mistrz, pan Sajka, stali w półkolu na wielkim podeście, a celebrant, Veovis, stał przed nimi. Księga, owoc szesnastoletniej pracy, leżała na podium przed Veovisem.

Był słoneczny, wiosenny dzień, a błękit nieba znaczyły chmury. Ośnieżone szczyty gór maszerowały na południe, w stronę oceanu. Wielkie równiny w dole rozciągały się na wschód i na południe, wśród wzgórz na północy zaś przycupnęła starodawna osada Derisa.

To był najstarszy z licznych wieków cechu, Wiek Yakul, stworzony przez pierwszego pisarza cechu, Ar'tenena, i zgodnie z tradycją właśnie tutaj odbywała się pierwsza oficjalna uroczystość.

Później, w Ader Jamat, własnym świecie Veovisa, miała się odbyć uroczystość o bardziej publicznych charakterze, podczas której ten moment miał zostać odegrany dla wszystkich, ale właśnie ta, pozornie kameralna ceremonia była znacznie ważniejsza.

Każdy z siedmiu starszych członków cechu przeczytał wielkie dzieło, które dzisiaj przyjmowane w poczet kanonu cechowego, i każdy z nich zaaprobował talent młodego mistrza. Od ostatniej Korfah V'ja upłynęło sto osiemdziesiąt siedem lat, a kolejna nie miała się prędko wydarzyć. W długiej historii cechu do kanonu przyjęto zaledwie dziewięćdziesiąt trzy książki – wśród nich Pięć Wielkich Klasyków D'ni – a tylko czterech cechowników dostąpiło tego zaszczytu w młodszym wieku niż Veovis. Do tej czwórki należał legendarny Ri'nerf.

Płaszcz zgrupowanych załopotął w lekkim powiewie wiatru, kiedy pan Sajka, wielki cechmistrz pisarzy, wystąpił do przodu i języku tak odmiennym od potocznej mowy D'ni, jak od mowy mieszkańców powierzchni, wypowiedział słowa wiążące.

A zatem dokonało się. Kiedy Veovis skłonił głowę przed mistrzami, pan Sajka uśmiechnął się i powiedział w mowie potocznej:

- Doskonale się spisałeś, Veovisie. Wszyscy jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Veovis podniósł wzrok i uśmiechnął się, zdając sobie sprawę z wielkiego zaszczytu, jaki go spotkał.

- Panowie, mistrzowie cechowi... Mam nadzieję, że okażę się godzien waszej aprobaty. Przynależność do Cechu Pisarzy jest wielkim przywilejem. Tego dnia, kiedy postanowiłem do niego wstąpić, spłynęło na mnie błogosławieństwo.

A zatem dokonało się.

Podczas gdy mistrzowie jeden po drugim łączyli się z powrotem z D'ni, Veovis odwrócił się i rozejrzał po starodawnym świecie Yakul. Był ciekaw, czy pewnego dnia, za kilka tysięcy lat, jakiś cechownik stanie w napisanym przez niego wieku i będzie

się zastanawiał, jak Veovis teraz, kim był człowiek, którego wyobraźnia powołała do życia taki świat.

Veovis odwrócił się i podszedł do książki łączącej. Nadszedł czas, by wrócić do D'ni, zatrzymać się i zastanowić przed rozpoczęciem nowego rozdziału życia. Postanowił, że jego kolejne dzieło będzie klasykiem.

Ale przede wszystkim święto. Dzisiaj bowiem był jego dzień. Dziś zostanie wielkim człowiekiem, szanowanym przez wszystkich mieszkańców D'ni.

Veovis położył dłoń na lśniącem pulpicie i połączył się; uśmiechnął się, kiedy postać zamigotała i rozwiała się w powietrzu.

Kiedy płynęli na K'veer, Annę ogarnęły obawy w związku ze spotkaniem tylu nieznanymi podczas uroczystości.

Obawy Anny nie dotyczyły Aitrusa, ponieważ w jego towarzystwie czuła się równie swobodnie jak kiedyś z ojcem, ale pozostali, nawet rodzice Aitrusa, wprawiali ją w zakłopotanie. Nie miała pojęcia, jak się zachowywać ani co mówić.

- To nie ma znaczenia – powiedział jej wcześniej Aitrus. – Oni nie oczekują, że będziesz się zachowywać tak jak oni.

Teraz, kiedy zbliżali się do wyspy, a Anna ujrzała mrowie łodzi czekających w kolejce na wplynięcie do maleńkiego portu, zdenerwowanie powróciło.

Zeszłej nocy, przed rozmową z Aitrusem, w gabinecie Kahlisa doszło do dziwnej małej sceny. Wiedząc, że jego ojciec nic nie wiedział o ich wyprawach do Ko'ah, Aitrus kazał mu „wyjaśnić” Annie kwestię ksiąg. Z kolei Anna, uprzedzona przez Aitrusa o tym, co ma mówić i jak reagować, udawała, że wszystko to jest dla niej całkiem nowe.

Kahlis nie miał pojęcia, jakiej reakcji może się spodziewać po Annie, a poza tym zachodził w głowę, ile mam jej powiedzieć. Aitrus przekonał ojca, że gdyby pan Eneah nie chciał, by Anna poznała tajemnicę ksiąg, dałby to jasno do zrozumienia. Kahlis spotkałby się panem Eneahem, gdyby wielki człowiek nie został powalony przez nawrót choroby.

Tak więc Kahlis „przygotował” Annę, mówiąc jej, że musi się spodziewać wielkiej niespodzianki, że nie powinna się bać, ponieważ wszystko, czego doświadczy, będzie zupełnie normalne. Anna, ponaglana przez Aitrusa, udała, że

rozumie, chociaż z opisu ojca Aitrusa z najwyższym trudem mogła poznać proces „łączenia”.

Kiedy ich łódź dołączyła do długiej kolejki, Anna dostrzegła na pokładach niezliczonych cechowników z żonami, synami i córkami, a wszyscy w odświętnych strojach. Na ich widok Annę ponownie opuściła odwaga. Nie powinna tu była przyjeżdżać. W tym momencie wyraźnie usłyszała głos ojca:

Nic się nie martw, Anno. Po prostu bądź sobą.

Upłynęła blisko godzina, zanim ich łódź przybiła do kamiennego nabrzeża. Wspięli się na schody z ciemnego granitu i wyszli na marmurowy dziedziniec. Naprzeciwko nich widniała kamienna brama.

Anna widziała K'veer w ciągu dnia i odniosła wrażenie, że to dziwaczna, ale sympatyczna budowla, jednak w nocy to miejsce wydało się całkowicie przerażające. Kiedy zbliżali się do drzwi, Aitrus podszedł do Anny.

- Wybacz mi, Ah-no – powiedział cicho – ale musimy dopełnić pewnych formalności. Kiedy wejdziemy do środka, cofniesz się i poczekaasz, aż mój ojciec i ja zostaniemy powitani. Potem nadejdzie twoja kolej.

Znaleźli się w wielkim atrium, a Anna postąpiła tak, jak jej kazano. Trzymała się z tyłu, obok Tasery, podczas gdy Aitrus wraz z ojcem wystąpili do przodu, a główny steward zaprezentował ich Rakeriemu i jego synowi.

Anna po raz kolejny obserwowała dziwaczne powitanie D'ni: mężczyźni chwyтали się za obie dłonie, uśmiechali się, przekomarzali się swobodnie. Zrozumiała, że do tego świata nie wprowadzi jej żadna książka.

Kahlis odwrócił się, a Tasea trąciła ją delikatnie.

- Ah-no.

Veovis uśmiechał się uprzejmie, koncentrując uwagę częściowo na wypowiedzanych słowach, a częściowo na powitaniu kolejnych gości. Kiedy jego wzrok napotkał Annę, uśmiech zniknął z twarzy Veovisa. Po chwili zastanowienia odwrócił się do Kahlisa.

- Wybacz mistrzu Kahlisie, ale czy mógłbym zamienić z tobą słowo na osobności?

Kahlis spojrział na syna, po czym wzruszył ramionami.

- Naturalnie, Veovisie.

Veovis odwrócił się i złożył pokłon przed Rakerim.

- Wybacz, ojcze. To zajmie mi tylko chwilę.

Tasera i Anna zatrzymały się o kilka jardów od pana Rakeriego. Aitrus odprowadził wzrokiem Veovisa i Kahlisa. Sam Rakeri nie miał pojęcia, co sądzić o całej sytuacji.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Rakeri spojrzął na Taserę i uśmiechnął się słabo. Aitrus tylko wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął Veovis i jego ojciec. Po chwili mężczyźni wrócili. Ojciec Aitrusa, najwyraźniej zakłopotany, odciągnął syna na bok.

- Wygląda na to, że zaszło nieporozumienie – zaczął. – Sądziłem, że zaproszenie obejmuje naszego gościa, Ah-nę, ale tak nie jest.

Przysłuchując się słowom ojca, Aitrus zerknął na Veovisa, który stał obok swego ojca ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

- Nieporozumienie? – Aitrus próbował zachować spokój i nie okazać gniewu.

- Tak – odparł Kahlis. – Ah-na może zostać tutaj w domu. Veovis obiecał, że służący dopilnują, żeby na niczym jej nie zbywało, ale nie może udać się z nami do Ader Jamat.

- Dlaczego nie?

Kahlis uciszył go ruchem dłoni.

- Ponieważ ona nie jest D'ni.

Aitrus poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

- To nie jest w porządku, ojcze – powiedział cicho do Kahlisa.

- Być może – zgodził się Kahlis – ale decyzja o tym, kto ma wejść do jego wieku, należy do pana Veovisa, a nie do nas, i musimy to uszanować.

- Rozumiem.

- Bardzo mnie to cieszy. Poinformuj ją o tym, Aitrusie.

Aitrus patrzył na ojca przez chwilę, po czym opuścił wzrok.

- Musisz mi wybaczyć, ojcze. Szanuję cię i kocham, ale tym razem muszę okazać nieposłuszeństwo.

- Aitrusie...

Ale Aitrus odwrócił się i podszedł do Rakeriego i Veovisa.

- Proszę o wybaczenie, panie Rakeri, ale od kilku tygodni niedomagam. Czuję się słabo... miewam zawroty głowy. – Zerknął na Veovisa, który wpił w niego drapieżne spojrzenie. – Czuję, że zbliża się atak choroby, więc proszę pozwolić mi odejść.

Rakeri, który nie miał pojęcia, co się działo, lekko skłonił głowę.

- Szczerze współczuję, Aitrusie, ale może mój chirurg domowy jest w stanie ci pomóc?

- To bardzo uprzejme z twojej strony, panie, ale naprawdę muszę wracać do domu.

Rakeri potrząsnął głową, a w jego oczach pojawił się wyraz zawodu.

- Bardzo żałuję. Miałem nadzieję z tobą porozmawiać.

Aitrus skłonił się nisko, po czym zwrócił się do Veovisa:

- Niech dobry los ci sprzyja, Veovisie. Przykro mi, że nie mogę uczestniczyć w uroczystości twojej Korfah V'ja.

Twarz Veovisa pociemniała z gniewu, ale nie powiedział ani słowa, a tylko skinął głową.

Aitrus stał tak jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy powinien coś jeszcze powiedzieć, ale uznawszy, że nic nie jest w stanie naprawić tej sytuacji, odwrócił się i podszedł do Anny i matki.

- Co się dzieje, Aitrusie? – spytała Tasea, nie posiadając się z ciekawości.

- Ah-na i ja wychodzimy – odparł, nie siląc się na dalsze wyjaśnienia. – Zapytaj ojca.

- Co się stało, Aitrusie? – zapytała Anna.

- Później – uciał, a potem wziął dziewczynę pod ramię i poprowadził przez szeregi cechowników z rodzinami z powrotem do łodzi.

Aitrus stał na rufie łodzi, obgryzał paznokcie kciuka i patrzył, jak wielka skała K'veer znika w mrocznej dali.

- Zapewniam cię, że to nic takiego.

Anna, która siedziała tuż pod nim, westchnęła z irytacją.

- Nie jestem ślepa, Aitrusie. Widziałam, jak Veovis na ciebie patrzył.

- Zaszło nieporozumienie.

Anna czekała, zdając sobie sprawę z tego, że Aitrus boleśnie przeżył całe zajście. Po chwili odezwał się znowu:

- Powiedział, że nie zostałam zaproszona.

- Rozumiem...

- Jako powód podał fakt, że nie jesteś D'ni.

- Trudno zaprzeczyć.
- Zostałem postawiony w niemożliwej sytuacji, Ah-no. On kazał mi wybierać.
- A ty wybrałeś mnie?
- Tak.
- Dlaczego?
- Ponieważ Veovis nie miał prawa zmuszać mnie do dokonania wyboru.

Następnego dnia Anna właśnie ubierała się, kiedy na dole rozległo się łomotanie do drzwi. Godzina była bardzo wczesna; rzadko zdarzało się, by ktoś składał wizytę o tej porze. Anna uchyliła drzwi, nasłuchując.

Kahlis rozmawiał przyciszonym głosem ze stewardem.

- Tutaj? Jesteś pewien?

A po chwili ciszy:

- Witaj, panie Veovisie! Czemu zawdzięczam tę cudowną niespodziankę?

- Przyszedłem zobaczyć się z twoim synem, mistrzu Kahlisie. Zostałem go w domu?

- Tak. Pójdę sprawdzić, czy już wstał. Spocznij, proszę, to nie potrwa długo.

Czyjaś dłoń musnęła ramię Anny. Odwróciła się z bijącym sercem i stanęła twarzą w twarz z Aitrussem.

- Aitrusie!

- Czy zejdziesz ze mną, Ah-no?

- To jest sprawa pomiędzy wami dwoma.

- Nie, ta sprawa dotyczy ciebie, Ah-no. Powinnaś być obecna przy tej rozmowie.

Kiedy weszli do pokoju, Veovis wstał.

- Aitrusie – powiedział, podchodząc do przyjaciela z wyciągniętymi rękami. – Wybaczysz mi?

Aitrus ujął dłonie Veovisa, najpierw ostrożnie, potem bardziej zdecydowanie.

- To zależy.

- Rozumiem. Wiem, że fatalnie rozegrałem tę sytuację, i jest mi przykro z tego powodu. – Spojrzał na Annę. – Tobie także jestem winien przeprosiny, Ah-no.



- Niewątpliwie – powiedział surowo Aitrus.

- Tak. – Veovis skinął głową, przyjmując wymówkę. – Dlatego przyniosłem ci prezent.

Wręczył Annie małe kwadratowe pudełko z otworkami wentylacyjnymi na jednej ze ścianek.

Anna przyglądała się pudełku przez chwilę. Wreszcie rozwiązała wstążkę, podniosła pokrywę... a potem spojrzała na Veovisa ze śmiechem.

- Ależ to piękne! Co to jest?

Ostrożnie wyjęła z pudełka stworzonko, prawdziwą futrzaną kulkę o długiej, jedwabistej brunatno-czarnej sierści. Zwierzaczek przyglądał się Annie kobaltowymi oczami.

- To jest reekoo – wyjaśnił Veovis. – Pochodzi z Ader Jamat.

- Dziękuję ci – uśmiechnął się Aitrus. – To bardzo miłe z twojej strony.

- Żałuję, że cię tam wczoraj nie było, Aitrusie – powiedział smutno Veovis.

- Ja również. Musimy wyjaśnić tę sprawę, prawda?

Anna, która głaskała pofałdowaną, skórzastą szyjkę zwierzątka, spojrzała na przyjaciół. A więc sprawa nie została jeszcze wyjaśniona.

- Dziś wieczorem – powiedział w końcu Veovis. – Przyjdź do mnie, to porozmawiamy.

Tej nocy Aitrus wrócił późno. Anna nasłuchiwała jego kroków na schodach. Kiedy mijał jej pokój, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

- Aitrusie? – szepnęła, a on zwrócił ku niej zmęczoną twarz. – Czy wszystko w porządku?

- Chodźmy do gabinetu, Ah-no. Powinniśmy porozmawiać.

Anna skinęła głową i ruszyła za Aitrusem długim korytarzem do jego pokoju.

- No więc? – zapytała, siadając naprzeciwko niego.

- Obawiam się, że Veovis jest nieustępliwy.

- W jakim sensie? Przecież znowu jesteście przyjaciółmi, prawda?

- Być może, ale on nie ustąpi w jednej istotnej kwestii.

- Mianowicie?

- Twierdzi, że ponieważ nie jesteś D'ni, on nie wyrazi zgody na to, byś odwiedziła jakikolwiek wiek albo dowiedziała się czegoś o księżkach D'ni. Uważa, że to nie byłoby w porządku.

- Czy to znaczy, że nie powiedziałeś mu o naszej wyprawie do Ko'ah?

Po chwili wahania Aitrus potrząsnął głową.

- Czy mogę spytać dlaczego? To do ciebie niepodobne.

- Być może, ale nie miałem ochoty na utarczkę z Veovisem.

- Czy w takim razie coś mu obiecałeś?

- Nie. Powiedziałem tylko, że zastanowię się nad jego słowami.

- Czy to mu wystarczyło?

- Chwilowo.

Anna przyglądała się przez chwilę Aitrusowi, wreszcie spytała:

- A więc co postanowiłeś?

Aitrus ponownie napotkał jej wzrok.

- Czy nic nie mogę przed tobą ukryć, Ah-no?

- Nie, ale trzeba przyznać, że nie masz wielkiej wprawy w ukrywaniu przed ludźmi swoich uczuć, Aitrusie.

Aitrus przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, wreszcie westchnął.

- Czy uważasz, że powinienem zrezygnować ze swego planu?

- Jakiego planu?

Zamiast odpowiedzieć, Aitrus otworzył górną szufladę biurka i wyjął dużą książkę w skórzanej oprawie. Już na pierwszy rzut oka Anna poznała, że to księga D'ni. Kiedy jednak otworzył ją, na prawej stronie tytułowej nie było pudełka, a stronicę w środku były puste.

- Co to takiego?

- To jest Kortee'nea – wyjaśnił. – Czysta księga, która ma dopiero zostać napisana.

Anna podniosła wzrok i nieznacznie rozchyliła usta.

- Mam ją już od roku – ciągnął Aitrus. – Sporządzałem notatki do wieku. Pomyślałem, że mogłabyś mi pomóc, ale teraz...

Anna zrozumiała, co go trapiło. Aitrus musiał dokonać wyboru: albo sprzeciwić się Veovisowi, albo uszanować jego życzenie i odmówić sobie przyjemności pisania księgi.

- A czego ty chcesz, Aitrusie? – zapytała cicho, wpatrując się w niego ciemnymi oczami. – Czego naprawdę chcesz?

- Chcę cię nauczyć wszystkiego – odparł – wszystkiego co wiem.

W ciągu kolejnych miesięcy między Aitrusem i Veovisem panowały napięte stosunki. Obaj mężczyźni chyba to wyczuwali, ponieważ ograniczyli kontakty do minimum. Taka sytuacja nie mogła jednak trwać wiecznie, a przypadkowa uwaga pewnego młodzieńca z Cechu Konserwatorów ponownie doprowadziła do konfrontacji.

Aitrus znajdował się w swoim gabinecie w Gmachu Cechowym, kiedy Veovis wpadł bez zapowiedzi.

- Czy to prawda? – zapytał, pochylając się na biurkiem.

Aitrus spojrzał w zdumieniu na starego przyjaciela. Twarz Veovisa była wykrzywiona z gniewu; żyły na szyi mu nabrzmiały.

- Czy co jest prawdą?

- Ta dziewczyna... intruz... czy uczysz ją czytać? Jak mogłeś, Aitrusie? Po wszystkim, co mi obiecałeś!

- Niczego nie obiecywałem. Powiedziałem tylko, że zastanowię się nad twoimi słowami.

- To czysta sofistyka, a ty dobrze o tym wiesz! Okłamałeś mnie, Aitrusie. Nie tylko mnie, ale całe D'ni!

- Daj spokój – powiedział Aitrus, wstając.

- Jesteś zdrajcą, Aitrusie! Zapewniam cię, że przedstawię tę sprawę Radzie!

Po tych słowach Veovis wypadł z gabinetu. Aitrus wpatrywał się w drzwi w stanie szoku. Od czasu inspekcji konserwatorów, która odbyła się przed dwoma tygodniami, obawiał się tej chwili. Veovis nie zwróci się przecież do Rady... Aitrus znał jednak przyjaciela i wiedział, że Veovis nie rzuca słów na wiatr.

Maleńki reekoo drzemał na kolanach Anny, która spoglądała przez okno swego pokoju na starodawne miasto i port w dole.

Przyszli rano – sześciu umundurowanych strażników z Cechu Konserwatorów i wielki pan R'hira we własnej osobie. Kahlis i Aitrus powitali ich w progu, potem

cofnęli się, a cechmistrz Sijarun wszedł do Pokoju Księgi, skąd zabrał księgę Ko'ah oraz nową, nie ukończoną księgę bez tytułu.

Rada podjęła jednogłośnie decyzję, a Kahlis i jego syn nie mieli prawa głosu. Stwierdzono, że nastąpiło poważne naruszenie protokołu. W przyszłości żaden człowiek, w którego żyłach nie płynęła krew D'ni, nie miał prawa oglądać księgi ani odwiedzać wieków. Veovis przekonywał Radę, by ustanowiła precedens, i tak się też stało.

Anna westchnęła. To wszystko stało się z jej winy. Aitrus pogrzyżył się w rozpacz. Teraz siedział w gabinecie i łamał sobie głowę, czy powinien zrezygnować z miejsca w Radzie.

Anna widziała wyraz twarzy Kahlis i Tasery. Aitrus powiedział jej kiedyś, że strata księgi była sprawą wielkiej wagi, ale odebranie jej siłą na rozkaz Rady było czymś znacznie gorszym. Anna sprowadziła nieszczęście na całą rodzinę Aitrusa. Jęknęła cicho.

Nie było sposobu, by naprawić wyrządzoną szkodę, chyba że...

Starzec spojrzał na Annę spod przymkniętych powiek, potem otulił się płaszczem i powiedział, smutno potrząsając głową:

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Nawet jeżeli coś znajdziemy...

- Oni będą słuchać. Muszą słuchać.

Kedri, cechmistrz prawodawców, wzruszył ramionami i powiedział ze smutnym uśmiechem:

- Zgoda, zrobię wszystko, co w mojej mocy, Ah-no. Dla ciebie i dla mojego drogiego przyjaciela Aitrusa.

Po wyjściu Anny starzec siedział nieruchomo jak w transie, wpatrzony w przestrzeń. W tym stanie zastał go jego asystent Haran.

- Czy dobrze się czujesz, mistrzu?

Kedri wolno podniósł głowę i spojrzał na młodzieńca.

- Co takiego? Och, wybacz, Haranie. Byłem daleko stąd. Wspominałem.

Haran pochylił głowę z uśmiechem.

- Chciałem tylko powiadomić pana o przybyciu świeżego narybku kadetów. Tuzin młodych, gorliwych absolwentów akademii. Co mam z nimi zrobić?

W normalnej sytuacji Kedri zleciłby im jakieś banalne zadanie – ćwiczenie z prawa pod nadzorem znudzonego asystenta – ale tym razem ich przybycie doskonale zbiegło się z jego potrzebami.

Jeżeli miał wertować akta, potrzebował pomocy, a czy można sobie wyobrazić lepszą pomoc niż tuzin gorliwych młodych ludzi, pragnących za wszelką cenę wyrzucić na nim wrażenie? Jednocześnie Kedri musiał zachować dyskrecję. Gdyby Rada dowiedziała się o jego poczynaniach, kto wie, jaki zamęt mógłby wyniknąć, szczególnie gdyby młody pan Veovis zwał sprawę? Posyłając tych kadetów do wieku Gadar, żeby wertowali akta przechowywane w tamtejszej Wielkiej Bibliotece, Kedri mógł upiec dwie pieczenie na jednym rożnie.

- Zaprowadź ich do Pokoju Księgi – rozkazał. – Przemówię do nich. Mam dla nich zadanie.

Przez chwilę Haran wpatrywał się w starca w zdumieniu. Szybko się jednak ocknął; skłonił się i pospiesznie wyszedł z pokoju.

Jakie to dziwne, że ta dziewczyna, Ah-na, przyszła do niego dziś rano. Poprzedniego wieczoru Kedriemu przysniły się czasy sprzed trzydziestu lat, kiedy pracował z badaczami. Właśnie wtedy poznał młodego Aitrusa, który miał wprowadzić go w tajniki rzemiosła i odpowiadać na wszystkie jego pytania. Od początku przypadli sobie do gustu i zostali przyjaciółmi.

Co się tyczy Ah-ny, Kedri widział ją wcześniej tylko raz, kiedy Aitrus przyprowadził dziewczynę do jego domu. Natychmiast ją polubił i zrozumiał, dlaczego Aitrus jest nią zafascynowany. Miała żywą inteligencję i dociekliwy umysł, który nie ustępował żadnemu z cechowników. Kedriemu przyszło na myśl, że gdyby dziewczyna pochodziła z D'ni, byłaby wymarzoną narzeczoną dla Aitrusa.

Mimo to starzec zdziwił się, że przyszła ona, a nie Aitrus; spodziewał się wizyty przyjaciela.

Kedri oparł się, rozciągnął mięśnie szyi i pokręcił głową, próbując zlikwidować napięcie.

To, na co przystał, nie przysporzy mu popularności w pewnych kręgach. Wybór jednak był prosty: mógł pomóc swemu młodemu przyjacielowi albo odwrócić się do niego plecami.

Kedri westchnął ciężko. Wielka Biblioteka Prawna w Gedarze zawierała stos informacji sięgających ponad sześciu tysięcy lat. Znajdowały się tam drobiazgowo relacje z posiedzeń i przesłuchań Rady, cechowych komitetów i trybunałów, nie

mówiąc o stertach zapisków z prywatnych rozmówi cechmistrzów. Zadanie Kedriego przypominało szukanie drobnego kryształka wewnątrz góry.

Miał na to dwa tygodnie i tuzin młodych gorliwców do pomocy.

Pan Eneah siedział za biurkiem, na którym leżała szata urzędowa Aitrusa. Przysłano mu ją rankiem, wraz z szatą Kahlisa, która Eneah natychmiast odesłał wielkiemu mistrzowi badaczy. Bez względu na wszelkie odcienie całej sprawy Kahlis nie ponosił żadnej winy. Za to z Aitrusem rzecz się miała zupełnie inaczej.

W zasadzie sprawa była prosta. Eneah mógł przyjąć rezygnację Aitrusa i ukreślić łeb plotkom albo zostawić decyzję Cechowi Badaczy, który, jak słyszał, już wszczął dochodzenie w sprawie postępowania swego przedstawiciela.

Niezależnie od obrotu sprawy nic nie mogło naprawić wyrządzonej szkody. Głosowanie w Radzie ujawniło nastrój panujący w cechach. Ucząc cudzoziemkę pisma D'ni i pokazując jej wiek, Aitrus nie tylko przekroczył swoje kompetencje, ale także przyznał się do błędnej oceny sytuacji. Niektórzy twierdzili nawet, że został omotany przez młodą dziewczynę i postradał zmysły, ale Eneah nie dawał wiary tym plotkom. Przecież ludzie, którzy je rozsiewali, nie znali Aitrusa.

Mimo to, Aitrus błędnie ocenił sytuację.

Eneah wyprostował się na krześle. Ostatniej nocy nie zmrużył oka i teraz każdy staw bolał go tak, jakby został zanurzony we wrzącej oliwie. Nie było w tym nic niezwykłego; w ciągu ostatnich dni ból nie opuszczał starca ani na moment.

Westchnął z żalem, przysunął do siebie arkusz papieru, szybko napisał zgodę, pod którą złożył podpis. Po podpisaniu listu przez pozostałych panów zostanie on zapieczętowany i włączony do archiwum publicznego. Jednocześnie po całym D'ni zostanie rozesłane orędzie, informujące obywateli o zaistniałej sytuacji.

Tak oto zakończyła się obiecująca kariera.

Eneah zadzwonił, a w drzwiach natychmiast stanął sekretarz.

- Masz niezwłocznie doręczyć do panu R'hirze.

Anna stała przed całą trójką.

- A więc chcesz odejść? – zapytał Kahlis.

- Nie – odparła. – Wszyscy byliście dla mnie bardzo dobrzy, ale czuję, że powinnam odejść. Sprowadziłam tyle kłopotów na ten dom.

- Wybór należał do mnie – powiedział Aitrus. – Jeżeli ktokolwiek powinien odejść, to ja.

- To nie byłoby właściwe – zaprotestowała Anna – a zresztą w posiadłości pana Eneaha będzie mi dobrze.

- Bzdura! – wykrzyknęła Taserą, odzywając się po raz pierwszy, odkąd Anna wezwała ich na to spotkanie. – Nie chcę o tym słyszeć! Pan Eneah jest starym człowiekiem! Zostaniesz tutaj!

Anna spojrzała zdumiona na Taserę. Sądziła, że właśnie matka Aitrusa najbardziej pragnie jej odejścia. Po zebraniu Rady praktycznie znalazła się poza nawiasem społeczności. A jednak to właśnie Taserą sprawiała wrażenie najbardziej oburzonej.

- A zatem sprawa jest zamknięta – oświadczył Kahlis i uśmiechnął się z dumą do żony. – Ah-na zostanie tutaj jako członek rodziny.

Była to starodawna księga. Wyblakłe barwne sploty układały się na zmurszałej okładce z jasnozielonej skóry niczym zakurzone klejnoty. Cechmistrz Kedri spojrzał na księgę z uśmiechem. Aż do wczoraj leżała na półce, nie czytana od blisko tysiąca dziewięciuset lat.

Kedri podniósł wzrok na Annę siedzącą obok biurka, a potem zwrócił się do młodzieńca.

- Wybacz, że pytam, cechowniku, ale w jaki sposób znalazłeś tę księgę? Przecież nie leży ona w obrębie twoich poszukiwań.

Młody człowiek nerwowo opuścił głowę i powiedział:

- Na trop naprowadziła mnie pańska wypowiedź, mistrzu Kedri. Wczoraj przy kolacji mówił pan o próbie ustalenia, jakie czynniki odgrywają rolę w naszych poszukiwaniach.

- Proszę kontynuować.

- Zacząłem się zastanawiać, mistrzu, jakiemu człowiekowi pozwolono by wejść do wieku. Mam oczywiście na myśli kogoś, kto nie pochodzi z D'ni.

- No więc?

- Cóż... w pierwszym rzędzie przyszło mi do głowy, że ktoś taki musiałby mieć poparcie ważnej osobistości, może nawet jednego z Pięciu. Tak więc przejrzałem listę urzędników...

- Urzędników?

- Pracujących dla Pięciu.

- Ach, tak. I co ci to dało?

- Sześć nazwisk – odparł z uśmiechem młodzieniec.

- Domyślam się, że nie były to nazwiska D'ni – powiedział Kedri.

- Zgadza się, mistrzu. Był czas, kiedy najbardziej utalentowanym autochtonom, z wieków cechowych i tym podobnych, zezwalano na przyjazd do samego D'ni.

- Nic o tym nie wiedziałem – przyznał Kedri, unosząc brwi.

- Nie mógł pan o tym wiedzieć, mistrzu, ponieważ to się działo bardzo dawno temu, wkrótce po powołaniu do życia Rady w jej obecnej postaci, niedługo po Wieku Królów.

- Rozumiem. A ci urzędnicy... czy musieli przebywać w obrębie D'ni, czy mieli prawo wstępu do innych wieków?

Cechownik wskazał ruchem głowy na księgę leżącą przed Kedrim.

- Zakreśliłem istotne fragmenty, mistrzu. Jestem pewien, że w innych księgach znajduje się więcej podobnych przypadków.

Na podłodze za młodym cechownikiem stała niewielka stera książek.

Anna poczuła dreszcz podniecenia. Wstała od biurka, uklękła i podniosła jedną z książek. Otwierając ją, wciągnęła w nozdrza zapach wielkiego wieku.

Był to stary tekst, różniący się pod kilkoma względami od jego współczesnych odpowiedników, ale odczytanie go nie sprawiało trudności. W kilku miejscach atrament całkiem wyblakł, lecz sens tekstu pozostał jasny.

Anna spojrzała na Kedriego i skinęła głową, czując głęboką satysfakcję.

- Czy ten tekst nie jest za stary, mistrzu? – spytał młody cechownik. – Sądziłem, że mógł ulec przedawnieniu.

- Precedens jest precedensem – oświadczył Kedri, spojrzał na Annę, po czym jeszcze raz przeczytał stosowny fragment. – Nie wątpię, że znajdziemy inne źródła, które to potwierdzą, a także inne przypadki. Doskonale się spisałeś, cechowniku. – powiedział, zamykając księgę.

- Dziękuję, mistrzu – odparł młodzieniec, skłonił się nisko, a jego twarz pojaśniała z zadowolenia.



- Dziękuję, cechowniku...
- Neferusie, mistrzu. Nazywam się Neferus.

Decyzja, do której podjęcia potrzeba było zgody całej Rady, została cofnięta za pomocą jednego podpisu.

Pan Eneah odsunął do siebie dokument i poczuł, jakby zdjęto mu z ramion wielki ciężar. Cieszył się, że mistrz Kedri znalazł te stare księgi. Sam nigdy nie zgadzał się z decyzją Rady. Podniósł wzrok i ujrzał przed sobą zaciętą twarz pana Rakeriego, zrozumiał, że nie wszyscy z Pięciu podzielają jego zadowolenie.

Księgi miały zostać zwrócone mistrzowi Kahlisowi, Ah-nie zaś przysługiwało prawo do swobodnego podróżowania w nich. A jednak nie wszystko było po dawnemu. Aitrus nadal odmawiał przyjęcia wakującego stanowiska przedstawiciela Cechu Badaczy. Powiedział, że ma dość głosowań i zebrań, i może miał rację. Co się tyczy Veovisa...

Eneah odłożył pióro i oparł się na krzesło, czując falę zmęczenia.

Młody Veovis przyszedł do niego wcześniej i poprosił o wysłuchanie. Nie zachowywał się grubiańsko ani nie podważał odkryć mistrza Kedriego. Było jednak jasne, że irytowało go wtrącanie się prawodawcy do spraw Rady. Veovis był gotów zrobić wszystko, by nie dopuścić Ah-ny do żadnego z wieków D'ni. Pod koniec rozmowy błagał pana Eneaha, by odłożył na bok starodawny precedens i poparł decyzję Rady. Eneah jednak odparł, że nie może tego zrobić.

Bądź co bądź, prawo jest prawem, a precedens precedensem. Tak postępują D'ni od tysiąca pokoleń.

Veovis wyszedł zagniewany i poirytowany; kto wie, jakie kłopoty mogą z tego jeszcze wyniknąć?

Tak to już jest – pomyślał Eneah, rozglądając się po pustym gabinecie. – Żaden pojedynczy człowiek, choćby nie wiem jak potężny i wpływowy, nie jest ważniejszy niż D'ni.

Starzec uśmiechnął się na myśl, że wkrótce zostanie po nim niewiele więcej niż imię i kolejny posąg w Wielkim Gmachu Panów.

- Tak to już jest – powiedział cicho. – I tak musi być aż po kres czasu.

Eneah wstał i wyszedł z pokoju, powoli i cicho jak cień przesuwany się po skale.

## CZEŚĆ CZWARTA

# Gemedet

Anna czekała, klęcząc przed Aitrusem w wąskim tunelu i wpatrywała się w dno szybu. Tuż pod nią znajdowała się czarna powierzchnia małego, okrągłego jeziora. Powoli, bardzo powoli słońce spełzło po gładkiej, czarnej ścianie. Światło było czyste, tak jasne, że prawie nierealne, rozszczepione na pojedyncze promienie.

Panowała tu cisza i chłód, ale w górze, wysoko ponad powierzchnią, słońce zbliżało się do zenitu.

- Poczekaj... - poprosił cicho Aitrus. – Jeszcze tylko jedna chwila.

Słońce dotknęło nieruchomej, zakrzywionej krawędzi wody, a po chwili prosty promień światła zakrzywił się i rozczepił w widmo w przejrzystej toni.

Anna wydała okrzyk zachwytu. Szyb miał solidną, drewnianą pokrywę, w której Aitrus wykrył misterny wzór. Kiedy słońce stanęło dokładnie nad studnią, wszystkie części wzoru zarysowały się powoli na ciemnej powierzchni jeziora, aż wreszcie cały symbol rozjarzył się jasno w przezroczystej głębi.

*Shorah*, czyli pokój w języku D'ni.

Anna uśmiechnęła się i spojrzała na Aitrusa. Słowo odbijało się w jego czarnych źrenicach.

- A więc tym się zajmowałaś – powiedziała.

Odwrociła się, wiedząc, że to piękno było ulotne, że zniknie, kiedy tylko słońce minie zenit.

- Zrobiłem to dla ciebie – powiedział Aitrus.

Wiem – pomyślała Anna, a na głos powiedziała:

- Dziękuję. To jest piękne.

- Prawda?

Patrzyli w milczeniu, aż blask w wodzie zamigotał po raz ostatni i zgasł.

Anna zapatrzyła się w czarną toń i westchnęła.

- O czym myślisz? – zapytał po chwili Aitrus.

- Myślałam o moim ojcu.

- Ach, tak... - Milczał przez dłuższy czas, wreszcie powiedział: - Chodź, pora wracać na górę.

Anna odwróciła się i ruszyła za nim, pochylona póki szli niskim tunelem, potem wyprostowała się, żeby wspiąć się na kręte schody wryte w skałę. Aitrus pracował tygodniami dla tego jednego błysku magii.

Annę przeniknął nagły dreszcz. Patrząc na Aitrusa wspinającego się przed nią na schody, zwróciła uwagę na jego schludne upięte włosy, silne plecy i ręce, szerokie

ramiona. Uzmysłowała sobie, jak bliski jej się stał w ciągu tych ostatnich kilku lat. Niemal równie bliski, jak wiek, który powoli wspólnie tworzyli.

Anna wyszła na słońce za Aitrusem i uśmiechnęła się. Wszystko było takie zielone. Widziała tylko zieleń, gaje i łąki, lasy i równiny. Nawet rzeki płynące leniwymi meandrami zieleniły się od wodorostów.

Tylko niebo miało barwę głębokiego błękitu. Potężne zwały białych chmur szybowały wolno z prawa na lewo, rzucając mroczne cienie na wzgórza i doliny.

Początkowo wszystko to wydawało jej się dziwne, ponieważ przyzwyczała się do pustynnego krajobrazu. Mogła godzinami przyglądać się płynącym chmurom.

Zerknęła na Aitrusa, który założył okulary D'ni, żeby ochronić oczy przed palącym słońcem. Nosili je wszyscy mieszkańcy D'ni, kiedy opuszczali ojczyznę. Tylko Anna mogła się bez nich obejść.

- Teraz powinniśmy pójść na północ, w stronę gór – powiedziała. – Mogłabym wykreślić mapę tamtego obszaru wokół jeziora.

- Być może – uśmiechnął się Aitrus. – Albo tamtej długiej doliny na północnym wschodzie.

Anna spuściła wzrok i uśmiechnęła się, ponieważ doskonale wiedziała, dlaczego Aitrus interesował się tamtym regionem. Kilka tygodni temu, w drodze powrotnej z półwyspu, przeszli przez tę dolinę i odkryli ślady dawno wygasłej aktywności wulkanicznej. Anna dostrzegła wtedy błysk zainteresowania w oczach Aitrusa.

- Jeśli chcesz.

Ruszyli w dalszą drogę, kontynuując wcześniej rozpoczętą dyskusję. Dokądkolwiek się udali, rozmawiali, zwracali uwagę na fizyczne cechy tego świata i zastanawiali się, które drobne zmiany słów czy fraz mogły zaowocować takim, a nie innym efektem.

Czasami Aitrus przystawał, kuczał, opierał notes na kolanie i zapisywał słowa Anny lub własne, z myślą o włączeniu ich do książki z komentarzami, nad którą zaczęli pracować przed sześcioma miesiącami. Zdążyli już zapisać połowę grubego zeszytu, a każdego dnia wzbogacali tekst nowymi słowami, mapami i rysunkami.

Długie zbocze prowadziło do obozowiska, usytuowanego u wyloty zielonej doliny. Po jednej stronie trawiastego płaskowyżu ziemia sfałdowała się, a z trawy sterczał wielki blok czarnej gładkiej skały. Tuż ponad nim leniwa rzeka tworzyła jezioro i opadała z wysokości dwustu stóp przezrzystą, wąską zasłoną.

Szum wodospadu był wszechobecny i stanowił kontrapunkt dla egzotycznych nawoływań ptaków w lesie porastającym strome zbocze. Na północy wznosiły się góry, na południu zaś wielki ocean.

Było to piękne miejsce.

Zielone płótno namiotu Aitrusa, ustawionego po lewej stronie obozowiska, zlewało się z tłem. Tuż obok niego stał mniejszy, jaskrawożółty namiot, który pełnił rolę magazynu. Jeszcze tydzień wcześniej w obozowisku stał trzeci namiot, identyczny z tym, w którym mieszkał Aitrus, ale gdy przystosowano do mieszkania chatę, Anna wprowadziła się do niej. Chata nie była ukończona – Aitrus musiał jeszcze wyciąć i ułożyć drewnianą podłogę – ale dach chronił od deszczu. Za przegrodą znajdowała się część przeznaczona dla Anny, a obok Aitrus urządził tymczasowe laboratorium, z którego zmierni korzystali przed zbudowaniem właściwego laboratorium nieco wyżej na zboczu.

Podeszli do obozowiska. Przed namiotem Aitrusa, w cieniu płóciennej zasłony, stał stół na koźle. Na stole leżała rozpostarta mapa, nad którą Anna wcześniej pracowała; rogi umocowała miedzianymi ciężarkami, a całość przykryła foliową płachtą na wypadek deszczu.

Mapa była bardzo szczegółowa, a legenda w prawym rogu objaśniała skomplikowany wzór barw. Niektóre fragmenty mapy pozostały puste, ale te części terenu, które zbadali, Anna opisała drobiazgowo, objaśniając nie tylko podstawową topografię, ale także rodzaje gleby, a co za tym idzie – roślinności porastającej głębokie formacje skalne. Wszystko to sprowadzało się, mawiała, używając jednego z jej ulubionych określeń ojca, do „kwestii edafologii”.

Być może brał się to stąd, że Anna pochodziła z powierzchni, ale jej zrozumienie sposobu, w jaki skała wpływała na widoczne cechy krajobrazu, znacznie przewyższało zrozumienie Aitrusa i było niemal instynktowne. Często nie musiała nawet analizować próbki skalnej; poznawała ją po dotyku, kolorze, fakturze. Aitrus zaś instynktownie pojmował napięcia i ciśnienia wewnątrz skały.

Początkowo Aitrusa zdumiewała jej znajomość skał i minerałów oraz umiejętność wykreślenia map skał. Nawet kiedy opowiedziała mu więcej o ojcu i o tym, jak mu pomagała, nie mógł się nadziwić, że nauczyła się tak wiele w tak krótkim czasie. Wraz z upływem czasu jego zdziwienie ustąpiło miejsca zachwytowi. Zrozumiał, że wreszcie spotkał kogoś, z kim mógł się dzielić swoją pasją.

Wkrótce Aitrus zaczął uczyć Annę nazw D'ni rozmaitych rodzajów skał i terminów procesów geologicznych. Anna uczyła się szybko i wkrótce mogli prowadzić długie rozmowy. Po pewnym czasie Aitrus zaczął ją sprawdzać, jak gdyby chciał określić granice jej inteligencji, ale wydawało się, że przed Anną nie ma żadnych przeszkód.

Stanęli nad mapą, a Aitrus postukał palcem wskazującym w jej lewy górny róg.

- Moglibyśmy zacząć tutaj, Ah-no, gdzie rzeka skręca i opada. Mielibyśmy okazję, by wykreślić mapę całego tego obszaru na zachód od rzeki. Ile by nam to zajęło? Dwa dni?

Anna przyjrzała się białej plamie na mapie i skinęła głową.

- Dwa, najwyżej trzy.

- Właśnie. Moglibyśmy tam rozbić namiot i poświęcić dzień lub dwa na badanie jaskini. Są tam zespoły jaskiń, widziałaś?

- Widziałam – uśmiechnęła się Anna.

- Świetnie. Po zakończeniu badań możemy wrócić tutaj i spędzić parę dni na sporządzaniu notatek.

- Czy cech pozwoli ci na tak długą nieobecność?

- Jeżeli będę im pilnie potrzebny, to kogoś przyślą, ale bardzo wątpię. W tej chwili sprawy toczą się powoli i ta sytuacja nie ulegnie zmianie, dopóki Cech Górników nie przedstawi sprawozdania o nowych pracach wydobywczych. Możemy owocnie wykorzystać ten czas.

- Aitrusie?

- Tak?

- Czy jutro możemy wyruszyć trochę później? Na przykład po południu?

- Chcesz znowu zobaczyć studnię?

Anna skinęła głową.

- Zgoda. Myślę, że i tak przez większą część przedpołudnia będziemy się pakować.

Anna uśmiechnęła się. To było takie typowe dla Aitrusa. Zamiast przyznać, że idzie jej na rękę, wolał znaleźć jakiś pretekst, by mogła postawić na swoim.

- Aitrusie?

- Słucham? – spytał roztargnionym tonem.

- Och, nic takiego... - W każdym razie nic ważnego.

Wieczorem spadł ciepły, ulewny deszcz; bębnił w dach chaty i wypełnił dolinę migotliwą, srebrzystą mgiełką.

Anna wyszła na dwór, uniosła ręce, odrzuciła głowę, rozkoszując się pieszczotą deszczu na skórze.

Aitrus wyjrzał z namiotu, a zobaczywszy, co Anna robi, zawołał:

- Ah-no! Co ty wyrabiasz? Przemokniesz do suchej nitki!

Odwróciła się do niego ze śmiechem, a potem zaczęła tańczyć; wirowała w kółko, śmigając bosymi stopami po mokrej trawie.

- Ah-no!

Zatrzymała się zwrócona twarzą do Aitrusa i wyciągnęła rękę.

- Chodź, Aitrusie! Przyłącz się do mnie!

Aitrus zawahał się, a potem, opornie, ale z uśmiechem, wyszedł z namiotu. Deszcze przemoczył go natychmiast, przyklejając mu włosy do głowy.

Wziął Annę za rękę.

- Chodź! – ponagliła Anna. – Zatańczmy! – Bez ostrzeżenia zaczęła obracać Aitrusem pod gołym niebem, a światło lampy zawieszanej nad wejściem do chaty zamieniało deszcz z srebrną kaskadę.

Aitrus głośno krzyknął z zachwytu, ale nagle zamarł w bezruchu. Śmiał się, jego twarz tętniła nowym życiem.

- Czy to nie jest cudowne? – spytała Anna, przekrzykując łoskot ulewy.

- Wspaniale! – odkrzyknął, a potem nieoczekiwanie przyciągnął Annę do siebie i zaczął wirować, aż zakreśliło mu się w głowie i stanął, zanosząc się od kaszlu i śmiechu.

Anna też się śmiała. Odchyliła głowę i piła czystą wodę z nieba. Deszcz! Cud deszczu!

Anna stała za drewnianą przegrodą i wycierała włosy ręcznikiem. Deszcz ciągle padał, ale teraz słyszeć było tylko delikatny szmer na dachu. Burza miała wkrótce ucichnąć.

Anna przebrała się w wełnianą sukienkę w jej ulubionym, sinoblękitnym kolorze, związaną w talii prostym sznurkiem.

Złożyła ręcznik, rzuciła go na posłanie, a potem zatoczyła pełny obrót, rozglądając się wokół siebie. Wszędzie, gdzie spojrzała, leżały książki, na wąskim

drewnianym stole stały przyrządy naukowe, których polerowane mosiężne części lśniły w świetle lampy.

Anna westchnęła z zadowoleniem. Po raz pierwszy od bardzo dawno czuła się szczęśliwa.

Prawdę powiedziawszy, nigdy nie pracowała tak ciężko ani nie czuła się tak doskonale. Zanim Aitrus zwrócił się do niej z prośbą o pomoc w tworzeniu tego wieku, czuła się bezużyteczna, ale teraz...

Teraz miała problem.

Anna usiadła na brzegu niskiego łóżka i utkwiała wzrok w klepisku. Być może chodziło o taniec albo o Aitrusa, równie szczęśliwego jak ona. A może uległa złudzeniu? Czy było to coś przemijającego, czy mogło trwać?

A poza tym...

Nagle usłyszała pukanie do drzwi chaty. Podniosła wzrok, zdziwiona. Aitrus miał zwyczaj o tej porze przez godzinę pisać w dzienniku.

- Wejdz.

Aitrus wszedł do izby, odgarniając prawą dłonią włosy z czoła.

- Zastanawiałem się, czy u ciebie wszystko w porządku.

- Nic mi nie jest – uśmiechnęła się. – To był tylko deszcz.

Aitrus wahał się przez chwilę, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie zapytał:

- Zagramy partię gemedet?

- Z przyjemnością.

Uśmiechnął się i poszedł do namiotu po planszę. Anna uprzątnęła rzeczy ze stołu.

Gemedet, czyli sześć w rzędzie, była najpopularniejszą grą w D'ni. Anna widziała, jak chińscy kupcy w Tadjinarze grali w podobną grę, ale odmianę D'ni rozgrywano nie na dwuwymiarowej desce, ale na złożonej, trójwymiarowej planszy, o dziewięciopółowym boku.

Annie przyszło na myśl, że ta gra idealnie pasowała do rasy mieszkającej wewnątrz skał, która myślała nie w sposób płaski, lecz przestrzenny.

Aitrus wrócił po chwili i rozłożył planszę na stole. Było to prawdziwe ręcznie rzeźbione cacko z liliowego jadeitu, delikatne jak plaster miodu, a przy tym mocne. Plansza wytrzymała tysiąc partii nie ponosząc najmniejszego uszczerbku. Obracała się swobodnie na półkuli z polerowanego topazu. Długie srebrne szczypczyki, zwane



*re'dantee*, służyły do rzucania owalnymi sztonami z zielonego turmalinu i czerwonego almandynu.

*Re'dantee* i sztony przechowywało się w pudełku wyłożonym atlasem, które Aitrus otworzył i postawił obok planszy, żeby oboje mieli do niego łatwy dostęp.

Anna uśmiechnęła się. Zakochała się w tej grze od pierwszego wejrzenia.

Usiedli przy stole naprzeciwko siebie. Anna jak zwykle rzuciła pierwsza, umieszczając szton na środku planszy, co dawało jej najwięcej możliwości.

Przez godzinę lub dłużej grali w całkowitym milczeniu, koncentrując się na układach sztonów. Po pewnym czasie bębnienie deszczu o dach ustało. W głębi lasu zaczęły się nawoływać nocne ptaki, a w chacie, w świetle lampy, wciąż jeszcze toczyła się gra.

W końcu Anna spostrzegła, że przegrała. Aitrusowi pozostawało umieścić szton w lewym dolnym rogu, a ona w żaden sposób nie mogła mu przeszkodzić w ustawieniu szóstki.

Anna podniosła wzrok i poznała po jego uśmiechu, że wiedział.

- Zagramy jeszcze raz?

Anna potrząsnęła głową. Czy to był dobry moment, że podzielić się z nim tym, o czym wcześniej myślała?

- Co się stało? – zapytał łagodnie.

- Jestem zmęczona, to wszystko – odparła, spuszczać wzrok.

- Na pewno?

Skinęła głową. To był dobry, prawie idealny dzień; po cóż miałaby go psuć?

- Czy mam złożyć grę? – zapytał po chwili.

- Nie – odparła i spojrzała na Aitrusa z uśmiechem, zadowolona z podjętej decyzji. – Zrobię to rano. Zresztą chcę przeanalizować, w jaki sposób mnie pokonałeś.

- To tylko kwestia doświadczenia.

W tym momencie dzieląca ich różnica wieku praktycznie zniknęła. Według ludzkiej rachuby Aitrus był stary, prawie tak stary jak jej ojciec – ale w kategoriach D'ni był wciąż bardzo młodym człowiekiem. Było bardzo prawdopodobne, że przeżyje kolejne dwa stulecia, a nawet więcej. Może właśnie dlatego Anna bała się wyjawić mu swoje uczucia?

- Wobec tego zostawię cię – powiedział, wstając, a światło lampy zaśniło na jego gęstych ciemnych włosach. – Dobranoc. Śpij dobrze, Ah-no.

- Ty też – odparła, wstając od stołu.

Aitrus uśmiechnął się i wyszedł. Anna stała w drzwiach, czując na ustach smak nie wypowiedzianych słów, a nawoływania nocnych ptaków niosły się echem w ciemnej dolinie.

Dolina była głęboką bruzdą w krajobrazie, wyżłobioną nie przez rzekę, ale przez starsze, znacznie gwałtowniejsze procesy. Ze zboczy po obu stronach sterczały nagie skały, wystawione na działanie żywiołów. Bardziej miękkie warstwy uległy erozji, pozostawiając wielkie półki twardszych skał. Na końcu doliny, w cieniu szczególnie długiej półki, znajdowały się jaskinie. Właśnie tam rozpoczęli badania.

Anna wiedziała, czego szukał Aitrus, i nie musiała długo czekać, zanim to znalazł.

- Ah-no, chodź, zobacz!

Podeszła do Aitrusa klęczącego w głębokim cieniu nawisu skalnego i zajrzała.

- Co ty na to? – zapytał triumfalnie.

Obiekt był stary i zniszczony, ale nie ulegało wątpliwości, czym był. Anna patrzyła na pofałdowany wylot kanału wulkanicznego, utworzonego przed wieloma laty przez gazy pod wysokim ciśnieniem, wędrujące przez łamliwą skałę.

Od dwóch dni trafiali na ślady pobliskiego wulkanu, ale to był pierwszy kanał, jaki znaleźli. Sądząc po jego wyglądzie, wulkan był stary, wygasły od wielu stuleci.

- Sądziłam, że stworzyliśmy stabilny świat.

- Tak też się stało, ale nawet stabilny świat musi się uformować. Wulkany stanowią część procesu wzrostu wieku. Nawet najlepsze ze światów nie są od nich wolne!

- A więc gdzie on jest?

Aitrus wstał, odwrócił się i wskazał prosto na skałę na północy.

- Wydaje mi się, że tam.

- Czy chcesz pójść i go obejrzeć?

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu? – odparł Aitrus, wzruszając ramionami.

- Dlaczego miałabym mieć? – zaśmiała się Anna. – To jest wulkan, nasz wulkan. Pierwszy!

Aitrus uśmiechnął się, jakby nie przyszło mu to do głowy, a potem skinął głową.

- Chodźmy więc. Jeżeli się nie mylę, to nie może być daleko stąd.

Wulkan był wciąż widoczny, ale nadszarpnięty zębem czasu. Łagodne zbocza i wielki krater porastały drzewa, ale gdzieniegdzie w płytkiej warstwie gleby biegly szczeliny i kanały, których mrok wskazywał na wielkie głębokości.

Góra była stara, znacznie starsza, niż początkowo sądzili. Jej wiek należało liczyć nie w tysiącach, ale w milionach lat.

Właśnie tę część Annie było trudno pojąć. Wieki, z którymi się łączyli, nie zostały przez nich stworzone, ale już istniały, ponieważ proces tworzenia wieków trwał nie miesiące, ale lata. Aitrus, chcąc wyjaśnić jej tę kwestię, podsumował to następującymi słowami:

- Te wieki są światami, które istnieją, istniały lub zaistnieją. Pod warunkiem, że opis jest odpowiedni, połączenie nie zna żadnych granic czasu czy przestrzeni.

Podobnie rzecz miała się z tym światem, ich wiekiem, który na część gry nazwali Gemedet. On także istniał, istniał dawniej lub miał zaistnieć. Nie wiedzieli jednak, gdzie ani kiedy.

Najczęściej nie miało to żadnego znaczenia, ale czasami Anna zastanawiała się, w której części nieba się znajdowali i czy na początku wszechświata, czy u kresu tego potężnego procesu.

Sama ta myśl sprawiała, że Anna odczuła pokorę. Zrozumiała, czemu jej ojciec wierzył w Stwórcę, który to wszystko ukształtował. Po „napisaniu”, po zobaczeniu, jakiego kunsztu i subtelności wymaga stworzenie samego „połączenia” z tymi światami, chyliła czoło przed nieskończoną troską, jakiej wymagało stworzenie oryginałów, z którymi łączyły się ich wzorce.

Anna nie mogła uwierzyć, że to wszystko zostało stworzone przez ślepą siłę. Nie mogła przyjąć takiego rozwiązania, mając w pamięci złożoność i różnorodność życia. W tym jednak punkcie Aitrus nie zgadzał się z Anną. Twierdził, że jego podejście jest bardziej racjonalne, bardziej naukowe, jak gdyby zrozumienie produktu takich procesów stanowiło klucz do zrozumienia ich samych.

Aitrus zszedł po porośniętym drzewami zboczu, mijając wielkie głazy, aż stanął obok jednego z większych kanałów. Oparł brodę o pochyłą ścianę kanału, wychylił się i zajrzał w mrok. Przez chwilę stał nieruchomo, potem odwrócił głowę i spojrzął na Annę zza okularów D'ni.

- Wchodzimy?

- Zgoda – uśmiechnęła się Anna – ale będziemy musieli przynieść z obozu linę.

- I lampy i...
- ...twój notes.

Wymienili spojrzenia pełne zrozumienia. Nadszedł czas na eksplorację wulkanu.

Do obozowiska wrócili trzy dni później, niż planowali. Zastali tam czekającą na nich wiadomość z D'ni. Leżała na stole kartograficznym, obłożona w ciemnoniebieski celofan.

Anna zaczęła chować sprzęt, a Aitrus złamał pieczęć na przesyłce i wyjął list. Wiedział, że nie jest to nic pilnego – w przeciwnym razie wysłaliby do wieku postańca – ale było to niezwykle. Rozłożył list i zerknął na niego zza okularów. Jego stary przyjaciel Kedri pisał w sprawie pytania, z jakim Aitrus zwrócił się do niego ostatnim razem podczas kolacji.

Aitrus szybko przeczytał list, po czym wsunął go do kieszeni płaszcza.

- Czy to coś ważnego? – spytała Anna, podchodząc do niego.
- Nie, ale muszę wracać.
- Czy powinniśmy się spakować?
- Nie, muszę się udać do D'ni na godzinę, najwyżej dwie. Zrobię to dzisiejszej nocy. Zostań tutaj. Wrócę tak szybko, jak będę mógł.
- Po powrocie z D'ni powinienes wziąć kąpiel – uśmiechnęła się Anna.
- Kąpiel? – Aitrus udał urażonego. – Czy chcesz powiedzieć, że śmierdzą Ti'ano?
- Wprost cuchniesz siarką! – odparła z szerokim uśmiechem. – Jak sam stary Belzebub.

Aitrus uśmiechnął się. W jaskiniach pod wulkanem Anna opowiedziała mu niemało o mitologii i bogach na powierzchni, a także o demonach, które, według wielu religii, zamieszkiwały regiony podziemne.

- Gdyby tylko znali prawdę, ich zdumienie nie miałoby granic – powiedziała wtedy.

Właśnie wtedy nadał jej nowe imię, Ti'ana, które w języku D'ni oznacza gawędziarza, a poza tym współbrzmi z imieniem, jakie nosiła na powierzchni.

- Czy chcesz, żebym ugotowała ci coś przed podróżą?
- Wolałbym, żebyś pomogła mi w sortowaniu tych próbek.

- Zgoda – odparła z uśmiechem. – Przeprowadzę testy, a ty zajmij się notatkami.

Aitrus rozejrzył się po namiocie. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Jego notes leżał otwarty na stoliku przy łóżku; ostatni wpis nie zdołał jeszcze wyschnąć. Nadszedł czas, by z powrotem połączyć się z D'ni.

Anna była w chacie. Postanowił, że powie jej dobranoc i wyruszy.

Aitrus wyszedł z namiotu i zastukał cicho do drzwi chaty. Zazwyczaj wołała do niego, ale tym razem powitała go cisza. Uchyliwszy drzwi, zauważył, że nie siedziała za biurkiem.

- Ti'ano? – zawołał cicho. – Jesteś tam?

W odpowiedzi usłyszał ciche chrapanie, dobiegające spoza cienkiej, drewnianej ścianki działowej. Wślizgnął się do chaty, podszedł na placach, odsunął zasłonę i zajrzał.

Anna leżała na pościeli na boku, twarzą do niego; miała zamknięte oczy, a twarz rozluźnioną przez sen. Długa droga powrotna z doliny najwyraźniej ją wyczerpała. Aitrus uklęknął, napawając się widokiem śpiącej dziewczyny, tak innej od znanych mu kobiet z D'ni, silnych, a przy tym kruchych, o białych pociągłych twarzach.

Ponad dwa miesiące wcześniej odbyli pierwszą i jak dotąd jedyną podróż w góry na północy. Po drodze Anna zebrała rozmaite miejscowe kwiaty do dalszych badań. Kiedy jednak weszła na cudowne ośnieżone zbocze – pierwsze, jakie w życiu widziała – wyjęła kwiaty z kieszeni i rozsypała na śniegu. Aitrus zapytał ją, co robi, na co Anna tylko wzruszyła ramionami.

- Musiałam – powiedziała, a potem wskazała na rozsypane płatki i kazała mu spojrzeć.

Aitrus zamknął oczy i wyraźnie zobaczył kwiaty, których jaskrawe kolory ostro kontrastowały z czystą bielą niczym życie i śmierć.

Właśnie wtedy podjął decyzję, a każda chwila od tamtej pory była tylko potwierdzeniem uczucia, którego doświadczył, gdy podniósł wzrok znad płatków i ujrzał twarz Anny, promieniejącą nad nim jak samo słońce.

Aitrus otworzył oczy i ujrzał tę samą twarz, ukrytą za zasłoną snu jak słońce za chmurami, lecz nadal piękną. W życiu nie widział piękniejszej twarzy. Początkowo tak nie myślał, ale czas nauczył go widzieć ją inaczej. Teraz ją znał.

Aitrus wyciągnął rękę i zakreślił kontury uśpionej twarzy w powietrzu ponad nią, poczuł przy tym przyływ takiej czułości, że dłoń mu zadrżała. Cofnął ją, zdziwiony siłą uczucia, powalającego jak wodospad.

Skinął do siebie głową i wstał. Nadszedł czas powrotu do D'ni, czas konfrontacji z ojcem.

Nie mogę powiedzieć, że po części się tego nie spodziewałem – mówił Kahlis. – Miałem jednak nadzieję, że w końcu pójdziesz po rozum do głowy.

- Przykro mi, że tak to odczuwasz, ojcze.

- Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, Aitrusie, czy dokładnie przemyślałeś tę sprawę? Czy pojmujesz wszystkie implikacje takiego związku? Ona jest cudzoziemką, mieszkanką powierzchni. Ty, Aitrusie, jesteś D'ni, cechmistrzem i członkiem Rady. Nikt nie słyszał o podobnym małżeństwie.

- Być może, ale prawo tego nie zabrania. – Aitrus wyjął list z kieszeni płaszcza i położył przed ojcem na biurku. – Zwróciłem się do mistrza Kedriego z prośbą o specjalistyczną opinię i oto ona.

Kahlis rozłożył list, przez chwilę czytał w milczeniu, a potem spojrzał na syna, mrużąc oczy.

- A co z różnicą wieku, Aitrusie? Czy zastanawiałeś się nad tym choć trochę. Teraz jesteś od niej starszy, ale taka sytuacja nie będzie trwała wiecznie. Twoja długość życia trzykrotnie przekracza długość życia tej dziewczyny. Kiedy wciąż jeszcze będziesz w sile wieku, ona będzie starą kobietą. Czy pomyślałeś o tym?

- Owszem – odparł. – Gdybym jednak nigdy jej nie miał u swego boku, byłoby to równoznaczne ze śmiercią.

- A gdybym ci powiedział, że jestem przeciwny temu małżeństwu?

Aitrus tylko spojrzał na ojca.

Kahlis wstał i obszedł biurko dookoła.

- Nie chcesz przyjąć mojej rady, Aitrusie, ale dam ci swoje błogosławieństwo. Mam nadzieję, że je przyjmiesz.

- Z najwyższą radością! – wykrzyknął Aitrus, a potem ujął dłonie ojca na modłę D'ni. – Będziesz z niej dumny, ojcze, obiecuję!

Aitrus połączył się z powrotem z jaskinią ponad obozowiskiem. Wyszedł na zewnątrz i stwierdził, że nic się nie zmieniło. Obóz zalany światłem księżycy wyglądał spokojnie; namioty stały po lewej, chata po prawej stronie. Za obozem, nieco z boku, srebrna płachta wodospadu szumiała usypiająco.

Schodząc na dół wśród drzew, przyłapał się na tym, że gwizdże starą piosenkę D'ni, którą kiedyś śpiewała mu matka. Zatrzymał się i spojrzał w stronę chaty. Tam spała Ti'ana, jego ukochana.

- To nie może się nie udać – powiedział cicho.

Aitrus drgnął, czując na ramieniu lekki dotyk. Odwrócił się i zobaczył uśmiechniętą Annę, jakby zadowoloną ze swojej małej sztuczki.

- Co nie może się nie udać?

Aitrus przełknął ślinę. Teraz, kiedy chwila w końcu nadeszła, poczuł lęk. Wiedział jednak, że jest to lęk naturalny, który należy przezwyciężyć.

- Ty i ja – odparł ujmując dłonie Anny.

Anna spojrzała na ich złączone dłonie, a potem znowu napotkała wzrok Aitrusa.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że chcę się z tobą ożenić.

Anna otworzyła szerzej oczy i wpatrywała się w Aitrusa w zdumieniu.

- No więc? – zapytał, kiedy oczekiwanie stało się nie do zniesienia. – Czy wyjdiesz za mnie, Ti'ano?

- Tak – odparła tak cicho, że początkowo sądził, iż mu się to wydawało.

- Tak?

Anna ponownie przytaknęła, a na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Wyjdiesz za mnie! – Aitrus wydał okrzyk triumfu, a potem przyciągnął ukochaną do siebie i po raz pierwszy przytulił. Twarz Anny znalazła się nagle na odległość dłoni od jego twarzy i ten widok przywołał Aitrusa do porządku.

- Obiecuję być dobrym mężem, Ti'ano, ale ty też musisz mi coś obiecać.

- Co takiego?

- Że będziesz moją partnerką we wszystkim. Moją pomocnicą i towarzyszką we wszystkim, co będę robił.

Uśmiech powoli powrócił na twarz Anny, przysunęła się do Aitrusa i złożyła na jego ustach delikatny pocałunek.

- Obiecuję.

Veovis wpadł do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. Chwycił kałamarz z biurka i cisnął nim o ścianę; naczynie roztrysło się na dziesiątki drobin.

- Nigdy! – krzyknął, patrząc z wściekłością na pusty pokój. – Nie dojdzie do tego, póki ja oddycham!

Godzinę wcześniej jego ojciec przekazał mu nowinę. Aitrus się żenił. Początkowo Veovis zareagował obojętnością. Nie wiedział nawet, że przyjaciel z kimś się spotyka. Potem jednak zrozumiał. Aitrus żenił się z tą dziewczyną, mieszkanką powierzchni!

Veovis przeszedł przez pokój ciężkim krokiem, opadł na krzesło i zaczął obgryzać paznokiec kciuka.

- Nigdy! – zasyczał zjadliwie.

Ojciec powiedział mu, że na ręce Pięciu zostało złożone podanie wraz z dokumentami precedensów. A więc znowu winę ponosił ten zdrajca Kedri! Aitrusowi pozostawało zwrócić się do Rady po jej błogosławieństwo, a to było czystą formalnością.

W każdym razie tak było do tej pory.

Veovis wziął głęboki wdech, próbując się uspokoić. Spojrzał na odłamki szkła, jakby nie pojmował, skąd się tam wzięły, i wzdrygnął się.

Nigdy.

Aitrus stał przed Pięcioma na środku wielkiej komnaty. Wszyscy byli obecni. Pan R'hira odczytał formalną prośbę, a teraz Rada musiała tylko wyrazić zgodę.

R'hira przyglądał się przez chwilę Aitrusowi, a potem powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych.

- Kto jest za?



Rozległ się chór głosów, niektórych entuzjastycznych, innych niechętnych. Od sześciu tysięcy lat podobne prośby rozpatrywano pozytywnie.

- A kto jest przeciw? – spytał pan R'hira dla czystej formalności.

- Ja.

R'hira zdążył już odwrócić arkusz papieru i zamierzał pogratulować młodemu Aitrusowi. Ten pojedynczy głos sprawił, że starzec drgnął i spojrzał na Veovisa, który siedział niespełna dwie piędzi za Aitrusem.

- Słucham, mistrzu Veovisie?

- Powiedziałem, że jestem przeciw – powtórzył Veovis, wstając.

R'hira zamrugał oczami z niedowierzaniem. Cała piątka panów wpatrywała się teraz w Veovisa. Stało się coś zupełnie niesłychanego.

- Czy mógłbyś przedstawić powody, mistrzu Veovisie?

- Nie mam takiego obowiązku – odparł beznamiętnie Veovis. – Po prostu jestem przeciw. – Usiadł, jak gdyby sprawa była zakończona.

Tak też było. Rada musiała wydać jednogłośnie wyrok. R'hira spojrzał na Aitrusa. Młody człowiek siedział z opuszczoną głową; trudno było odczytać wyraz jego twarzy, ale w całej postaci pojawiło się napięcie.

- Mistrzu Aitrusie – zaczął z zakłopotaniem R'hira. – Wygląda na to...

Aitrus spojrzał na niego lodowatym wzrokiem.

- Rozumiem, panie R'hiro. Rada odrzuciła moją prośbę.

R'hira, na którym wielkie wrażenie zrobiła godność, z jaką Aitrus przyjął decyzję Rady, niechętnie skinął głową.

- Tak jest.

- Wobec tego nie zamierzam zabierać wam więcej czasu, panowie.

Aitrus skłonił się kolejno wszystkim pięciu panom, odwrócił się i wyszedł z komnaty z wysoko uniesioną głową, nawet nie zerknąwszy na Veovisa, kiedy go mijał.

Aitrusie, otwórz drzwi!

Tasera stała przed drzwiami do pokoju syna, a jej mąż stał tuż za nią w cieniu korytarza.

Kiedy Aitrus nie odpowiedział, Taseira odwróciła się do męża.

- Dlaczego nie powiedziałaś czego Radzie, Kahlisie?

- Powiedziałem, ale to nic nie dało – odparł cicho Kahlis.

- A więc jeden człowiek mówi „nie” i to przesądza sprawę? – spytała z niedowierzaniem.

Rozległ się metaliczny zgrzyt zasuw i drzwi uchyliły się na cal.

- Wybacz, mamie – głos Aitrusa dobiegł z głębi ciemnego pokoju. – Spałem.

- Słyszałam o decyzji Rady – powiedziała Taseera. – Musimy porozmawiać o tym, co należy zrobić.

- Nic nie można zrobić. Rada udzieliła mi odpowiedzi.

Ani słowem nie wspomniał o Veovisie, jak gdyby decyzja rzeczywiście odzwierciedlała wolę Rady.

- Bzdura! – zawołała gniewnie matka, minęła Aitrusa i zapaliła lampę. Spojrzawszy na syna w słabym świetle, zobaczyła zapadniętą twarz, ale wciąż był to ten sam silny mężczyzna, którego urodziła.

- Znam cię, Aitrusie. Jesteś wojownikiem. Wiem także, ile dla ciebie znaczy Ti'ana. Zamierzasz ugiąć się przed decyzją Rady czy walczyć?

- Walczyć? Jak mogę walczyć, jaką bronią? Czy mogę zmusić Veovisa do zmiany zdania? Nie. Ani on, ani Rada by do tego nie dopuścili. A co się tyczy przekonywania...

- Wobec tego poproś.

- Mam prosić?

- Jeżeli Ti'ana tak wiele dla ciebie znaczy, idź do pana Veovisa i błagaj go, żeby zmienił zdanie. W razie potrzeby, uklęknij przed nim, ale nie akceptuj biernie tego, co się stało.

- Mam przed nim uklęknąć? – Aitrus wpatrywał się w matkę z niedowierzaniem.

- Tak. Co jest dla ciebie ważniejsze, Aitrusie? Twoja duma czy przyszłe szczęście?

- Chcesz, żebym błagał?

Taseera potrząsnęła głową.

- Sam powiedziałaś, że Veovisa nie da się zmusić ani przekonać. Jakie wyjście ci zostało?

- Aitrus ma rację.

Syn i matka odwrócili się i ujrzeli Annę stojącą w drzwiach.

- Ti'ano, ja... - zaczął Aitrus, ale dziewczyna uciszyła go ruchem dłoni.

- Wiem, co się stało. Twój ojciec właśnie mi powiedział.

- W takim razie na pewno się ze mną zgodzisz – zwróciła się do niej Taser. – Aitrus musi pójść do Veovisa.

- Być może – odparła Anna, potem odwróciła się nieznacznie i spojrzała na Aitrusa z miłością. – Wiesz, jaka bym była dumna, gdybym została twoją żoną, Aitrusie, dumniejsza niż jakakolwiek kobieta w D’ni. Mimo to nie zniosłabym tego, żebyś uklęknął przed tym człowiekiem, nawet gdybyśmy mieli się rozstać na całe życie. Byłoby to pogwałcenie twojej natury. Możliwe jednak, że istnieje inny sposób.

Aitrus przyglądał się Annie przez dłuższą chwilę, wreszcie skinął głową.

- A więc, niech tak będzie – powiedział. – Pójdę do niego, ale nie spodziewam się zbyt wiele.

Veovis zgodził się spotkać z Aitrusem w gabinecie ojca. Pan Rakeri był obecny przy tej rozmowie, żeby dopilnować zachowania należytych form.

- A więc właśnie tego chcesz, cechownika? – spytał Veovis, stojący o sześć kroków od Aitrusa z dłońmi zaciśniętymi za plecami.

- Domagam się wytłumaczenia twojego dzisiejszego głosowania – oświadczył Aitrus.

- A ja odmawiam udzielenia go.

- Nie lubisz jej, prawda?

- Już ci powiedziałem...

- ...że odmawiasz podania powodu.

Veovis skinął głową.

- Czy przypominasz sobie nasze spotkanie w szybie, wiele lat temu?

- Co to ma do rzeczy?

- Pamiętasz, co się później stało? Po tym, jak uratowałem ci życie?

Veovis zmrużył oczy, potem wziął głęboki wdech i powiedział:

- Byłem ci bardzo wdzięczny za okazaną mi pomoc. Ale co z tego? Jaki to ma wpływ na obecną sytuację?

- Złożyłeś mi obietnicę. Pamiętasz? Powiedziałeś, że jeżeli będę chciał czegoś, co będzie leżało w twojej gestii, powinienem się do ciebie zwrócić.

Veovis stał nieruchomo jak posąg, wbijając lodowaty wzrok w Aitrusa.

- Pamiętasz?

- Pamiętam.

- Wobec tego, proszę cię o dotrzymanie słowa, panie Veovisie, i udzieleni mi zgody przed całą Radą na poślubienie Ti'any.

Veovis milczał przez dłuższą chwilę, wreszcie odwrócił się i spojrzał na ojca. Pan Rakeri odwzajemnił spojrzenie syna, w jego oczach pojawił się głęboki smutek, w końcu skinął głową.

Veovis znów zwrócił się do Aitrusa.

- Jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa, dlatego spełnię twoją prośbę, Aitrusie, synu Kahlisa. Od tej chwili jednak nie chcę z tobą więcej rozmawiać ani o tobie słyszeć. Wszystko, co kiedykolwiek nas łączyło, jest skończone. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. Dziękuję ci.

- Dziękujesz mi? – zaśmiał się gorzko Veovis. – Zejdź mi z oczy, bo niedobrze mi się robi na twój widok.

**CZEŚĆ PIĄTA**

# **Filozof**

W westybulu tłoczyli się cechownicy, wielcy mistrzowie z asystentami, panowie i inni pośledniejsi członkowie centralnej Rady D'ni. Wszyscy czekali na wejście do wielkiej komnaty, gdzie miała się odbyć debata. Podobnie jak przed każdym doniosłym wydarzeniem grupki cechowników gromadziły się między żłobkowanymi filarami, by prowadzić nieformalne dyskusje na temat nowej propozycji.

W centrum jednej z większych grup stał Aitrus, autor propozycji. W ciągu piętnastu lat od powrotu do Rady zajął pozycję nieoficjalnego przywódcy liberalnej frakcji Domu, a Pięciu często konsultowało się z nim w kwestiach politycznych. Jednak dzisiaj Aitrus był roztargniony.

- Czy są jakieś nowiny? – zapytał przyjaciel Aitrusa, Oren z Cechu Chemików, przyłączając się do grupy.

- Jak dotąd żadnych – odparł Aitrus.

- Nic jej nie będzie – powiedział inny bliski przyjaciel, Penjul, cechmistrz prawodawców, opierając dłoń na ramieniu Aitrusa.

- Też mi się tak wydaje – rzekł Aitrus, ale nie sposób było nie usłyszeć troski w jego głosie.

- A więc jak pójdzie dzisiaj? – spytał Oren, rozglądając się po twarzach dwunastu mistrzów, którzy tworzyli rdzeń frakcji. – Czy ktoś ma jasny pogląd?

Odpowiedziały mu uśmiechy. Oren, jako chemik, zawsze oczekiwał jednoznacznej odpowiedzi.

- Jakkolwiek potoczą się sprawy, głosy rozdziela się niemal po połowie – oświadczył Hamil, najstarszy z całej grupy i wielki cechmistrz posłańców, szarpiąc długą siwą brodę. – Wiele będzie zależało od elokwencji naszego przyjaciela.

- W takim razie jesteśmy zgubieni. – Oren spojrzał z uśmiechem na Aitrusa. – Aitrus ma dzisiaj tylko jedno w głowie.

- Nie obawiaj się, mistrzu Orenie, dam sobie radę. Konieczność zabrania głosu pozwoli mi oderwać się od ważniejszych spraw.

Mistrzowie zgodnie przytaknęli. Chociaż propozycja miała dla nich wszystkich duże znaczenie, zdrowie Ti'any miał wartość nadrzędną.

W istocie, gdyby nie Ti'ana, nie byłoby żadnej propozycji. To właśnie ona zaprowadziła mistrzów do dolnej części miasta, żeby zobaczyli panujące tam warunki. To ona w dużej mierze napisała szkic propozycji.

- Słyszałem, że w imieniu naszych przeciwników ma wystąpić Veovis – rzekł Penjul, patrząc w stronę dawnego przyjaciela Aitrusa. Veovis stał pod wielkimi łukowymi drzwiami, otoczony przez starców z jego frakcji.

- W takim razie zapowiada się długa, trudna debata – stwierdził gorzko Tekis z Cechu Archiwistów.

- A z pewnością rozwlekła – dodał Penjul, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Być może – powiedział Aitrus – ale mimo to rozumiem obiekcje pana Veovisa. Obawia się, że ta zmiana to dopiero początek, i nie jest w tym odosobniony. Naszym zadaniem jest rozwiać podobne obawy, jeśli nie w Veovisie, to w ludziach, którzy są gotowi poprzeć go podczas głosowania. Muszą mieć pewność, że mamy na myśli tylko to, co mówimy, i nic poza tym. Tylko wtedy możemy zwyciężyć.

Słuchacze zgodnie pokiwali głowami.

- A jeżeli przegramy? – zapytał Oren.

- Wówczas poszukamy innych sposobów na udzielenie pomocy dolnemu miastu – uśmiechnął się Aitrus. – Jak mówi Ti'ana, istnieje wiele sposobów na obdarcie reekoo ze skóry.

Veovis wstał z krzesła w najniższym rzędzie, odwrócił się i powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych. W komnacie zaległa cisza.

- Cechownicy, panowie... jak wam wiadomo, mam was przekonać, żebyście nie akceptowali tej pochopnej propozycji. Nie sądzę, bym musiał wiele mówić. Skoro obecny system zarządzania miastem liczy sobie ponad pięćset lat, można założyć, że zdał egzamin.

Veovis zamilkł i utkwiał wzrok w Aitrusie, który siedział niecałe pięć piędzi od niego.

- Mamy tu jednak do czynienia z jeszcze jedną kwestią, a mianowicie: kto sprawuje władzę w D'ni. Proponowane kroki mogą się wydawać nieszkodliwe. Zapewniam was jednak, że wzbudzą niepokój wśród społeczeństwa, które, zakosztowawszy władzy, zapragnie zdobyć jej więcej. Czyż nie wiemy i czy nie zapłaciliśmy za tę wiedzę wysokiej ceny, że władza jest tylko jedną stroną równania? Drugą stroną jest odpowiedzialność. Władzę można dać z dnia na dzień, ale odpowiedzialności należy uczyć, i to przez wiele lat. Czy wobec tego nie wymagamy

zbyt wiele od tych prostych ludzi, niezależnie od szczerości ich intencji, oczekując, że przyjmą na siebie ciężar odpowiedzialności bez uprzedniego przygotowania? Oczywiście, że tak. Czy nie jest nieuczciwością prosić ich, by dorównali nam mądrością, skoro dotychczas ich jedyną funkcją było służenie? Jest.

Veovis się uśmiechnął i po chwili mówił dalej:

- Powyższe argumenty zadecydowały o moim sprzeciwie. Podjęcie proponowanej uchwały skrzywdziłoby tych, którzy są obecnie szczęśliwsi od nas. Po cóż obarczać ich taką odpowiedzialnością? Nie, koledzy cechowi, pozostawmy rzeczy w ich obecnym kształcie. Głosujcie przeciwko uchwale tak jak ja i nie wracajmy więcej do tej sprawy. Koledzy cechowi, panowie, dziękuję wam.

Veovis usiadł wśród pomruków aprobaty. Na znak dany przez pana R'hirę wstał Aitrus.

- Koledzy cechowi, panowie... jak wam wiadomo, moja żona, Ti'ana, właśnie rodzi, dlatego postaram się streszczać.

W sali rozległy się śmiechy. Nawet Veovis niechętnie skinął głową.

- Pozwólcie jednak, że powiem parę słów w odpowiedzi na komentarz mojego przedmówcy. Rozumiem, jak bardzo zajęty jest pan Veovis, ale gdyby dokładnie przeczytał moją propozycję, zrozumiałby, że bynajmniej nie zakłada on wypuszczenia władzy z rąk, tak jak sugeruje pan Veovis. Władzy nie oddaje się lekkomyślnie. Owszem, odpowiedzialność jest niemałym ciężarem, który powinno się składać tylko na wyszkolone ramiona. Taka jest tradycja D'ni i nie ośmieliłbym się jej zmieniać.

Aitrus przerwał i powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy.

- Niech mi będzie wolno powtórzyć, dla dobra nas wszystkich, żebyście dokładnie wiedzieli, o co was dzisiaj proszę. Zgadzam się w pełni z panem Veovisem. Wszelkie sprawy dotyczące polityki i finansów powinny pozostać prerogatywą tej izby; nie zamierzam tego kwestionować. Proponuję dać, nie odbierać. Proponuję umożliwić prostym ludziom D'ni taką kontrolę nad ich własnym życiem, jakiej obecnie nie mają. Widzę, że niektórzy z was potrzęsają głowami, ale mówię prawdę, a możecie zobaczyć to na własne oczy. Nasi ludzie, czyli rodowici D'ni tak jak my, nie są biedni. Mają zapewnione pożywienie, mieszkania, higienę i opiekę lekarską, ale, chciałbym to podkreślić z całą mocą, ich warunki można poprawić, i to w niemałym stopniu.

Aitrus ponownie potoczył wzrokiem po twarzach zebranych.



- Wiem, co niektórzy z was myślą. Dlaczego? Dlaczego mielibyśmy zawracać sobie głowę poprawą ich losu? Pozwólcie, że podam wam dwa powody. Po pierwsze, pomyślcie, o kim tutaj mówimy. Nie mówimy o wałkoniach czy rozrzutnikach, ale o dobrych, pracowitych mężczyznach i kobietach. Każdy z obecnych na tej sali zna przynajmniej kilkadziesiąt takich osób. Spotykamy ich codziennie i jesteśmy od nich zależni w wielu sprawach, podobnie jak oni są zależni od nas. Po drugie, często się mówi, i to z uzasadnioną dumą, że D'ni sprawuje władzę nad dziesięcioma tysiącami wieków. Społeczeństwo jednak powinno być sadzone nie tylko według rozmiarów jego imperium, ale według jakości życia wszystkich obywateli. Jesteśmy zamożnymi ludźmi. Stać nas na hojność. Twierdzą wręcz, że naszym obowiązkiem jest okazywanie hojności, zwłaszcza naszym rodakom. Dlatego proszę was, koledzy cechowi, o głosowanie za ustawą. Zróbmy to dla D'ni, a także po to, żebyśmy w przyszłości mogli spojrzeć w lustro i odczuć dumę z powodu tego, co tu dzisiaj zrobiliśmy. Koledzy cechowi, panowie, dziękuję wam.

Aitrus usiadł, a pan R'hira dał znak stewardom stojącym w głębi holu. Veovis i Aitrus przemawiali jako ostatni; pozostało tylko przeprowadzić głosowanie.

R'hira odczekał, aż ośmiu stewardów zajmie miejsca. Mieli obliczyć podniesione w górę ręce, zarówno tych, którzy głosowali za ustawą, jak i tych, którzy byli przeciw. Kiedy stewardzi usiedli, R'hira spojrzął na panów i ponownie przemówił:

- Proszę tych, którzy są za ustawą, o podniesienie rąk do góry.

Stewardzi szybko obliczyli głosy.

- A teraz ci, którzy są przeciw.

Obliczanie głosów powtórzyło się.

- Dziękuję, cechownicy.

Stewardzi odwrócili się, zeszli na dół i ustawili się w kolejce przed panem R'hirą. Każdy podał mu wynik, a R'hira zapisał je w wielkiej księdze. Kiedy ostatni ze stewardów odszedł, pan R'hira szybko podsumował dwie kolumny liczb, a potem rozejrzał się wokół. Zgodnie z protokołem, pięciu panów nie uczestniczyło w głosowaniu, ale kiedy głosy rozkładały się równo – z różnicą do trzech głosów – ich zdanie decydowało.

- Cechownicy – powiedział, wodząc wzrokiem po twarzach zebranych. – Wygląda na to, że ta sprawa was podzieliła. Stu osiemdziesięciu dwóch jest za, a stu siedemdziesięciu przeciw. W tej sytuacji Pięciu opowiada się za przyjęciem ustawy.

Veovis momentalnie zerwał się z miejsca.

- Nie może pan tego zrobić! Z jakiego powodu... - Zamilkł i opuścił głowę.

R'hira przez chwilę przyglądał się młodemu panu, a potem wstał i dał znak zakończenia obrad.

- Rada przemówiła, mistrzu Veovisie. Ustawa zostaje przyjęta.

Suahnir cicho zamknął za sobą drzwi, odwrócił się i spojrzał w głąb oświetlonego lampą pokoju na swego przyjaciela. Veovis siedział w kącie, pogrążony w myślach.

Już dawno nie wdział Veovisa w stanie takiego przygnębienia. Choć zdążył się nieco uspokoić po posiedzeniu Rady, nadal było w nim posępne, złowróżbne napięcie.

- Napijesz się czegoś? – zapytał. Podszedł do kamiennego kredensu pod oknem i wyjął jedną z trzech kryształowych karafek.

Veovis podniósł wzrok, po czym potrząsnął głową.

Suahnir wzruszył ramionami i napełnił sobie kieliszek. Upił łyk i odwrócił się do Veovisa. Czuł, jak alkohol rozgrzewa mu gardło.

- Musi być coś, co możemy zrobić – powiedział cicho Veovis, jakby mówił do siebie.

- Możliwe – uśmiechnął się Suahnir.

- Mów dalej – poprosił Veovis, otwierając szerzej oczy.

- Znam pewnego człowieka – zaczął Suahnir, siadając obok przyjaciela. – Nazywają go Filozofem. Pisze pamflety.

- Pamflety! – Veovis prychnął z obrzydzeniem. – Doprawdy, Suahnirze, sądziłem, że mówisz poważnie.

- Mówię poważnie. Filozof jest bardzo wpływowym człowiekiem w dolnym mieście. Wielu ludzi czytuje jego pamflety i słucha, co ma do powiedzenia. Filozof ma więcej słuchaczy niż Ti'ana i reformatorzy.

- A co on takiego mówi?

Suahnir oparł się na krześle.

- Tłumaczenie zajęłoby zbyt wiele czasu. Powinieneś przeczytać parę jego pamfletów. Spodobałyby ci się, Veovisie.

Veovis spojrzał sceptycznie na przyjaciela, potem odebrał mu szklanekę i wypił łyk.

- Jak ma na imię ten twój Filozof?

- A'gaeris.

Veovis ryknął śmiechem.

- A'gaeris! Ten szalbierz!

- Nigdy tego nie udowodniono.

Veovis machnął lekceważąco ręką.

- Cechy nie wyrzucają członków na podstawie pogłosek, Suahnirze. Zresztą widziałem na własne oczy, jak z A'gaerisa zdarto płaszcz cechowy. Słyszałem przedstawione mu zarzuty.

- To się stało pięćdziesiąt lat temu.

- Mogło się dzieć nawet pięćset lat temu. Ten człowiek nie zasługuje na zaufanie.

- Myślę, że się mylisz. Przypuszczam, że mógłby ci pomóc.

- Pomóc mi? Jak? Może miałby napisać pamflet o całej sprawie?

Suahnir spuścił wzrok. Nigdy nie słyszał w głosie Veovisa takiej goryczy. Dzisiejsza porażka mocno go dotknęła, a ból klęski dodatkowo wzmagająca wiedza o tym, czyj głos zadecydował.

- Filozof nie kocha cudzoziemców – powiedział Suahnir, wpatrując się w szklanekę. – Twierdzi, że miesza krwi to hańba.

Suahnir podniósł wzrok i zobaczył, że Veovis bacznie mu się przygląda.

- Naprawdę?

- To i znacznie więcej. Powinieneś się z nim spotkać.

- Niemożliwe – zaśmiał się gorzko Veovis.

- Zamierzasz tu siedzieć i się zamartwiać?

- Nie – odparł Veovis, wstał i sięgnął po płaszcz. – Pojadę do domu na K'veer i tam będę się zamartwiał, ponieważ najwyraźniej nie życzysz sobie mojego towarzystwa.

Suahnir wyciągnął rękę, próbując powstrzymać przyjaciela.

- Veovisie...

- Jutro – powiedział Veovis i strącił dłoń. – Jutro będę w lepszym humorze.

Suahnir odprowadził go wzrokiem i westchnął. Veovis był teraz w złym nastroju, zamknięty na wszelkie propozycje, ale może za dzień czy dwa...

Uśmiechnął się, podszedł do biurka i zaczął pisać.

Anna podparła się na łóżku na stercie poduszek i przytuliła noworodka. Na jej bladej twarzy pojawił się pogodny uśmiech. Anna była zmęczona, ale i pełna radości, po trudnym, trwającym całą dobę porodzie.

Tasera, siedząca na krześle obok łóżka, pochyliła się do przodu, splótła dłonie na kolanie i z uśmiechem zachwytu przyglądała się wnukowi. Był mały – znacznie mniejszy niż Aitrus w jego wieku – ale silny i jak zapewniała akuszerka, zdrowy jak rydz.

Na wyspie Ko'ah wiosna była w rozkwicie. W powietrzu unosił się zapach kwiatów, a rozświetloną słońcem ciszę poranka przerywały śpiewy ptaków.

- Gdzie się podziewa Aitrus?

- Wkrótce tu przyjdzie – odparła Anna i uśmiechnęła się uspokajająco do Tasery. – Nie może tak po prostu wyjść z Sali obrad. Ostatecznie to on zaproponował tę ustawę.

- Mimo to...

Tasera drgnęła i uśmiechnęła się szeroko.

- Jesteś wreszcie, Aitrusie! Co cię zatrzymało?

Aitrus przywitał się z matką, a potem spojrzał pytająco na Annę.

- Chłopiec – powiedziała z uśmiechem.

Aitrus podszedł, klęknął obok łóżka, zbliżył twarz i otworzył szeroko oczy na widok śpiącego synka.

- Ależ on jest...

- ...taki jak ty – zaśmiała się cicho Anna. – Jest piękny, prawda?

Aitrus skinął głową, a potem podniósł wzrok.

- Dziękuję ci – powiedział cicho, nachylił się ponad dzieckiem i delikatnie pocałował żonę.

Znowu zapatrzył się na dziecko, podobnie jak pewnej nocy przyglądał się śpiącej Annie, zanim jej się oświadczył. Te dwie chwile połączyły się teraz jak ogniwa łańcucha.

- No i co, mały Gehnie – powiedział, a na jego ustach pojawił się łagodny uśmiech. – Jak ci się podoba świat?

Od kilku godzin czekali na mistrza Orena. Zapowiedział, że się spóźni, ale w miarę upływu czasu stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że nie zdąży na uroczystość. Wreszcie przybył, przygnębiony, z posępnym wyrazem twarzy.

Aitrus właśnie miał go powitać, ale kiedy zauważył, w jakim jest stanie, wziął go na stronę.

- Co się stało, stary przyjacielu?

- Wzywają nas, Aitrusie – odparł Oren, nieco zażenowany. – Wszyscy cechownicy muszą się niezwłocznie zameldować się w D'ni. Dwaj młodzi cechownicy z Cechu Konserwatorów zaginęli. Mamy przeszukać wieki.

- Ależ to jest...

- ...szukanie igły w stogu siana, owszem, Aitrusie, dlatego konserwatorzy zwrócili się o pomoc do wszystkich pozostałych cechów. Okoliczności są, powiedzmy: podejrzane. Dwaj zaginionieni szukali czegoś ważnego. Nie wiemy, co to było, ale wielki mistrz Jadaris myśli, że mogli zostać porwani albo nawet zabici.

- Zgoda – powiedział Aitrus, na którym nowiny wywarły wielkie wrażenie. – Wejdz i przywitaj się z moją rodziną, Orenie. Ja tymczasem zbiorę przyjaciół i przekażę im nowiny. Potem wyruszymy.

Oren skinął głową i delikatnie uściśnął ramię Aitrusa.

- Przykro mi, że przynoszę ci takie fatalne wieści w tak radosnym dniu. Słyszałem, że masz syna.

Na twarzy Aitrusa ponownie pojawił się przelotny uśmiech.

- Wejdz i zobacz go, Orenie. Ma na imię Gehn i pewnego dnia zostanie wielkim cechownikiem.

Godzinę później Aitrus stanął przed mistrzem Jadarisem.

- O, mistrz Aitrus. Słyszałem, że należą ci się gratulacje. Syn, co? To dobra nowina, bardzo dobra!

- Dziękuję, wielki mistrzu – powiedział Aitrus, siadając.

- Czy słyszałeś, co się dzieje?

- Mamy przeszukać wieki.

- Istotnie, ale nie wszystkie wieki. Tylko te, które dwaj zaginionieni osobiście penetrowali w ciągu ostatnich pięciu lat.

- Mistrzu? – Aitrus zmarszczył brwi.

- To, co teraz powiem, musi zostać między nami, Aitrusie – Jadaris ściszył głos i pochylił się do przodu. – Kilka pustych ksiąg łączących zniknęło z gmachów. Podejrzewamy, że zabrali je ci dwaj cechownicy, by prowadzić badania.

Aitrus natychmiast pojął powagę sytuacji.

- Czy wiem, co było przedmiotem ich badań, mistrzu Jadarisie?

- Nie wiemy. Sądzymy jednak, że mogli znaleźć coś bardzo ważnego w jednym z wieków, do którego zostali rutynowo posłani. Możliwe, że za pomocą księgi łączącej wrócili tam w celu zebrania rozstrzygających dowodów.

- Ile wieków obejmuje ta sprawa, Mistrzu?

- Ponad sześćdziesiąt.

- I podejrzewa pan, że może być w nią zamieszany jeden ze starszych cechowników?

Jadaris przytaknął.

- Właśnie dlatego posyłamy ludzi w grupach, a nie indywidualnie. Nie chcemy ryzykować straty dalszych cechowników. Przydzieliłem cię do ekipy naszych konserwatorów.

- Rozumiem. Dokąd mam się udać, wieki mistrzu?

- Na K'veer.

- K'veer!

- Zanim zaprotestujesz, Aitrusie, wiedz, że pan Rakeri osobiście prosił o twój udział. Uważa, że jesteś człowiekiem bez skazy. Twierdzi, że jeśli będzie kierował ekipą badającą jego rodzinne księgi, na jego rodzinę nie padnie nawet cień podejrzenia. Sam rozumiesz, że to niezwykle delikatna sprawa.

- Oczywiście. Mimo to...

- Decyzja już zapadła – uciał Jadaris z taką stanowczością, że Aitrus spojrział na niego, po czym skłonił głowę.

- Jak pan sobie życzy, mistrzu Jadarisie.

Pan Rakeri powitał Aitrusa na stopniach nad nabrzeżem. Wznosząca się za plecami starca wielka spiralna skała K'veer zasłaniała całą resztę. Godzina była wczesna, a światło w jaskini słabe, ale po drugiej stronie jeziora D'ni migotało jak węgle w palenisku.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Aitrusie. Dobra robota, słyszałem, że masz syna.

Aitrus ujął dłonie starca i uśmiechnął się.

- Dziękuję, panie Rakeri. Nadaliśmy mu imię Gehn.

Rakeri odwzajemnił uśmiech i zanim wypuścił dłonie młodszego kolegi, uściskał je na moment.

- To dobre imię. Ten, po kim chłopiec je odziedziczył, ojciec ojca jego ojca, był wielkim człowiekiem. A raczej zostałby nim, gdyby czas okazały się dla niego łaskawsze. Zabierzmy się jednak do pracy. Mamy przed sobą trudne zadanie, ale trzeba je wykonać, więc zrobimy to z godnością.

Aitrus skinął głową i wszedł za starcem do środka, a sześciu młodych konserwatorów oraz cechmistrz ruszyli za nim.

W wielkiej posiadłości panowała cisza i spokój. Po gwarze przyjęcia na Ko'ah miejsce to sprawiało ponure wrażenie.

Wielkie drzwi do Pokoju Księgi były zamknięte na klucz. Rakeri odłączył klucz od pęku, który nosił u pasa, otworzył prawe skrzydło drzwi i pchnął je.

- Może wejdzie pan z nami? – zapytał Aitrus.

- Wolałbym nie, mistrzu Aitrusie – odparł Rakeri i westchnął. – To bardzo trudna sprawa. Rutynowe inspekcje można jeszcze znieść, ostatecznie są częścią tradycji. Ale to... Czy nie sądzisz, że to stawia nas wszystkich w złym świetle?

- Jestem pewien, że istnieje wytłumaczenie, panie. – Aitrus uśmiechnął się uspokajająco. – Będziemy pracować najszybciej i najwydajniej, jak to możliwe. Dopilnuję, żeby jeszcze przed naszym wyjazdem otrzymał pan kopię mojego raportu.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, młody Aitrusie – uśmiechnął się Rakeri. – Bardzo uprzejmie.

Pokój Księgi na K'veer był imponującą komnatą, a chociaż Aitrus widział ją już wiele razy, mnogość książek spoczywających na półkach niezmiennie robiła na nim wrażenie.

Trzy ściany, od podłogi po sufit, były zastawione półkami, pełnymi książek z komentarzami, na których grzbietach widniały złote numery i daty. Tylko w jednym miejscu, na prawo od Aitrusa, w półkach znajdowała się przerwa, którą wypełniały dwa wielkie okna od podłogi do sufitu, z szybami z różnobarwnego, przezroczystego kamienia. Z okien rozciągał się widok na jezioro i dalszą ścianę jaskini.

Cały Pokój Księgi przypominał gigantyczną ostrogę, sterczącą z głównego skrzyżowania skały. Dziesięć piędzi poniżej pokoju widniała powierzchnia jeziora.

Młody cechownik, który wchodził do Pokoju Księgi, odczuwał lęk. Rakeri i jego rodzina posiadali w sumie sześć ksiąg, sześć starodawnych wieków. Te wielkie księgi spoczywały w głębi wysokiej komnaty, na pochyłych marmurowych postumentach, których kolor odpowiadał kolorowi skórzanych okładek. Każdą z ksiąg łączył z postumentem mocny łańcuch, który wyglądał na złoty, ale był w istocie zrobiony z nary, najtwardszego z kamieni D'ni.

Aitrus przeszedł przez komnatę i przyjrzał się kolejno księgom. Pięć było zamkniętych, ale szósta – Księga Nidur Gemat – była otwarta; tablica opisowa lśniła w słabym świetle poranka.

W dawnych czasach, kiedy przyjaźnił się z Veovisem, często odwiedzał Nidur Gemat. Teraz, stojąc przed księgą, Aitrus poczuł głęboki smutek z powodu przepaści, jaka ich rozdzieliła, i wyraził w duchu życzenie, by mogli znowu się pogodzić.

- Mistrzu Kuro – zawołał Aitrus do cechmistrza. – Proszę postawić dwóch ludzi przy drzwiach. Zaczniemy od Nidur Gemat.

Cechmistrz skinął głową i właśnie miał wydać rozkaz cechownikom, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i do komnaty wpadł Veovis.

- Tak myślałem! – krzyknął, wskazując na Aitrusa. – Mogłem przewidzieć, że właśnie ty podejmiesz się tego zadania!

Kura zamierzał podjąć się mediacji, ale Veovis spiorunował go wzrokiem.

- Milcz, człowieku! Rozmawiam z cechmistrzem Aitrusem!

Aitrus zacisnął prawą pięść i czekał, aż Veovis przejdzie przez komnatę.

- No więc? – zapytał Veovis, stając na wyciągnięcie ręki przed Aitrusem. – Nie masz mi nic do powiedzenia?

Aitrus potrząsnął głową. Już dawno przekonał się, że w obliczu niesłusznych oskarżeń najlepiej jest zachować milczenie.

- Nie mogłeś się powstrzymać od wtrącenia się do tej sprawy, co? Kiedy tylko usłyszałeś...

- Veovisie!

Veovis wyprostował się i odwrócił. W drzwiach stał ojciec, Rakeri.

- Zostaw nas teraz – rozkazał Rakeri tak władczym tonem, jakiego Aitrus nigdy wcześniej nie słyszał w jego ustach wobec syna.

Veovis skłonił się, spojrzał groźnie na Aitrusa i wyszedł.



- Wybacz mojemu synowi, Aitrusie – powiedział Rakeri. – On nie pojmuje sytuacji. Zaraz z nim pomówię. Przyjmij moje przeprosiny w jego imieniu. Jestem pewien, że we właściwym momencie Veovis sam cię przeprosi.

Aitrus nieznacznie skinął głową.

- Dziękuję, panie Rakeri, ale nie ma takiej potrzeby. Stosunki między nami są już dostatecznie złe. Twoje przeprosiny w zupełności wystarczą.

Rakeri uśmiechnął się i łagodnie skinął głową.

- Jesteś nie tylko mądry, ale i dobry, Aitrusie. Żałuję, że mój syn stracił tak dobrego przyjaciela. Ty nie ponosisz za to winy. Mój syn odziedziczył upór po dziadku.

Zapadło kłopotliwe milczenie, po czym starzec ponownie skinął głową.

- Cóż, Aitrusie, rób, co do ciebie należy. Nie mamy tutaj nic do ukrycia.

- Panie... - Aitrus skłonił się.

Minął miesiąc bez żadnych wieści o dwóch zaginionych cechownikach. Przeczesywanie sześćdziesięciu wieków powoli dobiegło końca. Dwa dni po odjeździe Aitrusa i ekipy konserwatorów z K'veer Veovis siedział na werandzie na szczycie wyspy i czytał kopię raportu, którą otrzymał jego ojciec.

Przewróciwszy ostatnią stronę, przeczytał uwagi końcowe, odłożył raport na niski stół i wpatrzył się w dal.

Suahnir, który siedział naprzeciwko niego, przez chwilę przyglądał się Veovisowi, wreszcie zapytał:

- No więc? Co ma do powiedzenia twój przyjaciel Aitrus?

Po chwili milczenia Veovis odwrócił głowę i spojrzał na Suahnira.

- Był bardzo drobiazgowy, ale także uczciwy. Możliwe, że niesłusznie go posądzałem.

- Tak myślisz? – zaśmiał się Suahnir. – Osobiście sędzę, że Aitrus czuje wobec ciebie tylko wrogość, Veovisie.

- Być może, ale w raporcie nie dał temu wyrazu.

- Możliwe, że nie uczynił tego w oficjalnym raporcie...

- Co masz na myśli? – Veovis zmrużył oczy.

- Chcę powiedzieć, że to, co się pisze w raporcie podawanym do publicznej wiadomości, nie musi się pokrywać z tym, co mówi się prywatnie. A jeżeli mistrz Aitrus wręczył Pięciu inny raport?

- Wówczas mój ojciec by o nim usłyszał, a następnie poinformowałby mnie.

- A jeżeli Aitrus wręczył taki raport tylko panu R'hirze?

Veovis spuścił wzrok, po czym potrząsnął głową.

- Nie – powiedział, ale w jego głosie zabrakło pewności.

- A jeśli on coś znalazł?

- Znalazł? Co mógł znaleźć?

- Och, nie zrozum mnie źle. Mógł po prostu powiedzieć, że coś znalazł.

- A konserwatorzy?

- Tych ludzi można bez trudu wystawić do wiatru – odparł Suahnir z ironicznym uśmiechem. – Ostatecznie to byli tylko czeladnicy.

Veovis zasępił się, ale ponownie potrząsnął głową.

- Aitrus mnie nie lubi, ale to nie czyni go oszustem ani potwarcą.

- Kto wie, jakie motywy powodują ludźmi? Zraniłeś Aitrus, kiedy przeciwstawiłeś się jego małżeństwu z cudzoziemką. Czegoś takiego nie wybacza się łatwo. Jest to aż nadto wystarczający motyw, by szukać zemsty.

Veovis spuścił wzrok, pogrążając się w posepnych rozmyślaniach. Wreszcie podniósł głowę.

- Nie, nie mogę uwierzyć, że byłby do tego zdolny.

Suahnir nachylił się do przyjaciela i powiedział konspiracyjnym tonem:

- Może masz rację, ale istnieje sposób, żeby się upewnić.

- Jak?

- Mam przyjaciela, który słyszy różne rzeczy... od służących i tym podobnych osób. Jeżeli dzieją się jakieś tajne sprawy, on z pewnością o nich słyszał.

- Kim jest ten twój przyjaciel?

- Wiesz, jak się nazywa – odparł z uśmiechem Suahnir.

- A'gaeris! – zaśmiał się lekceważąco Veovis i potrząsnął głową. – Oczekujesz, że uwierzę mu na słowo?

- Nie musisz wierzyć w nic, co powie – odparł Suahnir. – Ale co ci zaszkodzi posłuchać? Mógłbyś się dowiedzieć czegoś pożytecznego.

- A czego on oczekuje w zamian?

- Ależ niczego – odparł zdziwiony Suahnir. – Ten człowiek jest mi winien przysługę. Poza tym sędzę, że on ci się spodoba, a ty jemu. Obaj jesteście silnymi, inteligentnymi ludźmi. Chciałbym zobaczyć, jak się ścieracie.

Veovis spojrzął na przyjaciela, potem wzruszył ramionami z irytacją i powiedział:

- Zgoda. Zorganizuj spotkanie, ale nikt nie może się o tym dowiedzieć...

Suahnir wstał z uśmiechem i złożył mały pokłon przed przyjacielem.

- Nic się nie martw, Veovisie. Znam wprost wymarzone miejsce.

Zapadła noc D'ni, bez księżyca i gwiazd, noc głębokiego, styksowego mroku. Jezioro spowiła ciemność; organizmy żyjące w wodzie znieruchomiały, posłuszne swoim zegarom biologicznym, odmierzającym trzydziestogodzinny cykl, ustanowiony dawno temu z dala od ziemi.

Anna oparta o parapet, stała samotnie w ogrodzie na dachu posiadłości Kahlisa i patrzyła na górne miasto. O zmierzchu płonęła tam łuna świateł; teraz tylko rozrzucone lampy oświetlały ulice. Wieczorem miasto wyglądało jak wielka muszla perłowa, przylegająca do ciemnej ściany jaskini. Nocą przypominało raczej poszarpaną pajęczynę, rozpiętą w rogu wielkich spizarni.

Odległe światła na jeziorze wyznaczały położenie wysp. Gdzie tam, na jednej z wysp, był Aitrus, o ile w ogóle przebywał w D'ni.

Anna westchnęła z tęsknoty, a potem odwróciła się, słysząc płacz dziecka dobiegający z pokoju dziecinnego pod werandą. Na chwilę zamknęła oczy. Kusiło ją, by pozostawić dziecko piastunce, potem jednak wzięła się w garść i podniosła klapę w podłodze. Zeszła po wąskich schodach na korytarz, biegnąc wzdłuż górnej kondygnacji domu.

Płacz się nasilił i przeszedł w przeciągłe wycie, które zdawało się nigdy nie ustawać. Jeśli nawet cichło, to tylko na chwilę, by zaraz wybuchnąć ze wzmożoną siłą.

Anna weszła do pokoju i zauważyła, że do piastunki przyłączył się mistrz Jura z Cechu Uzdrawicieli. Starzec podniósł wzrok znad biurka i zmarszczył brwi, jak gdyby to nie dziecko, ale Anna stanowiła problem.

Anna podeszła do postania i spojrziała na synka. Gehn leżał na plecach, marszczył czerwoną twarzyczkę i wierzgał rękami i nogami, dając wyraz swemu

niezadowoleniu. Anna zapragnęła podnieść synka i przytulić, ale to niczego by nie rozwiązało; płacz trwałby nadal.

- Cóż... - powiedział po chwili uzdrowiciel, zerkając do notatek. – Według mnie sprawa jest prosta.

Anna pochwyciła jego zimne, pozbawione współczucia spojrzenie i poczuła ucisk w gardle.

- Problemy dziecka biorą się z żołądka – ciągnął uzdrowiciel. – Płacze z dwóch powodów: z braku należytego pokarmu oraz z bólu.

- Z bólu?

Uzdrowiciel przytaknął i ponownie zajął się notatkami.

- Gdyby dziecko pochodził z D'ni, wypisanie odpowiedniej recepty nie stwarzałoby szczególnych trudności, ale w tej sytuacji...

- Przepraszam, ale co to za różnica? – spytała Anna.

Mistrz Jura zamrugnął zdziwiony, a kiedy znowu się odezwał, w jego głosie dało się słyszeć zniecierpliwienie.

- Czyż to nie oczywiste? To dziecko nie jest naturalne, jest hybrydą. Nie jest ani D'ni ani człowiekiem, ale jakąś dziwną mieszanką i w tym właśnie leży sedno problemu. Należy się dziwić, że jest w ogóle zdolne do życia!

Anna doznała szoku. Jak on śmiał mówić o jej synu jak o jakimś dziwnym eksperymencie?! Spojrzała na płaczące dziecko, a potem znowu na starego uzdrowiciela.

- Czy pan go zbadał, mistrzu Juro?

- Nie muszę go badać – zaśmiał się lekceważąco starzec. – Jak już powiedziałem, sprawa jest oczywista. Nie można mieszać krwi ludzkiej z krwią D'ni. Jeśli mam być szczery, lepiej byłoby dla tego dziecka, gdyby umarło.

Czując narastający gniew, Anna powiedziała lodowatym tonem:

- Wynoś się.

Starzec, który zdążył wrócić do notatek, spojrzał najpierw na piastunkę, żeby sprawdzić, czy to do niej zwróciła się Anna, a dopiero potem na nią.

- Tak – powtórzyła Anna z zaciętą twarzą. – Słyszałeś, co powiedziałam, starcze. Wynoś się, zanim sama cię wyrzucę!

- Ależ...

- Wynoś się! – wrzasnęła, wyładowując gniew na uzdrowicielu. – Jak śmiesz przychodzić do mojego domu i mówić, że lepiej by było dla mojego syna, gdyby nie żył! Jak śmiesz?!

Mistrz Jura zebrał notatki, wrzucił je do teczki i wstał.

- Nie zamierzam zostawać tam, gdzie mnie nie chcą.

- Doskonale – powiedziała Anna z zamierzoną impertynencją. – Ty też się pakuj – rzuciła do piastunki. – Nie jesteś mi już potrzebna.

To był cichy pokój na parterze w dzielnicy J'taeri, z oknami wychodzącymi na zatokę. Kiedy drzwi się zamknęły, Veovis rozejrzał się wokół siebie. Trzy duże krzesła stały pod jedną ze ścian, a pod drugą duża komoda z ciemnego drewna. Na trzeciej ścianie, po obu stronach dużego okna, wisiały dwa portrety. Veovis podszedł i przyglądał im się przez chwilę. Obie matrony miały surowy wygląd i ciemne, ascetyczne stroje, uniform szacownych kobiet D'ni od ponad czterech tysięcy lat.

Veovis potrząsnął głową i odwrócił się. Dzwon miejski obwieszczał czwarta godzinę popołudnia. Wszędzie panował spokój.

Czy A'gaeris przyjdzie? A jeśli tak, to co miał do powiedzenia ten stary oszust?

Veovis pamiętał, jak wściekły był A'gaeris, kiedy usunięto go z cechu; pamiętał, jak spiorunował wzrokiem wielkiego mistrza, zrzucił płaszcz cechowy i wypadł z Gmachu.

W tamtym czasie, przed blisko pięćdziesięcioma laty, Veovis był dopiero studentem; daleko mu było do pozycji cechownika, a co dopiero mistrza.

Skrzypnęły drzwi, Veovis odwrócił się i ujrzał stojącego w progu Suahnira.

- Przyszedł?

Suahnir skinął głową, a potem cofnął się i wpuścił do pokoju A'gaerisa. Był to wysoki, barczysty mężczyzna, łysiejący, o siwych, niemodnie długich, zaczesanych do tyłu włosach. Miał na sobie prostą czarną tunikę oraz długie, luźne spodnie z tego samego materiału. Uwagę przykuwały jednak jego oczy, którymi wpatrywał się z natężeniem, niemal bezczelnie, w Veovisa.

- Panie – rzekł z szyderstwem w głosie.

- Filozofie – odparł Veovis tym samym tonem.

- A więc nie myliłem się – uśmiechnął się A'gaeris.

- Nie rozumiem.

- Powiedziałem, że masz w sobie ogień, i miałem rację.

- Byłaby to pochwała, gdyby pochodziła z innych ust – uśmiechnął się sardonicznie Veovis.

- A moich ustach nie jest?

- Nie znam cię, znam tylko twoją reputację.

- Czytałeś moje pamflety?

- Ani słowa.

A'gaerisowi tylko zadrgała powieka.

- W takim razie cała przyjemność jest dopiero przed tobą.

- Widzę, że jesteś też skromny.

- A czy muszę?

Veovis uśmiechnął się, czując przyływ sympatii do tego człowieka.

- Przyznaję, że jesteś ostry, A'gaerisie.

- Zapewniam cię, że mógłbyś się skaleczyć. A więc co cię tutaj sprowadza?

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Przekonano mnie, że mógłbyś mi pomóc.

- Pomóc ci? – zaśmiał się A'gaeris, podszedł do okna i wyjrzał. – Przecież jesteś panem D'ni. Jakże ja, zwykły człowiek, mógłbym ci pomóc?

W oczach Filozofa zamigotało jednak złośliwe światełko, które zaintrygowało Veovisa.

- Nie wiem.

- Ty nie, ale ja może wiem – odparł A'gaeris z uśmiechem.

- Mów dalej.

- Słyszę o różnych sprawach.

- Wspominał mi o tym Suahrnir. Czy są to jednak sprawy, o których warto słyszeć?

- Nigdy nic nie wiadomo. – A'gaeris wzruszył ramionami.

- Czy jest to coś, co może mi przynieść korzyść?

- A twoim wrogom klęskę?

- Przypuśćmy.

- Łączy nas jedna ważna kwestia, panie Veovisie – uśmiechnął się A'gaeris. – Miłość do D'ni i wiara w czystość krwi D'ni.

- Co masz na myśli?

- Mówię o twoim dawnym przyjacielu Aitrusie i jego źle dobranej żonie.

- Co o nich wiesz? – spytał Veovis, mrużąc oczy.

- Minionej nocy ta cudzoziemka wypędziła uzdrowiciela, mistrza Jurę, jak psa. To samo zrobiła z piastunką swego dziecka.

Veovis spojrział na Suahmira z zainteresowaniem. Gdyby ta wiadomość okazała się prawdziwa, jej znaczenia nie należało lekceważyć.

- Czy wiesz dlaczego?

A'gaeris uśmiechnął się szeroko.

- Wygląda na to, mistrz Jura zasugerował, iż zaoszczędziłoby się wiele czasu i kłopotów, gdyby dziecko zostało w humanitarny sposób zlikwidowane.

Veovis spojrział zdumiony na Filozofa.

- Co na to powiedział mistrz Aitrus?

- A co miał powiedzieć? Mistrz Aitrus wyjechał. Dowie się jednak o wszystkim zaraz po powrocie.

- To hańba.

- Istotnie – zgodził się A'gaeris. – Nigdy nie należało dopuścić do tego związku.

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby mu zapobiec.

- Wiem – odparł Filozof, patrząc na Veovisa z sympatią i zrozumieniem.

- Wydaje mi się, że wiesz, czego chcę, Filozofie – powiedział Veovis, spuszcżając wzrok. – Ale czego ty chcesz?

- Zostać twoim przyjacielem.

Veovis spodziewał się ujrzeć sardoniczny wyraz na twarzy A'gaerisa, ale oczy tamtego były poważne.

- Brakuje mi towarzystwa kolegów – wyjaśnił A'gaeris. – Bardzo przyjemnie jest wygłaszać kazania do motłochu, ale to niczego nie zmienia. Moje życie skończyło się, kiedy usunięto mnie z cechu.

- Mieli wystarczające powody...

- Nie mieli żadnych!

Gwałtowny ton Filozofa zdumiał Veovisa.

- Zostałem fałszywie oskarżony – ciągnął A'gaeris. – Nie brakowało żadnej księgi, a jeśli nawet, to nie ja ją zabrałem.

- To ty tak twierdzisz – powiedział cicho Veovis.

- Tak twierdę – powtórzył wyzywająco Filozof.

Po chwili ciszy Veovis wzruszył ramionami.

- Daj mi dzień czy dwa na zastanowienie, a być może znowu się spotkamy.

- Jak sobie życzysz.

Veovis skinął głową i uśmiechnął się.

- A więc mówisz, że wyrzuciła uzdrowiciela?

- Słyszałem, że mu groziła.

- Cóż... - Veovis pokiwał głową w zamyśleni, po czym podszedł do drzwi. –

Rozmowa z tobą była zajmująca, Filozofie.

- I wzajemnie, panie Veovisie.

Ciemność podnosiła się znad jeziora, kiedy A'gaeris wspiął się na tylne schody kamienicy czynszowej, w której mieszkał od pięćdziesięciu lat. Niemy asystent Filozofa, Corlam, zauważył go przez ciemne okno na poddaszu i pospiesznie odszedł w głąb pokoju, żeby zapalić lampę.

Filozof sprawiał wrażenie zamyślonego. Po wejściu do pokoju prawie nie dał po sobie znać, że zauważył Corlana, natychmiast podszedł do łóżka i usiadł.

W tym pokoju mieściło się sanktuarium Filozofa. Z wyjątkiem drzwi i okna każdy cal kwadratowy ścian był zastawiony książkami. Niektóre z nich były książkami źródłowymi, inne zawierały uchwały i protokoły z zebrań Rady. Półki w głębi prostokątnego pokoju wypełniały dzienniki A'gaerisa.

Filozof pracował tu od pięćdziesięciu lat, od dnia, kiedy usunięto go z cechu; snuł plany wyjścia z ukrycia i ponownego zaistnienia w świecie. Chciał zostać kimś, kogo znali wszyscy, a nie tylko motłoch w dolnym mieście.

Corlam wiedział o tym wszystkim, ponieważ A'gaeris, który „zaadoptował” go jako dziecko, a raczej sierotę z dolnych zaułków, ufał mu jak nikomu innemu. Wykorzystywał asystenta jako barometr, wypróbowywał na nim koncepcje i myśli, doskonalił teorie; Corlam znał je niemal równie dobrze jak mistrz.

Corlam stanął za A'gaerisem i patrzył, jak mistrz wyjmuje najświeższy dziennik z szuflady po lewej, rozkłada na biurku i zaczyna pisać.

Corlam wiedział, że dzisiejszy dzień był ważny. Asystent zdawał sobie sprawę, że pan Veovis jest ważną osobistością, ale dlaczego A'gaeris chciał się z nim spotkać, pozostawało dla Corlana zagadką.

- Prawdziwe księgi – powiedział po chwili A'gaeris, podnosząc wzrok na Corlana. – Gdybym tylko dostał w ręce prawdziwe księgi.



Corlam przyjrzał się mistrzowi. Na półkach stało wiele ksiąg, z których większość „uwolniono” z bibliotek cechowych. Przy tak bogatym księgozborze cechownicy rzadko zwracali uwagę na brak jakiejś pozycji. Asystent jednak wiedział, co mistrz miał na myśli. Mówił o Kortee’nea, pustych księgach D’ni, służących do łączenia się z wiekami.

- Wiem. – A’gaeris uśmiechnął się do Corlama i ponownie wrócił do dziennika. – Ty nie możesz mi w tym pomóc, Corlamie, ale liczę na naszego pana. Poza tym teraz mam w Radzie człowieka, przyjaciela, który chce mi pomóc. Gdybym zdołał go nakłonić do współpracy, to kto wie?

Corlam przyjrzał się uważniej. Mistrz znowu ćwiczył cudzy charakter pisma. Corlam zerknął na dziennik, a potem poklepał A’gaerisa w ramię i energicznie pokiwał głową. Nie ulegało wątpliwości, że było to pismo pana Veovisa. Asystent widział wczoraj jego próbki wśród dokumentów z obrad Rady.

Corlam patrzył z otwartymi ustami. Chociaż widział to już wielokrotnie, umiejętność, z jaką mistrz kopiował cudze pismo, nadal wydawała mu się magiczna. Wystarczyło, że studiował pismo przez godzinę, i miał je w małym palcu.

A’gaeris odepchnął dziennik, ziewnął, przeciągnął się i spojrzał na Corlama.

- Wiesz, Corlamie, kiedy czekałem na przybycie pana, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Corlam uśmiechnął się i wyteżył uwagę.

- Zadałem sobie pytanie, w jaki sposób mógłbym znaleźć się w zakazanym miejscu, na przykład skarbcu cechu albo w pilnie strzeżonej celi, a potem bezkarnie stamtąd wyjść. Najprostszym sposobem byłoby oczywiście napisanie odpowiedniej księgi łączącej, ale chcąc się stamtąd wydostać, potrzebowałbym drugiej księgi, którą musiałbym tam zostawić. Nadążasz za mną?

Corlam przytaknął.

- A więc dostanie się do środka nie stwarzałoby trudności. Wydostanie się niepostrzeżenie i umkniecie uwagi konserwatorów byłoby niezwykle trudne. Chyba że... - A’gaeris uśmiechnął się z zadowoleniem. – Chyba że ktoś połączyłby się z innym wiekiem, a potem z jeszcze innym. Właściwie można by zabrać do celi trzy księgi łączące dla zmylenia uwagi. Ale nie powinno się przechowywać drugiej i trzeciej księgi łączącej w miejscu, z którym łączyłoby się za każdym razem. Nie, to by się na nic nie zdało. Należałoby ukryć księgę przynajmniej o godzinę drogi od miejsca połączenia, aby potencjalny szpieg miał kłopoty z jej znalezieniem.

Właściwie można by mieć trzy czy cztery takie księgi, a korzystać tylko z jednej. Po drugim połączeniu znowu należałoby iść przez godzinę, żeby dotrzeć do kolejnej księgi łączącej. Dzięki temu systemowi nikt nie mógłby cię śledzić, przynajmniej nie tak szybko, a może wcale. Trochę przygotowań, dwie godziny na piechotę, i człowiek byłby bezpieczny.

Oczy A'gaerisa płonęły. Po chwili spuścił wzrok.

- Oczywiście byłby potrzebny genialny pisarz, który tworzyłby wieki na zawołanie, a wewnątrz przydałaby się wtyczka, z dostępem do miejsc takich jak cele.

Kiedy Aitrus wszedł do laboratorium, Anna pracowała nad najnowszymi próbkami gleby z Gemedet. Gehn leżał na posłanku na ławie. Aitrus pochylił się, uśmiechnął się do cicho gaworzącego synka, a potem przywitał się z Anną.

Anna podniosła wzrok znad mikroskopu, uśmiechnęła się do męża i powiedziała:

- Zaraz kończę.

- Dostałem list.

- Od kogo?

- Właśnie w tym rzecz. Nie jest podpisany, a nie poznaję pisma. – Wręczył Annie list i poczekał, aż go przeczyta.

- Zniszcz go – powiedziała po skończonej lekturze. – Nie mieszaj się do tej sprawy, czymkolwiek by była.

- Ale co to znaczy?

- A czy to ważne?

- Niepokoi mnie ton tego listu. „Coś korzystnego dla ciebie”. Po co ta cała konspiracja? Jak sądzisz, co się dzieje?

- Jeżeli się tym martwisz, Aitrusie, oddaj list konserwatorom – westchnęła Anna. – Niech pošlą kogoś, ale ty się nie mieszaj.

- Zgoda – uśmiechnął się Aitrus. – Zniszczę ten list. – Odkręcił kurek z gazem, zapalił, przytknął róg kartki do niebieskiego płomienia, a kiedy list się zajął, wrzucił go do zlewu. – Gotowe.

Gehn zaczął zawodzić. Aitrus podniósł synka z posłania i utulił na ramieniu.

- Musi być głodny – stwierdziła Anna. – Już kończę.

- Nie, pracuj dalej – powiedział. – Ja go nakarmię.

- Tylko go nie przekarm – uśmiechnęła się. – Ostatnim razem były kłopoty. Mały szkrab ledwo sobie poradził!

- Wiem – powiedział Aitrus, a potem dodał: - Później muszę wrócić do pokoju i skończyć raport. Zajmie mi to najwyżej godzinę, no może dwie. Zobaczymy się przy kolacji.

- Byłoby miło – uśmiechnęła się Anna. – Może wkrótce udałoby się nam wyjechać na parę dni do Gemedet.

- Poproszę mistrza Erafira, żeby mnie zastąpił. Czas, by przyjął na siebie większą odpowiedzialność

- W takim razie zajmij się Gehnem, ale pamiętaj, Aitrusie, nie dawaj mu nic ciężkostrawnego.

Aitrus zamierzał udać się prosto do swego mieszkania, ale kiedy skierował się w tamtą stronę, ciekawość wzięła nad nim górę. Zszedł po schodach, minął bramę i znalazł się w dzielnicy J'taeri.

Nie muszę się w nic mieszać – mówił do siebie. Postanowił, że obejrzy to, co będzie do obejrzenia, i odejdzie.

Sama ulica niczym się nie wyróżniała, a dom był jednym w tych szacownych budynków, jakie często kupowali kupcy. W oknach było ciemno, drzwi zamknięte na klucz. Aitrus odwrócił się. Dom stał nad zatoką, naprzeciwko łuku Keratha, którego szczyt znajdował się niemal na poziomie Aitrusa. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się niska ściana, z której rozciągał się widok na jezioro. Aitrus podszedł i lekko oparł dłonie o kamień.

Jaskinię wypełniała rzadka mgiełka. Lampy migotały w wąskich uliczkach, kiedy wagony przejeżdżały między domami. Gdzieś w dole rozległ się krzyk, a potem śmiech, poza tym panowała cisza. Aitrus odwrócił się, usłyszawszy cichy bulgot. Niedaleko od niego ulicę przecinał wąski przepust, którym płynęła czysta woda z samego szczytu miasta. Aitrus pochylił się i zanurzył rękę. Była zimna.

Właśnie miał odejść, kiedy w oddali usłyszał kroki. Rozejrzał się, wytropił pobliską bramę i ukrył się w jej cieniu.

Skórzane buty stuknęły powoli o kamień, potem stanęły. Aitrus zawahał się przez chwilę. Już miał zaryzykować i wyrzucić, kiedy usłyszał drugi stukot, tym razem dobiegający z lewej strony i bardziej energiczny niż pierwszy. Niewidoczna postać

zatrzymała się, a potem, nieco wolniej, ruszyła dalej. Aitrus usłyszał ciche powitanie i wyrzwał z bramy.

Dwaj mężczyźni stali przed drzwiami domu. Jeden miał na sobie płaszcz z kapturem, a drugi, mocniej zbudowany, nie zakrył niczym łysiny. Aitrus odniósł wrażenie, że skądś go zna. Znowu ukrył się w cieniu i zaczął nasłuchiwać.

- Czego chcesz? – zapytał jeden z mężczyzn, a głos znowu wydał się Aitrusowi znajomy.

- Chcę ci coś pokazać – odparł drugi. – Coś, co cię zainteresuje.

Głos był niski, kulturalny, a przy tym skażony dziwną pospolitością. Za to ten pierwszy...

- Czy chcesz, żebym tam z tobą wszedł? – zapytał pierwszy mężczyzna, a Aitrus wreszcie poznał głos.

Veovis!

- Czyżbyś mi nie ufał?

- Sam, w nocy, w obcym domu? – zaśmiał się ironicznie Veovis. – A ty byś mi ufał?

- Bez zastrzeżeń.

Zapadał cisza, a potem rozległo się zrezygnowane sapnięcie.

- Zgoda – powiedział w końcu Veovis. – Zaufam ci. Ale ostrzegam cię, A'gaerisie, jestem uzbrojony.

Na dźwięk tego imienia Aitrus doznał szoku. Znali je wszyscy cechownicy. Żadne imię nie okryło się taką niesławą. Ale co on robił w tak przyzwoitej dzielnicy jak J'taeri? Po co Veovis się z nim spotkał?

Aitrus wyrzwał znowu i zobaczył, jak zwałisty mężczyzna przekręca klucz w zamku, otwiera drzwi, a potem zaprasza Veovisa, żeby wszedł pierwszy.

- Idź pierwszy – powiedział Veovis, cofnął się o krok i oparł dłoń na klindze sztyletu. – Zapal światło, to wejść.

A'gaeris uśmiechnął się, wzruszył ramionami i wszedł do domu. Po chwili w holu rozbłysło światło.

Veovis rozejrzał się i wszedł.

Co się tam działo? Co chciał pokazać Veovisowi ten anonimowy pisarz i dlaczego?

Aitrus już miał ruszyć w drogę powrotną do Gmachu Cechowego, kiedy w pokoju na parterze, na lewo od drzwi, zapaliło się światło. Aitrus oparł się o ścianę i patrzył, jak do pokoju wchodzi A'gaeris, a za nim Veovis.

Dawny przyjaciel Aitrusa stanął w progu, najwyraźniej czując się nieswojo. Rozejrzał się, upewnił, że to nie pułapka, po czym podszedł do A'gaerisa szperającego wśród papierów na biurku. Leżało tam kilka cienkich książek i A'gaeris podał jedną z nich Veovisowi. Ten otworzył książkę po chwili wahania, przejrzał, a potem spojrzął na drugiego mężczyznę, otwierając szeroko oczy.

A'gaeris uśmiechnął się i wskazał na wolne krzesło.

Aitrus udał się prosto do swego gabinetu w Gmachu Cechowym. Miał pracę do wykonania, ale stwierdził, że nie jest w stanie pracować. To, co zobaczył w dzielnicy J'taeri, bardzo go zaniepokoiło. Oczywiście Ti'ana miała rację. Powinien natychmiast pójść do mistrza Jadarisa i przekazać tę sprawę konserwatorom. Nie zrobił tego i oto skutek. Och, mógł tam pójść teraz, ale jakimi dowodami dysponował? To było jego słowo przeciwko słowu Veovisa.

Co się właściwie działo? Dlaczego tacy dziwni towarzysze spotykali się w domu kupca?

Aitrus długo łamał sobie głowę, ale nie zdołał znaleźć rozwiązania.

Ti'ana by wiedziała. Tylko że Aitrus nie mógł zwrócić się do żony, ponieważ obiecał nie mieszać się do tej sprawy. Spalił tamtą wiadomość, jak gdyby nie miała nad nim żadnej władzy, ale to nie była prawda. Aitrus miał poważny kłopot.

Veovis. Może powinien spotkać się z Veovisem i powiadomić go tym, co widział.

Po chwili zastanowienia Aitrus skinął głową. To była właściwa droga. Żadnego skradania się w cieniu – to nie leżało w jego zwyczaju. Rano popłynie na K'veer i rozmówi się z Veovisem. Musiało istnieć jakieś wytłumaczenie.

Aitrus odłożył akta i wyszedł z gabinetu. Jutro, powiedział do siebie, idąc długim, pogrążonym w ciszy korytarzem ku wielkiej bramie. Jutro wszystko się wyjaśni.

Nazajutrz Aitrus wstał wcześniej. Poprzedniego wieczoru podczas kolacji nie powiedział Annie o swoich zamiarach. Kiedy jednak pospiesznie jadł śniadanie, służący przyniósł mu drugi list, zaadresowany tym samym pismem co anonimowa notatka.

Aitrus przyglądał się kopercie przez dłuższą chwilę, wreszcie, z westchnieniem rezygnacji, otworzył ją paznokciem. W środku znajdowała się krótka wiadomość, napisana tą samą ręką co wczorajsza oraz list od Veovisa do jednego z dwóch młodych cechowników, którzy zaginęli przed trzydziestoma laty.

Aitrus przeczytał list, po czym spojrzął na datę. Napisano go na dzień przed zniknięciem cechowników.

- Nie – powiedział cicho, odłożył list i ponownie podniósł wiadomość. – To niemożliwe...

Wiadomość brzmiała: „Spotkaj się ze mną, jeżeli chcesz się więcej dowiedzieć”; dalej podano czas i miejsce spotkania: dom kupca w dzielnicy J'taeri.

Aitrus miał przed sobą trzy możliwości: pójść do mistrza Jadarisa i przedstawić mu całą sprawę; udać się prosto na K'veer i rozmówić się z Veovisem albo poczekać do wieczora i spotkać się z autorem wiadomości.

Zdrowy rozsądek dyktował pierwszą możliwość, druga była rozwiązaniem honorowym, ale Aitrus zdecydował się na trzecią.

Dlaczego? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Już taki był.

Wybacz, Ti'ano, pomyślał, wsunął wiadomość z listem do kieszeni i wstał z krzesła.

Veovis stanął obok A'gaerisa na wielkiej skale, spojrzął na rozciągającą się w dole równinę i potrząsnął głową. Wszystko było trochę nie w porządku. Kolory były nienaturalne, kształty drzew, nawet sposób, w jaki uformowały się wzgórza, były niewłaściwe. A jednak istniały.

Veovis odwrócił się i popatrzyła zza okularów na A'gaerisa.

- Kto to zrobił?

A'gaeris odwrócił się, a jego oczy zamigotały za szklami ochronnymi.

- Twój dawny przyjaciel, Aitrus.

- Niemożliwe – powiedział lekceważąco Veovis. – Aitrus i jego rodzina posiadają tylko dwa wieki, Ko'ah i Gemedet, oba dokładnie nadzorowane przez

konserwatorów. Gdyby którykolwiek z nich przypominał to... cóż, nigdy by na to nie pozwolono.

- A jednak to jest jego wiek – uśmiechnął się A'gaeris, wręczając Veovisowi księgę łączącą.

- Nie – wyszeptał Veovis, a niedowierzanie w jego głosie szło o lepsze z przerażeniem. To było pismo Aitrusa; oglądał je zbyt często, by wątpić.

- On eksperymentuje – wyjaśnił konkretnym tonem A'gaeris. – Oczywiście robi to w tajemnicy, ponieważ wie, że nie mógłby liczyć na przychylność cechów. Zainspirowała go do tego ta kobieta, bez której nigdy nie zboczyłby z drogi D'ni. Jej podstępny wpływ jest widoczny wszędzie, Veovisie. Wszystkie wady wieku, na który patrzysz, są jej dziełem.

Veovis rozejrzał się, po czym skinął głową, na wpół przekonany.

- Biedny Aitrus.

- Żałujesz go?

- Kiedyś był dobrym człowiekiem – odparł Veovis, podnosząc wzrok, a w jego oczach błysnął gniew. – Jak słusznie zauważyłeś, ta cudzoziemka omotała go, odebrała mu rozum. – Zamknął księgę i potrząsnął nią. – Jeżeli to jest prawda...

A'gaeris wskazał na rozciągający się przed nimi krajobraz.

- Czy możesz w to wątpić?

- Nie... nie, teraz to jest dla mnie jasne – westchnął Veovis.

A'gaeris spojrzał na niego z udanym współczuciem.

- Czy chcesz, żebym na chwilę cię zostawił?

Veovis skinął głową, a potem, ze smutnym uśmiechem, otworzył księgę łączącą dla Filozofa. Łagodnie migoczący kwadrat na prawej stronie przedstawiał obraz gabinetu w D'ni.

- To nie wszystko – powiedział A'gaeris, patrząc Veovisowi prosto w oczy.

- Nie wszystko?

- Tak. To nie jest jedyny wiek, jaki on stworzył. Może zanim podejmiesz decyzję, chciałbyś zobaczyć kilka innych?

Veovis ponownie skinął głową, najwyraźniej zszokowany.

- Cóż – powiedział wreszcie A'gaeris i wyciągnął rękę. – Teraz zostawię cię samego. Żegnaj.

Dotknął lśniącego pudełka i zniknął.

Veovis zamknął księgę, schował do kieszeni i podniósł wzrok. Ten świat krył w sobie dziwne piękno, a jednak był niewłaściwy.

Aitrusa należało powstrzymać, ale jak? Gdyby Veovis zwrócił się do Pięciu, Aitrusa usunięto by z Rady, pozbawiono członkostwa w cechu, może nawet umieszczono by go w wieku więziennym. Taka była kara za tworzenie nielegalnych wieków. Veovis pozbyłby się głównego przeciwnika w Radzie, ale to nie miało znaczenia. Zresztą zastanawiał się, czy byłby gotów zwrócić się do Pięciu, gdyby to oznaczało zniszczenie Aitrusa i jego rodziny. Możliwe, że ta kobieta miała na niego zgubny wpływ, a dla dziecka byłoby lepiej, gdyby nie żyła, ale wobec samego Aitrusa Veovis nadal odczuwał silną sympatię. Pomimo niedawnych animozji wciąż pamiętał, jak dobrym przyjacielem był kiedyś Aitrus. Prawdziwy przyjaciel, który nie bał się mówić tego, co myślał.

Veovis podszedł do krawędzi bloku skalnego, usiadł i spuścił nogi do przepaści. Jak powinien postąpić?

Poczekam, postanowił, i zobaczę, jakie inne dowody przedstawi nasz przyjaciel A'gaeris. Później zasięgnę rady ojca.

Veovis wstał, wyjął z kieszeni księgę łączącą i otworzył. Potem, jak dziecko łagodnie przeskakujące przez strumień, dał susa w górę, ponad krawędzią wielkiej skały, położył dłoń na tablicy i rozpląnął się w powietrzu, a księga opadła na porośnięte dzikim lasem skały.

Poczekaj tutaj, mistrz za chwilę cię przyjmie.

Kiedy chłopiec wyszedł z ciemnego pokoju, Aitrus wszedł do środka. To, co początkowo wziął za lustro, okazało się oknem gabinetu, słabo oświetlonego przez pojedynczą lampę ścienną.

- Dziwne – powiedział cicho, zdumiony widokiem okna wewnątrz domu.

W głębi gabinetu stało biurko, a na nim, rozpoznawalna po rozświetlonej prawej stronie, leżała księga D'ni.

Aitrus wpatrywał się w księgę zdumionym wzrokiem, kiedy w powietrzu obok biurka uformowała się postać i stanęła na grubym czerwonym dywanie.

A'gaeris!



Filozof otrząsnął się po szoku połączenia, obszedł biurko i wyjął coś z szuflady. Przez chwilę przyglądał się przedmiotowi, a potem, wyczuwając czyjąś obecność w powietrzu, podniósł wzrok.

W tym momencie przy biurku uformowała się druga postać. Veovis.

Obserwując scenę w gabinecie, Aitrus nabrał pewności, że działo się coś złego.

Veovis odwrócił się, spojrzął na siedzącego towarzysza i skinął głową.

- Dobrze, lepiej pokaż mi pozostałe.

A'gaeris wstał, trzymając w dłoniach księgę, obszedł biurko i wręczył ją Veovisowi.

- Jest ich więcej – powiedział. – To jest jedyna, którą tutaj mam, ale jeśli chcesz, mogę przynieść inne. Jutro wieczorem, jeżeli ci to odpowiada.

Veovis przez chwilę studiował księgę, potem oddał ją Filozofowi.

- Jutro – powiedział. – Przyjdę jutro.

- O tej samej godzinie?

- Tak – potwierdził Veovis. Potem odwrócił się i wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi.

A'gaeris przyglądał się księdze przez pewien czas, potem odłożył ją i odwrócił się do lustra, które odbijało tylko w jedną stronę.

- Musimy porozmawiać, Aitrusie.

Nie wierzyłeś, że jest do tego zdolny, prawda?

Aitrus podniósł znużony wzrok. Przez ponad dwie godziny przekopywał się przez stertę listów i dokumentów napisanych ręką Veovisa.

Nie było tu nic bezpośrednio obciążającego – niemal wszystkie dowody przeciwko Veovisowi miały charakter poszlak – ja jednak całość sprawiała bardzo przekonujące wrażenie. W każdym razie Aitrus czuł się przekonany. Spojrzął na siedzącego po drugiej stronie biurka Filozofa. Na czole A'gaerisa perlił się pot. W chybottliwym blasku świecy wyglądał na znacznie więcej niż swoje osiemdziesiąt pięć lat.

- Od jak dawna Veovis handluje zakazanymi księgami?

- Z tego, co mi wiadomo, od dwóch, może trzech lat. Jak już mówiłem, początkowo nie miałem pewności. Ostatecznie Veovis był wielkim panem, wybitną

osobistością. Wydawało mi się to niezwykle, niemal niewiarygodne, że zniżył się do takiej podłości.

- Nadal jest to niewiarygodne – powiedział Aitrus, odkładając na bok ostatnie sprawozdanie. – Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy. – Przez chwilę patrzył na dokument, a potem spojrzął na A'gaerisa. – Skąd to wzięłeś?

- Mam swoje źródła. Kupowałem te dokumenty tu i tam, aż zebrało się ich dosyć, żeby mieć pewność.

- A skąd wzięły się księgi, które sprzedajesz Veovisowi? Nic nie słyszałem o brakujących księgach.

- Dostałem je od jego przyjaciela, Suahnira.

- Suahnir! Ależ...

Aitrus pojął wszystko w jednej chwili. Do zadań Cechu Konserwatorów należało niszczenie „nieudanych” ksiąg, to znaczy ksiąg D'ni, które z tego czy innego powodu nie zdały egzaminu i łączyły z niestabilnymi wiekami. Takie egzemplarze palono w specjalnych piecach, przynajmniej w założeniu. Człowiekiem odpowiedzialnym za to zadanie był nie kto inny, jak cechmistrz Suahnir.

- Ale dlaczego on nie załatwia spraw bezpośrednio ze swoim przyjacielem Veovisem?

- Owszem, są przyjaciółmi, ale sobie nie ufają – uśmiechnął się A'gaeris. – Poza tym żaden z nich nie wie, że drugi jest zamieszany w tę sprawę. Suahnir nie wie, kto kupuje księgi, a Veovis...

- Nie wie, kto je dostarcza, tak? – Aitrus wpatrywał się w niego ze zdumieniem. – Dlaczego więc mówisz mi o tym wszystkim?

A'gaeris pochylił się do przodu, a w jego oczach błysnęło oburzenie.

- Nikt nie chciał mnie słuchać, ale ty, Aitrusie, ty mógłbyś coś zrobić. Mógłbyś nawet zwrócić się do samego pana R'hiry.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ ja, który byłem kiedyś uczciwym człowiekiem, zostałem usunięty z cechu za coś, czego nie zrobiłem, podczas gdy ten syn pana, ten skalny robak, może robić, co mu się podoba, i uchodzi mu to na sucho. Oto dlaczego! – Twarz Filozofa pociemniała z gniewu. – Musisz zrozumieć. Veovis przyszedł do mnie, o czym tamci dwaj cechownicy się dowiedzieli, ponieważ go śledzili. Dlatego ich zabił.

W pokoju zapadło milczenie. Aitrus patrzył zimno na Filozofa.

- Nie wierzę ci – powiedział wreszcie.

- Nie – stwierdził smutno A'gaeris – a jednak to prawda. – Wskazał na leżącą na spodzie pliku księgę łączącą. – Sam zobacz, jeżeli mi nie wierzysz!

Veovis wysiadł z łodzi na stopień, odwrócił się i spojrzał na uśpione miasto. Ponad nim, za kamiennym murem okalającym zatokę, na słupie płonęła lampa, której blask odbijał się w wodzie.

W wielkiej jaskini panowała cisza, jakby nie było tam innych śladów życia. Z daleka dobiegał tylko przytłumiony rytmiczny szum wentylatorów, przypominający bicie serca.

Veovis przeciągnął się i ziewnął. Miał sporo spraw do przemyślenia, ale w obecnej chwili czuł się zmęczony, a doświadczenie nauczyło go, żeby nie podejmować decyzji w takim stanie. Postanowił przespać się tą sprawą i zastanowić się nad nią ponownie nazajutrz.

Wszedł po schodach na nabrzeże z czarnego kamienia, gdzie czekał na niego Lianis z dwoma służącymi. Kiedy Veovis się pojawił, jeden ze służących zarzucił mu na ramiona płaszcz, a drugi oświetlił drogę latarnią.

- Nie musiałeś na mnie czekać, Lianisie – powitał Veovis swojego asystenta.

- Masz gości, panie – powiedział Lianis, kiedy ruszyli nabrzeżem w stronę posiadłości.

Veovis poczuł na plecach dreszcz, zerknął na Lianisa, a potem odwrócił wzrok. Czyżby znajdował się pod obserwacją? Czy ktoś zauważył jego spotkanie z A'gaerisem? Jeżeli tak się stało, musiałby się nieźle napocić, żeby się wytłumaczyć.

- Gdzie oni są? – zapytał, stojąc pod łukiem.

- W twoim gabinecie, panie. Uznałem, że lepiej będzie utrzymać tę sprawę w dyskrecji.

- Postąpiłeś słusznie – odparł Veovis i przelotnie dotknął ramienia asystenta. Ruszyli dalej, minęli wielkie drzwi i znaleźli się w szeroki, wysokim korytarzu; służący próbował dotrzymać im kroku, a trzymana przez niego lampa rzucała cienie przed idącymi.

Veovis wstąpił na pierwszy stopień schodów i ponownie odwrócił się do asystenta.

- Dalej poradzę sobie sam, Lianisie. Za jakiś czas przyślij jednego ze służących z winem. Wezwę cię, jeśli będzie mi potrzebny.

- Panie. – Lianis skłonił się i wycofał.

Veovis samotnie wszedł na schody. Stojący w dole służący podnosił latarnię tak wysoko, jak mógł, żeby oświetlić drogę panu.

Gabinet Veovisa znajdował się po lewej stronie. Stanąwszy przed drzwiami, spróbował się uspokoić i zapanować nad wirującymi myślami. Sprawy nie przedstawiały się różowo. Spotkał się z zaprzysiężonym wrogiem państwa D'ni. W jakim celu? Żeby zdyskredytować przeciwnika politycznego. Wszystko było proste i żadna sofistyka nie mogła przesłonić prawdy. Veovis miała na swoje usprawiedliwienie to, co wiedział o Aitrusie i zakazanych wiekach. Czy to mogło wystarczyć? Czy mógł na przykład twierdzić, że wiedział o całej sprawie już przed spotkaniem i chciał tylko potwierdzenia?

Być może.

Nacisnął klamkę i wszedł do pokoju, układając usta w uśmiechu.

- Cechownicy...

Uśmiech zamarł Veovisowi na ustach. Z krzesła przy biurku wstała cudzoziemka. Ti'ana, tuląc na rękach dziecko-mieszkańca. Kiedy drzwi zamknęły się cicho, postąpiła dwa kroki w stronę Veovisa, a w jej ciemnych oczach płonęło oskarżenie.

- Gdzie on jest, Veovisie? Gdzie jest mój mąż?

Aitrus siedział w gabinecie nad rozłożoną na biurku księgą łączącą. Jeżeli A'gaeris mówił prawdę, Aitrus mógł oczekiwać, że po drugiej stronie znajdzie ciała dwóch młodych cechowników. Czy mógł jednak ufać A'gaerisowi?

Któż widział, z jakim wiekiem łączyła ta księga? Istniało duże prawdopodobieństwo, że był to zabójczy wiek z trującym powietrzem. Z drugiej strony, był to jedyny faktyczny dowód przeciwko Veovisowi, o ile A'gaeris mówił prawdę.

Aitrus zamknął księgę. Połączenie wiązało się ze zbyt wielkim ryzykiem. Gdyby miał maskę do oddychania i drugą księgę łączącą, za pomocą której mógłby wrócić do D'ni, spróbowałby...

Było to jednak gdybanie, a poza tym musiał się teraz zatroszczyć o Annę i Gehna.

Aitrus przysunął do siebie arkusz welinowego papieru, wyjął pióro z kałamarza i zaczął pisać wiadomość dla Jadarisa, wielkiego cechmistrza konserwatorów. Postanowił, że pošle mu drugą księgę łączącą i pozwoli zdecydować. Tymczasem zabierze Annę i Gehna na Gemedet, z dala od zgiełku.

Aitrus podpisał wiadomość i wstał. Nie chciało mu się spać – w jego umyśle kłębiło się zbyt dużo myśli. Czuł za to silną potrzebę zobaczenia Anny i Gehna. Podszedł do drzwi sypialni i zaczął nasłuchiwać ich oddechów w ciemności.

Cisza. Powoli podszedł na palcach do łóżka, kucnął i wyciągnął rękę. Łóżko było puste.

Aitrus wstał i zapalił lampę. Łóżko było zasłane, a w pokoju nie zauważył ani śladu obecności Anny i Gehna.

Przez chwilę nie potrafił się skoncentrować. Kiedy wychodził stąd przed czterema godzinami, żona i syn spali w najlepsze.

Aitrus wyszedł z sypialni i zapukał do drzwi w końcu korytarza, budząc stewarda.

- Czy był tu ktoś pod moją nieobecność?

- Przyszedł posłaniec z Gmachu Cechowego – odparł steward, siadając. – Przyniósł wiadomość od twojego ojca. Pani Ti'ana zeszła na dół i wzięła ode mnie wiadomość, a potem porozmawiała z tym człowiekiem.

- Czy słyszałeś, co mówiła?

- Nie.

Aitrus podziękował stewardowi i wrócił do gabinetu. Nie znalazł wiadomości, ale niezależnie od jej treści dokładnie wiedział, co Anna mogła sobie pomyśleć. Uprzedził ją, że idzie do Gmachu Cechowego, więc każda wiadomość dotarłaby do niego właśnie tam.

Chyba że nie poszedłby do Gmachu Cechowego.

Anna przypomniałaby sobie tamtą anonimową notatkę, dodałaby dwa do dwóch i poszłaby za nim.

Być może, ale po co miałyby brać Gehna? Dlaczego nie poszła sama? A może wcale nie udała się do Gmachu?

Czy w takim razie pojechała na Gemedet? Ale po cóż miałyby to robić w środku nocy? Dlaczego nie poczekała na niego?

Nie, tylko lęk o Aitrusa mógł skłonić Annę do szukania go. Ale czego miałyby się obawiać? A może już wiedziała, może podpowiedział jej instynkt, że za tym wszystkim stał Veovis?

K'veer!

Kiedy tylko ta myśl pojawiła się w umyśle Aitrusa, zamieniła się w pewność. K'veer! Pojechali na K'veer!

Aitrus wybiegł z pokoju na korytarz, nie dbając o to, że zbudzi cały dom. Jego buty zadudniły na schodach, ale kiedy otworzył drzwi, ujrzał przy bramie dwóch mężczyzn z latarniami, a tuż za nimi ciemną lektykę, wspartą na ramionach ośmiu gońców w mundurach. Obok lektyki stał Veovis, rozmawiając z kimś, kto siedział w środku.

W Aitrusie wezbrał nagły gniew. Szybkim krokiem przemierzył ścieżkę i stanął przed Veovisem dokładnie wtedy, kiedy tamten się odwrócił.

- Co tutaj robisz?

Veovis spojrzał na Aitrusa wyniośle.

- Mów, czego chcesz!

- Chcę? – Na twarzy Veovisa pojawił się zacięty wyraz. – Od cienie nie chcę niczego, Aitrusie. Zadaję się tylko z ludźmi honorowymi.

- Jak śmiesz kwestionować mój honor?

- Powiedzmy, że wiem, kim są przyjaciele D'ni, a kim wrogowie.

Aitrus poczuł nagły przypływ nienawiści. Zaprzagnął uderzyć Veovisa, roztrzaskać go jak talerz o ziemię.

- Radzę ci trzymać język za zębami, panie Veovisie, bo ci go wyrwę!

- To raczej ty powinienes uważać, bo inaczej dam ci lekcję dobrych manier.

Aitrus zacisnął pięści, ale zrozumiał, że przemoc niczego by nie rozwiązała, więc milczał.

- Doskonale wiem, wobec kogo jestem lojalny, Veovisie. Chciałbym móc to samo powiedzieć o tobie.

- Jestem lojalny wobec tych, którzy na to zasługują – odparł Veovis. – Moja lojalność nie jest tania.

Aitrus zmarszczył brwi. Jeżeli to miała być aluzja do niego, to nie zrozumiał jej. Co Veovis miał na myśli? Zmieniając taktykę, zadał pytanie, od którego powinien był zacząć.

- Gdzie jest moja żona? Gdzie jest Ti'ana?

- Czyżbyś nie wiedział, mistrzu Aitrusie? – spytał szyderczo Veovis. – Sądziłem, że obowiązkiem męża jest wiedzieć, gdzie jest żona!

Aitrus podszedł bliżej, tak że jego twarz znalazła się na odległość dłoni od twarzy Veovisa.

- Czy ją uwięziłeś? – zapytał cicho, lecz groźnie.

Veovis przez chwilę tylko przyglądał się Aitrusowi, a jego oczy niczego nie zdradzały; potem odwrócił się, odsunął zasłonę lektyki i gwałtownie wyciągnął Annę za rękę.

- Śliczna z was parka! – powiedział Veovis z sarkazmem. – Jedno nie wie, gdzie się drugie podziewa!

Aitrus spojrzał na Annę, ale ona potrząsnęła głową, jakby w odpowiedzi na jakieś niewypowiedziane pytanie. Przytuliła Gehna, podeszła do męża i odwróciła się.

- Dziękuję – powiedziała do Veovisa. – Przepraszam, że zawracałam ci głowę.

- Drobiazg – odparł Veovis, nie odrywając zimnego wzroku od Aitrusa. – To naprawdę drobiazg.

Mistrzu Aitrusie, panowie przyjmą pana teraz.

Aitrus wstał z ławy i ruszył za cechownikiem ku wielkim podwójnym drzwiom, przed którymi pełnili wartę dwaj strażnicy.

Przez tydzień zmagał się z własnym sumieniem, nie wiedząc, co począć. Najbardziej niepokoił go udział A'gaerisa w całej sprawie. Ten człowiek nie kochał D'ni, a doprowadzenie do upadku ulubionego syna D'ni, Veovisa, doskonale pasowało do planu zemsty, jaki snuł Filozof. Z drugiej strony, Aitrus widział księgę i nadal miał w posiadaniu księgę łączącą. Nie ulegało wątpliwości, że została napisana przez Veovisa. Poza tym oburzenie A'gaerisa, to palące poczucie niesprawiedliwości, jakie Aitrus dostrzegł podczas ich ostatniego spotkania, także wydawało się prawdziwe.

Anna błagała męża, żeby udał się prosto do mistrza Jadarisa i zostawił całą sprawę w rękach konserwatorów, ale to oznaczałoby działanie za plecami pana Rakeriego, a tego Aitrus nie chciał zrobić.

Tak więc, osiem dni później, złożył wizytę panu Rakeriemu w jego gabinecie w Gmachu Cechu Górników. Starzec ciepło go przywitał, a Aitrus nad kielichem grzanego wina z korzeniami opowiedział Rakeriemu o poczynaniach jego syna.

Aitrus widział, jak rozdarty był starzec. Rakeri zawsze traktował Aitrusa jak drugiego syna, nawet po jego zerwaniu z Veovisem, ale teraz w zachowaniu starca pojawił się chłód, oddalenie. Rakeri długo wpatrywał się w księgę łączącą, wreszcie skinął głową.

- Zostaw mi tę księgę, mistrzu Aitrusie – oświadczył zimnym, formalnym tonem.  
– Dopilnuję, żeby dogłębnie zbadano tę sprawę.

Po tamtej rozmowie nastąpiła długa cisza, ale teraz, w miesiąc po spotkaniu z Rakerim, panowie mieli podjąć ostateczną decyzję.

Drzwi otworzyły się, a Aitrus rozejrzał się wokół siebie. Obok pięciu panów, siedzących za wielkim biurkiem w głębi komnaty, było sześciu dalszych, którzy siedzieli przy biurkach po obu stronach. Na lewo od Aitrusa siedziało trzech skrybów cechowych, na prawo dwóch starszych cechowników z Cechu Konserwatorów, a nieco dalej ich wielki mistrz, wiekowi Jadaris.

W komnacie nie było ani śladu Veovisa.

Aitrus poczuł ulgę. Cała sprawa i tak była wystarczająco kłopotliwa, ale obecność Veovisa dodatkowo utrudniłaby mu zadanie.

- Usiądź, mistrzu Aitrusie – powiedział pan R'hira, podnosząc wzrok znad dokumentów.

Aitrus usiadł i spojrzał na Rakeriego. Starzec siedział ze spuszczoneym wzrokiem, bębniąc palcami po skórzanej okładce teczek. W ostatnich dniach nie wyglądał dobrze, jak gdyby sprawa syna odcisnęła na nim swoje piętno.

R'hira spojrzał na Aitrusa.

- Po otrzymaniu twojej informacji posłaliśmy oddział Straży Miejskiej do tego domu w dzielnicy J'taeri. Niestety, pomimo drobiazgowych poszukiwań, nie znaleziono śladu papierów, o których wspomniałeś. Nie oznacza to, że one gdzieś nie istnieją, ale bez nich dysponujemy jedynie twoim słowem. To jest mało, mistrzu Aitrusie, ale w świetle prawa nie jest to dowód. – Na chwilę przerwał, po czym ciągnął dalej. – Po długiej debacie uznaliśmy, że użycie księgi łączącej wiązałoby się z ryzykiem narażenia trzeciego życia na szwank, a do tego nie możemy dopuścić. Bez bezpośrednich dowodów, o jakich mówisz, to znaczy bez ciał dwóch cechowników, mamy tylko twoje słowo przeciwko słowu Veovisa.

- Proszę mi wybaczyć, panie R'hiro, ale ta cała sytuacja jest nie do zniesienia – powiedział Aitrus. – Albo ja jestem kłamcą, albo jest nim pan Veovis. Jeżeli nie pošlecie innych cechowników, jestem gotów udać się tam osobiście.



Po chwili ciszy pan R'hira pokiwał głową.

- Niech tak będzie.

Aitrus wstał, wziął od pana R'hiry księgę wraz z księgą łączącą, otworzył księgę i położył dłoń na migoczącej tablicy.

W komnacie zapadł cisza. Po chwili Aitrus pojawił się ponownie, z twarzą bladą jak płótno.

- To prawda – powiedział. – Widziałem tam ciała.

Tego wieczoru wydano nakaz aresztowania Veovisa. Chociaż słońce chyliło się ku zachodowi, K'veer płonęło światłami. Ludzie z Straży Miejskiej i z Cechu Konserwatorów zaglądali do wszystkich pokojów, wszystkich korytarzy. Stało się jasne, że podjęto drobiazgowo poszukiwania.

Wspinając się na schody w samym sercu skały, Aitrus zaczął się zastanawiać, co właściwie wprawił w ruch. Prawdą było to, co ludzie mówili o posłańcach przynoszących złe wiadomości.

Mijając wejście do Pokoju Księgi, Aitrus zauważył oddział strażników z Cechu Konserwatorów, którzy czekali tam, gotowi połączyć się z wiekami rodziny Veovisa. Już samo to stanowiło dowód, że Veovis nie został jeszcze schwytany.

A więc on jednak jest winny – pomyślał Aitrus, mimo wszystko zdziwiony, ponieważ jakaś część jego natury nadal wierzyła, że zaszła pomyłka i znajdzie się jakieś wytłumaczenie. Jeżeli jednak Veovis się ukrywał, istniało tylko jedno wytłumaczenie.

Mistrz Jadaris czekał na niego w gabinecie pana Rakeriego, na samym szczycie posiadłości na wyspie. Gabinet był prawdziwą grotą. Nie było tu okien, a wielkie półki uginały się od książek.

- O, Aitrusie – powiedział Jadaris, podnosząc wzrok znad biurka. Przed mistrzem leżała otwarta księga łącząca, a mała tabliczka lśniła w słabym świetle pokoju. – Szukaliśmy wszędzie, ale w całym D'ni nie natrafiliśmy na ślad pana Veovisa. W tej sytuacji wydałem rozkaz przeszukania wieków rodzinnych. Przedtem jednak musimy uporać się z pewną sprawą.

Jadaris wskazał na księgę łączącą.

- Cztery godziny temu złożył mi wizytę pewien cechownik. U podnóża góry znalazł drugą księgę, łączącą z tym właśnie pokojem.

Aitrus poważnie skinął głową. Po chwili milczenia mistrz Jadaris wstał.

- Czy połączysz się ze mną, Aitrusie?

Znaleźli się w grocie na wschodnim zboczu dużej, górzystej wyspy, otoczonej łańcuchem mniejszych wysp, połączonych drewnianymi mostami. Właśnie na jednej z tych wysepek odkryli ciała dwóch cechowników, leżących obok siebie w chacie pod skarpą, ze związanymi rękami i nogami. Od dawna nie żyli; płaszczce mieli sztywne od zakrzepłej krwi. Ktoś poderznął im gardła. Na podłodze leżał sztylet, którym ich zabito.

Była to broń Veovisa; wielokrotnie widziano ją przy nim.

Aitrus zwrócił uwagę na wzrok, jakim Jadaris spojrzął na sztylet; zauważył drganie mięśni na szyi mistrza, nagłą zmianę w jego oczach, i pojął, że ten widok ostatecznie przekonał Jadarisa. Zamordowano jego ludzi, jego młodych chłopców. Widząc ich w takim stanie, spętanych i zarżniętych, najwyraźniej doznał silnego szoku.

Ekipa konserwatorów przygotowała ciała do połączenia z powrotem z D'ni, a Aitrus i mistrz Jadaris połączyli się z K'veer. Tam czekała na nich wiadomość, że Veovisa pochwycono w Nidur Gemat i przetrzymywano na dole, w Pokoju Księgi.

Aitrus zszedł na dół z Jadarisem.

Veovis miał ręce związane za plecami. Dwaj strażnicy z Cechu Konserwatorów stali po bokach więźnia, ale Veovis nie okazywał skruchy. Stał z podniesioną głową, a w jego oczach płonęło oburzenie.

- Czy to twój sztylet, mistrzu Veovisie? – spytał Jadaris, pokazując mu narzędzie zbrodni.

- Owszem, i co z tego?

- A więc nie zaprzeczasz?

Veovis jakby nie usłyszał. Zrobił krok w stronę Jadarisa.

- Czym sobie zasłużyłem na podobne traktowanie, mistrzu Jadarisie? Czy jestem zwykłym przestępcą, żeby mnie wiązać jak zwierzę?

- Znaleźliśmy ciała – oświadczył Jadaris, ale Veovis nie słuchał.

- Zazwyczaj nie jestem niecierpliwym człowiekiem, ale ostrzegam cię, cechowniku. Rozwiąż mnie albo będziesz odpowiadał przed moim ojcem!

- Zostałeś uwięziony właśnie na rozkaz twojego ojca.

- To niemożliwe – odparł zdumiony Veovis. – Ojciec nigdy nie wydałby takiego rozkazu.

- Nigdy? – Jadaris przyglądał się przez chwilę Veovisowi, po czym zapytał: - Czy odrzucasz oskarżenie?

- Oskarżenie? – Veovis zaśmiał się zimno, potem przekrzywił nieco głowę i spojrzał wrogo na starego mistrza. – Nie pojmuję cię, mistrzu Jadarisie. O co jestem oskarżony?

- O handel zakazanymi wiekami i morderstwo.

Zszokowany wyraz twarzy Veovisa zdziwił Aitrusa. Przez chwilę Veovis nie mógł wykrztusić ani słowa, a potem potrząsnął głową.

- Ależ to śmieszne! Ja nic nie zrobiłem.

- Mamy dowód – odparł zimno Jadaris. – Ale ja nie jestem twoim sędzią, Veovisie, w każdym razie nie tylko ja.

Jadaris wyprostował się i oznajmił z mocą:

- Cechmistrzu Veovisie, zostaniesz stąd przeniesiony do Fortecy Cechowej Irrat, gdzie zostaniesz zatrzymany aż do wyznaczenia daty procesu.

- Mojego procesu?! – Na twarzy Veovisa malowało się bezgraniczne niedowierzenie.

Jadaris przytaknął, ale bynajmniej nie triumfował.

- To jest smutny dzień dla cechów, panie Veovisie. Okryłeś nas wielkim wstydem, a jeszcze większym swego ojca.

- Ależ ja nic nie zrobiłem!

- Nic? Zamilcz, cechmistrzu, albo każę cię zakneblować!

Veovis zamrugał zdumiony, otworzył usta, ale po chwili zamknął je.

- Świetnie – powiedział krótko Jadaris. – Zabierzcie go stąd, zanim zrobię z nim to samo, co on zrobił tym biednym chłopcom.

Po powrocie do domu Aitrus zastał zaciągnięte żaluzje; lekarze uganiali się tam i z powrotem. W holu powitała go matka, Tasera, z wymizerowaną twarzą i zatroskanymi oczami. Stan Gehna znacznie się pogorszył; chłopiec otarł się o śmierć. To właśnie Tasera wezwała w końcu uzdrowicieli, kiedy wszystkie inne metody zawiodły.

Aitrus wszedł do pokoju dziecinnego, obawiając się najgorszego. Anna siedziała obok pośłania, najwyraźniej wyczerpana, wpatrzona w gorączkujące dziecko, które leżało jak woskowa laleczka, z zamkniętymi oczami, płytko oddychając. Nieopodal stał lekarz, który rozmawiał cicho z kolegą, a na widok Aitrusa podszedł do niego.

- Niewiele możemy zrobić – powiedział ze smutkiem. – Próbowaliśmy kilku leków, ale dziecko nie jest w stanie utrzymać czegokolwiek w żołądku. Obawiam się, że wszystko jest teraz w rękach Stwórcy.

Aitrus podziękował lekarzowi, po czym klęknął obok Anny i delikatnie oparł dłoń na jej kolanie.

- Ti'ano?... Ti'ano? To ja, Aitrus. Wróciłem.

Anna powoli odwróciła głowę i spojrzała na męża.

- On umiera, Aitrusie. Nasz syn umiera.

Nigdy wcześniej nie widział na jej twarzy takie rozpacz.

- Nie – powiedział cicho. – Gehn sobie poradzi.

- Nie słyszałeś go, Aitrusie, nie słyszałeś, jak krzyczał. Nie widziałeś spazmów.

Dwa razy sądziłam, że już go straciłam.

- Być może, ale on wciąż żyje.

Aitrus ścisnął dłonie Anny i spojrzał jej prosto w oczy.

- Czy nie zamierzasz o niego walczyć, Ti'ano? Nie pomożesz naszemu synowi przeżyć?

Anna zamknęła oczy, jakby słowa męża sprawiły jej ból.

- Próbowalam, Aitrusie. Stwórca wie, że robiłam wszystko, co w mojej mocy, ale jestem taka zmęczona, bardzo, bardzo zmęczona.

- W takim razie odpocznij, kochana, a ja cię zastąpię.

Aitrus wstał, podniósł Gehna z pośłania i utulił na ramieniu. Chłopczyk pokwilił jeszcze trochę i w końcu się uspokoił. Był leciutki jak piórko; najłżejszy podmuch mógł go zdmuchnąć.

Aitrus wzdrygnął się, czując przyływ bezgranicznej czułości do synka.

- Chodź, malutki – powiedział cicho, wynosząc Gehna z pokoju. – Zobaczymy jak zareagujesz na słońce.

Veovis podniósł wzrok znad dokumentu i westchnął. Był to stek kłamstw, ale musiał przyznać, że Aitrus wniósł przeciwko niemu przekonujące oskarżenie. Gdyby Pięciu uwierzyło w zgromadzone dowody – a dlaczego nie miałyby uwierzyć? – Veovisa niewątpliwie uznano by za winnego.

Suahnir, kluczem był Suahnir, ale przepadł jak kamień w wodę.

Na biurku leżało też sześciostronicowe oświadczenie Veovisa, napisane jego własną ręką. W najlepszym razie mogło zostać uznane za naiwne, w najgorszym – ze serię kłamstw i wykrętów. Veovis wiedział, do której wersji przychylił się jego koledzy cechownicy.

Pozwolili mu zapoznać się z dowodami przeciwko niemu, z książkami, dokumentami, listami napisanymi jego ręką. Veovis musiał przyznać, że nigdy w życiu nie widział lepszych fałszerstw.

Veovis oskarżył Aitrusa, ale mistrzowie spodziewali się tego. Chcąc mu sprawić przyjemność, a może po to, by ułagodzić jego ojca, poszperali w aktach cechowych, by sprawdzić, czy w przeszłości nie zanotowano podobnego przypadku fałszerstwa, które mogło zostać przypisane Aitrusowi, ale niczego nie znaleźli.

Aitrus był spryciarzem. Udawał uczciwego człowieka, ale Veovis nie dał się oszukać. Wiedział już, jakim przebiegłym lisem był jego dawny przyjaciel.

Na odgłos otwieranych drzwi celi odwrócił się i ujrzał strażnika, który wniósł czyste ubrania i położył je na łóżku w kącie. Drugi strażnik blokował drzwi. Na ten widok Veovisa ogarnął pusty śmiech: od kiedy to pan D'ni salwował się ucieczką?

Veovis ponownie spojrzął na kopię oświadczenia, po czym odepchnął ją od siebie. Nie miał żadnych szans. Obrona przypominała uganianie się za zjawami.

Od jak dawna Aitrus przygotowywał oskarżenie? Niewątpliwie od czasu, kiedy Veovis sprzeciwił się jego małżeństwu.

Veovis wstał i przeciągnął się. Czy Aitrus pragnął tylko doprowadzić do jego upadku, czy też była to jakaś część planu, której Veovis nie potrafił dostrzec?

Veovis usiadł na łóżku obok sterty ubrań. Ogarnęła go fala zmęczenia; chciał zasnąć. Zbyt wiele wydarzyło się w zbyt krótkim czasie.

Podniósł ubrania z zamiarem przesunięcia ich i wyciągnięcia się na łóżku, ale sarta okazała się znacznie cięższa, niż się spodziewał. Zmarszczył brwi i zaczął przetrząsać ubrania.

W połowie sterty palce Veovisa natrafiły na coś twardego. Książka! Księga w skórzanej oprawie! Wyciągnął ją spod ubrań i spojrzął na nią zdumiony. Nie ulegało

wątpliwości, że trzymał księgę łączącą. Otworzył ją. Na prawej stronie zachęcająco migotała tabliczka.

To była pułapka. Musiała to być pułapka albo jakiś test. Veovis zamknął księgę i odłożył na łóżko.

Oczywiście, że to była pułapka.

A jeżeli nie? Jeżeli księgę przysłał mu ojciec? Veovis wstał i zamknął oczy, rozdarty niemożnością podjęcia decyzji. Oto miał szansę udowodnienia własnej uczciwości. Gdyby oddał księgę...

Veovis jęknął i znowu usiadł na łóżku. Kogo próbował oszukać? Bez względu na wszystko uznają go za winnego; dysponowali niepodważalnymi dowodami. Jaki los go czekał? Dwieście lat na jakiejś obmierzłej wysepce w wieku więziennym, dzień i noc pod nadzorem.

Taka perspektywa była nie do zniesienia. Veovis ponownie otworzył księgę, położył dłoń na tabliczce... i połączył się.

Pan R'hira wszedł do pustej celi i rozejrzał się wokół siebie. Księga łącząca leżała na łóżku, tam gdzie przed chwilą zostawił ją Veovis. R'hira spojrzał na księgę i potrząsnął głową. W chwilę później z głębi korytarza dobiegło głośne przekleństwo, które przeszło w jęk.

A więc już wiesz, pomyślał smutno R'hira. I co poczniesz z tą wiedzą, Veovisie?

Księga połączyła więźnia z zamkniętym pokojem w innym wieku. Na stole w tym pokoju leżała druga księga łącząca oraz naczynie z kwasem. Był to klasyczny manewr ucieczki, a Veovis oczywiście zrozumiał, co należy zrobić.

Ta druga księga łączyła jednak z powrotem z D'ni, z całą przesłuchań w końcu korytarza, gdzie czekał mistrz Jadaris ze strażnikami.

R'hira westchnął. Czy Veovis wiedział, że to jest sprawdzian? A może po raz kolejny popisał się swoją arogancją?

R'hira odwrócił się i ujrzał stojącego w drzwiach Rakeriego. Posępny wyraz twarzy starca świadczył o tym, że wiedział, co zrobił jego syn.

- Przykro mi – powiedział R'hira, ale Rakeri potrząsnął głową.

- Rób, co do ciebie należy – powiedział starzec. – Ja nie będę go bronił.

Po przebudzeniu Aitrus nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Był jasno, zbyt jasno, by mógł całkiem otworzyć oczy.

Gemedet, muszę być na Gemedet.

Ponownie zacisnął powieki, pomacał wokół siebie, aż natrafił palcami na okulary. Założył je i powoli otworzył oczy. Filtry sprawiły, że blask stał się znośny.

Był poranek, a może popołudnie. Jak długo spał?

Nagle sobie przypomniał.

- Gehn!

Aitrus usiadł, niespokojnie rozejrzał się wokół siebie i rozluźnił się. Gehn, opatulony w koc, leżał niespełna trzy stopy od niego, tam gdzie Aitrus położył go zeszłego wieczoru. Chłopczyk leżał cicho, a maleńkie okulary chroniły jego oczy przed szeroką smugą światła, wpadającą przez okno tuż nad nimi.

Aitrus podniósł synka, utulił i przyłożył mu dłoń do czoła.

Gorączka minęła.

Gehn spojrzał na ojca z zaciekawieniem, a w jego oczach Aitrus zobaczył spokój. Lekarze zgodnie orzekli, że były to oczy D'ni.

- Wylizaleś się. – Aitrus uśmiechnął się, przepelniony nagle dumą z syna. – Takie z ciebie chucherko, Gehnie, a wylizaleś się. Żyjesz!

Odwrócił się, usłyszawszy na zewnątrz hałas. Czyżby jakieś zwierzę myszkowało po obozie? Po chwili usłyszał cicho podśpiewywanie Anny i uśmiechnął się.

Wstał i wyniósł Annie dziecko. Stała plecami do niego, zapatrzona na spowity mgiełką wodospad po drugiej stronie doliny. Aitrus przez chwilę przyglądał się żonie, obserwując słoneczną aureolę wokół jej długich falujących włosów.

- Ti'ano?

- Zastanawiałam się, kiedy się obudzisz – powiedziała, odwracając się do niego z uśmiechem.

- Spójrz – powiedział, podając jej Gehna. – Gorączka minęła.

- Wiem – odparła, biorąc synka na ręce. – Przyszła już wcześniej i wiem, że wyzdrowiał. Pomyślałam, że dam wam się wyspać.

Aitrus spojrzał w niebo. Słońce chyliło się ku zachodowi.

- Późno już – powiedział. – Jak długo spaliśmy?

- Ponad dobę – odparła z szerokim uśmiechem. – Najwyraźniej dobrze wam to zrobiło.

- Owszem – zgodził się Aitrus, a potem roześmiał się, jakby coś sobie przypomniał. – Wiesz, zeszłej nocy miałem sen.

- Sen? Mam nadzieję, że przyjemny?

- O tak. Śniło mi się, że poszliśmy tunelami na powierzchnię, ty, ja i Gehn. Zaprowadziłaś nas do wszystkich miejsc, o których mi opowiadałaś, nawet do Tadjinaru.

- I do Rezydencji?

- Tak – odparł Aitrus, patrząc w dal, jakby faktycznie widział to, o czym mówił. – Śniło mi się, że ty i ja siedzieliśmy w oknie, patrząc na pustynię. Ponad nami świecił księżyc w pełni, a niebo było pełne gwiazd. A Gehn... Słyszałem, jak Gehn śpi w pokoju za naszymi plecami.

- Może kiedyś do tego dojdzie.

- Tak sądzisz?

Anna milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

- Słyszałam, co się stało... z Veovisem.

- Ach tak... - Aitrus skinął głową. – Nie wiem, co tym sądzić, Ti'ano. Veovis, którego znałem, nigdy by tak nie postąpił.

- A jednak ludzie się zmieniają.

- Czyżby? Nie jestem taki pewien, kochana. Człowiek jest tym, kim jest. Chociaż Veovis nie jest już moim przyjacielem, byłbym skłonny ufać mu bardziej niż wielu ludziom, którzy uważają się za moich przyjaciół. Nie zapominaj też, że tamtej nocy odwiózł cię do domu.

- To była zwykła uprzejmość.

- Czy na pewno? Ten sam człowiek jest oskarżony o bestialskie zamordowanie dwóch cechowników. Czy naprawdę uważasz, że był do tego zdolny?

Anna spuściła wzrok.

- No, tak... ty jeszcze nie słyszałaś, prawda?

- O czym?

- Pięciu panów poddało Veovisa testowi. Podsunęli mu księgę łączącą do jego celi na wyspie Irrat. Veovis spróbował uciec. Chyba żaden uczciwy człowiek nie zrobiłby czegoś takiego.

- A więc to prawda – powiedział Aitrus i spuścił wzrok.

- Na to wygląda.

- A pan Rakeri? Jak zareagował na tę wiadomość?



- Żle – odparła Anna, łagodnie kołysząc Gehna. – Wygląda na to, że zachorował. Niektórzy twierdzą, że umiera.

- W takim razie nastaly ciężkie czasy dla D'ni – stwierdził Aitrus, głęboko poruszony. – Bardzo ciężkie czasy.

W wąskich uliczkach prowadzących do wielkiego Gmachu Cechowego tłoczyli się ludzie, kiedy wiozący Veovisa powóz zaprzężony w dwa woły minął bramę.

Po dwudziestu dniach przedstawiania dowodów Rada miała wydać wyrok. Jeszcze nigdy tak wysoko postawiona osoba nie była sądzona, i to pod zarzutem tak ohydnych zbrodni.

Handlowanie zakazanymi księgami już samo w sobie było złe, ale zamordowanie kolegów z cechu wprost nie mieściło się w głowach. Tłoczący się na ulicach gapie wyciągali szyje, żeby rzucić okiem na osławionego zbrodniarza Veovisa.

Niektórzy widzieli w nim chciwego człowieka, któremu nigdy nie było dość bogactw. Inni komentowali hipokryzję podsądnego, a jego zapewnienia o niewinności, w obliczu tak przytłaczających dowodów, uznawali za oznakę zaburzenia umysłowego.

W takiej atmosferze Veovis wysiadł z powozu, wspiął się na marmurowe schody Gmachu Cechowego i wszedł do wielkiej komnaty, by usłyszeć wyrok.

W głębi komnaty zbudowano prowizoryczną galerię dla kilkudziesięciu gości, których Rada zaprosiła na rozprawę. Były wśród nich rodziny zamordowanych cechowników, A'gaeris oraz żona Aitrusa Ti'ana.

Anna była już obywatelką D'ni. Tydzień wcześniej, podczas kameralnej ceremonii, prawo umożliwiło jej to, do czego nie uprawniało jej ani pochodzenie, ani małżeństwo. Był to precedens, ale Rada wyraziła zgodę.

Nadeszła chwila, na którą wszyscy czekali. Kiedy Veovis minął wielkie drzwi, w obszernej, okrągłej komnacie zapadł cisza, a wszyscy zwrócili głowy w stronę podsądnego.

Veovis obciął włosy na jeża. Miał na sobie prostą opończę rdzawego koloru. Dłonie skuto mu żelaznymi kajdanami, połączonymi krótkim łańcuchem, a od kajdanów na nogach biegły dwa stalowe łańcuchy, których końce trzymał strażnik z Cechu Konserwatorów, potężny mężczyzna, zdolny chyba zatrzymać stado rozpędzonych koni.

Veovis stał przez chwilę z dumnie wzniesioną głową, po czym zaczął schodzić po schodach między filarami.

Na dole, w samym środku komnaty, stało pięć tronów panów D'ni, ale tego dnia tylko cztery z nich były zajęte. Kiedy podsądny stanął w przerwie przed tronami, panowie spojrzeli na niego jak cztery posągi, uosobienie godności.

Po chwili ciszy pełnej napięcia i oczekiwania pan R'hira przemówił:

- Czy doszliście do porozumienia, cechownicy?
- Tak! – rozległo się chóralne potwierdzenie ze wszystkich stron komnaty.
- Jak brzmi wasz wyrok?
- Winny! – odpowiedziało zgodnie trzysta sześćdziesiąt głosów.

Sprawa była zamknięta. Veovis zadrżał, ale głowę wciąż trzymał dumnie wzniesioną, a w oczach nie zagościł błysk żalu. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej niepokornego niż dotychczas.

R'hira skierował na skazańca oczy pozbawione współczucia.

- Cechmistrzu Veovisie, czy chciałbyś coś powiedzieć, zanim ogłoszę wyrok?

Veovis napotkał wzrok starca, po czym potrząsnął głową.

- Dobrze więc. Decyzją tej Rady zostajesz pozbawiony wszelkich insygniów i usunięty z szeregów cechu. Co więcej, za piętnaście dni o godzinie siedemnastej zostaniesz przeniesiony do stosownego wieku więziennego, gdzie pozostaniesz do końca swoich dni.

Oczy wszystkich były skierowane na Veovisa. Ze swego miejsca na galerii Anna dostrzegła, z jaką godnością przyjął wyrok, i ogarnęły ją wątpliwości. A przecież był winny. To, co Anna widziała i słyszała w ciągu minionych dwudziestu dni, było jednoznaczne. Zauważyła, jak A'gaeris pochyla się do przodu. Co oznaczał ten błysk w oczach Filozofa? Czy cieszył się z powodu zwycięstwa sprawiedliwości, czy też po prostu napawał się klęską Veovisa?

Anna spuściła wzrok z niesmakiem, a potem spojrzała na Aitrusa, siedzącego w pierwszym rzędzie tuż za Veovisem.

Veovis odwrócił się, by wspiąć się na schody i opuścić komnatę, ale na jedną krótką chwilę zatrzymał się przed Aitrusem i spojrzał na dawnego przyjaciela. Anna odniosła wrażenie, że Veovis coś mu powiedział, zanim ruszył dalej, powłócząc skutymi nogami.

Anna odczekała, aż panowie zakończą obrady, po czym, kiedy cechownicy zaczęli wstawać z miejsc, a w Sali zawrzało od rozmów, szybko zeszła na dół.

Aitrus stał tam wraz z grupką cechowników, którzy, kiedy się zbliżyła, przerwali ożywioną rozmowę i skłonili się przed nią z szacunkiem.

- Co on powiedział? – niespokojnie zapytała męża.

Aitrus zawahał się, świadom tego, że koledzy podsłuchują.

- Nie tutaj, Ti'ano.

- Czy on ci groził?

Aitrus potrząsnął głową, spojrzał przepraszająco na kolegów, po czym odprowadził Annę na bok.

- No więc? – nagabywała, kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu cechowników. – Co on powiedział?

Aitrus odwrócił głowę, jak gdyby nie śmiał spojrzeć żonie w oczy.

- On mnie obwinia.

- Czy to właśnie powiedział? Że cię obwinia?

Aitrus potrząsnął głową.

- Wykrztuś to wreszcie, Aitrusie, co powiedział Veovis?

- „Powinieneś być pozwolić mi spać”. Oto co powiedział.

- Ale ty nie ponosisz winy.

- Nie? Chciałbym w to uwierzyć. Czy wiesz, o czym myślałem pod koniec rozprawy, po przedstawieniu wszystkich dowodów? Myślałem, że Veovis jest niewinny. A mimo to powiedziałem „tak” wraz z pozostałymi i posłałem go na tamtą skałę.

- Czy chcesz coś zrobić? Wnieść apelację do Rady Pięciu?

- Co mógłbym im powiedzieć? – zaśmiał się gorzko Aitrus. – Nie, muszę z tym żyć, Ti'ano. Muszę żyć ze świadomością, że mogłem się pomylić, z wiedzą o tym, że to ja wprowadziłem w ruch potężne koła maszyny sądowej D'ni, które potrafią zmiążdżyć człowieka równie łatwo, jak nasze młoty kruszą skały.

Przez chwilę stali, milcząc, wpatrzeni w siebie, po czym Anna wzięła Aitrusa pod ramię i wyprowadziła z komnaty. Kiedy przechodzili pod wielkim łukiem przed Gmachem Cechowym, rozbrzmiał dzwon na Ae'gura, wypełniając jaskinię donośnym echem.

Pan Rakeri nie żył.

**CZEŚĆ SZÓSTA**

# **Atrament w studni**

W rodzinnej posiadłości Aitrusa w D'ni odbywała się uroczystość z okazji czwartej rocznicy nadania imienia Gehnowi. Dotychczas Gehn był dzieckiem i mógł się bawić jak dziecko, ale tego dnia miał postawić pierwsze kroki w kierunku zostania cechownikiem.

Anna patrzyła ze wzruszeniem na syna. Mały Gehn, stojący wśród ważnych osobistości cechowych, sprawiał wrażenie przerażonego. Miał obcięte włosy i ubrany był w strój cechowy, duplikat tego, który miał na sobie jego ojciec Aitrus i dziadek Kahlis, stojący po obu stronach chłopca. Przed nimi, na specjalnym stole na koźle, stał Yteru, wielkich cechmistrz książek. Właśnie do tego cechu Gehn miał zostać przyjęty na czeladnika; za dwa tygodnie miał zamieszkać w Gmachu.

Dwa dni wcześniej, wiedząc, że syn jest przerażony, Anna zapytała Aitrusa, czy Gehn naprawdę już teraz musi wstępować do cechu. Była przekonana, że syn będzie straszliwie tęsknił za domem, ale Aitrus okazał się nieustępliwy. Takie było prawo D'ni, a jeżeli Gehn miał zostać uznany za D'ni i poradzić sobie w życiu, musiał przestrzegać praw cechów.

Tak więc Anna miała opuścić syna, który wcale nie był na to przygotowany. Wiedziała, że rozstanie złamie serce Gehnowi i jej, ale może Aitrus miał rację. Może na dłuższą metę wyjdzie mu to na dobre. Mimo to Anna nie mogła opędzić się od wątpliwości.

Wielki mistrz wywołał chłopca, a Anna modliła się w duchu, by Gehn zapamiętał słowa, których go nauczyła, słowa przysięgi cechowej.

Powoli, zacinając się, Gehn złożył przysięgę. Kiedy skończył, mistrz Yteru uśmiechnął się do chłopca, a potem, powolnym, dźwięcznym głosem, wymówił słowa przyjęcia do cechu.

A więc, stało się. Syn Anny został cechownikiem.

Przytuliła Gehna i powiedziała mu, jak bardzo jest z niego dumna, ale widziała w oczach syna lęk przed rozstaniem.

Aitrus pożegnał się z cechownikami i wrócił do rodziny.

- Gniewasz się na mnie? – zapytał Annę, a ona skinęła głową.

- Przepraszam cię, Ti'ano – westchnął z irytacją. – Wiesz przecież, że takie jest prawo D'ni. Nie możemy postępować inaczej. To byłoby folgowanie sobie. Wiedziałaś o tym, kiedy zostałaś D'ni.

- Wiem – odparła, zła na siebie w nie mniejszym stopniu niż na męża. – Po prostu nie przypuszczałam, że to będzie takie trudne.

- Pamiętaj, że zanim Gehn nas opuści, możemy zrobić jeszcze jedną rzecz.

- Chcesz odwiedzić Gemedet?

Aitrus potrząsnął głową.

- Kiedyś ci obiecałem, pamiętasz?

Anna nie od razu zrozumiała, ale po chwili otworzyła szerzej oczy.

- Tak, Ti'ano. Nadszedł czas, by Gehn zobaczył, skąd pochodzi jego matka.

Podróż przez tunele trwała dwa dni, a rankiem trzeciego weszli do jaskini, w której stały dwie potężne koparki.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. – Aitrus uśmiechnął się do Anny i Gehna, wskazując na czerwoną skałę w kształcie klina. – To jest pieczęć. Powierzchnia musi się znajdować tuż nad nami.

- Właśnie tędy weszłam – potwierdziła Anna. – Pamiętam dokładnie. Te maszyny... - Spojrzała na koparki z sympatią. – Czy wiesz, co sobie wtedy pomyślałam, Aitrusie?

- Nie, powiedz mi.

- Pomyślałam, że odkryła grób wielkiego króla, a to... Sądziłam, że to są szczątki jakiejś cywilizacji, dawno wymarłej rasy olbrzymów albo... - Zaśmiała się. – Jakaż byłam niemądra.

- Cieszę się, że postanowiłaś szukać, Ti'ano – powiedział Aitrus, patrząc ciepło na żonę. – gdyby nie twoja ciekawość, byłbym zgubiony.

Anna odwróciła głowę i uśmiechnęła się.

- Och, jestem pewna, że znalazłaby cię jakaś młoda panna z D'ni.

- Być może – zaśmiał się Aitrus. – Ruszajmy w dalszą drogę. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę powierzchnię.

Gehn, który do tej pory milczał, zapytał:

- Dlaczego nie połączyliśmy się z powierzchnią, tato?

Aitrus zawrócił, kucnął obok syna i zaczął wyjaśniać.

- Gdyby to był inny wiek, moglibyśmy się z nim połączyć, ale powierzchnia znajduje się w tym samym wieku co D'ni, a nie można się połączyć z miejscem w tym samym wieku.

- Nigdy? – zapytał chłopiec, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

- Nigdy – odparł cierpliwie Aitrus.

Gehn zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym zapytał:

- Ale jak wrócimy do D'ni?

Aitrus wyjął z kieszeni notes, wypełniony mapami i wykresami. Wertował go przez chwilę, a kiedy znalazł właściwą stronę, odwrócił notes do Gehna.

- Spójrz, Gehnie, to jest mapa tuneli. Po drodze robiłem notatki. Teraz wystarczy, że wrócimy tą samą trasą.

Chłopiec uśmiechnął się z zadowoleniem i podszedł do matki, która stała pod jedną z maszyn. Anna objęła syna i spojrzała na Aitrusa.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyła te koparki, była przekonana, że ten, kto je zbudował, musiał już dawno umrzeć, bo co za rasa konstruowałaby takie wspaniałe maszyny, a potem zostawiała je w skale?

Aitrus uśmiechnął się i podszedł do żony.

- Czy tędy się wspięłaś?

Anna przytaknęła.

- Wspięłaś się tędy, mam? – Gehn spojrzał na matkę z podziwem.

- Tak, a potem zeszałam do D'ni. Tylko że wtedy nie wiedziałam, że to jest D'ni. Dowiedziałam się tego znacznie później.

Anna zagłębiła się w przejściu między skałami, a Gehn ruszył za nią. Aitrus ponownie zapalił latarnię. Wiedział, co znajdowało się przed nimi – Anna już mu powiedziała – ale teraz, kiedy byli już o krok, poczuł dziwne podniecenie. Ile lat czekał na tę chwilę?

Co najmniej pięćdziesiąt.

Anna zeszała jako pierwsza i odebrała Gehna od Aitrusa. Znajdowali się w jaskini, w której przed wieloma laty zaczęła się przygoda Anny.

- Nic się tu nie zmieniło – stwierdziła.

Ruszyli dalej, zagłębili się w tunelu, aż stanęli przed zawałem skalnym.

Aitrus nastawił zegar, a potem odprowadził Annę i Gehna na bezpieczną odległość. Rozległ się huk, a cały tunel zatrzęsł się w posadach. Kiedy dym się rozwiął, Anna wzięła Gehna na ręce i ruszyła za Aitrusem, przestępując odłamki skalne.

Była noc. Na granatowym atłasie nieba świecił księżyc w pełni, otoczony miliardami mrugających gwiazd.

Aitrus stanął u wylotu tunelu i zapatrzył się na księżyc. Anna przytuliła Gehna, wskazując w górę.

- Spójrz, Gehnie, to jest księżyc.
  - Księżyc – powtórzył chłopiec, wtulając się w matkę.
- Anna uśmiechnęła się i spojrzała na Aitrusa.
- Chodź – powiedział, biorąc ją za rękę. – Poszukajmy Rezydencji.

Siedzieli na parapecie otwartego okna, patrząc ponad wąskim mostem na pustynię. Gehn spał w pokoju za nimi.

Anna nasłuchiwała przez chwilę, a potem uśmiechnęła się. Aitrus siedział tuż za nią, obejmując ją i opierając brodę na jej głowie. Anna od dawno marzyła o tym, żeby przyprowadzić tutaj Aitrusa, ale teraz miała wrażenie, że znaleźli się całkowicie poza czasem. Przytuliła się do męża, czując, jak otacza ją szczerzej ramionami.

- Czy nadal za nim tęsknisz? – zapytał cicho.

- Czasami. – Anna odwróciła głowę. – On czasem do mnie mówi, w mojej głowie.

Aitrus uśmiechnął się, ale Anna widziała, że nie bardzo jej wierzył albo zrozumiał ją tak, że myślała o ojcu i pamiętała jego słowa. Jednak Anna miała na myśli dokładnie to, co powiedziała.

Poczuła, jak Aitrus westchnął z zadowoleniem, odwróciła się i jeszcze raz spojrzała z uśmiechem na zachodzący księżyc.

- Ti'ano?

- Mhm? – mruknęła leniwie.

- Wiem, jak bardzo kochałaś ojca i jak wiele mu zawdzięczasz, ale... co z twoją matką? Nigdy o niej nie mówiłaś.

- Nie. – Sama myśl o matce sprawiała jej ból.

- Ti'ano? – Aitrus pochylił się do przodu.

- W porządku – odparła, zgarbiła się i zaczęła urywaną opowieść. – To był wypadek. Wspinaliśmy się w górach na południe stąd. Ojciec wspinał się na ścianę jako pierwszy, ja szłam za nim, a matka była ostatnia. Byliśmy połączeni liną. Ojciec chciał zbadać skały, które zauważyliśmy z dołu. Widzisz, my stale penetrowaliśmy nowe tereny.

Anna przerwała, żeby złapać tchu. Znowu ujrzała przed sobą tę scenę, tak wyraźnie, jakby wydarzyła się wczoraj, a nie trzydzieści pięć lat temu. Miała szeroko rozwarte oczy, a jej twarz wyrażała bezbrzeżne zdumienie.



Anna zebrała się w sobie i ciągnęła dalej:

- Trudną część wspinaczki matka miała już za sobą, a od krawędzi dzieliło ją zaledwie sześć, może osiem stóp. Mogłam niemal wyprostować rękę i wciągnąć ją na skałę. Uśmiechała się. Nagle poślizgnęła się. Nie rozumiem, jak to się stało. Lina powinna ją utrzymać. Przez chwilę czułam napięcie, a potem lina zerwała się jak zgniłe pnącze. Matka runęła w dół. Nie krzyknęła, tylko wpatrywała się we mnie, otwierając szeroko usta. Ojciec oczywiście czuł się winny. Powtarzał wciąż, że mógł sprawdzić linę. Był zdruzgotany.

- Przepraszam, Ti'ano – powiedział Aitrus po chwili milczenia. – Nie wiedziałem. Nie powinienem był pytać.

Anna odwróciła się i uklękła na parapecie. Łzy płynęły jej po policzkach, ale uśmiechała się czule. Delikatnie dotknęła twarzy męża.

- Nie, Aitrusie. Akurat ty powinienes o tym wiedzieć. Ty i ja nie powinniśmy mieć sekretów.

Pocałowała go czule, a jej oczy lśniły w świetle księżyca. Kiedy przerwali pocałunek, oczy Aitrusa wyrażały zachwyt.

Gehn obudził Aitrusa, potrząsając nim energicznie. Z frontowego pokoju Rezydencji wpadało oślepiające słońce, zmuszając Aitrusa do osłonięcia oczu dłonią i poszukania okularów.

- Mama zniknęła! – mówił Gehn. – Mam zaniknęła!

Aitrus włożył okulary, usiadł i przytulił przestraszonego syna.

- Nie, Gehnie. Ona na pewno wróci.

Jednak Gehn łkał niepoohamowanie, przekonany, że stracił matkę. Aitrus tulił syna, aż przestał płakać, potem wziął go na ręce i wyniósł na próg domu, skąd rozciągał się widok na dolinę.

Upadł zdumiał Aitrusa. Od świtu minęła najwyżej godzina, ale było już goręcej niż w najcieplejsze dni na Gemedet czy Ko'ah. Aitrus przypomniał sobie, jak Anna wspominała, że upał determinował całe życie na powierzchni. On sam nie wpisałby czegoś takiego do wieku, ale ktoś, wielki mistrz, który napisał Księgę Ziemi, pomyślał o tym i stworzył warunki ekstremalnego mrozu i upału.

Gehn uspokoił się, ale nadal obejmował ojca za szyję, jakby zależało od tego jego życie.

- Czy chcesz się napić, Gehnie? – zapytał Aitrus z uśmiechem.

Gehn skinął głową.

Aitrus zaprowadził syna z powrotem do środka, posadził go na parapecie i napełnił kielich chłodną, czystą wodą z dzbana, który Anna przyniosła minionej nocy. Kiedy się odwrócił, pochwycił wzrok Gehna.

- Gdzie my jesteśmy? – zapytał chłopiec, biorąc kielich z wdzięcznością.

- Tutaj mieszkała twoja matka w młodości. Tutaj się wychowała ze swoim ojcem.

- Tutaj? – zapytał zdumiony Gehn. – Ale gdzie są księgi?

- Tutaj mieszkają ludzie – zaśmiał się Aitrus. – Oni nie są tacy jak D'ni, nie mają ksiąg ani wieków. Mają tylko to.

Gehn otarł usta wierzchem dłoni, a potem spojrzał na Aitrusa.

- Ale jak oni mogli żyć, mając tylko to?

Aitrus rozejrzał się wokół siebie. Prawdę mówiąc, zadał sobie to samo pytanie. Teraz, kiedy zobaczył Rezydencję, zastanawiał się, jakim cudem Anna tutaj przeżyła.

- Dawali sobie radę – odparł w końcu, a w tym samym momencie usłyszał śpiew Anny. Śpiewała piosenkę, której nie znał, w języku, który był mu obcy.

Szybko podszedł do Gehna stojącego przy oknie i ujrzał Annę. Właśnie wyłoniła się zza szczytu wzgórza, pchając przez sobą wóz. Miała na sobie czarny płaszcz z czerwoną lamówką, z narzuconym na głowę kapturem. Na widok męża i syna pomachała do nich, a potem ruszyła dalej, kończąc piosenkę.

Aitrus podszedł do mostu, a Gehn za nim. Był straszny upał, ale jeszcze znośny. Anna weszła na most, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do Gehna. Chłopiec podbiegł do matki, wziął od niej dziwne pudełko i schował się w cieniu. Anna zdjęła kaptur i podeszła do Aitrusa.

- Powinieneś chronić głowę – powiedziała, dotykając czoła męża. – Za dziesięć minut dostaniesz udaru słonecznego.

- Udaru?

- Chodzi o upał – wyjaśniła. – Stracisz przytomność i poważnie się rozchorujesz.

- Żarty sobie ze mnie stroisz – rzekł Aitrus z uśmiechem, ale Anna była poważna.

- Tutaj jest bardzo niebezpiecznie. Ty i Gehn powinniście zakrywać możliwie największą część ciała. Pustynne słońce nie zna litości.

Aitrus skinął głową i zapytał:

- Gdzie się podziewałaś? Co to za wóz?

Anna odwróciła się, zerkając na wóz, a potem znowu spojrzała na Aitrusa.

- Poszłam po niego. Miała w nim wszystkie książki, dzienniki i inne rzeczy. Na szczęście dobrze ukryłam wóz, a pustynia zrobiła resztę. Był nietknięty, jakbym zostawiła go tam wczoraj.

- Co to była za piosenka?

- Podobała ci się? – zapytała Anna wesolo i szybko zaśpiewała kolejną zwrotkę. – Matka mnie jej nauczyła. Wcześniej nie mogła śpiewać tej piosenki, ale teraz... - Uśmiechnęła się szeroko, ujęła Aitrusa pod ramię i zaprowadziła w cień Rezydencji.

W głównym pomieszczeniu czekał na nich Gehn.

- Co to za gra? – zapytał zciekawiony, wskazując na szachownicę i leżące obok czarne i białe figury.

- To są szachy – odparła Anna, kucając obok syna. – Mój ojciec nauczył mnie w nie grać, a teraz ja nauczę ciebie.

- To znaczy, że jednak nie pójdę do Gmachu Cechowego? – ucieszył się Gehn.

- Nie, Gehnie – odparła Anna, spuszczać wzrok. – Musisz pójść, ale jeszcze nie teraz. Ty, ja i ojciec zostaniemy tu przez kilka dni, zgoda?

Gehn odwrócił buzię, nie chcąc okazać rozczarowania. Wreszcie skinął głową, spojrzał na Annę i podniósł białą królową.

- Co to jest za figura? Jakie jest jej zadanie?

Matolek...

- Osioł...

- Głuptak...

W ciemnościach sali sypialnej rozbrzmiewały nie kończące się, drwiące szepty. Gehn leżał odwrócony twarzą do kamiennej ściany, z kostkami prawej dłoni wciśniętymi w usta; próbował odrodzić się od otoczenia, ale szepty nie ustawały.

Materac, na którym spał, był zbyt cienki, a szorstkie koce drapały go w twarz. Najgorsza ze wszystkiego była jednak samotność, jaka ogarniała chłopca każdego wieczoru, kiedy drzwi sypialni się zamykały i zapadała całkowita ciemność.

To było okropne. Koledzy słyszeli płacz Gehna w ciągu pierwszych kilku nocy i wyśmiewali się z niego. Potem zaczęły się szepty, które uczyniły jego życie jeszcze bardziej nieznośnym.

W domu Gehn był przyzwyczajony do własnego pokoju, własnych gładkich prześcieradeł i koców. W kącie paliła się nocna lampka, ciepła i dodająca otuchy. Gehn wiedział, że matka jest tuż za drzwiami, gotowa utulić syna, gdyby męczyły go koszmary. Tutaj nie było nic, tylko ciemność i nie kończące się, raniące szepty.

Dlaczego oni mu to zrobili? Dlaczego? Czy był niegrzeczny? Jeżeli tak, to za nic nie mógł sobie przypomnieć, co przeszkrobał. A może rodzice przestali go kochać? Zostawienie go tutaj, pośród tych wstrętnych, złośliwych chłopaków, z pewnością stanowiło pewien rodzaj kary.

Gehn pamiętał nienaturalnie surową twarz ojca, kiedy rozmawiał z nim tamtego wieczoru przed przyjazdem tutaj.

- Musisz być dzielny, Gehnie. Taka jest tradycja D'ni. Na początku może być ci trudno, ale zapewniam cię, że się przyzwyczaisz.

Obiecanki cacanki. Najgorsze jednak okazało się rozstanie z matką. Gehn kopał i wrzeszczał, opierał się cechownikom, aż musieli wziąć go na ręce i zanieść do powozu.

Od tamtego czasu minęły dwa tygodnie, dwa tygodnie nieprzerwanej tęsknoty za domem i nocnej udręki.

Chociaż szepty się nasilały, Gehn spróbował sobie przypomnieć poranną lekcję. Wcześniej prawie już uważał się za głupca, uwierzył chłopcom, którzy okrzyknęli go matołkiem i twierdzili, że ma w głowie siano. Dopiero tego dnia zaczął rozumieć, co robił w Gmachu Cechowym, ponieważ właśnie dziś zobaczył mistrza Urrena.

Gehn uczył się w grupie ośmiu chłopców, z których najstarszy miał siedem lat, a najmłodszy był on. Przeważająca część programu nauczania dotyczyła spraw zupełnie podstawowych, w rodzaju tych, których uczyła go w domu matka, ale tematem dzisiejszego wykładu było pismo i atrament.

Mistrz Urren, wizytujący wykładowca z Cechu Wytwórców Atramentu, był potężnie zbudowanym, niezgrabnym mężczyzną. Miał pociągłą ptasią twarz i krzaczaste brwi, które zdawały się tworzyć ciągłą linię. Kiedy mówił, wpatrywał się w przestrzeń jak w transie, a potem nagle wpijał wzrok w jednego z uczniów, całkowicie

go zaskakując. Jednak to nie spojrzenie, ale słowa Urrena obudziły Gehna tego ranka.

Gehn zamknął oczy i wyraźnie zobaczył mistrza Urrena, który, z prawą dłonią zaciśniętą w pięść, recytował litanię Wytwórców Atramentu:

- Co wiąże słowo ze światem? Atrament!
- Co spala most między wiekami? Atrament!
- Co tworzy żywą ciemność między dwoma światami? Atrament?

Następnie, ku zdumieniu uczniów, Urren wyjął wielki kałamarz, z którego zaczerpnął garść drobnych, ciemnych granulek.

- Technologia wyrobu atramentu jest trzymana w najgłębszej tajemnicy, podobnie jak technologia wyrobu papieru. Każdy z was pozna je w odpowiednim czasie. Najpierw jednak musicie dowieść, że jesteście godni powierzenia wam takiego sekretu, ponieważ w wytwarzaniu papieru i atramentu leży klucz do ogromnej władzy, władzy stwarzania światów!

Urren grzmiał dalej z katedry, a Gehn wpatrywał się w mistrza z szeroko otwartymi ustami, zdumiony mocą jego słów. Nagle pojął, co miał na myśli ojciec. Oto co oznaczało bycie cechownikiem. Do tej pory Gehn uważał to za rzecz zupełnie pozbawioną sensu. Dopiero w tej jednej płomiennej chwili zrozumiał.

Gehn odwrócił się na plecy, pozwalając, by dłoń opadła mu na pierś. Szepty ustały, a w ciemnym pokoju rozległo się ciche chrapanie.

Tajemnice. Gehn miał zostać spadkobiercą cudownych tajemnic. Nauka mogła potrwać nawet dwadzieścia lat, ale w końcu Gehn będzie wiedział tyle co mistrz Urren, a w jego oczach zapłoni ten sam dziki ogień wiedzy i pewności.

Gehn zadrżał, potem otarł twarz dłonią i wyszeptał bezgłośnie w ciemnościach:

- Taka jest tradycja D'ni.

Wytwórnia atramentu płonęła wysokie płomienie strzelały w ciemne niebo, rozświetlając sklepienie jaskini prawie na wysokość mili. Gehn stał na kamiennym parapecie i wyglądał przez okno na dachy górnego miasta. Koledzy tłoczyli się wokół niego, ale Gehn stał na samym przedzie, zaciskał dłonie na masywnej ramie okna bez szyb i patrzył na pożar.

Wybuch usłyszeli dwadzieścia minut wcześniej, ale wtedy nie rozumieli, co się działo. Teraz wiedzieli. Ktoś podłożył bombę w samym środku wytwórni atramentu. Wielu ludzi straciło życie, a jeszcze więcej zaginęło.

W ciągu minionych ośmiu tygodni często powtarzały się dziwne incydenty. Napadano na starszych cechowników, plądrowano biura, a najgorsze ze wszystkiego było to, że zniknęły trzy Kortee'nea, puste księgi, wraz z dużym zapasem pomniejszych ksiąg łączących. Konserwatorów postawiono w stan pogotowia, ale jak dotąd nikt nie widział, kto stał za tymi aktami sabotażu.

A teraz ten pożar.

Ktoś krzyknął w korytarzu. Chłopcy odwrócili się i ujrzeli mistrza dyżurnego, który pędził do nich korytarzem, dziko wymachując rękami.

- Chłopcy, chłopcy! Natychmiast odsuńcie się od okna!

Uczniowie posłusznie zeszli z parapetu, ale Gehn zauważył, jak mistrz wpatrywał się w pożar; pomarańczowy blask odbił się w jego jasnych oczach, a na twarzy starca malował się lęk.

Aitrus nie czekał na wezwanie, ale udał się prosto do Gmachu Cechowego. Zgromadzili się tam już wszyscy członkowie Komisji Nadzwyczajnej z wyjątkiem dwóch czy trzech, którzy przybyli na miejsce po Aitrusie. Pan R'hira otworzył zebranie. W tym samym momencie do sali wszedł pośpiesznie mistrz z Cechu Konserwatorów, skłonił się przed R'hirą i zameldował o aktualnej sytuacji w wytwórni atramentu.

Piętnastu cechowników straciło życie, a ośmiu uznano za zaginionych. Było za wcześnie, żeby mieć pewność, ale najprawdopodobniej skradziono duży zapas atramentu.

- Ale jak to było możliwe? – zapytał mistrz Jadaris, kiedy jego człowiek zaczął mówić.

- Ktoś łączy się z różnymi miejscami w D'ni – odparł wielki mistrz Jerahl. – Ktoś, kto ma dużą wiedzę na temat cechów.

- Ktoś? – spytał R'hira i powiódł wzrokiem po zebranych. – A może mamy do czynienia z kilkoma łotrami? Zwróćcie uwagę na wzór, w jaki układają się ataki. Napadnięto nie na jeden, ale na sześć cechów, a kto wie, co będzie kolejnym atakiem? Jedyne, jaka łączy te zdarzenia, to doskonała orientacja napastników

w strukturze pracy cechów. Dokładnie wiedzą, które miejsca są podatne na zranienie, a także gdzie i kiedy uderzyć.

- Veovis?

Oczy wszystkich zwróciły się na Aitrusa, który wymówił to imię.

- Wykluczone – powiedział po chwili Jadaris. – Tam gdzie go umieściliśmy, jest bardziej niż bezpieczny.

- Czyżby? – zapytał R'hira, pochylając się w stronę wielkiego mistrza. – Kiedy sprawdzałeś go po raz ostatni?

- Trzy tygodnie temu, tuż po pierwszym z tych incydentów.

- Ale przed kolejnymi, tak?

Jadaris przytaknął, ale potem potrząsnął głową.

- Nie, nie mogę w to uwierzyć. Jeśli jednak moi cechownicy zgodzą się sprawdzić...

- Zrób to, mistrzu Jadarisie – powiedział R'hira. – I powiadom mnie o wynikach.

Jadaris uklonił się R'hirze i wyszedł z Sali. R'hira powiódł wzrokiem po zebranych.

- Kimkolwiek są tajemniczy napastnicy, a nie wolno nam wyciągać pochopnych wniosków, zanim nie nabierzemy pewności, ich celem jest wytworzenie atmosfery strachu, a czyż istnieje lepszy sposób niż dokonanie serii bezsensownych aktów przemocy?

- Czy twoim zdaniem właśnie z tym mamy do czynienia? – zapytał mistrz Jerahl.

- Owszem, jest jednak coś, o czym nikt z was nie wie. Coś, co Rada Pięciu utrzymywała w tajemnicy. W obliczu tego ostatniego skandalu uznaliśmy, że powinniście o tym wiedzieć. – R'hira zrobił znaczącą przerwę, spojrzał na dłonie i powiedział: - Zbezczeszczono jedną z pięciu wielkich ksiąg, księgę mistrza Talashara. Prawdę mówiąc, struktura tekstu została tak uszkodzona, że wiek utracił stabilność i obawiamy się, iż wkrótce ulegnie samozagładzie.

Zebrani nie ukrywali przerażenia. Sprawdziła się jedna z najgorszych obaw mistrzów: ktoś uszkodził wiek, a w dodatku jeden z pięciu „Klasyków”, tych starodawnych, przepięknych wieków stworzonych przez największych pisarzy D'ni.

- Kto mógłby zrobić coś podobnego? – zapytał Hajjhr z Cechu Murarzy. Jego twarz wyrażała szok, jaki odczuwali w tym momencie wszyscy zgromadzeni.

- Nie potrafię tego z pewnością stwierdzić – odparł R'hira – ale zaczynam coś podejrzewać. Jeżeli sprawcą jest Veovis, to według mnie nie działa w pojedynkę. I jeszcze jedno: nowe fragmenty księgi zostały napisane ręką mistrza Talashara.

- Ależ on umarł ponad sześć tysięcy lat temu – zawołał Jerahl, wyrażając myśli wszystkich.

- Otóż to – odparł R'hira. – A jednak atrament ma tylko trzy tygodnie.

- Uważam, że powinniśmy odnaleźć A'Gaerisa i zatrzymać go do wyjaśnienia tej sprawy – powiedział po chwili Aitrus.

- Sądzisz, że maczał palce w tej sprawie? – zapytał Hajjhr.

- Niewykluczone, że jest niewinny, ale osobiście wątpię – odparł Aitrus, wzruszając ramionami. – Zaczynam podzielać wątpliwości pana R'hiry.

- A Veovis? – zapytał Jerahl.

- Możliwe, że mimo wszystko pan Veovis był niewinny.

Cechmistrz Jadaris zatrzymał się przy zewnętrznej bramie i poczekał, aż mistrz kluczy otworzy starodawne drzwi, prowadzące w głąb ziemi.

Żadna część D'ni nie leżała głębiej w skale niż ta, żadna część wielkiego miasta nie była bardziej zabezpieczona. Pochyły tunel prowadził od bramy wewnętrznej do Bramy Zdrajców, na głębokości dziesięciu piędzi. Tam, w jaskini wydrążonej przez ponad trzema tysiącami lat, znajdowały się cele.

Jadaris ruszył długim chodnikiem między celami. Wszystkie z wyjątkiem jednej były puste. Chociaż za bramą wewnętrzną znajdowało się piętnaście cel, używano tylko nielicznych. D'ni byli zdyscyplinowanym społeczeństwem, a wykroczenia, które karano uwięzieniem w wieku więziennym, zdarzały się bardzo rzadko.

- On musi tutaj być – mruknął do siebie Jadaris, stanął przed celą Veovisa i poczekał, aż mistrz kluczy otworzy drzwi.

Jednak słowa R'hiry zaniepokoiły Jadarisa. Pan R'hira nie działał pod wpływem kaprysu. Jeżeli nabrał podejrzeń, to z pewnością miał rację. Mimo to Jadaris nie mógł uwierzyć, że Veovis nie znajdował się w wieku.

Kiedy drzwi się otworzyły, Jadaris precyzyjnie się obok mistrza kluczy, tak spieszo mu było do wyjaśnienia sprawy.

Jedynymi sprzętami w celu było drewniane krzesło i stół, na którym leżała otwarta książka, umożliwiająca nadzorowanie wieku więziennego.



Jadaris nachylił się nad książką. W tabliczce nie było ani śladu Veovisa przy biurku w wieku więziennym.

Jadaris spojrział na oddział strażników i skinął głową.

- Wchodzimy.

Mistrz Jadaris pojawił się w metalowym pokoju. Podłogę w komnacie łączącej pokrywały metalowe płytki, a sześć ścian miało barwę metalicznoniebieską, niemal czarną. W komnacie nie było okien ani ozdób, z wyjątkiem jednej dużej tablicy naprzeciwko Jadarisa. Płytki na suficie jarzyły się słabym blaskiem. Na środku podłogi stał sześciokątny postument, na którym leżała księga łącząca. Sprawiała wrażenie nietkniętej.

W celu pojawili się uzbrojeni konserwatorzy w maskach, ze zbiornikami powietrza na plecach, gotowi zmierzyć się z każdym przeciwnikiem.

Jadaris stanął pośrodku, a uzbrojeni ludzie ustawili się pod ścianami po jego bokach. Na znak dany przez Jadarisa pierwszy asystent podszedł do tablicy, przytknął płaski „kwadrat łączący” do wgłębienia, po czym się cofnął.

Sześć bolców cofnęło się z głośnym łoskotem, a drzwi powoli wsunęły się z sykiem w podłogę.

Do celi napłynęło zimne powietrze. Za drzwiami widniał metalowy chodnik. Jadaris pociągnął nosem, skrzywił się z niesmakiem, wreszcie wyszedł na chodnik i spojrział w górę. Niebo groźnie pociemniało, a zimowe słońce skryło się za ciężką chmurą.

Na wprost niego znajdowała się wyspa. Jadaris patrzył na nią, zastanawiając się, co Veovis pomyślał, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy i zrozumiał, że ma tu zamieszkać do końca życia.

Wyspa była wielkim stożkiem czarnej skały wulkanicznej, sterczącym z czarnego, oleistego morza. Na samym szczycie wznosiła się wieża o gładkich, pozbawionych okien ścianach. Metalowy chodnik, biegnący pięć czy sześć stóp nad wodą, łączył komnatę z wyspą. Od chodnika do wielkich drzwi wieży prowadziły stopnie wykute w skale.

Z lewej strony Jadarisa powiał zimny wiatr, zmarszczył powierzchnię wody i zmusił mistrza do szczelniejszego otulenia się płaszczem.

- Chodźcie – rzucił do swoich ludzi. – Zobaczymy, co jest do zobaczenia.

Wielkie drzwi były zamknięte. Kiedy główny strażnik odszukał właściwy klucz i wsunął go do zamka, Jadaris potrząsnął głową. To było niemożliwe, po prostu niemożliwe. Jednak w miarę, jak chodzili od pokoju do pokoju, pewność opuszczała mistrza. W pokoju na szczycie stał stół, na którym znaleźli posiłek, który leżał tam już od kilku tygodni i zdążył zgnić. Tuż obok leżały trzy księgi łączące.

Jadaris podniósł pierwszą księgę. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło, ale Veovis został uwolniony.

Mistrza zdrzął, pełen najgorszych przeczuć. Trudno było stwierdzić, kto zasługiwał na zaufanie.

Jadaris otworzył księgę łączącą i przeczytał kilka linijek. Słowa prowadziły z powrotem do D'ni, a przynajmniej tak się wydawało. Mógłby to bez trudu sprawdzić, posyłając jednego ze strażników, ale czegoś takiego się nie praktykowało. Cech nie posyłał swoich ludzi do wieku bez księgi łączącej, dzięki której mogliby wrócić.

Jadaris wpatrywał się w słowa nie widzącym wzrokiem, błędził myślami daleko, aż nagle wyprostował się. Zmiotł zgniłe jedzenie na podłogę, położył księgę na miejscu i otworzył na tablicy opisowej. Uśmiechnął się do swoich ludzi i mocno oparł dłoń na tablicy.

W powietrzu unosił się gryzący zapach dymu. Veovis, okryty płaszczem i z kapturem na głowie, szedł ścieżką w stronę bramy. Wąskie uliczki dolnego miasta były dziwnie zatłoczone jak na tak późną godzinę; ludzie wychodzili na progi domów, żeby patrzeć, jak cechownicy walczą z pożarem w górnym mieście. Ogień odbijał się w oczach Veovisa, ale nikt nie zwrócił uwagi na samotną postać. W jaskini rozgrywały się wielkie wydarzenia. Wszyscy słyszeli wybuch, a z górnego miasta nieprzerwanie napływały nowe wieści. Niektórzy twierdzili, że zginęło aż stu cechowników.

Veovis przekroczył bramę i spojrzał na pożar, szalejący w górze, nieco na lewo. Policzką Veovisa szarpnął tik. Strażnik przy bramie ledwo na niego spojrzał, całkowicie pochłonięty pożarem wytwórni atramentu. Veovis szedł przez zaaferowany tłum niczym cień.

Brama górnego miasta znajdowała się tuż przed nim.

Anna założyła buty, wstała i rozejrzała się po pokoju. Prawda, płaszcz, powinna mu zanieść płaszcz.

Podeszła do komody i wyjęła jeden z płaszczy Gehna. Potem, wiedząc, że jeśli będzie się zbyt długo wahała, to zmieni zdanie, szybko wyszła z pokoju, przebiegła przez korytarz i wyszła z domu.

Anna zatrzymała się i spojrzała na szalejący w dole pożar. Nie wiedziała jeszcze, co to wszystko oznaczało dla D'ni, ale ten widok pomógł jej podjąć decyzję. Postanowiła sprowadzić Gehna do domu, czy się to podobało Aitrusowi, czy nie. To wszystko trwało już stanowczo za długo.

Pobiegła ulicami, ale okazało się, że zaułek prowadzący do Gmachu Cechowego jest zabarykadowany przez oddział konserwatorów, którzy zagradzali drogę grupce gapiów. Anna błagała, żeby ją przepuścili, ale strażnicy okazali się nieugięci. Zawróciła więc, zastanawiając się, czy istnieje inny sposób dostania się do Gmachu.

Anna skierowała się w stronę bramy. Naprzeciwko niej szedł człowiek w płaszczu z kapturem, z głową nisko zwieszoną, jak gdyby był czymś bardzo zaabsorbowany. Annie wydał się trochę dziwny, a kiedy obcy ją mijał, na chwilę pochwyciła jego wzrok.

Odwróciła się zdumiona.

Veovis! To był Veovis!

Nie, to wykluczone.

Anna przełknęła ślinę, zrobiła dwa kroki i zawołała:

- Panie?

Nieznajomy nie stanął, ale przeciwnie, przyspieszył kroku i zniknął w bocznej uliczce.

Po chwili wahania Anna podążyła za nim.

Skręciwszy za róg, pomyślała, że go zgubiła. Po chwili jednak na końcu wąskiego zaułka mignęła jej ciemna postać, która weszła w boczną bramę jednej z posiadłości.

Anna stanęła, rozejrzała się, ale zaułek był pusty. Jeżeli chciała się dowiedzieć, co się działo, mogła liczyć tylko na siebie.

Powoli, ostrożnie podeszła do bramy. Buzujący za jej plecami ogień rzucał pomarańczowe i czarne cienie. Na bramie wisiała rozerwana kłódka. Anna naprała na drzwi i pchnęła.

Wewnątrz zobaczyła mały dziedziniec otoczony ścianami, a w głębi otwarte drzwi. Anna stanęła w progu i zaczęła nasłuchiwać. Cisza. Wślizgnęła się do pomieszczenia, które najwyraźniej pełniło funkcję kuchni. Dom był ciemny, opuszczony, a raczej zabity deskami. Pokój oświetlał tylko odległy pożar, w którego blasku wszystkie zakryte sprzęty wyglądały nierealnie.

Anna niemal bezszelestnie przeszła przez pokój. Do wielkiego holu posiadłości prowadziły drzwi. W holu panował mrok, ale w głębi znajdowały się wielkie schody, wiodące na drugie piętro. Przez wysokie okno na półpiętrze wpadał jasnoczerwony blask pożaru.

Anna nasłuchiwała przez chwilę, po czym zmarszczyła brwi. Może to jej się wydawało? Może on tu wcale nie wszedł? Ostatecznie było ciemno, a ona stała w sporej odległości.

Przez chwilę zastanawiała się, do kogo należał ten dom i dlaczego został opuszczony. Na ścianach wisiały portrety, ale większość z nich skrywał cień. Tylko jeden, wiszący na półpiętrze obok wielkiego okna, widziała wyraźnie, ale przedstawiał zupełnie obcą jej twarz. Mógł to być właściwie każdy.

Po drugiej stronie holu znajdowały się dalsze pokoje. Anna szybko podeszła i zajrzała w gęsty mrok. Znowu nic.

Już miała poniechać tych bezowocnych poszukiwań, kiedy w pokoju na górze rozległo się głośne uderzenie metalu o drewno.

Anna poczuła, jak jej serce przyspiesza. Nie powinna tu była wchodzić, w każdym razie nie sama. Jeżeli nieznajomy faktycznie był Veovisem, to zdołał uciec, a jeśli uciekł...

Zrozumiała, że grozi jej niebezpieczeństwo, ale nie mogła się powstrzymać, nie teraz. Obudziła się w niej żyłka badacza. Musiała się upewnić, czy to był on, a jeśli tak, to do czego zmierzał.

Podeszła do schodów i spojrzała w górę. Czy paliło się tam słabe światło, czy tylko jej się to wydawało?

Anna powoli zaczęła się wspinać na schody, gotowa w każdej chwili wybiec z domu. Rozległy się dalsze hałasy, odgłosy przedmiotów chowanych do worka lub torby. Na zakręcie schodów Anna stanęła i spojrzała na portret. Już miała pójść dalej, kiedy zrozumiała.

Obraz przedstawiał A'gaerisa albo kogoś z jego przodków. Mężczyzna miał te same zbolące oczy, długie brwi i zaczesane do tyłu przerzedzone włosy.

A więc to była kiedyś twoja posiadłość, Filozofie, zanim upadłeś.

To był klucz do zagadki. Anna nabrała pewności, że nieznajomy to Veovis, a A'gaeris pomógł mu uciec z więzienia. Jeszcze nie wiedziała, jak do tego doszło, ale nie traciła nadziei, że to odkryje.

Wspięła się na ostatnie stopnie, stanęła z dłonią oparta na poręczy i zaczęła nasłuchiwać. Odgłosy dochodziły z lewego końca holu. Wszystkie drzwi po prawej były zamknięte, a zatem światło, które widziała z dołu, nie było blaskiem pożaru. Dochodziło z pokoju w lewej części korytarza.

Anna wzięła głęboki wdech i ruszyła w stronę światła. Zdążyła zrobić dwa kroki, kiedy z pokoju w głębi korytarza wyszedł Veovis i położył plecak na podłodze. Anna zamarła, przekonana, że ją zobaczy, ale Veovis nawet nie spojrzał w jej stronę. Pociągnął nosem i wrócił do pokoju.

Anna cicho odetchnęła i ruszyła dalej.

Zatrzymała się przed drzwiami pierwszego pokoju i spojrzała w głąb korytarza. Obawiała się, że Veovis wyjdzie lada chwila i ją zobaczy, ale po chwili usłyszała, jak pogwizduje cicho do siebie, chodząc po pokoju.

Anna odwróciła się i zajrzała do gabinetu. Wszystkie ściany były zastawione książkami. W kącie stało wielkie biurko, a na nim lampka z kloszem z różowego szkła, w którym płonęła ognista kulka. W blasku lampy Anna ujrzała zarys księgi łączącej z jasną tabliczką opisową.

Po chwili wahania Anna podeszła do biurka i położyła dłoń na tabliczce.

Veovis pochylił się, zawiązał plecak i zarzuciwszy go na ramię, ruszył korytarzem do gabinetu.

Zastał pomieszczenie w takim stanie, w jakim je zostawił. Rozejrzał się i zgasił ognistą kulkę w lampie. W miarę jak w pokoju zapadł mrok, blask tabliczki i księgi łączącej nasilał się, aż Veovis odniósł wrażenie, że patrzy przez małe okno. Wyciągnął rękę, jakby chciał zgasić tabliczkę. W gabinecie panowała ciemność, a potem kwadrat jasnego światła ponownie wyłonił się spod rozplywającej się dłoni Veovisa.

W pustym pokoju panowała cisza.

Anna obserwowała przez okno najdziwniejszy widok, jaki w życiu widziała. Nie chodziło tylko o to, że niebo miało kolor ciemnej purpury, ani o to, że morze poruszało się powoli, kleiście, jak oliwa w misce. Chodziło o zapach tego wieku, ohydny, zgniły zapach, który zdawał się przenikać wszystko.

Komnata, z którą Anna się połączyła, została wykuta u podstawy wyspy, tworząc swego rodzaju podpiwniczenie. Wiedząc, że Veovis prawdopodobnie połączy się z nią, szybko wyszła z pokoju. Wbiegła krętymi metalowymi schodami na galerię, skąd przez okna z grubego szkła rozciągał się widok na podwodny krajobraz, pełen dziwnych, ciemnoskórych stworzeń o jasnoczerwonych oczach i kolczastych płetwach.

W połowie galerii, naprzeciwko okien, Anna dostrzegła wielki, okrągły, metalowy wąż. Był otwierany za pomocą koła, jak na okręcie. Anna minęła go i pobięła dalej.

Kolejne schody prowadziły z galerii do zespołu przestronnych pokojów, z sześciokątną komnatą pośrodku, pełniącą funkcję gabinetu. Dwie ściany były zastawione książkami od podłogi po sufit. Na drewnianej podłodze poniewierały się starodawne książki w skórzanych oprawach. Pod ścianą z surowego kamienia, obok jednych z trojga drzwi, stało około tuzina dużych, nie oznakowanych skrzyń. Na środku gabinetu zsunięto razem dwa duże biurka, zawałone szczegółowymi mapami D'ni, planami miast, systemami kanalizacji. W kącie, na mocnym łańcuchu przymocowanym do niskiego sufitu, wisiała złota klatka, w której siedział okrutnie wyglądający ptak drapieżny. Na widok Anny rozpostarł czarne, lśniące skrzydła, jak gdyby zamierzał się na nią rzucić. Po chwili skulił się znowu i przyglądał się jej uważnie, mrugając od czasu do czasu.

Od zespołu pokojów do komnaty, w której stała Anna, prowadził długi, ciemny korytarz. Komnata, znajdująca się na skraju wyspy, miała przeszklony ściany i spadzisty sufit. Przez szyby w górze Anna widziała dalsze pokoje i balkony, opasujące wyspę warstwa po warstwie.

Tak samo jak na K'veer – pomyślała, zastanawiając się, czy Veovis miał swój udział w projektowaniu tego wieku.

Na samym szczycie wyspy, a raczej na tym samym poziomie co szczyt, Anna dostrzegła iglicę wieży, sterczącą z samego środka skały.

Po chwili odwróciła się od okna. Przed sobą miała troje drzwi. Pierwsze prowadziły na korytarz, drugie wychodziły na mały magazyn, a trzecie biegiły prosto w głąb skały, być może do samej wieży.

Anna otworzyła ostatnie drzwi. Kręte kamienne schody prowadziły w głąb skały. Już miała na nie wejść, kiedy z pokoju po prawej dobiegł hałas. Usłyszała ciężkie łupnięcie, a potem pogwizdywanie Veovisa, rozbrzmiewające coraz głośniejsze.

Anna zamknęła cicho drzwi i podbiegła do środkowych. Klatkę schodową mogła zbadać później. Teraz ważne było to, żeby Veovis jej nie znalazł.

Wślizgnęła się do magazynu i zamknęła za sobą drzwi. W tym momencie na korytarzu rozległy się kroki Veovisa, wchodzącego do pokoju sąsiadującego z magazynem.

Aitrus zdjął płaszcz i odwrócił się do matki.

- O co chodzi? – zapytał.

- O Ti'anę. Nie wiem, gdzie ona jest, Aitrusie. Jeden ze służących widział, jak wychodziła godzinę temu.

- Wyszła? W takiej sytuacji?

Tasera skinęła głową.

- Posłałabym kogoś za nią, gdybym wiedziała, ale Ti'ana nie zostawiła żadnej wiadomości.

- Poczekaj tutaj – powiedział Aitrus, marszcząc brwi. – Myślę, że wiem, dokąd mogła pójść.

- Wiesz?

- Nie mam pewności, ale Ti'ana była nieszczęśliwa w ciągu ostatnich miesięcy. Bardzo tęskniła za Gehnem.

- Wszyscy za nim tęskniliśmy.

- Tak, ale Ti'ana bardziej niż ktokolwiek. W zeszły tydzień zapytała mnie, czy Gehn mógłby wrócić do domu. Myślę, że mogła po niego pójść.

- Nie pozwolono by jej na to.

- Czy sądzisz, że ktokolwiek powstrzymałby Ti'anę, jeśli zdecydowałaby się go zabić?

Tasera potrząsnęła głową.

- Cóż, pójdę jej poszukać. Poczekaj tutaj, mamó. Jeżeli nie znajdę jej w Gmachu Cechowym, wrócę natychmiast. Nic się nie martw. Jestem pewien, że nic jej się nie stało.

Jeden ze strażników stojących na barykadzie przypomniał sobie Annę.

- Była bardzo uparta, ale zakazano nam przepuszczać kogokolwiek, nawet cechowników, bez specjalnego zezwolenia. Odeszła stąd jakąś godzinę temu.

- Czy zauważyłeś dokąd?

Młody strażnik skinął głową i wskazał na zaułek.

- Wróciła tą samą drogą, którą przyszła, potem skręciła w lewo pod łuk. Wyglądało na to, że zmierza w kierunku zachodniego sektora.

Aitrus podziękował strażnikowi i odwrócił się. Jeżeli Anna zamierzała wrócić do domu, to przypuszczalnie poszła dalej tą ulicą, a potem na skróty. Chyba że postanowiła dostać się do Gmachu Cechowego inną drogą.

- Do domu – powiedział do siebie Aitrus. Postanowił, że najpierw sprawdzi, czy Anna przypadkiem nie wróciła do domu. Potem, jeśli jej nie zastanie, pójdzie do Gmachu Cechowego i zapyta o żonę.

Anna skuliła się pod ścianą, starając się nie wydawać żadnego odgłosu.

Veovis był tuż za drzwiami. Przystanął i wciągnął powietrze.

- Dziwne – powiedział. – Bardzo dziwne.

Anna zamknęła oczy. W każdej chwili mógł otworzyć drzwi i zobaczyć ją, a wtedy...

Nagle usłyszała, jak drzwi na korytarz otwierają się, poskrzypując, a potem zamykają się. Veovis poszedł w głąb korytarza.

Anna odetchnęła głęboko i otworzyła drzwi na oścież. Pokój zewnętrzny był pusty, rozjaśniony dziwnym, fiołkowo-różowym światłem z nieba. Już miała wyjść, kiedy po prawej stronie dostrzegła dwie półki, wsunięte głęboko w ścianę. Wcześniej ich nie zauważyła, ale teraz podeszła, zdumiona ich zawartością.

Księgi łączące! Tuziny ksiąg łączących! Anna otworzyła jedną z nich. Ta księga łączyła z D'ni! Pospiesznie sprawdziła inną. Ta również zdawała się łączyć z D'ni. Anna przewertowała kolejno pozostałe tomy.



Wszystkie książki z górnej półki łączyły z różnymi miejscami w D'ni; z pokojem w Gmachu Cechowym, piwnicą w jednym z domów, magazynami i pomieszczeniami dla służby, a jedna łączyła bezpośrednio z wielką komnatą Rady w Gmachu Cechowym.

A więc w ten sposób to robili! To Veovis stał za serią incydentów, które wydarzyły się w ciągu ostatnich tygodni.

Veovis i A'gaeris.

Księgi na dolnej półce były puste; dopiero czekały na wykorzystanie. Anna naliczyła czterdzieści osiem takich ksiąg.

Patrzyła na księgi w najwyższym zdumieniu. W jaki sposób udało im się zgromadzić tyle pustych ksiąg? Czy zaopatrywał ich Suahnir? A co z nim? Zniknął pięć lat temu, sądzono, że nie żyje, ale czyżby i on był tutaj?

Anna nie była pewna, co zamierza zrobić, kiedy łączyła się z tym miejscem. Chciała rzucić okiem, a potem wrócić. Teraz jednak, kiedy zobaczyła księgi...

Muszę ich powstrzymać – pomyślała. – Strażnik mówił o piętnastu zabitych. Nie ulega wątpliwości, że jeszcze więcej osób zginie, jeżeli ich nie powstrzymam.

Ale jak?

Anna spojrzała na księgi i skinęła głową. W jej umyśle zaczął się formować plan.

Veovis stał na końcu kamiennego nabrzeża i patrzył na pobliską skałę, która sterczała jak biały emaliowany ząb z oleistego, jasnozielonego morza. Na poszarpanym wierzchołku, na tym samym poziomie co Veovis, spoczywała okrągła, szaroniebieska platforma.

Veovis spojrzał na zegarek, powoli przekręcił wskazówkę w prawo, w lewo, potem znowu w prawo. Odczekał chwilę, nasłuchując, aż koła zębate pod jego stopami zaskoczą. Potem nacisnął przycisk na zegarku.

Metalowy chodnik wysunął się z kamiennego nabrzeża i z głośnym chrupnięciem połączył się z platformą.

Veovis czekał w napięciu, opierając się pokusie ponownego spojrzenia na zegarek. Nagle w powietrzu nad platformą pojawiła się postać A'gaerisa.

Filozof zamrugał, zdezorientowany spojrzał w niebo, a potem spojrzał na Veovisa, uśmiechnął się szeroko i podniósł w górę księgę łączącą, którą posłużyli się

Veovis i Anna. Jeszcze pięć minut wcześniej ta księga leżała w gabinecie w opuszczonym domu w D'ni.

Dwaj mężczyźni spotkali się w połowie chodnika. Uścisnęli się jak najbliżsi przyjaciele, a za ich plecami na platformie pojawiła się trzecia postać.

Był to Suahnir.

Anna obserwowała przez północne okno wieży, jak trzech mężczyzn wita się, a potem wraca wzdłuż nabrzeża, Veovis i A'gaeris ramię w ramię, a Suahnir o krok czy dwa za nimi.

Przez cały czas myślała o księgach łączących w D'ni; zadawała sobie pytanie, dlaczego zostawili otwarte drzwi do tego wieku. Teraz rozumiała. A'gaeris przybył w ślad za Veovisem, wziął księgę, by następnie, za pomocą drugiej księgi łączącej, ukrytej gdzie indziej, połączyć się z powrotem ze skałą.

Chodnik wsunął się z powrotem w nabrzeże. Gdyby ktokolwiek próbował połączyć się z tym wiekiem, zostałby uwięziony na skale, bez możliwości przedostania się na wyspę.

Anna cofnęła się od okna, odwróciła się i rozejrzała po dużym, okrągłym pokoju, który najwyraźniej pełnił funkcję laboratorium. Pośrodku stały trzy długie drewniane ławy, tworzące literę H, na których leżały błyszczące mosiężne sprzęty. Na szerokich półkach, biegnących wzdłuż zakrzywionych ścian, stały butelki i zakorkowane słoiki z odczynnikami chemicznymi, a na oddzielnych półkach – księgi. Anna podejrzewała, że są to księgi cechowe, skradzione z bibliotek D'ni.

Podeszła do półek, podnosiła kolejne przedmioty i dokładnie je oglądała. Wyrzała przez południowe okno. Morze rozciągało się płasko po horyzont. Ciemnozielona powierzchnia przechodziła w czerń, tak że w miejscu, gdzie woda stykała się z fioletowo-różowym niebem, powstawała jakby szczelina w rzeczywistości.

Tuż pod wieżą ziemia opadała stromo ku wodzie, ale w jednym miejscu ciemna, wypolerowana skała wchodziła w morze. Na jej końcu wisiała klatka wielkości człowieka, częściowo zanurzona w wodzie.

Na jej widok Anna zmarszczyła brwi.

Odwróciła się i spojrzała na pokój. Były tu tylko jedne drzwi, a w dół prowadziły tylko jedne schody. Masywne drewniane drzwi zaopatrzone w pojedynczą zasuwę, którą można było zamknąć od środka.

- Doskonale – powiedziała cicho Anna i uśmiechnęła się do siebie. – Absolutnie doskonale.

Veovis zamknął drzwi gabinetu i podszedł do przyjaciół. Byli pogrążeni w rozmowie i pokazywali na mapie miejsca kolejnych ataków.

Veovis patrzył przez chwilę na A'gaerisa i Suahnira, potem ominął ich i podniósł jedną z dwóch toreb, które przyniósł z D'ni.

- Proszę – powiedział, wręczając torbę A'gaerisowi. – Tym razem przyniosłem wam trochę rzeczy.

A'gaeris zajrzał do torby, wybuchnął śmiechem i wyjął ciemnoczerwony płaszcz Cechu Pisarzy.

- Pomyśleć, że kiedyś cenilem go ponad wszystko!

A'gaeris potrząsnął głową, prychnął z obrzydzeniem, a potem niedbale zarzucił sobie płaszcz na ramiona, pusząc się szyderczo.

- A więc jak się mają sprawy w D'ni? – zapytał Veovisa.

- Miałeś rację, Filozofie – uśmiechnął się Veovis. – Zniszczenie wytwórni atramentu wytrąciło ich z równowagi. Przedtem mogli utrzymywać ataki w tajemnicy, ale teraz całe D'ni wie, że są kłopoty.

- Możliwe – odparł Suahnir – ale jest jeszcze jeden problem. Już wiedzą, że nie przebywasz w wieku więziennym.

- Wiedzą?

- Podśledzałem rozmowę dwóch strażników – powiedział Suahnir. – Wygląda na to, że sam mistrz Jadaris zorganizował wyprawę, żeby sprawdzić, czy tam jesteś. Jeśli cię tam nie znajdą, zrozumieją, że ktoś cię uwolnił. – Odwrócił się do A'gaerisa z uśmiechem. – Nie będą musieli daleko szukać, prawda?

- W tej sytuacji musimy nasilić kampanię – oświadczył Filozof zatroskanym tonem. – Dotychczas korzystaliśmy z elementu zaskoczenia, ale teraz będą się mieli na baczności. Musimy ustalić priorytetowe cele i uderzyć.

- Pan R'hira – zaproponował Suahnir.

- Naturalnie – zgodził się Veovis. – Ale nie w pierwszym rzędzie. Na początek zajmiemy się moim wścibskim przyjacielem.

- Twoim przyjacielem? – zapytał zaskoczony A'gaeris.

- Moim byłym przyjacielem, cechmistrzem Aitrussem.

- Aitrusem? – Suahnir zmarszczył brwi. – Przecież możemy zająć się nim później.

- Nie – powiedział A'gaeris. – Veovis ma rację. Odetnijmy głowę, a ciało nie będzie mogło walczyć. Kim są ludzie, których możemy nazwać „głową” D'ni? To oczywiście członkowie Komisji Nadzwyczajnej: Aitrus, Jadaris, Yf'Jerrej, R'hira. Ci czterej kierują działaniami, dlatego właśnie oni muszą się stać naszymi pierwszymi celami. Dotychczas drażniliśmy cechy. Teraz musimy je zdestabilizować.

- Zgadza się – powiedział Veovis. – Ale Aitrusa zostawcie mnie.

- Jeśli go chcesz, jest twój, przyjacielu – uśmiechnął się A'gaeris. – Ale nie pomyśl się i nie okazuj litości. On jej tobie nie okazał.

- Łatwo tego nie zapomnę – zapewnił Veovis. – Chodźcie, ustalmy plan działania.

Anna przeszła na placach przez korytarz i stanęła. Zza drzwi dobiegały przytłumione głosy, na chwilę wybuchł śmiech, po czym rozmowa potoczyła się dalej.

Doskonale. Skoro są zajęci, będzie mogła zabrać księgi łączące.

Po powrocie do pokoju zebrała tyle książek, ile mogła unieść za jednym razem, a potem wbiegła schodami na wieżę. Obróciwszy trzy razy, zdołała przenieść księgi z dużego pokoju na szczyt wieży. Zadowolona, uprzątnęła jedną z ław i zaczęła układać na niej księgi, ale jedną odłożyła na bok.

Po skończonej pracy Anna wzięła odłożoną księgę i wróciła do drzwi.

Najłatwiejszym i najszybszym sposobem była spalenie ksiąg i natychmiastowy powrót do D'ni, ale najłatwiejszy sposób nie zawsze jest najlepszy. Jeżeli chciała mieć pewność, że pokrzyżuje ich plany, musiała sprawdzić, czy na wyspie nie ma innych ksiąg łączących.

Anna nasłuchiwała przez chwilę, po czym wyślizgnęła się z pokoju i zbiegła po schodach. Dotychczas liczyła na element zaskoczenia, ale teraz musiało jej także dopisać szczęście.

W gabinecie nadal nie było nikogo, ale za drzwiami słyszała przytłumione głosy.

- Zgoda – powiedział gniewnie Suahnir. – Chociaż nie rozumiem, dlaczego nie możemy go po prostu zabić i mieć tę sprawę z głowy!

Anna cofnęła się. W każdej chwili drzwi mogły się otworzyć i mogła zostać zauważona. Nadal jednak nasłuchiwała.

- Pójdę już – oznajmił Veovis. – Chyba że macie jeszcze jakieś zastrzeżenia?

- Ja nie mam żadnych – powiedział A'gaeris. – Mamy jeszcze mnóstwo pracy przed świtem.

- O nic się nie martw – odparł sardonicznie Veovis. – Wiem, jak zdybać naszego przyjaciela. Nie zostanę tam dłużej, niż to będzie konieczne.

Aitrus siedział przy biurku w swoim gabinecie w Gmachu Cechowym, obejmując głowę dłońmi w geście bezgranicznej rozpacz. Nadal nie natrafiono na żaden ślad Anny. Poszukiwania w górnym mieście nie dały rezultatu. Przepytano mnóstwo osób. Chociaż mistrz Jadaris zgodził się kontynuować poszukiwania, Aitrus wiedział, że jej nie znajdą, w każdym razie nie w D'ni.

Za całą sprawą musiał stać Veovis. Zemścił się, porywając Annę.

Ale co on z nią zrobił?

Aitrus podniósł wzrok, próbując skupić myśli.

Czego oczekiwałby na miejscu Veovisa? Sprawiedliwości? Nie. Na sprawiedliwość było już o wiele za późno. Zemsty? Tak, ale nie zwykłej, ślepej zemsty w rodzaju tej, jakiej łakną szaleńcy, chyba że w tym skalnym więzieniu Veovis postradał rozum.

Nie, Aitrus nie mógł w to uwierzyć. Veovis był silniejszy.

Być może, ale co z A'gaerisem? Jaka rolę odgrywał w tej sprawie Filozof? W jaki sposób udało mu się nakłonić Veovisa, żeby sprzymierzył się z nim przeciwko cechom?

Zdrada. Oto jakie ziarno posiał A'gaeris w umyśle Veovisa. Zdrada. Cechy zdradziły Veovisa, tak jak zdradziły A'gaerisa. Teraz nadszedł czas kary.

Kary... czy zniszczenia?

Aitrus wstał, pojmując, co należało zrobić. Trzeba przetrząsnąć całe D'ni w poszukiwaniu ksiąg łączących.

- Jeżeli odkryjemy, z którym miejsce on się łączy...

Aitrus podniósł wzrok, słysząc kroki w końcu korytarza.

- Ti'ano?... - zapytał, wychodząc na korytarz. – Ti'ano, czy to ty?

Aitrus zdążył przejść zaledwie dwa lub trzy kroki, gdy drzwi na końcu korytarza otworzyły się na oścież. Aitrus zamarł.

- Veovis?

Veovis stał, z uśmiechem na twarzy, z otwartą księgą łączącą w dłoni.

- Tak, Aitrusie, najdroższy przyjacielu. Mam twoją żonę. Jeżeli chcesz ją odzyskać, radzę ci, chodź za mną. Żadnych sztuczek, bo w przeciwnym razie Ti'ana zginie.

- Nie, poczekaj!

Aitrus ruszył w jego stronę, ale w tym samym momencie Veovis dotknął dłonią świecącej tabliczki.

- Veovisie!

Księga opadła na podłogę.

A więc to była prawda. Potwierdziły się najczarniejsze przewidywania Aitrusa. Podeszedł do książki i podniósł ją z podłogi.

Pomoc. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, by wezwał pomoc.

A jeżeli Veovis nie rzucał słów na wiatr?

Wówczas rozsądek zabiłby jego ukochaną żonę.

- Nie mam wyboru – powiedział, jakby sam się usprawiedliwiał. Przekonany, że nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć, położył dłoń na tabliczce i połączył się.

Gdzieś w dole trzasnęły drzwi, a na schodach rozległy się kroki. Po chwili u szczytu schodów pojawił się A'gaeris i rozejrzał się wokół siebie. Na widok książki łączącej uśmiechnął się, potem podeszedł i podniósł ją. Przez pewien czas przyglądał się świecącej tabliczce, uśmiechając się coraz szerzej, wreszcie schował księgę do kieszeni, odwrócił się i zszedł po schodach.

Nadszedł czas, by połączyć się z powrotem z wyspą.

Anna wślizgnęła się do słabo oświetlonej komnaty. Po prawej stronie znajdował się gabinet, zza którego cienkich, drewnianych ścian dobiegały przyciszone głosy A'gaerisa i Suahnira.

Anna westchnęła. Wyglądało na to, że nigdy nie nadarzy jej się okazja, by przeszukać gabinet.

Rozejrzała się po pokoju. W kącie stało wąskie łóżko, a obok niego małe biurko i krzesło. Na łóżku leżała sfatygowana jedwabna narzuta, a na biurku dostrzegła kilka cienkich książek bez okładek, przypominających zeszyty szkolne. Podniosła jedną z nich. Był to pamflet A'gaerisa, jedna z jego nie kończących się tyrad przeciwko cechom, które zaskarbiły mu złą sławę, szczególnie pośród mieszkańców dolnego miasta.

Anna odłożyła pamflet na bok i szybko sprawdziła, co jeszcze leżało na biurku. Zauważyła mały notes, zamknięty na srebrny zatrzask. Na skórzanej okładce widniał symbol D'ni, oznaczający skrócone imię A'gaerisa. Anna schowała notes do kieszeni. Ze zdziwieniem zauważyła, że pod notesem na biurku leżała mała fotografia w złoczonej ramce. Przedstawiała młodą kobietę, mniej więcej w wieku Anny, z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu i o olśniewająco pięknej twarzy.

Fotografię również schowała do kieszeni.

Anna odwróciła się, ponownie rozejrzała się wkoło i sprawdziła, czy nie przeoczyła jakiejś skrytki czy kłapy w podłodze. Zadowolona z oględzin, pospiesznie przeszła przez pokój z zamiarem powrotu na wieżę.

Zbyt długo zwlekała. Z każdą mijającą chwilą wzrastało niebezpieczeństwo, że obecność Anny zostanie odkryta. Postanowiła więc, że najlepiej będzie jak najszybciej wrócić na wieżę i spalić księgi łączące.

Od tego zacznie. Poza tym wiedziała już sporo o ich planach. Gdyby mogła przekazać tę wiedzę mistrzowi Jadarisowi...

Nagle dobiegły ją hałasy i ożywione głosy. Wrócił Veovis. Anna usłyszała, jak pospiesznie wydaje rozkazy. Potem rozległo się dziwne stęknienie i łomot ciała upadającego na podłogę.

Zza ściany dochodziły też inne odgłosy – drapanie i skrobanie – których Anna nie potrafiła pojąć – a potem Veovis powiedział nieco głośniej:

- Zanieście go do piwnicy. Zamkniemy go w klatce. Posłużę się nim jako przynętą, żeby złapać bardziej smaczną rybę.

Odpowiedział mu głośny śmiech, a potem odgłos ciała wleczonego po podłodze.

A więc schwytali kolejnego cechownika.

Korytarz prowadzący do piwnicy znajdował się po drugiej stronie. Na razie Annie nie groziło zdemaskowanie, ale czas się kończył. Nadeszła pora, by zarzucić przynętę.

W pokoju na szycie wieży Anna zaczęła szperać po półkach. Wiedziała, czego potrzebowała: potasu, siarki, węgla, trochę ciekłej parafiny, knota i hubki.

Butelki były opatrzone nalepkami z odręcznie wypisanymi symbolami D'ni, ale Anna spoglądała na nie tylko po to, by potwierdzić, że prawidłowo rozpoznała substancje. Kolejno pozdejmowała buteleczki z półki, postawiła na blacie, a następnie przysunęła naczynie do mieszania i metalową łyżkę.

W szufladzie znalazła knoty i pudełko na hubkę z polerowanego srebra.

- Co jeszcze? – zapytała, czując jak serce łomocze jej w piersiach.

Jedna z butelek, odstawiona na bok, nie miała nalepki, na co Anna już wcześniej zwróciła uwagę. Zawierała przejrzystą, niebieskawą ciecz. Wiedziona ciekawością, Anna odkorkowała butelkę i powąchała.

Prychając, odsunęła i zakorkowała butelkę. Oczy zaszyły jej łzami. Sam zapach zaparł Annie dech w piersiach i wywołał zawroty głowy. Wzdrygnęła się i wsunęła butelkę do kieszeni.

Na jednej z tac leżał ciężki metalowy segregator. Anna podniosła go i zatknęła za pas. Mógł posłużyć jako broń.

Na wszelki wypadek...

Anna wróciła do biurka i odkorkowała jeden ze słoików. W tym samym momencie na dole rozległ się krzyk i plusk.

Podbiegła do południowego okna i wyjrzała. W klatce na końcu kamiennej przypory ktoś się poruszał. Jakiś mężczyzna szamotał się w wodzie, potem znieruchomiał, rozglądając się wokół siebie, jakby nagle zdał sobie sprawę ze swego położenia.

Kiedy odwrócił się twarzą do niej, Anna wstrzymała oddech z przerażenia.

To był Aitrus.

Veovis spojrział na A'gaerisa i uśmiechnął się.

- Czy schowałeś księgę?

- Chodzi ci o tę? – A'gaeris wyjął księgę łączącą z kieszeni.



Znajdowali się w połowie tunelu prowadzącego z wieży do klatki. Suahnira zostawili na platformie, żeby pilnował klatki. Nadszedł czas wykonania kolejnej części planu.

- Czy jesteś pewien, że ona przyjdzie? – zapytał A'gaeris.

- Jestem pewien – potwierdził Veovis.

Ruszyli dalej. Skręciwszy za róg, znaleźli się u podnóża wąskich schodów prowadzących na galerię. Dalej musieli iść gęsiego.

- Czy mogę cię o coś zapytać? – zagadnął A'gaeris, idąc za Veovisem.

- Pytaj – odparł Veovis, wychodząc z włazu.

- Po co ci ona? Przecież dopóki więzisz Aitrusa, ona nigdy cię nie pokocha. A jeżeli go zabijesz...

- Zemsta – rzekł krótko Veovis, kiedy A'gaeris przeszedł przez właz i przyłączył się do niego na galerii oświetlonej dziwnym blaskiem.

- Dlaczego po prostu nie zabijesz obojga?

- Ponieważ chcę, żeby cierpieli tak, jak ja ciepiałem. – A'gaeris jeszcze nigdy nie widział na twarzy Veovisa takiej zaciętości. – Kiedy siedziałem w wieku więziennym, marzyłem o tym noc w noc. Chcę, żeby przeżywali takie same katusze jak ja. Chcę, żeby poczuli się zdradzeni, tak jak ja poczułem się zdradzony.

Za grubą szybą okna galerii pływały wolne dziwne, groźnie wyglądające ryby o jasnoczerwonych oczach.

- Rozumiem. – A'gaeris skinął głową.

- Naprawdę?

- Tak, przyjacielu. Ja straciłem nie tylko członkostwo w cechu. Byłem zaręczony z najpiękniejszą młodą kobietą, jaką w życiu widziałeś.

- Ach tak... - Veovis już miał wrócić prosto do gabinetu, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. – Czego ty chcesz, A'gaerisie? To znaczy, czego naprawdę chcesz?

- Zniszczyć to wszystko – odparł bez wahania Filozof. – O tym właśnie marzę.

- To znaczy, że cechy...

- Są tylko początkiem. Chcę zniszczyć D'ni w taki sam sposób, w jaki D'ni próbowało zniszczyć mnie. – A'gaeris aż zatrząsł się z oburzenia. – Czy to cię przeraża, Veovisie?

- Nie. Wiem, jak się czujesz.

- Naprawdę?

- Tak. Chodź...

A'gaeris sądził, że jest to swego rodzaju spiżarnia, ale znaleźli się w długim, wysokim pokoju, gdzie wzdłuż ścian stały stojaki z karabinami i mieczami. Broni wystarczyłoby do rozpoczęcia małej wojny.

Veovis odwrócił się i spojrzał na Filozofa w zamyśleniu.

- Napisałeś kiedyś, że prawdziwe szczęście, iż prosty lud nie jest uzbrojony, ponieważ, gdyby był, D'ni upadłoby w ciągu jednej nocy. Czy nadal w to wierzysz?

A'gaeris sięgnął po jeden z mieczy i obejrzał go dokładnie.

- Owszem – odparł z uśmiechem.

- Czy w takim razie to wystarczy?

- Widzę, że cię nie doceniłem, panie Veovisie – przyznał A'gaeris, uśmiechając się szeroko.

Anna nasłuchiwała pod drzwiami, potem otworzyła je i wślizgnęła się do sąsiedniego pokoju. Z korytarza dobiegały głosy. Czyżby znajdowała się tam jeszcze jedna komnata, której Anna nie zauważyła?

Wszystko na to wskazywało. W połowie korytarza, we wnęce, odnalazła drzwi. Były uchylone, a przez szczelinę dobiegały głosy Veovisa i A'gaerisa. Zdając sobie sprawę, że może to być jej jedyna szansa, wbiegła na galerię. Ze zdziwieniem zauważyła, że właz po jej lewej ręce był otwarty. Anna schyliła się, przez chwilę nasłuchiwała, potem wsunęła głowę i rozejrzała się. Schody prowadziły w dół.

Szybko zbiegła po schodach, po czym zatrzymała się. Tuż za zakrętem rozlegało się pomrukiwanie Suahnira.

Anna wyjęła z kieszeni chusteczkę, zasłoniła nią usta, po czym wyjęła z drugiej kieszeni buteleczkę ze środkiem nasennym.

Z większą pewnością siebie, niż w istocie czuła, skręciła za róg. Suahnir siedział plecami do Anny na platformie na końcu tunelu, naprzeciwko klatki. Anna podeszła bliżej, starając się stąpać bezszelestnie.

Suahnir odwrócił się, wyczuwając jej obecność. W tym momencie Anna uderzyła go w głowę metalowym segregatorem. Kiedy się przewrócił, zasłoniła sobie nos chusteczką, odkorkowała butelkę i oblała mu twarz niebieskawym płynem.

Z platformy uniosły się w górę gęste białe opary.

Annę zapiekły oczy. Zamrugnęła, potem zacisnęła powieki, okrążyła Suahnira i weszła na klatkę. Nie miała odwagi zaczerpnąć tchu.

Klatka kołysała się pod Anną, która próbowała utrzymać się jak najdalej od gryzących oparów. Kiedy klatka znieruchomiała, Anna uniosła jedwabną chusteczkę i wzięła głęboki wdech.

- Czy to ty, Ti'ano?

Aitrus mrugał powiekami, jak gdyby był tylko częściowo przytomny. Tylko jego głowa i ramiona wystawały ponad powierzchnię ohydnej, ciemnozielonej cieczy, a na czole męża Anna zauważyła duży, ciemny siniak. Miłość kazała jej zapomnieć o własnym bezpieczeństwie. Aitrus miał mocno związane dłonie, zaczepione o masywną kłódkę, żeby uchronić go przed zatonięciem. Potraktowano go okrutnie, ale jednocześnie ocaliło mu to życie.

- Wszystko w porządku, mój kochany – powiedziała łagodnie. – Wydostanę cię stąd, ale musisz zachować ciszę. Nie mogą nas usłyszeć.

- Postąpiłem jak głupiec – wyszeptał, zamykając oczy. – Veovis powiedział, że cię uwięził. Powiniennem się domyślić. Powiniennem sprowadzić pomoc.

- Nie – odparła Anna, którą zabolalo to, że Aitrus się obwinia. Wyjęła segregator z pasa i próbowała sforsować zamek. – Zrobiłeś to, co uważałeś za najlepsze.

Aitrus zakaszlał. Opary gazu usypiającego napływały z głębi tunelu. Anna skrzywiła się, a potem znowu nachyliła się nad segregatorem, ale zamek nie chciał ustąpić. Potrzebowała długiego kawałka metalu.

Nagły powiew wiatru od morza rozwiął przykry biały gaz.

- Aitrusie – powiedziała, wsunęła rękę przez kraty i bezskutecznie próbowała pogłodzić go po czole. – Aitrusie, obiecuję, że niedługo wrócę. Wrócę po ciebie. Wytwarzaj.

On jednak nie słyszał. Siedział z zamkniętymi oczami, a Anna nie potrafiła stwierdzić, czy stracił przytomność w wyniku działania gazu czy z bólu.

Czas. Czas działał teraz na jej niekorzyść.

Nabrała duży haust powietrza, zakryła usta chusteczką, odwróciła się i z zamkniętymi oczami zanurzyła się w duszące białe opary.

Veovis siedział przy stole w zbrojowni i montował zapalnik. Przy jego łokciu leżało pięć gotowych bomb. Były to długie czerwone tuleje, zakończone srebrnymi bańkami wypełnionymi materiałem wybuchowym. A'gaeris szperał wśród stojaków, szukając odpowiedniej broni dla siebie.

- Broni palnej powinniśmy używać tylko w razie konieczności – powiedział Veovis. – Do naszego planu najlepiej pasuje zatruta strzała.

- A zapalniki? – A'gaeris spojrział przez lufę strzelby myśliwskiej na Veovisa, a potem odłożył strzelbę na bok. – Wydaje mi się, że zauważą, kiedy jedna z tych zabawek wybuchnie.

Veovis nadal montował zapalnik.

- Tych bomb nie użyjemy jako broni, przyjacielu. Za ich pomocą zniszczymy księgi łączące, kiedy zrobimy z nich użytek.

- A co z ukrytymi księgami łączącymi, które już są na miejscu? Czy ryzykowałem na darmo, Veovisie?

- Nie, ale teraz, kiedy cechy mają się na baczności, nie będzie łatwo ich użyć. Poza tym dysponujemy całym zapasem ksiąg, które możemy wykorzystać. Gdyby czas tak nie naglił, byłbym mniej rozrzutny, ale w tej sytuacji...

- Masz rację – zgodził się A'gaeris. – Umożliwi nam to swobodne wślizgiwanie się do środka i wychodzenie. Tylko pomyśl, Veovisie! – powiedział z błyszczącymi oczami. – Nie będą wiedzieli, co ich łupnęło!

Veovis uśmiechnął się, skinął głową i położył szóstą bombę obok pozostałych.

- Będziemy jak cienie – powiedział, sięgając po kolejny niekompletny zapalnik. Położył go na biurku i ponownie spojrział na A'gaerisa. – Przynieś mapę z gabinetu. Możemy omawiać plan podczas pracy.

A'gaeris wszedł do pokoju i zauważył ją. Ti'ana, żona Aitrusa. Stała plecami do niego, pochylona nad stołem na środku pokoju. Stała nieruchomo, jakby koncentrowała się na lekturze.

Mapa D'ni...

A'gaeris uśmiechnął się, dobył sztyletu i podszedł na palcach, aż znalazł się zaledwie parę stóp za Anną.

- Nie ruszaj się, Ti'ano – powiedział tonem cichej groźby. – Mam nóż i nie zawaham się przed użyciem go.

Anna zamarła.

- Odwróć się powoli – rozkazał Filozof. – Bardzo powoli. Nie rób żadnych nagłych ruchów.

Zaczęła się odwracać, początkowo bardzo powoli, a potem nagle wyrzuciła rękę w górę.

A'gaeris poczuł jak coś ciężkiego i czarnego rzuca mu się na twarz, wbijając głęboko ostre szpony.

Veovis wstał i odwrócił się do drzwi. Pierwszy krzyk sprawił, że upuścił zapalnik, drugi pobudził go do działania.

Wybiegał na korytarz, przebiegł przez pierwszy pokój i wpadł go gabinetu. Tutaj krzyk był głośniejszy, zmieszany z wysokim, przenikliwym skrzekiem ptaka.

A'gaeris usiłował odeprzeć gwałtowny atak ptaka. Krew ciekła mu po twarzy i ramionach. Złota klatka, zerwana z łańcucha, leżała nieopodal na podłodze z wyłamanyymi drzwiczkami.

Intruzi...

- Pomóż mi! – błagał A'gaeris, wyciągając rękę do Veovisa. – W imię Stwórcy, pomóż mi!

Veovis patrzył chwilę na sojusznika, wreszcie wyjął zza pasa starą strzelbę z długą lufą, szybkim krokiem przeszedł przez pokój i zniknął za drzwiami.

Anna zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła je na zasuwę. Podbiegła do ławy, odkorkowała butelki i słoiki, po czym zaczęła wlewać odczynniki do różnych naczyń.

Nawet przez grubą ścianę z kamienia i drewna słyszała krzyki A'gaerisa. Wiedziała, że Veovis wkrótce ruszy za nią w pogoń.

Oblała drzwi niebieskawym płynem, a potem polała nim podłogę aż do sterty książek łączących. Odstawiła miskę, odciągnęła zasuwę i uchyliła drzwi.

Na schodach rozległy się pospieszne kroki.

Anna odłożyła na bok księgę łączącą, za pomocą której miała wrócić do D'ni, otwierając ją na tabliczce opisowej. Następnie podpaliła knot od hubki i rozdmuchała kopcający koniec, aż się rozżarzył.

Kroki zatrzymały się u szczytu schodów. Po chwili wahania Veovis kopnął drzwi i wkroczył do pokoju, mierząc do Anny ze strzelby.

- Ti'ana! – zaśmiał się zdziwiony. – Jesteś ostatnią osobą, której bym się tutaj spodziewał.

Anna spojrzała na niego wojowniczo. Lewą dłoń uniosła nad tabliczką, w prawej trzymała żarzący się knot.

Na widok ksiąg Veovis zamrugał, dokonując oceny sytuacji.

- Co ty robisz?

- Kładę temu kres, zanim sprawy wydostaną się spod kontroli.

- Oddaj mi tę książkę, Ti'ano. Oddaj mi ją, to cię oszczędzę. Daruję życie tobie i twemu synowi, reszta musi umrzeć. Ty i Gehn możecie żyć... jeżeli oddasz mi książkę.

Anna uśmiechnęła się i upuściła knot na stertę ksiąg łączących, podpalając ją, a w tym samym momencie położyła dłoń na tabliczce łączącej.

Kiedy księgi zajęły się ogniem, Veovis ryknął i nacisnął spust. Rozległ się huk wystrzału, kula pomknęła ku znikającemu kształtowi Anny. W tym samym momencie smuga płynu stanęła w płomieniach, jak magma przedzierająca się przez skałę.

Rozległ się głośny syk. Drzwi za Veovisem eksplodowały i płonęły. Wybuch odrzucił Veovisa w głąb pokoju. Jego włosy i płaszcz zajęły się ogniem.

Anna już tego nie widziała. Zniknęła.

W wielkiej komnacie panował niemal całkowity mrok. Tylko na środku, gdzie stało pięć wielkich tronów, jaśniał mały krąg światła, rzucanego przez pojedynczy płomień tańczący między filarami. W tym słabym świetle siedziało pięciu wielkich panów D'ni, a na ich wiekowych twarzach rysowała się troska.

- Musimy przeszukać całe miasto – powiedział R'hira, powtarzając słowa mistrza Jadarisa, który wypowiedział je przed niespełną godziną. – Każdy pokój, każdą szufladę każdego biurka. Musimy znaleźć te księgi łączące i zniszczyć je, bo w przeciwnym razie nikt z nas nie może się czuć bezpieczny.

- Czy to możliwe? – zapytał jeden z panów. – Czy mamy dosyć czasu i ludzi na takie poszukiwania?

- Nie – przyznał R'hira. – Ale musimy spróbować. Jeżeli tego nie zrobimy...

Urwał w pół zdania, wpatrując się w postać, która zmaterializowała się przed tronami.

- W imię Stwórcy...

- Ti'ana! – krzyknął R'hira, wstał i zszedł z tronu.

Anna podniosła wzrok, po czym osunęła się na podłogę. Rana na ramieniu krwawiła.

- Sprowadź pomoc! – krzyknął R'hira do jednego ze strażników stojących w cieniu. – Pospiesz się, cechowniku! Ti'ana jest ciężko ranna!

W tej samej chwili, kiedy R'hira schylił się, żeby pomóc Annie, tuż obok niej pojawiła się druga postać.

Mężczyzna miał poczerńiałą twarz, płonące włosy, a ubranie na nim dymiło. Stał zgięty w pół, dusił się, ale R'hira natychmiast go poznał.

- Veovis!

**CZEŚĆ SIÓDMA**

# **Ostatnie dni**



Wszystko było skończone. Rada wysłuchała materiału dowodowego i jednogłośnie wydała werdykt. Teraz czekano tylko, aż pięciu panów wyda wyrok.

W wielkiej komnacie zapadła cisza, kiedy pan R'hira wstał, zszedł z tronu i stanął przed klęczącym Veovisem.

Veovis miał skute dłonie i stopy. Ostrzyżono go i odziano w prosty strój więzienny rdzawego koloru, który nie zakrywał mu ramion ani łydek. Tuż za klęczącym więźniem siedzieli Aitrus i Anna, której, ze względu na jej udział w całej sprawie, pozwolono uczestniczyć w tej ostatniej ceremonii.

Zaledwie dwa tygodnie upłynęły od czasu, kiedy, ku zdumieniu pięciu wielkich panów, Ti'ana i Veovis połączyli się z tą samą komnatą. Aitrus miał opatrunek na głowie, a Ti'ana zabandażowane ramię.

Kiedy R'hira powiódł wzrokiem po rzędach siedzących cechowników, w komnacie zapadła pełna napięcia cisza.

- Veovisie – zaczął cicho R'hira. – Zawiodłeś zaufanie tej Rady. Oszukałeś nas, okradłeś, zniszczyłeś naszą własność i zamordowałeś naszych cechowników. Nasza historia nie zna przypadku podobnego zachowania, toteż uznaliśmy, że wyrok powinien to odzwierciedlać. Niniejszym oświadczaj, że ty, Veovisie, synu Rakeriego, pana D'ni, zostaniesz stąd zabrany na schody Biblioteki, gdzie w siedemnastej godzinie, na oczach świadków, zostaniesz ścięty za zdradę.

Ścięty! Nigdy wcześniej nie ogłoszono takiego wyroku, ale pan R'hira rozglądał się wokół siebie z kamienną twarzą.

- Tak brzmi decyzja pięciu panów. Czy ktoś zabierze głos w obronie oskarżonego?

Była to tradycyjna formuła, wygłaszana po wydaniu wyroku, a chociaż wyrok był bezprecedensowy, żaden z pięciu panów nie oczekiwał, że ktokolwiek przemówi.

Anna wstała z miejsca.

- Proszę mi wybaczyć, panie R'hiro. Wiem, że występuję tu jako gość Rady, w związku z czym nie przysługuje mi prawo wyrażania uczuć, ale mimo to chciałabym wstawić się za więźniem.

R'hira odwrócił się i spojrzał na kolegów. Starcy patrzyli sobie przez chwilę w oczy, wreszcie R'hira się odwrócił.

- Jeżeli komukolwiek przysługuje prawo głosu, to właśnie tobie, Ti'ano, chociaż zupełnie nie pojmuję, dlaczego miałabyś się wstawiać za tym zbrodniarzem. Wystąp, Ti'ano.

W tym momencie Veovis wrzasnął na całe gardło:

- Ta barbarzyńska bestia ma przemawiać w moim imieniu?! Nigdy! Nie pozwalam!

- Cisza – krzyknął R'hira, waląc pięścią w stół.

- Ona jest zdrajczynią! Nie jest jedną z nas! Czy nie widzicie, że ona skalała świętość krwi D'ni? – wydierał się Veovis.

- Zabierzcie go stąd! – zawołał R'hira do strażników. – Natychmiast!

Kiedy wywlekli wrzeszczącego skazańca, w komnacie na powrót zapanowała cisza.

Anna wystąpiła do przodu. Skłoniła się kolejno każdemu z pięciu panów, a potem odwróciła się twarzą do cechowników.

- Panowie, cechownicy. Nie zamierzam umniejszać przewin waszego dawnego towarzysza, Veovisa. Nie mam też powodu, by czuć cokolwiek poza nienawiścią do człowieka, który usiłował zabić mojego męża, a gdyby nie chybił, bez wątpienia zabiłby mnie. Pozwólcie jednak, że jako cudzoziemka w wielkim imperium D'ni podzielę się z wami pewną obserwacją. Ta wielka jaskinia jest ostoją rozumu, racjonalnego, wyważonego zachowania. Wy, D'ni, wypracowaliście modele zachowania, sposoby przeciwstawiania się przeciwnościom. Korzystacie z tysięcy lat doświadczeń. Najważniejszy i może najmądrzejszy model dotyczy ludzi, którzy dopuścili się złamania prawa. Dotychczas D'ni tylko w nielicznych przypadkach odbierali życie za życie. Przyjęliście metodę segregacji, wycinania zgnilizny i izolowania jej tak, jak chirurg izoluje wirusa. Twierdzę, że taka metoda jest metodą zdrową, natomiast to, co proponujecie tutaj...

Anna przerwała, jak gdyby czytała sprzeciw, obecny w umysłach większości zgromadzonych.

- Wiem, co teraz myślicie. Skoro Veovis już raz uciekł, równie dobrze może uciec znowu. A'gaeris, zwany Filozofem, wciąż znajduje się na wolności. Przyznaję, że musicie brać pod uwagę takie fakty. Istnieje jednak jeden istotny czynnik, który nie został dotąd wzięty pod uwagę, a mianowicie dlaczego Veovis tak właśnie się zachował.

Anna wyjęła z kieszeni notes i pokazała zebrany.

- Mam tutaj dziennik, prywatny dziennik A'gaerisa, który zabrałam z jego domu w wieku, z którego prowadzili kampanię przeciwko D'ni. Gdybym nie chorowała w ciągu ostatnich kilku tygodni, przeczytałabym go wcześniej. Mogłabym przedstawić

go Radzie jako dowód przemawiający na korzyść pana Veovisa, ponieważ zawartość tego dziennika jest niezwykle wymowna. W tej sytuacji przedstawiam go wam jako prośbę o ułaskawienie.

Pan R'hira, który do tej pory słuchał w milczeniu, teraz przemówił.

- Wybacz, Ti'ano, ale co ten zbrodniarz A'gaeris mógłby powiedzieć na usprawiedliwienie więźnia?

- Wszystko jest tutaj, panie, spisane ręką A'gaerisa. Pisze o tym, jak snuł plany, fałszował dokumenty, jak posłużył się cechownikiem Suahrnirem, żeby zwabić pana Veovisa, pisze nawet o tym, jak manipulował moim mężem, żeby udał się do mistrza Jadarisa z tym, co „wiedział”. Niezależnie od tego, co Veovis potem zrobił, tej pierwszej krzywdy nic nie potrafi wymazać. Veovis był niewinnym człowiekiem. Pomyślcie o goryczy, którą musiał odczuwać, kiedy pozbawiono go wszystkich tytułów i uwięziono w tym skalnym więzieniu. Oczywiście nie usprawiedliwia to tego, co później zrobił, ale przedstawiam to wam w formie wyjaśnienia.

Pan R'hira wziął książkę od Anny, przeczytał stronę czy dwie, mrugając od czasu do czasu.

- Potrzebujemy czasu, żeby to przestudiować, Ti'ano – powiedział, podnosząc wzrok.

- Oczywiście – odparła i ukłoniła się z wdzięcznością. – Proszę jednak, żeby pamiętał pan o równowadze dobra i zła w każdym człowieku. W jakich okolicznościach ta równowaga mogłaby się przechylić albo na stronę wielkiego dobra, albo ku takiemu zachowaniu, jakiego Veovis dopuścił się wobec społeczeństwa, które go odtrąciło.

R'hira skinął głową, uśmiechnął się do Anny, potem odwrócił się i szybko ocenił reakcję kolegów. Panowie pokiwali głowami.

- Doskonale – powiedział, odwracając się. – Wyrok tej Rady zostaje zawieszony aż do dogłębnego rozpatrzenia całej sprawy. Do tego czasu więzień pozostanie pod nieustannym nadzorem.

Posiedzenie dobiegło końca, cechownicy zaczęli przechodzić z komnaty do pobliskich pokojów, a R'hira podszedł do Anny.

- Jestem wdzięczny za twoje stawiennictwo, Ti'ano, ale jedna rzecz mnie niepokoi. Możliwe, że masz rację. Veovis mógł być kiedyś niewinny. To wszystko należy jednak do przeszłości. Jeżeli teraz nie odbierzemy mu życia za to, co zrobił,

pozostaje nam tylko jedno rozwiązanie, a mianowicie dożywotnie uwięzienie Veovisa. Próbowaliśmy już tego... bez powodzenia. A jeżeli znowu spotka nas klęska?

- Musi pan więc dopilnować, żeby się udało, panie R'hiro. Stwórzcie dla Veovisa nowy, specjalny wiek, a kiedy tam się znajdzie, spalcie księgę, żeby nikt nie mógł mu pomóc w ucieczce. Powinniście się kierować czujnością, a nie zemstą.

- Dobrze powiedziane, Ti'ano – pochwalił R'hira.

Anna złożyła mały pokłon.

- Aha, Ti'ano... nie musisz się niepokoić. Bez względu na to, co postanowimy, Veovis nigdy nie odzyska wolności.

A'gaeris siedział przy biurku, studiując notes. Drewniane drzwi chaty były zamknięte, żaluzje zaciągnięte. Z zewnątrz dobiegały odgłosy piłowania i wbijania gwoździ.

Filozof zamknął notes, skinął do siebie głową, wstał, ziewnął i przeciągnął się. Miał na sobie prostą, rdzawą szatę, mocno ściągniętą w pasie. Na czubku ogolonej głowy tkwiły okulary D'ni. A'gaeris podszedł do drzwi, opuścił okulary na oczy i wyszedł z chaty.

U podnóża pagórka, na którym stała chata, na polance pośród drzew, niewolnicy uwijali się jak w ukropie. Szkielet konstrukcji pokoju był już gotowy. Teraz budowali miejsca do siedzenia, półki, a w samym środku podium.

A'gaeris zszedł na dół, zatrzymał się na skraju polanki, ponownie wyjął notes i otworzył na stronie, na którą patrzył przed chwilą. Porównał szkice Suahnira z pokojem budowanym na polance i schował notes. Nie ulegało wątpliwości, że Suahnir miał dobre oko. Żaden szczegół nie umknął jego uwagi; zgadzały się wszystkie wymiary.

Filozof wybuchnął głośnym, serdecznym śmiechem, który wytoczył się z jego korpulentnego ciała. Tubylcy spojrzeli na niego z przestraszeniem, zanim wrócili do pracy.

- Wszystko to zmienimy – powiedział, kiedy przestał się śmiać. – Żadnych reguł, żadnych wskazówek. Będzie tylko to, czego ja chcę.

Ta myśl przyprawiła go o dreszcz.

- Tylko to... czego ja chcę.

Prowadzono drobiazgowo przygotowania.

Czterem najlepszym pisarzom cechu wyznaczono zadanie stworzenia nowego wieku. Każdy odpowiadał za jeden fragment całości. Pracując pod nadzorem pana R'hiry, używając ksiązek, które nie miały mocy łączącej, cierpliwie pisali słowa, a owoc pracy przekazywali wielkiemu mistrzowi cechu Ja'irowi. Z kolei on, we współpracy z wielkim mistrzem Cechu Konserwatorów Jadarisem, porównywał poszczególne teksty, nanosił drobne poprawki, aby końcowy wiek był spójny i stabilny.

W ten sposób upłynęło sto dni. Wreszcie praca dobiegła końca, a po konsultacji z panem R'hirą pustą księgę Kortee'nea zabrano z Pokoju Księgi i umieszczono na biurku w celi, w samym środku Gmachu Konserwatorów. Tam strzeżono jej dzień i noc, podczas, gdy czterej pisarze powrócili do wpisywania efektów swojej pracy do księgi.

W ten sposób treść księgi utrzymywano w tajemnicy, ponieważ żaden z czterech pisarzy nie wiedział, co napisali pozostali trzej. Wiedzieli o tym tylko Jadaris, Ja'ir i R'hira, trzej najbardziej godni zaufania ludzie w imperium.

W celi w głębi korytarza umieszczono skutego łańcuchami Veovisa, a dwaj strażnicy miejscy, połączeni z więźniem łańcuchami z nary, czuwali przy nim dzień i noc.

Tak mijały dni, aż Księga Więzienna została ukończona.

O godzinie siedemnastej w dniu sądu na wieży Gmachu Cechu Konserwatorów rozbrzmiał wielki dzwon z brązu. W dole, na najniższym poziomie labiryntowej budowli, w głębokim cieniu Pokoju Kary wielcy panowie i wielcy mistrzowie D'ni patrzyli, jak Veovis podchodzi z pochyloną głową do podium i staje przed otwartą księgą.

Kiedy rozbrzmiał dzwon, Veovis rozejrzał się wokół siebie, a w jego jasnym inteligentnych oczach nie było lęku, tylko poczucie godności. Dzwon rozbrzmiał po raz ostatni, Veovis położył dłoń na świecącej tabliczce i połączył się.

Zebrani cechownicy westchnęli i zwrócili wzrok na pana R'hirę.

- Dokonało się – powiedział cicho. – Mistrzu Jadarisie... spal tę księgę.

W chwili kiedy wypowiedział te słowa, w powietrzu przed księgą pojawiło się małe zakłócenie. R'hira odniósł wrażenie, że ujrzał postać z ogoloną głową, w rdzawej koszuli więziennej.

R'hira powiódł wokół siebie zdziwionym wzrokiem. Czy tylko on to zauważył? Co takie właściwie widział?

A może była to skaza samego wieku? Ostatecznie rzadko się zdarzało, żeby księgę pisało czterech pisarzy, toteż istniała możliwość, że do tekstu wkradły się jakieś drobne błędy.

R'hira zmarszczył brwi, a potem zapomniał o całej sprawie. Teraz liczyło się tylko spalenie księgi. Wtedy D'ni będzie bezpieczne.

Mistrz Jadaris podszedł do podium, zamknął księgę, podniósł ją wysoko, a następnie wyniósł z pokoju.

Cechownicy ruszyli za nim do spalarni, gdzie od niepamiętnych czasów palili wadliwe księgi, niszcząc nieudane eksperymenty.

Tym razem było inaczej. Ten świat funkcjonował bez zarzutu.

W ten oto sposób łamiemy własne reguły, pomyślał R'hira. Nawet jeżeli przyświecał im szczytny cel, R'hira uważał, że w pewien sposób ponieśli klęskę.

To nie jest metoda postępowania D'ni. My nie niszczymy tego, co zdrowe.

Mimo to, Ti'ana miała rację. Mogli albo spalić księgę, albo skazać Veovisa na śmierć. A przecież teraz nie ulegało wątpliwości, że kiedy po raz pierwszy osądzili i uwięzili Veovisa, był niewinny.

R'hira patrzył, jak otwierają się wielkie drzwi pieca i wsuwają księgę. Przez szpary w drzwiach wyraźnie widział szaroniebieską okładkę Księgi Więziennej. R'hira pochylił się nieco i obserwował, jak płomienie zaczynają lizać okładkę księgi.

Miesiące mijały szybko, a sprawy wracały do stanu normalności. Dla młodego Gehna nastaly dziwnie radosne dni. Dziwne, ponieważ wbrew obawom okazało się, że może rozwijać się z dala od matki.

Gehn miał osiem lat i kończył ostatni semestr w Kolegium Cechowym. Właśnie był dzień otwarty i Gehna, podobnie jak większość uczniów, odwiedzili rodzice. Dla Gehna była to szczególna okazja, ponieważ wybrano go, by reprezentował Kolegium i odczytał fragment historii swego cechu opowiadający o długiej tradycji Cechu Ksiąg.

Choroby, nocne prześladowania ze strony kolegów i rozdzierającą tęsknotę za domem Gehn miał już dawno za sobą. Wyrósł na silnego chłopca, zadziwiająco wysokiego na swój wiek, pewnego siebie, choć skrytego. Zachowywał dystans wobec matki, jak gdyby część jego natury nigdy nie wybaczyła jej, że go odesłała z domu. Właśnie tak powitał ją w tym szczególnym dniu, z pełnym szacunku dystansem, który byłby zrozumiały u każdego studenta witającego wielką Ti'anę, ale nie u jej rodzonych syna.

- Cieszę się, że przyszłaś, matko – powiedział i złożył formalny pokłon.

Anna uśmiechnęła się i przytuliła go na chwilę, ale ona również wyczuła panujące między nimi napięcie. Cofnęła się, a Aitrus objął Gehna.

- Dobra robota, Gehnie! – powiedział z szerokim uśmiechem. – Cechmistrze nie mogą się ciebie nachwalić! Jestem z ciebie bardzo dumny, chłopcze. Oboje jesteście dumni!

Gehn zerknął na matkę. Widział, że była z niego dumna, ale miało to dziwnie małe znaczenie wobec pochwał ojca. Ostatecznie jego ojciec był czystej krwi D'ni, a poza tym członkiem Rady. Jego pochwała nie była błahostką, ale Gehn nie powiedział tego otwarcie.

- Staram się, jak mogę – powiedział i pochylił głowę ze skromnością, którą wpajano wszystkim studentom.

- Cechmistrz Rijahna twierdzi, że masz przed sobą obiecującą przyszłość, Gehnie – powiedziała Anna, uśmiechając się bardziej powściągliwie niż Aitrus. – Rozmawiał nawet z twoim ojcem o indywidualnym trybie nauczania.

Gehn spojrzał na ojca szeroko otwartymi oczami.

- Czy to prawda?

- Tak, jeśli chcesz.

- Oczywiście, że chcę! – rozpromienił się Gehn. – Kto by nie chciał? Och, tak bardzo chciałbym być taki jak oni, to znaczy, jak mistrzowie. Wiedzieć to samo co oni, być taki jak oni!

- Rozumiem cię, Gehnie, ale musisz się uzbroić w cierpliwość – zaśmiał się Aitrus.

- Oczywiście – odparł Gehn i ponownie pochylił głowę. – Naturalnie. – Uspokoił się i spoważniał. – Dziękuję, dziękuję wam obojgu. Dam wam powód do dumy.

Anna uśmiechnęła się i zmierzwiła włosy synowi.

- Już jesteśmy z ciebie dumni, Gehnie, nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo.

Kiedy Gehn skończył przemówienie, Anna poczuła, jak napięcie w żołądku znika, a miejsce niepokoju zajmuje potężny przypływ dumy. Pomyśleć tylko, że Gehn o mały włos nie umarł, i to nie raz, ale kilkakrotnie! A teraz stał, pewny siebie, przed rówieśnikami i mistrzami, a także przed salą pełną rodziców, i mówił z prawdziwym uczuciem i dumą o wielkiej tradycji, w której się urodził.

Anna spojrzała na Aitrusa, zobaczyła na jego twarzy uśmiech i zrozumiała, że podzielał jej odczucia.

Mój syn.

Och, czasami było trudno. Gehn potrafił być chłodny i odległy, ale Anna składała to na karb wieku. Poza tym nie było mu łatwo dorastać jako mieszkańcowi, a przecież doskonale dał sobie z tym radę.

Cechmistrz Rijahna podszedł do podium i skłonił się przed Gehnem. Na jego ustach na chwilę zagościł uśmiech, który zniknął, kiedy Rijahna odwrócił się do widowni.

- A teraz proszę państwa o przejście do refektarza...

Ledwo skończył zdanie, cały budynek zatrzęsł się w posadach. Rijahna podniósł zdziwiony wzrok, sądząc, że mu się to wydawało, ale ujrawszy, że część cechowników wraz z żonami zerwała się z miejsc, zrozumiał, że nie tylko on odczuł wstrząs.

Budynek zadrżał ponownie, tym razem mocniej, z cichym pomrukiem. Z sufitu posypał się pył.

Rozbrzmiał wielki dzwon D'ni, a mogło to oznaczać tylko dwie rzeczy: śmierć jednego z Pięciu albo niebezpieczeństwo zagrażające samemu D'ni.

Rijahna przewyciężył chwilowy lęk i oparł się na podium.

- Proszę państwa o zachowanie spokoju.

Cechmistrz spojrzał na mistrzów i młodych uczniów, którzy wpatrywali się w niego w milczeniu, ale najwyraźniej przestraszeni.

- Wszystko będzie dobrze – powiedział cicho, z otuchą, której wcale nie odczuwał. – Zachowajcie spokój, chodźcie za mną, a obiecuję, że wszystko będzie dobrze...



Anna dostrzegła to natychmiast po wyjściu z Gmachu Cechowego. W ścianie jaskini pojawiła się wielka szczelina, z której wydobywał się obłok ciemnego gazu.

Spojrzała pytająco na Aitrusa, ale poznała po jego wyrazie twarzy, że jest równie oszołomiony jak wszyscy.

- Co to jest? – zapytała, próbując nie poddać się panice, która zdawała się ogarniać ludzi wokół niej. Na widok ciemnego obłoku gazu kilka kobiet zaczęło krzyczeć i zawodzić.

- Nie wiem – odparł Aitrus, wpatrując się w szczelinę. – Możliwe jednak, że najlepiej będzie odłączyć się stąd, póki nie dowiemy się więcej.

- Ale będziesz tutaj potrzebny, Aitrusie...

- Nie miałem na myśli siebie, ale ciebie i Gehna. Powinnaś natychmiast zabrać go do domu, a potem na Gemedet. Są tam wszystkie niezbędne zapasy.

- A ty? – zapytała, ogarnięta nagłym lękiem o męża.

- Przyjadę, kiedy będę mógł, Ti'ano – uśmiechnął się i pocałował ją. – Proszę cię, natychmiast zabierz stąd Gehna i uważaj na niego.

- Dobrze, ale ty uważaj na siebie, kochany. I przyjedź, kiedy tylko będziesz mógł.

- Dobrze – zapewnił Aitrus, po czym odwrócił się i pobiegł w stronę Gmachu Cechowego.

Anna zawahała się przez chwilę. Pełna złych przeczuć odprowadziła Aitrusa wzrokiem, a potem, posłuszna złożonej mu obietnicy, weszła z powrotem na schody, żeby odszukać Gehna.

Ciemny obłok rozprzestrzenił się powoli jak ogromny welon rozciągnięty w głębi jaskini. Cał po calu rozpełzał się po jeziorze, zmierzając w stronę D'ni, a tam gdzie dotykał powierzchni wody, światło gasło.

Świecące algi umierały, zatrute oparami.

A jeżeli chmura dotknie swymi placami miasto D'ni?

Wówczas mieszkańcy także umrą.

W mieście zapanował nieopisany zamęt. Wszędzie rozlegały się okrzyki przerażenia i jęki. Przed wszystkimi bibliotekami publicznymi ustawiały się kolejki ludzi, którzy pragnęli schronić się w wiekach publicznych.

Anna patrzyła na jaskinię jeszcze przez chwilę, potem chwyciła Gehna za rękę i pociągnęła za sobą. Nie mieli przed sobą długiej drogi, a Anna zastanawiała się, co spakować, kiedy nastąpił trzeci wstrząs.

Był to bez wątpienia najsilniejszy ze wstrząsów, który zwałił ich z nóg, przysypując pyłem i odłamkami skalnymi.

Kiedy wstrząs ustał, Anna dźwignęła się z ziemi na klęczki i niespokojnie rozejrzała się wokół siebie. Gehnowi nic się nie stało. Z wyjątkiem drobnego zadrażnienia brwi był cały i zdrowy.

- Chodźmy – powiedziała, wstając, i wzięła syna za rękę – zanim nastąpi kolejny wstrząs.

Nie zdążyli jednak przejść tuzina kroków, kiedy cała jaskinia rozbrzmiała jak uderzony gong.

Matka i syn przywarli do siebie. Mieli wrażenie, że wielki sufit zwali się na nich albo ziemia rozstąpi się pod ich stopami, ale pomimo huku sypiących się kamieni i pękających ścian dotarli cało do domu.

Czekała tu na nich zaniepokojona Taseera.

- Dzięki niech będą Stwórcy – powiedziała. – Ale gdzie jest Aitrus?

- Poszedł do Gmachu Cechowego – odparła Anna z większym spokojem, niż w istocie odczuwała. – Wróci do domu, kiedy będzie mógł.

Taseera pokiwała głową z rezygnacją.

- Kahlis też tam poszedł, zaraz po pierwszym wstrząsie. Na pewno wrócą razem.

- Muszę zabrać kilka rzeczy z gabinetu – oznajmiła Anna. – Weź Gehna i połącz się. Pójdę za tobą, kiedy tylko będę mogła. Aitrus prosił, żebyśmy się połączyli z Gemedet.

- Gemedet? Przecież Ko'ah byłoby bezpieczniejsze.

- Tak powiedział.

Taseera pochyliła głowę, ustępując synowej.

- W takim razie pospiesz się, Ti'ano. Spotkamy się w Gemedet.

Anna zarzuciła plecak i wyszła na korytarz. Czas naglił, ale nie mogła odejść, nie rzuciwszy okiem na miasto po raz ostatni. Wspięła się na schody, wyszła na balkon i podbiegła do barierki.

W dole rozciągało się wielkie miasto; warstwa za warstwą starodawnych kamiennych ulic i domów. Schodziło ku zatoce i potężnemu łukowi Keratha. Choć był dzień, w większości domów paliły się światła, ponieważ chmura dymu spowiła D'ni w dziwnym półmroku.

Obłok trującego brunatnego gazu wypełniał już blisko połowę jaskini. Krańce chmury szybowwały powoli, sennie, bardziej jak gęsta ciecz niż gaz. Anna patrzyła, jak brunatne kosmyki gazu oplatają łuk Keratha i powoli wypełzają na zatokę.

W tych miejscach, gdzie gaz dotykał wody, algi gasły.

Gdzie jesteś Aitrusie? – zastanawiała się Anna, patrząc na Gmach Cechowy, którego potężny warstwowy dach górował nad okolicznymi domami. Czy jesteś bezpieczny, mój kochany?

Z dolnego miasta dobiegało głośnie zawrodożenie, jak gdyby wyrażając lęk, który Anna odczuwała w tej chwili. Wielu ludzi było już bezpiecznych, ale setki mieszkańców D'ni nie zdołali dotrzeć do bibliotek publicznych i schronić się w wiekach. Teraz musieli stawić czoło ciemnej chmurze, która powoli wypełniała zatokę i wlewała się w wąskie uliczki prowadzące do nabrzeża.

Niech Stwórca im pomoże.

W tym samym momencie, kiedy to pomyślała, Anna spostrzegła cechownika, który pospiesznie biegł główną ulicą, dźwigając jakiś dziwny cylinder. Anna natychmiast go rozpoznała.

- Aitrusie! – krzyknęła, machając do niego gorączkowo.

Aitrus zwolnił, odwrócił głowę, pomachał do żony, a potem zniknął za rzędem domów, podczas gdy daleko w dole ciemny gaz, niczym tchnienie przeznaczenia, powoli wspinał się na kolejne warstwy niszcząc wszelkie życie.

W Gemedet padał deszcz, świeży, czysty deszcz, który po koszmarze jaskini zdawał się zmywać z nich cały brud, kiedy schodzili po zboczu do obozowiska.

Gehn, kiedy zobaczył rodziców, jak wyłaniają się spośród drzew, wstał, podbiegł i mocno uściskał ojca. Chłopiec miał przemoczone włosy i ubranie, ale najwyraźniej wcale mu to nie przeszkadzało.

Aitrus podniósł Gehna i zaniósł do chaty. Kiedy weszli, Taseira podniosła wzrok i uśmiechnęła się na widok Aitrusa, ale widząc, że tylko Anna weszła za nim, zmarszczyła brwi.

- Gdzie jest twój ojciec, Aitrusie?

- W D'ni – odparł Aitrus, zdjął cylinder z pleców i postawił w kącie.

- Został?

- Postanowił zostać z Pięcioroma i wszystkimi wielkimi mistrzami. Planowali udać się do jednego ze światów cechowych i tam zastanowić się nad dalszym działaniem.

- To znaczy, że jest bezpieczny – odetchnęła z ulgą Tamera.

- Na razie – odparł Aitrus i wyjął z kieszeni płaszcz maskę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę tylko powiedzieć, że nikt z nas nie wie, co się właściwie stało ani skąd wydobywa się gaz. Co się tyczy wstrząsów, w skale nie zauważono żadnych wczesnych oznak, a historia nie notuje podobnych lokalnych zakłóceń.

- A więc co mamy robić? Zostać tutaj?

- Tak, przez pewien czas, dopóki sprawy nie ucichną. Polecono mi zostać tu przez dziesięć dni, po czym wrócić do D'ni z maską i cylindrem. Pozostali wrócą w tym samym czasie. Jeżeli wszystko potoczy się dobrze, sprowadzimy ludzi z powrotem do D'ni.

- A jeżeli nie? – spytała Tamera.

- Wtedy zostaniemy tutaj... - westchnął Aitrus. – Aż do czasu, kiedy naprawimy sytuację w D'ni.

Starodawne ulice i zaułki wypełniało okropne, żółtobrunatne powietrze, jak gdyby zimowa mgła opadła na miasto w jaskini. Było cicho i ciemno, chociaż nie tak ciemno jak na początku.

Gdzieniedzie, na rozstajach dróg i przed bramami, zawieszono lampy. Ogniste kulki wielkości pięści płonęły czerwonym, niebieskim i zielonym światłem za grubym szkłem lamp jak w ciemnej, mętnej wodzie.

Panowała cisza, ale w tej ciszy rozlegało się skrzypienie wozu i kroki dwóch ludzi, brnących powoli przez podziemną krainę.

Kiedy dotarli do kręgu ciemnoczerwonego światła, można było dostrzec szczelnie zakrywające ich głowy maski, połączone mocnymi przewodami ze zbiornikami powietrza, które nieśli na plecach. Mężczyźni mieli na nogach wysokie skórzane buty i grube rękawice sięgające łokci.

Na wozie piętrzyły się ciała; z makabrycznego kłębowiska łachmanów i kości wystawały blade dłonie i stopy. Mężczyźni pchali wóz w milczeniu, dzieląc się ciężarem bez słowa skargi. Cel znajdował się tuż za lampami.

Podeszli do schodów, opuścili dyszel wozu i zaczęli wyładowywać ciała. Chwyтали zmarłych za przeguby rąk i kostki i składali w półmroku holu wejściowego.

Tutaj również porozstawiali lampy, oświetlające drogę do wielkiego Pokoju Księgi.

Nie była to ich pierwsza ani ostatnia podróż. Do tygodnia cierpliwie, wytrwale zbierali żniwo, które posiali.

Takie mnóstwo ciał, taki bezmiar choroby i śmierci. Trudno było uwierzyć, że to gaz i wstrząsy ponosiły winę.

Jeden z mężczyzn opierał ciało o podium, a drugi kładł dłoń zmarłego na lśniącej tabliczce księgi i cofał swoją dłoń, kiedy następowało połączenie.

Ciało zmarłego migotało przez chwilę i zniknęło.

Proces ten trwał bez końca. Tysiące trupów; ich ciała zmaltretowane były chorobą zakaźną, która szalała po ulicach.

Dwa mężczyźni spojrzeli na siebie przez maski i uśmiechnęli się posępnie.

- Jeszcze jeden, Filozofie?

- Och, z całą pewnością, mój panie.

Mężczyźni wybuchnęli ponurym, gorzkim śmiechem i zabrali się do ściągania kolejnego ciała z wozu, by wysłać do wieków kolejne ciemne ziarno. Niszczyli sanktuaria jedno po drugim, kończyli rozpoczęte dzieło.

Nastawał wieczór dziewiątego dnia. Nazajutrz Aitrus miał wrócić do D'ni. Anna i Aitrus siedzieli na płaskiej skale tuż nad wodospadem, obserwując mały świat, który stworzyli.

Słońce, które znajdowało się za nimi, rzucało cienie siedzących na soczystą zieleń doliny. Po długiej chwili milczenia Anna zapytała:

- Jak myślisz, co tam zastaniesz?

Aitrus zerwał źdźbło trawy i wsunął do ust. Teraz, kiedy nadszedł wieczór, zsunął okulary na czoło, odsłaniając czerwone odciski, które okulary zostawiły wokół oczu.

- Któż to może wiedzieć? – odparł, wzruszając ramionami. – Obawiam się najgorszego. Liczyłem na to, że otrzymamy jakąś wiadomość albo mój ojciec...

Anna delikatnie położyła dłoń na szyi męża. Bardziej obawiał się o ojca niż o siebie. Taki już był Aitrus. Inni ludzie zawsze byli dla niego ważniejsi niż on sam. Anna kochała go właśnie za ten brak egoizmu.

- Jak długo tam zostaniesz?

- Tak długo, jak długo będą mnie potrzebować – odparł Aitrus, odwracając się do Anny.

- A jeżeli nie wrócisz?

- Wówczas zostaniesz tutaj.

Anna potrząsnęła głową, ale Aitrus okazał się nieugięty.

- Nie, Ti'ano, musisz to dla mnie zrobić, dla mnie i dla Gehna.

Ten argument trafił Annie do przekonania. Aitrus miał rację. Gehn miał dopiero osiem lat. Utrata jednego z rodziców byłaby ciężkim przeżyciem, ale utrata obojga mogłaby się okazać niszcząca, nawet gdyby Tasea zaopiekowała się chłopcem.

Anna nieznacznie skinęła głową.

- Dobrze – powiedział Aitrus. – Wracajmy do obozu. Muszę się przygotować do podróży.

Aitrus wyruszył wcześniej. Po pożegnaniach Gehn wtulił się w ramiona Anny. Patrzyli, jak Aitrus zakłada cylinder, sprawdza, czy działa należycie, po czym nasuwa na głowę maskę.

Anna poczuła w żołądku ucisk niepokoju.

Aitrus pomachał do rodziny, odwrócił się i położył dłoń na otwartej księdze łączącej.

Powietrze wokół jego postaci zawirowało, jakby przemienione w inną substancję, potem oczyściło się i Aitrus zniknął.

Anna zadrżała. Słowa nie mogły wyrazić jej mrocznego, instynktownego lęku o męża.

- Bądź dzielny, mój kochany – powiedziała do Gehna. – Twój ojciec wróci.

Aitrus słyszał własny oddech wewnątrz maski, kiedy połączył się z gabinetem. Wyjął lampę, zapalił kulkę ognistą i rozejrzał się po pokoju.

Nikt nie zakłócił porządku w gabinecie, a jednak wszystko było zmienione. Gaz zniknął, ale pozostawił na wszystkim warstwę żółtobrazowej mazi.

Aitrusowi zebrało się na mdłości na ten widok. Czyżby całe D'ni tak wyglądało? Czy nic się nie ostało?

Na korytarzu wszystko wyglądało tak samo. Zupełnie jakby zgraja demonów przemalowała pomieszczenia na piekielny kolor. Buty Aitrus zostawiały na podłodze długie smugi.

Aitrus przełknął ślinę. Powietrze, którym oddychał, było czyste i przejrzyste, a jednak wydało się skażone.

Zszedł po schodach na dolny poziom domu. Tu, w zakamarkach, utrzymywały się resztki gazu, który powoli szybował wstęgami przez otwarte drzwi.

Aitrus przez chwilę obserwował gaz, który sprawiał wrażenie żywego, złośliwie żywego.

Za tą myślą natychmiast podążyła następna. To nie była zwykła chemiczna mieszanka. Powinien był się tego domyślić po sposobie, w jaki gaz oddziaływał na algi w jeziorze. Ten gaz był pochodzenia biologicznego, żył.

Aitrus ruszył w stronę drzwi frontowych, potem zatrzymał się i na wszelki wypadek zgasił lampę. Ogarnęła go ciemność i po omacku podszedł do drzwi.

Na zewnątrz było nieco jaśniej. Przeważającą część jaskini skrywał mrok, ale daleko w dole ujrzał światła. Jeśli się nie mylił, znajdowały się one w miejscu, gdzie dawniej stały wielkie gmachy cechów.

Dawniej. Nawet w panujących ciemnościach Aitrus widział ślady zniszczeń. Pomiędzy nim a światłami rozpościerał się krajobraz zwalonych domów i przewróconych murów, jakby jakiś olbrzym podeptał niedbale dachy.

Aitrus westchnął, po czym ruszył w stronę światła. Był pewien, że znajdzie tam cechowników, może nawet ojca, Kahlisa. Z pewnością mieli najświeższe wiadomości i plany naprawy.

Ta myśl dodała Aitrusowi otuchy. W końcu był D'ni!

Aitrus zatrzymał się, ponownie zapalił lampę, uniósł ją przed sobą i ruszył zrujnowanymi ulicami w kierunku Gmachu Cechowego.

Gmach Cechowy był pusty. Wielkie drzwi, których dawniej tak dumnie strzeżono, były otwarte na oścież. Wykonano je solidnie, więc przetrwały potężne wstrząsy. Wokół jednak roztaczał się obraz zniszczenia. Widok ten zaparł Aitrusowi dech w piersiach. Prawie żaden dom nie oparł się zniszczeniu.

Wszędzie ścieliły się resztki żółtobrazowego gazu.

Aitrus stanął w wielkiej komnacie Rady przed pięcioma tronami i podniósł lampę. Właśnie tutaj zostawił ojca. Tutaj obiecał, że dziesiątego dnia wróci. Gdzie oni się podziwiali? Czyżby zebrali się tutaj, a potem odeszli? A może nigdy ich tutaj nie było?

Istniał jeden pewny sposób, żeby się przekonać.

Aitrus wszedł do jednego z pokoików na tyłach wielkiej komnaty. Tam, na biurku, leżała otwarta księga łącząca. Podobnie jak cała reszta, była pokryta mazią, przez którą przeświecał jednak blask tabliczki łączącej. Chociaż lśniący prostokąt pokrywała cienka warstwa mazi, Aitrus wyraźnie dostrzegł odbity ślad dłoni.

Ktoś się połączył już po opadnięciu gazu.

Aitrus podszedł do biurka i otarł rękawem prawą stronicę księgi. Blask zajaśniał z całą wyrazistością. Pięciu panów i jego ojciec musieli być właśnie tam, w tamtym wieku.

Aitrus zgasił i schował lampę, położył dłoń na tabliczce i połączył się.

Znalazł się w niskiej jaskini. Przez otwór wejściowy tuż ponad nim sączyło się światło słoneczne. Słyszał śpiew ptaków i usypiający szum morza bijącego o brzeg.

Aitrus westchnął z ulgą. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

Zwolnił zacisk na masce i zsunął ją z głowy. Zaczepnął duży haust świeżego powietrza i zamknął dopływ tlenu ze zbiornika. Będzie go potrzebował po powrocie do D'ni.

Szybko wbiegł na schody wykute w ścianie jaskini, zatrzymując się tylko po to, by zdjąć okulary. Podniesiony na duchu wyszedł na słońce.

Białe budynki znajdowały się tuż pod nim, na końcu porośniętego trawą zbocza. Doskonałe kopuły i łuki zlewały się z zielenią okolicznych lasów, z ciemnym błękitem morza oblewającego wyspę.

Z pewnością znajdowali się w Wielkiej Bibliotece, gdzie debatowali, co robić dalej. Mimo to Aitrus zdziwił się, że nie postawili strażnika przy księdze łączącej.

Aitrus znieruchomiał, kiedy dotarł do niego sens tego spostrzeżenia.



Przecież tutaj zawsze stał strażnik. Aitrus nie przypominał sobie, żeby wszedł do jaskini, nie napotykając strażnika.

Coś było nie w porządku.

Aitrus dobył sztyletu i ruszył dalej, nasłuchując. Kiedy zbliżył się do biblioteki, zwolnił kroku. Zdziwiła go nienaturalna cisza. Wielkie drewniane drzwi były otwarte. Wewnątrz panował półmrok.

Wokół komnaty siedziało trzydziestu, może czterdziestu przedstawicieli starszyny D'ni. Wyglądali, jakby odpoczywali, ale ich bezruch nie był bezruchem snu.

Aitrus wsunął sztylet do pochwy, zapalił lampę i wszedł do komnaty.

Teraz dopiero dotarła do niego straszliwa prawda. Starcy nie żyli. Siedzieli z odrzuconymi twarzami, z lekko uniesionymi podbródkami, jak gdyby właśnie przed chwilą wydali ostatnie tchnienie.

Aitrus zadrżał i odwrócił się

- Ojciec...

Kahlis siedział na krześle przy drzwiach, plecami do słońca. Dłonie starca spoczywały na poręczach krzesła niemal niedbale, ale palce zacisnęły się na drewnie. Na jego twarzy malowała się ta sama sztywność co na twarzach pozostałych, jak gdyby nagle zaskoczył ich niewidzialny wróg.

Aitrus jęknął, osunął się na kolana i pochylił głowę przed ojcem. Klęczał tak przez długi czas, wreszcie podniósł głowę.

- Jak mi Stwórca miły, co się tutaj stało?

Aitrus odwrócił się i spojrzał na zamaskowaną twarz przybysza, który stanął w drzwiach. Miał na sobie purpurowy płaszcz Cechy Wytwórców Atramentu, ale Aitrus nie rozpoznał go po głosie.

- To jakiś wirus – zaczął, a ujrawszy, że tamten zaczyna zdejmować maskę, potrząsnął głową. – Nie, nie zdejmuj jej!

Cechownik odsunął dłoń od paska i rozejrzał się po komnacie.

- Czy oni wszyscy nie żyją? – zapytał.

- Tak – odparł posępnie Aitrus. – A przynajmniej na to wygląda.

Obok świeżego grobu leżał strażnik, jakby zdziwiony, z zaciśniętymi po walce dłońmi i zwartymi szczękami.

Aitrus patrzył przez chwilę na strażnika, potem spojrzął na cechownika Jiladisa, podniósł łopatę i zaczął zasypywać grób. Faktycznie wszyscy nie żyli – cechownicy, strażnicy, słudzy i tubylcy. Nikt nie przetrwał zarazy, o ile była to zaraza.

A on sam? Czy on również się zaraził?

Wyjaśnienie znajdowało się w ostatniej księdze z komentarzami, którą znaleźli na biurku w jednym z budynków. Jej autor, starzec w wieku dwustu lub więcej lat, siedział pochylony nad księgą. Ciało pojawiło się przed tygodniem, zaledwie dwa dni po ewakuacji D'ni. Spalili ciało, ale nic nie mogła naprawić szkody.

- Co zamierzasz zrobić? – zapytał Jiladis przytłumionym przez maskę głosem.

- Chyba wrócę do D'ni – odparł Aitrus.

W tym miejscu pojawiał się problem. Jeżeli zdążył się zarazić, nie mógł wrócić na Gemedet, ponieważ nie mógł ryzykować zarażeniem Gehna, Anny i matki. Ale czy uczciwe było nie mówić im o tym, co się tutaj stało?

Poza tym teraz, kiedy miał rozeznanie w sytuacji, musiał wrócić do posiadłości po księgę łączącą. Wtedy przynajmniej Gemedet będzie bezpieczne.

O ile już nie było za późno.

- Pójdę z tobą – oświadczył w końcu Jiladis. – Nic tu po mnie.

Aitrus skinął głową, a potem spojrzął na niebo i palące słońce.

Powierzchnia. Zawsze mógł się wydostać na powierzchnię.

Tak, ale co z pozostałymi, którzy ocalili? Czy mógł na przykład przekonać Jiladisa, że jego przyszłość leżała na powierzchni?

Aitrus odłożył łopatę, uklęknął i wyszeptał nad grobem słowa pożegnania. Potem wstał i dodał nieformalnie:

- Żegnaj ojcie. Obyś znalazł spokój w następnym wieku. Niech Yavo, Stwórca, przyjmie twoją duszę.

Pozostał przy grobie jeszcze przez chwilę, wspominając ojca. Potem odwrócił się i wolnym krokiem ruszył w stronę jaskini łączącej, a Jidalis powoli poszedł za nim.

Drzwi do rodzinnego Pokoju Księgi zostały wyważone, a półki splądrowane. Na podium leżała otwarta księga Ko'ah z zamazanymi stronicami; na tabliczce widniał wyraźny ślad dłoni.

Aitrus patrzył na pokój w stanie szoku.

Pokój Księgi został splądrowany; ślady stóp widniały w korytarzach i prawie wszystkich pokojach, a co gorsza, prowadziły na górę.

Z sercem w gardle Aitrus wbiegł na schody.

Ślady stóp prowadziły do jego warsztatu w końcu korytarza. Aitrus zamarł, przyglądając się śladom w przerażeniu.

A więc byli także tutaj.

Stanął w progu, rozglądając się wokoło. Ślady stóp biegły do połowy pokoju, a dalej rozchodziły się.

Aitrus zmarszczył brwi i wbiegł do pokoju. Księga Gemedet leżała na biurku, tam gdzie ją zostawił. Stronice były nienaruszone; cienka warstwa mazi pozostała nietknięta.

Aitrus odetchnął z ulgą. Wyjął z szuflady czystą szmatkę, starannie wytarł okładkę, po czym schował księgę do plecaka.

Z Gmachu Cechu Górników zabrał dodatkowe cylindry, a ze schowków w Gmachu Dostawców zapas pożywienia na ośmiodniową podróż.

O ile miał osiem dni.

A co z Anną? Czy dotrzyma słowa? Czy zostanie z Gehnem i nie będzie próbowała pójść za Aitrusem? Taką miał nadzieję. Gdyby połączyła się z tym miejscem, nie mogłaby się połączyć z powrotem, w każdym razie nie z Gemedet, ponieważ księgę miał Aitrus, a on wybierał się na powierzchnię.

Aitrus podszedł do drzwi frontowych i spojrzał w głąb ciemnej jaskini.

Wczoraj, w drodze powrotnej, widział ich, a przynajmniej tak mu się wydawało: widmowe postaci A'gaerisa i Veovisa, pchające wóz śmierci. Wtedy Aitrus zrozumiał, że żadne miejsce w D'ni ani w połączonych wiekach nie było bezpieczne.

Jedynym życiem na jakie mogli liczyć Anna i chłopiec, było w górze, na powierzchni. Ale czy tunele nadal były otwarte, czy zniszczyły je potężne wstrząsy, które zrównały z ziemią tak wielką część D'ni?

Musiał pójść i przekonać się na własne oczy. O ile dożyje. O ile choroba nie dogoni go po drodze.

Szesnastego dnia wieczorem Anna siedziała przy łóżku Gehna, wsłuchując się w jego delikatne pochrapywanie. Obok Anny leżała książka z bajkami D'ni. Zmęczony po całodziennym hasaniu po lesie, Gehn zasnął, kiedy mu czytała. Anna

nie miała nic przeciwko temu. Cieszyła się ze wszystkiego, co odводziło myśli syna od przedłużającej się nieobecności ojca. Dobrze było patrzeć, jak śpi głęboko i spokojnie.

Anna nachyliła się, pocałowała syna w czoło, potem wstała i wyszła. Na czarnym niebie wzeszły jasne gwiazdy. Anna ziewnęła i przeciągnęła się. W ciągu minionego tygodnia prawie nie zmrużyła oka. Codziennie spodziewała się powrotu Aitrusa, a ponieważ wciąż nie wracał, obawiała się najgorszego.

Wiedziała, że Taserą przeżywała to prawie tak samo mocno jak ona, a może nawet mocniej, bo przecież czekała nie tylko na syna, ale i na męża. Taserze jednak przychodziło to łatwiej, ponieważ miała w sobie kamienny stoicyzm D'ni. Nawet gdyby przyszło jej czekać tysiąc dni, Taserą zachowałaby cierpliwość do samego końca.

Czy w takim razie jestem niecierpliwa? – zapytała siebie Anna, podchodząc do skały u wylotu doliny.

Uśmiechnęła się, ponieważ wiedziała, co powiedziałyby na to Aitrus. Według niego sedno sprawy leżało w ich przewidywanej długości życia. Anna była krótkim lontem, który szybko się spalał, podczas gdy on...

Wróć, prosila cicho, patrząc w rozgwieżdżone niebo. Gdziekolwiek jesteś, wróć do mnie, Aitrusie.

Nawet jeśli miałby spędzić resztę życia w Gemedet, byłaby szczęśliwa, gdyby tylko mogła być z nim.

A jeżeli nie jest ci to pisane?

To był głos jej ojca. Już dawno nie słyszała tego głosu, choć tak bardzo potrzebowała otuchy, którą jej dodawał.

On był dla ciebie dobry, Anno.

- Tak – odparła cicho. – Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego partnera.

Ale teraz musisz się nauczyć żyć samotnie.

Anna przytknęła oczy, zaskoczona. W tym głosie rozbrzmiewała taka pewność.

- Nie – powiedziała po chwili. – On wróci. Obiecał, że wróci, a zawsze dotrzymuje obietnic.

Głos milczał.

- Ti'ano?

Anna drgnęła i odwróciła się. Tasea stała na zboczu, w odległości niespełna dziesięciu kroków. Musiała nadejść od strony strumienia. Zbliżywszy się, Tasea zmarszczyła brwi.

- Z kim rozmawiałaś?

Anna odwróciła wzrok, a potem odpowiedziała szczerze:

- Rozmawiałam z moim ojcem.

- Ach tak... - Tasea podeszła bliżej, tak by Anna mogła dostrzec jej oczy w półmroku. – I co ci powiedział?

- Że muszę się nauczyć żyć samotnie.

Tasea przyglądała się synowej przez chwilę, po czym powiedziała:

- Obawiam się, że tak właśnie może być.

- Ale myślałam...

- Kahlisa tam nie ma. Już go nie czuję. Bez względu na to, gdzie przebywał, zawsze był tam, ze mną. Tak to już jest, kiedy się spędzi sto albo więcej lat z jednym mężczyzną. A potem nagle pojawia się przerwa, brak obecności. Kahlisa już tam nie ma. Coś mu się stało.

Tasea umilkła.

- Nie wiedziałam. Sądziłam... - Anna zmarszczyła brwi. Co jej się właściwie wydawało? Że tylko ona tak się czuła? Że tylko ona była związana z mężem w ten dziwny, niematerialny sposób? Nie. Jak to mogło być możliwe? Mimo to czasami czuła, jakby ona i Aitrus byli swoimi książkami, z którymi się nawzajem łączyli. A co się działo, kiedy jedna z książek ulegała zniszczeniu? Czy więzy zrywały się? Czy pozostawała tylko przerwa, straszliwa, ziejąca otchłań?

Myśl o takiej samotności nappełniła Annę przerażeniem.

- Przykro mi, Taseo – powiedziała w końcu. – Mam nadzieję, że się mylisz.

- Ja również – odparła Tasea, ujmując dłonie synowej. – Ja również.

Kiedy Aitrus się obudził, ciemność w jego głowie dorównywała ciemności, która go otaczała. Znajdował się w miejscu wilgotnym i zimnym, bolało go całe ciało, ale powietrze było świeższe, niż to, które pamiętał.

Zdziwiony, dotknął twarzy. Maskę...

Nagle sobie przypomniał. Zapas powietrza się wyczerpał. Aitrus musiał zdjąć maskę albo się udusić. Właśnie wtedy połączył się z powrotem z Gemedet.

Aitrus leżał jeszcze przez chwilę, pozwalając oczom przyzwyczać się do mroku panującego w jaskini. Musiała być noc, ponieważ z góry nie docierał ani jeden promień słońca. Nasłuchiwał, ale nie potrafił stwierdzić, czy faktycznie słyszy jakieś odgłosy, czy jest to tylko gra wyobraźni. Od ośmiu dni słyszał tylko ciszę, straszną, zwielokrotnioną echem cisze skał.

Zdał sobie sprawę, że przez całe życie towarzyszyły mu rozmaite odgłosy – szmer potężnych wentylatorów doprowadzających powietrze do jaskini, przytłumiony łoskot maszyn górniczych, odgłosy miasta albo łodzi na jeziorze, dzwony obwieszczające równe godziny czy codzienny gwar gospodarstwa domowego. Takie odgłosy, nieprzerwane i niezauważalne, składały się na egzystencję Aitrusa. Aż do tej chwili.

Teraz bowiem w D'ni i we wszystkich zakątkach wielkiego niegdyś imperium królowała śmierć. Nawet w tunelach Aitrus znajdował martwe ciała górników albo konserwatorów, których zadaniem było patrolowanie obrzeży imperium.

W jednej z dolnych jaskiń Aitrus odkrył nawet źródło śmierci: wielką maszynę, która sprowadziła zagładę na D'ni. Jej olbrzymie kanistry zostały opróżnione. Takich maszyn używał Cech Badaczy do cyrkulacji powietrza podczas trudnych wykopalisk, zanim można było doprowadzić powietrza z D'ni. Veovis wykorzystał tę maszynę, żeby pompować truciznę do D'ni, a system wentylacyjny rozproszył ją po najmniejszych zakamarkach.

Górnicy, gdy wyłączyli wentylatory, stanęli przed ponurym wyborem: udusić się braku powietrza, albo umrzeć od trujących bakterii roznoszonych przez to powietrze.

Dopiero kiedy zobaczył tę maszynę, zrozumiał, że Anna popełniła błąd, wstawiając się za Veovisem.

To nie była jej wina, powtarzał sobie; nie mogła wiedzieć. A jednak trudno było inaczej na to patrzeć. Winę za cały ten bezmiar śmierci, cierpienia i udręki ponosił jeden człowiek: Veovis. Owszem, A'gaeris okazał się gorliwym współnikiem, ale to właśnie gorycz Veovisa, jego gniew i pragnienie zemsty stały się motorem tego ostatniego ataku próżności. A gdyby Veovisa skazano wtedy na śmierć?

Wówczas mój ojciec by żył, podobnie jak pan R'hira, mistrza Jadaris, Jerahl...

Aitrus usiadł i potrząsnął głową, ale ciemność powracała. Ti'ana ponosi winę. Moja droga żona Ti'ana.

- Nie!

Ptaka zatrzepotał między drzewami.

Był to pierwszy naturalny odgłos, jaki Aitrus słyszał od kilku dni.

Aitrus wciągnął powietrze nosem. Pachniało słodko. Wciąż czuł zapach gumowej maski. Zdażył już się przyzwyczać do tego dziwnego, metalicznego zapachu, ale to powietrze było inne.

Powoli, potykając się, wspiał się do wyloty jaskini, skąd spojrzął przez drzewa na obozowisko. Sprawiało wrażenie opuszczonego, ale godzina była późna.

Westchnął. Powinienem był się umyć, pomyślał. Powinienem był spalić to ubranie albo chociaż je zakopać. Na wszelki wypadek...

Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie powinien był tu przychodzić i istotnie nie przyszedłby, gdyby brak powietrza nie zmętnił mu umysłu. Jednak teraz, kiedy już wrócił, postanowił optymalnie wykorzystać sytuację.

Przynajmniej księga łącząca była względnie bezpieczna, chociaż kto mógł wiedzieć, jak skrupulatny może się okazać Veovis? Gdyby postanowił przeszukać tunele, mógłby natrafić na księgę, a wtedy Gemedet nie będzie bezpieczny.

Ta myśl napełniła Aitrusa przerażeniem.

Stłumił kaszel, potem odwrócił się i rozejrzał po jaskini. O ile zapamiętał dokładnie, po lewej stronie biegła w górę ścieżka, prowadząca do wodospadu. Postanowił zakopać tam ubranie i umyć się.

Potem wróci, nagi, przynosząc żonie i matce złe wiadomości.

Znaleźli Aitrusa nad stawem, obok wodospadu. Ciało miał złane potem, wpatrywał się pustym wzrokiem w przestrzeń. Przy pomocy dwóch służących zanieśli go do obozowiska i położyli do łóżka. Przez trzy dni Tasea i Anna pielęgnowały go na zmianę; ocierały mu czoło i trzymały za rękę, podczas gdy gorączka szalała.

Obudził się rankiem czwartego dnia. Anna spała w sąsiedniej chacie, kiedy Gehn przybiegł i potrząsnął matką.

- Mamo! Mamo! Tata się obudził!

Anna pobiegła do chaty. Tasea siedziała obok syna, trzymając go za rękę. Aitrus sprawiał wrażenie bardzo osłabionego, ale żył, a na widok Anny uśmiechnął się słabo.

- Ti'ano... - wyszeptał.

- Nie mów nic – powiedziała, uklękła przy łóżku i wzięła Aitrusa za rękę.

- Muszę.

- Nie. Musisz wypocząć, musisz odzyskać siły.

- Ja umieram, Ti'ano. Wiem to. Dano mi jednak tę chwilę i muszę ją wykorzystać.

Zamilkł, rozkaszał się, a potem ciągnął dalej słabym głosem:

- Oni nie żyją... wszyscy nie żyją. Mój ojciec... Pochowałem go. I D'ni... D'ni już nie istnieje. Jest jednak wyjście, przez tunele. Wykreśliłem mapę. Mój notes...

- Tak, tak – przerwała mu niecierpliwie Anna. – Teraz musisz odpocząć, Aitrusie.

Chory na chwilę zamknął oczy, potem otworzył je z najwyższym wysiłkiem i błagalnie spojrzał na Annę.

- Musisz stąd odejść, Ti'ano. Proszę cię, obiecaj mi, że odejdiesz. Tutaj nie jesteście bezpieczni.

- Dlaczego? Dlaczego nie jesteśmy tu bezpieczni?

Ale Aitrus ponownie zapadł w sen. Głowa spadła mu w tył; oddychał płytko.

- Pozwól mu spać – powiedziała Taserę, patrząc na Annę, jakby nic nie było ważniejsze niż troska o syna, ale Anna widziała, że nowiny Aitrusa zaszokowały Taserę. Prawdę mówiąc, zaszokowały je obie. Nagle Anna przypomniała sobie o Gehnie.

Odwróciła się gwałtownie i ujrzała Gehna, który stał w progu z przerażoną miną.

- To nieprawda – wyszeptał cicho. – Powiedz, że to nieprawda!

Jednak Anna nie mogła go okłamać, a kiedy Gehn odczytał prawdę w oczach matki, na jego twarzy ponownie odmalowało się bezgraniczne przerażenie. Odwrócił się i uciekł.

- Gehnie! – zawołała, podbiegając do drzwi. – Gehnie, wracaj!

Ale Gehn dotarł już do skraju lasu. Przelotnie obejrzał się przez ramię i zniknął pośród drzew.

Anna odwróciła się i spojrzała na Taserę. Staruszka wydawała się być duchem nieobecna. Siedziała zgarbiona, ze szklistym wzrokiem, jak gdyby słowa syna – tak ciche i ulotne – złamały ją. Anna zauważyła łzę spływającą po policzku.

Skończone. Wszystko skończone. Ale jak to było możliwe? Przecież ktoś musiał przeżyć.



Anna spojrzała na Aitrusa, zastanawiając się, czego jeszcze jej nie powiedział. Dlaczego ten wiek nie był bezpieczny? Dlaczego?

- Powiedz mi, Aitrusie – poprosiła cicho. – Proszę cię, powiedz mi.

Ale Aitrus nie odpowiedział.

Po południu Taserą położyła się do łóżka, skarżąc się na migrenę. Sądząc, że stan teściowej jest związany ze śmiercią Kahlisa, Anna uznała, że powinna pozwolić Taserze się wypłakać. Upewniła się, że staruszce jest wygodnie, i ruszyła na poszukiwanie Gehna. Nie znalazła go, a kiedy wróciła po dwóch godzinach, zauważyła, że stan Taserę się pogorszył.

Co więcej, u dwóch służących, którzy pomogli znieść Aitrusa od stawu, wystąpiły te same objawy co u niego. Jeż od kilku dni skarżyli się na słabe bóle żołądka, ale teraz zmogła ich wysoka gorączka.

Nadszedł wieczór, a Aitrus wciąż się nie budził. Anna jednak najbardziej martwiła się o Taserę, która zapadła w niespokojny sen. Tuż po zachodzie słońca Anna poszła do służących, których umieściła w namiocie-magazynie. Jeden z nich zmarł.

Stała przed namiotem, kiedy Gehn wrócił do obozu.

- Gehnie?

Syn nawet nie spojrzał na Annę, ale wyminął ją i wszedł do chaty.

Anna podążyła za nim. Gehn usiadł w ciemnym kącie, wpatrzony w leżącą postać ojca. Przez chwilę Anna przyglądała się synowi ze współczuciem, potem zapaliła ognista kulkę w lampie i zawiesiła ją na haku.

W świetle, które zalało chatę, zobaczyła, że Gehn płacze.

- Czy dobrze się czujesz, Gehnie?

Syn spojrzał na nią chłodno, po czym odwrócił wzrok.

- Dwaj służący zachorowali – powiedziała cicho Anna, ale Gehn nie zareagował. Po prostu patrzył na ojca. – Gehnie... Musimy pomyśleć o odejściu stąd.

Gehn, niczym posąg o zimnej, zaciętej twarzy dziecka, nie odrywał wzroku od umierającego ojca.

Tej nocy pozostali służący uciekli z obozowiska. Kiedy Gehn zasnął, Anna usiadła przy Taserze, wzięła ją za rękę i ocierała staruszcze czoło. O świcie matka Aitrus umarła w konwulsjach.

Anna długo siedziała, wpatrując się w przestrzeń. Gehn spał w kącie. Aitrus leżał nieopodal, a jego płytki oddech był ledwo słyszalny. W tym jednym pokoju był cały świat Anny – w każdym razie wszystko, na czym jej zależało – i powoli się rozpadał.

Tak samo jak dawniej – pomyślała i po raz pierwszy pograżyła się w rozpacz.

Wstała gwałtownie, przeszła przez pokój i podniosła torbę, którą Aitrus przyniósł z D'ni. Wcześniej kompletnie o niej zapomniała, ale teraz usiadła i zaczęła w niej szperać.

Znalazła dziennik Aitrusa, z którym nigdy się nie rozstawał.

Zapaliła lampę i zaczęła wertować notes, zatrzymując się na serii map i wykresów, które sporządził Aitrus. Pierwsza seria przedstawiała tunele prowadzące do jaskini z maszynami i odległej o kilka mil Rezydencji. Aitrus wzbogacił tę mapę, nanosząc grube, ciemne linie na niektóre tunele. Nie ulegało wątpliwości, że te tunele zostały zablokowane i tą trasą nie sposób było dostać się na powierzchnię. Na następnej stronie znajdowała się kolejna mapa, która kończyła się ślepych zaułkami i białą, nie oznakowaną przestrzenią.

Anna podniosła wzrok. Zrozumiała, że w ciągu ostatniego tygodnia Aitrus przemierzał tunele w poszukiwaniu drogi ucieczki. Poświęcał swoją cenną energię po to, by mogli znaleźć bezpieczną drogę na powierzchnię.

Anna nabrała przekonania, że Aitrus umierał. Pozostał jednak prawy i do końca stawał innych przed sobą. W pierwszym rzędzie troszczył się o nią i o Gehna.

Ponownie zajrzała do dziennika. Następna mapa była inna, znacznie bardziej skomplikowana niż pozostałe. Zajmowała kilka stron.

Anna uśmiechnęła się, doceniając pracę męża. Zanotował wszystko: wysokości, rodzaje skał, szczegóły fizyczne. Był to istny labirynt, ale Aitrus zrobił wszystko, żeby jak najdokładniej wyrysować każdy zakręt. Anna przesunęła palcem po zygzakowatej linii biegnącej przez kilka stron, potem podniosła wzrok i zaśmiała się cicho.

Wulkan! Droga wychodziła na powierzchnię przy wygasłym wulkanie, gdzie ona i ojciec zatrzymywali się po drodze do Tadjinaru.

Anna uśmiechnęła się i powiedziała cicho w przestrzeń:

- Dobrze się spisałeś, mój kochany.

- Naprawdę?

Niespodziewany głos Aitrusa zaskoczył ją. Odwróciła się i zobaczyła, że siedzi na łóżku, bacznie ją obserwując.

- Aitrusie?

- Musimy stąd odejść.

Anna zmrużyła oczy.

Ty umierasz – pomyślała. – Ty donikąd nie pójdziesz.

Jednak Aitrus nalegał.

- Musisz się spakować, Ti'ano. Teraz, póki jeszcze jest czas.

- Na co czas?

- Idę z tobą – powiedział, a potem się rozkaszał. – Z powrotem do D'ni.

Pomogę ci znaleźć drogę.

- Ależ ty jesteś chory, Aitrusie.

Aitrus odrzucił prześcieradło i powoli wstał, podpierając się o ścianę.

- Muszę to zrobić, Ti'ano – powiedział, patrząc błagalnie na żonę. – Czy to to rozumiesz?

Anna patrzyła na męża, a lęk o niego walczył z miłością.

- Rozumiem – powiedziała w końcu.

Anna spakowała ostatnie rzeczy do plecaka, zarzuciła go na ramię i wyszła na słońce. Gehn stał o kilka kroków poniżej, podtrzymując ojca. Obaj patrzyli na grób Tasery.

Anna westchnęła i podeszła do nich. Gehn miał na sobie ubranie, które dla niego uszyła. Maskę wisiła mu luźno na szyi.

- Jesteście gotowi?

Gehn i Aitrus spojrzeli na Annę i skinęli głowami. Nagle Gehn zbiegł po zboczu i wychylił się ponad krawędzią przepaści.

Anna spojrzała na Aitrusa pytająco, ale po chwili chłopiec wrócił i wręczył matce bukiet białych kwiatów. Dwa pozostałe trzymał w drugiej dłoni.

Anna wzięła od Gehna kwiaty, rozsypała je na grobie Tasery, a potem cofnęła się, by Gehn i Aitrus mogli zrobić to samo.

- Żegnaj, droga mamó – powiedział Aitrus, chłonąc piękno doliny. –  
Pozostaniesz przy mnie na zawsze.

Gehn stanął nad grobem, pochylił głowę i rozsypał kwiaty.

- Żegnaj babciu. Obyśmy się spotkali w następnym wieku.

Anna zmrużyła oczy, zaskoczona. Gehn tak bardzo dojrzał w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- Chodź, Gehnie – powiedziała, wyciągając rękę do syna. – Musimy iść.

Gehn zawahał się przez chwilę, zerknął na ojca, wreszcie wziął matkę za rękę. Anna delikatnie go uściśnęła, odwróciła się i ruszyła po zboczu do jaskini łączącej. Aitrus podążył w ślad za nią.

Nastał dwudziesty drugi dzień po upadku.

Anna stała za Aitrusem na balkonie posiadłości, dłonie wsparła na ramionach Gehna. Cała trójka patrzyła na ruiny D'ni. Ku zdziwieniu Anny okazało się, że powietrze jest czyste, a po kilku testach przeprowadzonych w laboratorium postanowili zdjąć maski. Po gazie, który uczynił takie spustoszenie, nie pozostało ani śladu, ale wszystko wciąż pokrywała warstewka zaschniętej mazi. Ktoś uruchomił wentylatory, które doprowadziły powietrze do jaskini. Nawet algi w jeziorze odżyły i emanowały słabe światło. W tym nikłym blasku mogli ocenić rozmiar zniszczeń.

To, co było kiedyś najwspanialszym z miast, zamieniło się w mauzoleum, w pustą, rozbrzmiewającą echem skorupę po dawnej świetności.

Anna czuła, jak Gehn drży, i wiedziała, że jest bliski łez. Miał przed oczami cały swój świat. Wszystkie jego nadzieje i marzenia legły w gruzach. Nawet wielka skała stercząca z jeziora rozczepiła się jak drzewo pod siekierą.

- Chodź – powiedziała łagodnie, napotykać wzrok Aitrusa. – Chodźmy stąd.

Szli wymarłymi ulicami, a ich przygnębienie rosło. Żaden dom nie uchronił się przed pęknięciami w ścianach. Zniszczenie nie ominęło prawie żadnego muru czy bramy. Co pewien czas ruiny blokowały im drogę, tak że musieli się wycofywać, ale w końcu dotarli do portu.

Wielkie posągi wieńczące kiedyś mur portowy popękały lub pospadały. Potężna flota handlowa, która tu niegdyś kotwiczyła, spoczywała teraz na dnie zatoki. Widzieli długie cienie statków na głębokości trzydziestu, czterdziestu stóp.

Anna rozejrzała się wokół. Aby przedostać się na drugą stronę jeziora, potrzebowali łodzi, a żadnej w pobliżu nie widzieli.

- Na wschód od zatoki, nad jeziorem, są przystanie – powiedział Aitrus. – Tam muszą być jakieś barki.

Okazało się jednak, że przystanie spłonęły, a barki zniszczono. Ktoś dopilnował, żeby nie mogli się przepłynąć przez jezioro. Aitrus westchnął i usiadł. Był u kresu sił.

- Pójdę się rozejrzeć – powiedziała Anna, dając znak Gehnowi, żeby został z ojcem i zaopiekował się nim. – Coś musi się znaleźć.

Po chwili wróciła z błyszczącymi oczami.

- Znalazłam łódź! – oznajmiła. – Jest niewielka, ale dla naszej trójki wystarczy.

- Czy była przycumowana? – zapytał podejrzliwie Aitrus.

Anna skinęła głową, a potem zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?

- O nic. Chodźmy tam natychmiast.

Gehn pomógł ojcu wstać i rodzina ruszyła w stronę przycumowanej łodzi. Nie zdążyli przejść połowy drogi, kiedy za ich plecami, w dolnym mieście, rozległ się krzyk przerażenia.

Cała trójka odwróciła się zaskoczona.

Krzyk powtórzył się.

- Idź na łódź, Ti'ano – powiedział Aitrus. – Weź Gehna i poczekaj tam na mnie. Możliwe, że to Jiladis.

- Ależ Aitrusie...

- Idź na łódź. Za chwilę do was przyjdę.

Anna zawahała się, ale zrozumiała, że Aitrus miał obowiązek pomagania kolegom z cechu, którzy znaleźli się w potrzebie. Wzięła Gehna za rękę i ruszyła przed siebie, ale stale oglądała się na Aitrusa. Widziała, jak przechodzi przez port, po czym znika w jednym z zaułków.

- Chodź, Gehnie – powiedziała. – Przygotujemy łódź na przyjście twego ojca.

Aitrus oparł się mur, pochylił się i zaczerpnął powietrza. Ból w kończynach i żołądku nasilał się z każdą chwilą. Aitrus czuł, że znalazł się na skraju wyczerpania.

Co gorsza, nie wiedział, skąd dobiegały krzyki. Sądził, że dochodziły mniej więcej z tej okolicy, ale niczego nie znalazł. Na opustoszałych ulicach panowała cisza.

Nad ocienionymi drzwiami tawerny wisiał szyld. Nie było na nim słów, ale spod warstwy szarobrazowej mazi przezierał rysunek, przedstawiający białego, wielocłonowego robaka, wślizgującego się na oślep w skałę. Aitrus zmarszczył brwi, jak gdyby ten rysunek obudził w nim jakieś mgliste, szczątkowe wspomnienie. Ślepy Robak. Gdzie o nim wspominano?

Aitrus wyprostował się i podniósł wzrok. Okna na piętrze były otwarte, okiennice odemknięte.

W tej samej chwili rozległ się głośny, wyraźny jęk.

A więc jednak się nie mylił. Ktoś był właśnie tam, w pokoju na piętrze.

Aitrus przeszedł przez ulicę i powoli pchnął drzwi, nasłuchując. Jęk rozległ się ponownie. Z prawej strony zauważył wąskie schody, wydeptane przez wiele stóp. Ostrożnie, stale rozglądając się wokół siebie, zaczął wchodzić na górę.

Znajdował się już prawie u celu, kiedy z pokoju na piętrze dobiegło stęknienie, a potem zbolący jęk. Coś zaskrzypiało.

Aitrus zatrzymał się i spojrzał na otwarte drzwi, znajdujące się tuż za nim, za zakrętem schodów. Z pokoju dobiegło cicho skrobanie, a potem okrzyk bólu. Ten głos pobudził Aitrusa. Odnajdując w sobie nowe zapasy energii, przebiegł ostatnie stopnie.

Stanął w progu, zdumiony widokiem, jaki roztaczał się przed jego oczami.

Był to długi, niski pokój, z oknami wychodzącymi na port. Na środku leżał przewrócony stół i trzy krzesła. Przez cały pokój ciągnęła się smuga krwi, na końcu której znajdował się Veovis, próbujący podciągnąć się na parapet. Między jego łopatkami tkwiło szeroki ostrze topora rzeźniczego.

- Veovisie!

Wyglądało na to, że Veovis nie zdaje sobie sprawy z obecności Aitrus. Zacisnął palce na kamiennym parapecie i próbował się podciągnąć, a na jego twarzy malowała się posępna determinacja.

Aitrus podbiegł przerażony, ale w tym samym momencie Veovis runął na plecy z głośnym jękiem.

- Veovisie... Veovisie, to ja, Aitrus – powiedział, klękając przy rannym. – Co się tutaj stało?

Veovis zamrugnął i skupił wzrok na twarzy Aitrusa.

- Co się stało?

Veovis zaśmiał się a potem rozkaszał. Krew wystąpiła mu na wargi. Zaczął mówić urywanym głosem, z trudem łapiąc powietrze.

- Między moim kolegą a mną... doszło do drobnego nieporozumienia.

Ironiczny uśmiech nie był w stanie zamaskować bólu.

- A'gaeris?

Veovis zamknął oczy, a potem nieznacznie skinął głową.

- Walczyliście?

- To nie była żadna walka... On... - Veovis przełknął ślinę. – Ugodził mnie, kiedy stałem odwrócony do niego plecami.

Veovis wykrzywił twarz w grymasie, łapczywie chwytając powietrze. Aitrus sądził, że za chwilę umrze, ale oddech Veovisa powoli wrócił do normy.

- Nie chciałem tego zrobić.

- Czego? Czego nie chciałeś zrobić?

- Wieku, którego żądał... Nie chciałem go napisać. – Ciałem Veovisa wstrząsnął spazm.

- Powiedz mi – poprosił Aitrus, chwytając rannego. – Muszę wiedzieć.

- A ja muszę ci powiedzieć – odparł Veovis i spróbował się uśmiechnąć. – On chciał specjalnego miejsca... miejsca, gdzie bylibyśmy bogami.

- Bogami?

Veovis skinął głową.

Była to największa herezja, największe sprzeniewierzenie Sztuki: pomylić pisanie, zdolność łączenia się z istniejącymi światami, z prawdziwym procesem tworzenia. Najwyraźniej Veovis odmówił przekroczenia tej ostatniej granicy. Ranny wpatrywał się w Aitrusa. Nagle Aitrus przypomniał sobie swój gabinet i ślady stóp, urywające się w połowie drogi do księgi.

- Czy to byłeś ty? – zapytał cicho. – W moim gabinecie?

Veovis wziął dwa głębokie wdechy, po czym skinął głową.

- Ale dlaczego? Dlaczego darowałeś nam życie po wszystkim, co zrobiłeś?

- Ponieważ ona wstawiła się za mną. Powiedziała, że jest we mnie dobro... miała rację.

Veovis zamknął oczy, ponieważ ból na chwilę wziął nad nim górę, a potem pospiesznie ciągnął dalej, jakby w obawie, że nie zdąży.

- Czułem się tak, jakbym miał w głowie ciemną chmurę, która zatrzymywała moje myśli. Nie czułem... - Veovis jęknął – nic, nic tylko ślepa nienawiść. Nienawidziłem wszystkich i wszystkiego.

Na zewnątrz rozległ się krzyk. Aitrus ostrożnie położył Veovisa i wyjrzał przez okno.

- Co się stało? – spytał Veovis.

Ku odległym wyspom płynęła łódź, a przy sterze widniała charakterystyczna postać A'gaerisa. Na gołych deskach leżeli Anna i Gehn, ze związanymi rękami i nogami.

- To A'gaeris – powiedział cicho. – Ma Ti'anę i mojego syna.

- W takim razie musisz ich uratować, Aitrusie.

- Ale jak? A'gaeris ma jedyną łódź, a ja nie mam siły pływać.

- Wobec tego połącz się.

Aitrus spojrzał na umierającego.

- Dokąd on ich zabiera?

- Na K'veer. Tam mamy swoją bazę. Tam są teraz wszystkie księgi. Zebraliśmy steki tomów. Niektóre są w Pokoju Księgi, ale większość znajduje się w wieku, który dla niego stworzyłem. Są w chacie na wyspie południowej. Właśnie tam się powinieneś połączyć. Księga tego wieku leży w moim gabinecie.

- Rozumiem – powiedział Aitrus, ponownie klękając przy Veovisie. – Ale co mi to daje? Jak mam się dostać na K'veer?

Veovis wskazał na swoją lewą pierś. Aitrus sięgnął do głębokiej kieszeni, z której wyjął cienką książkę.

- On nie wiedział, że ja mam – wyjaśnił z uśmiechem Veovis. – Ta książka łączy się z Nidur Gemat, gdzie z kolei znajdziesz księgę łączącą się bezpośrednio z moim gabinetem na K'veer. Za pomocą tych dwóch książek możesz się dostać na wyspę przed A'gaerisem.

Aitrus przez chwilę przyglądał się księdze, a potem ponownie spojrzał na Veovisa.

- Czy wciąż mi ufasz, Aitrusie? Posłuchaj: księga, o której mówię, ma zieloną okładkę. Właśnie tam zamierza się udać A'gaeris i właśnie tam możesz się na niego zaciąć. Rozumiesz?

Aitrus wahał się przez chwilę, wreszcie powiedział:



- Zaufam ci, ponieważ nie mam wyboru, a poza tym możliwe, że jest w tobie jednak trochę dobra.

Miasto zostawało w tyle. Za godzinę powinien się znaleźć z powrotem na K'veer. A'gaeris spojrzął na jeńców leżących na dnie łodzi.

Bez zmruczenia oka zabiłby ich natychmiast tam, w porcie, ale kobieta zdradziła, że jej mąż wciąż znajdował się w innym wieku.

Postanowił więc, że użyje ich jako przynęty, a kiedy dostanie w swoje ręce Aitrusa, rozprawi się z całą trójką, ponieważ był wolny od sentymentów, które doprowadziły do ruiny jego dawnego towarzysza, Veovisa.

- Wiesz, że on po nas nie przyjdzie.

A'gaeris pogardliwie spojrzął na kobietę.

- Oczywiście, że przyjdzie. Ten człowiek jest sentymentalnym głupcem. Już raz przyszedł, prawda?

- Tym razem będzie inaczej. On poczeka na ciebie w D'ni.

- Kiedy ty i twój syn jesteście moimi zakładnikami? – zaśmiał się A'gaeris. – Czy nie wydaje ci się, że będzie odchodził od zmysłów ze zmartwienia?

A'gaeris zauważył, że ten argument przemówił Annie do rozsądku. Tak, zamknie tych dwoje w celi na K'veer, a potem wróci i raz na zawsze rozprawi się z cechownikiem Aitrusem.

W całym D'ni była tylko jedna łódź, a miał ją właśnie on.

- Nie – powiedział w końcu A'gaeris. – On poczeka w porcie, aż odprowadzę łódź, a wtedy go dopadnę. O tak, Ti'ano, możesz być tego pewna!

Za pomocą pierwszej księgi Aitrus połączył się pokojem w wielkim domu na Nidur Gemat, pełnym rzeczy Veovisa. Po krótkich poszukiwaniach znalazł drugą księgę, która połączyła go z dobrze mu znanym pokojem na wyspie K'veer, którą często odwiedzał w lepszych czasach.

Aitrus stał przez chwilę, opierając się ciężko o biurko. Zmęczenie przyprawiało go o zawroty głowy. Wiedząc, że na przygotowania pozostała niecała godzina, zabrał się do pracy.

Księga w szmaragdowej oprawie leżała na stole w kącie pokoju, obok sterty innych, starszych ksiąg. Aitrus podszedł do stołu, a na myśl o tym, co tu robiono, poczuł przyływ rozpacz. Tyle wysiłków poszło tutaj na marne. I po co? Z zawiści? Chęci zemsty? A może ze zwykłej złośliwości?

Czy A'gaeris oszalał?

Przypomniawszy sobie koniec, jaki spotkał Veovisa, Aitrus jęknął. Potem zebrał siły i zaniósł księgę na biurko.

Usiadł i zagłębił się w lekturze. Po przeczytaniu kilku stron oderwał wzrok od książki i pokiwał głową. Miał tu napisane czarne na białym: Veovis mógł z czasem zostać wielkim mistrzem pośród mistrzów, może równie wielkim jak legendarny Ri'neref.

Zaniósł się szorstki, wycieńczającym kaszlem, potem przytknął palce do ust. Zobaczył krew. On także umierał.

Aitrus otarł usta chusteczką, zanurzył pióro w kałamarzu, po czym zabrał się do przekreślania niektórych fraz i dopisywania innych pod koniec książki. Wykańczał ten z najdoskonalszych wieków, przygotowywał go.

Przez cały czas myślał o Annie i Gehnie, modląc się w duchu, żeby nic im się nie stało.

A'gaeris wszedł na schody prowadzące do portu na K'veer, poganiając ostrzem noża Annę i chłopca.

U szczytu schodów stanął i owinał sobie wokół dłoni końce sznurów, którymi byli związani jeńcy. Wszedł do posiadłości, ciągnąc ich za sobą jak parę psów.

Wstrząsy zostawiły na K'veer wyraźne piętno; niektóre imponujące budowle popękały i runęły do jeziora. Ocalała jednak wystarczająca część architektury, by można ją było rozpoznać. Anna, która od pewnego czasu zastanawiała się, dokąd zmierzają, straciła nadzieję na ratunek.

Jeżeli czekał tu na nich Veovis, to Aitrus był bezradny.

Anna zerknęła na syna. Gehn miał zaciętą twarz i posępny wzrok, jak gdyby spodziewał się właśnie takiego obrotu sprawy. Trzymał się jednak dzielnie, a Anna musiała przyznać, że jest dumna z syna.

Właśnie miała się odezwać, kiedy poczuła swąd spalenizny. A'gaeris musiał go poczuć w tym samym momencie, ponieważ zatrzymał się gwałtownie i zmarszczył brwi.

Przez chwilę węszył, a potem, z głośnym rykiem, popędził na górę, ciągnąc za sobą jeńców.

W miarę jak zbliżali się do Pokoju Księgi, swąd spalenizny stawał się coraz silniejszy, a z zakrętu schodów dostrzegli chybotliwe płomienie.

- Moje księgi! – ryknął A'gaeris.

Kiedy Filozof pociągnął za sznur, Annie z trudem udało się zachować równowagę. Za to Gehn się przewrócił. Usłyszała krzyk syna i ujrzała, że A'gaeris puścił sznur, którym był związany Gehn. Anna nie miała jednak czasu na sprawdzanie, czy nic mu się nie stało. Podbiegła do drzwi Pokoju Księgi i stanęła za plecami A'gaerisa. W pokoju buzował ogień; ze sterty ksiąg buchał dym. Tuż obok płonącej sterty, z księgą w jednej i zapalona pochodnią w drugiej dłoni, stał Aitrus.

A'gaeris zatrzasnął za sobą wielkie drzwi i zrobił krok w stronę Aitrus, ale w tym samym momencie Aitrus podniósł pochodnię i zawołał:

- Podejdz bliżej, a spalę resztę twoich książek, A'gaerisie! Wiem, gdzie one są. Widziałem je w chacie na południu wyspy. Połączyłem się z nią. Mogę się z nią połączyć znowu, chyba że...

Anna poczuła, jak A'gaeris chwyta ją gwałtownie, potem oplata jej ramię wokół szyi i przykłada sztylet do krtani.

- Mam twoją żonę, Aitrusie. Zbliź się do tych ksiąg, a zabiję ją.

- Jeśli ją zabijesz, to zniszczę twoje księgi. Połączę się chatą i spalę je wszystkie. Co ci wtedy zostanie, mistrzu Filozofie? Nic. Teraz, kiedy zabiłeś Veovisa, już nic.

Anna czuła, jak A'gaeris dygocze z gniewu. Jeden fałszywy ruch i czekała ją śmierć.

- Oddaj mi tę księgę – warknął znowu. – Oddaj mu ją albo Ti'ana umrze.

Aitrus uśmiechnął się i nieco uniósł księgę.

- Ten wiek to prawdziwy majstersztyk. Veovis był z niego dumny.

- Nazywał się Ederat – powiedział A'gaeris.

- Nie – odparł Aitrus, napotykać wzrok Anny. – Veovis miał inną nazwę na ten wiek. Nazywał go Belzebubem.

Anna wstrzymała oddech. Nigdy nie kochała Aitrus bardziej niż w tym momencie.

Kocham cię – wyszeptała bezgłośnie.

Aitrus odpowiedział jej wzrokiem.

- No więc? – zwrócił się ponownie do A'gaerisa. – Umowa stoi? Ta księga i wszystkie, które są w środku, za moją żonę?

Jedyną odpowiedzią A'gaerisa był śmiech.

Aitrus opuścił pochodnię. Spojrzał na okładkę księgi, a potem, posyłając Annie ostatnie miłosne spojrzenie, oparł dłoń z pochodnią na świecącej tabliczce.

A'gaeris zawył, odepchnął Annę i skoczył w głąb pokoju.

- Aitrusie! – zawołała, kiedy postać męża zamigotała i zniknęła. – Aitrusie!

Aitrus jednak zniknął. Księga upadła z łoskotem na podłogę obok płonącej sterty.

A'gaeris rzucił się ku księdze z niesamowitą szybkością. Otworzył ją tak gwałtownie, że niemal oderwał okładkę od grzbietu.

Anna patrzyła z zamarłym sercem, jak A'gaeris zerka w jej stronę, po czym z szyderczym uśmiechem kładzie dłoń na tabliczce opisowej i łączy się.

Natychmiast po połączeniu się z jaskinią A'gaeris potknął się i zgiął się w pół z bólu. W płójącym powietrzu rozchodził się duszący swąd siarki. Pierwszy oddech oparzył mu płuca. A'gaeris zrobił krok w przód i zawył, rozpaczliwie rozglądając się za księgą łączącą z D'ni. W tym samym momencie w dnie jaskini pojawiła się szczelina. Temperatura rosła z każdą chwilą. Migwały pomarańczowoczerwone błyski. Skąła, na której stał A'gaeris, przechyliła się do przodu. Okrzyk zdumienia urwał się w połowie, kiedy runął w roztopioną lawę.

Zapadła cisza, pierwotna cisza wielkiego kotła stworzenia.

Anna płakała cicho, klęcząc nad księgą w zielonej okładce i przyglądając się lśniącemu obrazowi.

Przez chwilę kusilo ją, by pójść za mężem, skończyć ze wszystkim tak jak Aitrus. Właśnie wtedy ktoś załomotał do Pokoju Księgi.

Ten odgłos przywołał Annę do rzeczywistości. Gehn.

Anna odwróciła się od dymiącej sterty popiołów, które kiedyś były księgami D'ni, i upuściła książkę w zielonej okładce. Posypały się iskry, a do sufitu poszybował obłok dymu. W chwilę później płomienie zaczęły lizać złoconą okładkę.

Anna patrzyła w ogień i czuła, jak w miejscu, gdzie znajdowała się druga księga jej życia, rozwiera się otchłań; dokładnie taki, jak to opisała Tasea. Ponownie rozległo się pukanie, tym razem bardziej natarczywe, więc Anna wstała z klęczek i ruszyła do drzwi.

# Epilog

Słońce wznosiło się nad górami daleko na wschodzie, kiedy z krateru wulkanu wyłoniła się postać kobiety, niosącej śpiące dziecko. Pustynię nadal spowijał cień, rozpościerający się jak ciemne morze wokół czarnych ust krateru. Kobieta przystanąła, uniosła głowę i powoli powiodła wzrokiem po pustyni. Po chwili ruszyła w dół zawałonego skałami zbocza, a jej długi, wąski cień czernił się na tle czerwonego piasku.

Kiedy kobieta zbliżyła się do rozpadliny, zerwał się słaby wiatr, rozwiewając jej ciemne włosy. Piasek zatańczył na skale, po czym opadł. Dziecko było chude jak szkielet, a kobieta wyglądała na śmiertelnie wycieńczoną. W jej oczach płonęło jednak światło życia, niczym ogień z głębi ziemi.

Na widok rozpadliny zwolniła, ponownie się rozejrzała, potem uklękła i delikatnie ułożyła dziecko na wąskim występie skalnym. Zdjęła z ramion dwa tobołki i także położyła je na ziemi. Następnie, wyczuwając drogę dłońmi i stopami, zanurzyła się w ciemną rozpadlinę.

Na samym dnie rozpadliny migotał staw, w którym odbijały się gwiazdy. Kobieta uklękła jak cień, nabrała w dłonie czystej, chłodnej wody i zanurzyła twarz. Odświeżona, odwróciła się i rozejrzała wokół siebie. Było tu chłodno i była woda. Gdyby włożyć trochę pracy, można by uzyskać więcej.

Anna skinęła głową, wstała i wytarła dłonie o koszulę.

- Tutaj zaczniemy od nowa – powiedziała.

KONIEC